

A black silhouette of a man's head and shoulders in profile, facing right. His hand is raised to his chin in a thoughtful gesture. A lighter, semi-transparent version of the same silhouette is layered behind it, creating a double-exposure effect. The background is plain white.

John le Carré

TUNEL Z GOŁĘBIAMI

Opowieści z mojego życia



John le Carré

TUNEL Z GOŁĘBIAMI

Opowieści z mojego życia

Z języka angielskiego przełożył
Jan Rybicki



Tytuł oryginału:
THE PIGEON TUNNEL

Copyright © David Cornwell, 2016
Copyright © 2017 © for the Polish translation by Jan Rybicki
Copyright © 2017 for this edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Cover illustration by Matt Taylor
Author photography © Anton Corbijn
Wykonanie okładki: Monika Drobnik-Słocińska

Redakcja: Bożena Sęk
Korekta: Marta Chmarzyńska, Aneta Iwan, Edyta Malinowska-Klimiuk

ISBN: 978-83-8110-324-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Przedmowa

Wstęp

1. Zły to ptak, co własne służby kala
2. Ustawy doktora Globkego
3. Z wizytą oficjalną
4. Palec na spuście
5. Do wszystkich zainteresowanych
6. Jak działa brytyjski wymiar sprawiedliwości
7. Ucieczka Iwana Sierowa
8. Dziedzictwo
9. Niewinność Murata Kurnaza
10. Praca w terenie
11. Patrzą, a to Jerry Westerby
12. Samotność w Wientianie
13. Teatr Rzeczywistości: tańczący z Arafatem
14. Teatr Rzeczywistości: Willa Brigitte
15. Teatr Rzeczywistości: kwestia winy
16. Teatr Rzeczywistości: czułe słówka
17. Sowiecki rycerz umiera we własnej zbroi
18. Na Dzikim Wschodzie: Moskwa 1993
19. Krew i skarby
20. Największe niedźwiedzie w zoo
21. Wśród Inguszów
22. Nobel dla Brodskiego

23. Znamca od siedmiu boleści
24. Stróż brata swego
25. Quel Panama!
26. W głębokiej konspiracji
27. Polowanie na kacyków
28. Richard Burton mnie potrzebuje
29. Alec Guinness
30. Zaginione arcydzieła
31. Krawat Bernarda Pivota
32. Na lunchu z więźniami
33. Syn ojca autora
34. Z podziękowaniem dla Reggiego
35. Bardzo poszukiwany człowiek
36. Karta kredytowa Stephena Spendera
37. Rada dla początkującego powieściopisarza
38. Ostatnia tajemnica służbowa

Źródła

Przypisy

Przedmowa

Prawie każda z moich książek nosiła kiedyś roboczy tytuł *Tunel z gołębiami*. Już wyjaśniam, skąd się wziął. Byłem nastolatkiem, gdy ojciec postanowił zabrać mnie na jedną ze swych wypraw do Monte Carlo, gdzie szalał przy ruletce. Niedaleko starego kasyna był klub sportowy z trawnikiem i strzelnicą z widokiem na morze. Pod trawnikiem ciągnęło się kilka ciasnych równoległych tuneli prowadzących aż nad samą wodę. W tunelu umieszczano żywe gołębie, hodowane i łapane na dachu kasyna. Ich zadanie było proste – miały przelecieć po omacku całkowicie ciemny tunel i pofrunąć w śródziemnomorskie niebo, żeby najedzeni i napici sportowcy, czyhający na leżąco lub stojąco, mogli sobie do nich postrzelać. Te z ptaków, których nie trafiono albo które tylko lekko zraniono, robiły to, co zawsze robią gołębie – wracały do miejsca swych narodzin na dachu kasyna, gdzie wpadały wciąż w te same pułapki.

Czytelnik zapewne lepiej oceni, dlaczego akurat to wspomnienie prześladowuje mnie od tak dawna.

John le Carré, styczeń 2016

Wstęp

Siedzę przy biurku w piwnicy małej chatki w Szwajcarii, którą postawiłem sobie za honorarium otrzymane za powieść *Ze śmiertelnego zimna*¹, w górskiej wiosce położonej półtorej godziny jazdy pociągiem od Berna – miasta, do którego w wieku szesnastu lat uciekłem z prywatnej szkoły w Anglii i w którym zapisałem się na uniwersytet. W weekendy całą grupą studentów – głównie berneńczyków płci obojga – jeździliśmy w Oberland, zwalaliśmy się do schroniska i do upadłego jeździliśmy na nartach. Z tego, co wiem, byliśmy wzorem cnót wszelkich – panie po jednej, panowie po drugiej stronie, na słońcach swych przeciwnych. A jeżeli ktoś coś z kimś robił, to na pewno nie ja.

Moja chatka góruje nad wsią. Kiedy wyglądam przez okno – ale muszę mocno zadzierać głowę – widzę szczyty Eigeru, Möncha i Jungfrau, i najpiękniejszego z nich wszystkich Silberhorna, któremu asystuje o pół głowy niższy Mały Silberhorn: dwa rozkosznie szpiczaste stożki lodu, które od czasu do czasu szarzeją nieco, gdy dmie fen, ciepły wiatr południowy, ale już w kilka dni później odzyskują nieskazitelną dziewiczą świetność.

Patronują nam tutaj wszyscy święci pańscy: wszędobylski kompozytor Mendelssohn – ma tu swój własny szlak, proszę iść za strzałkami; poeta Goethe, choć on dotarł, zdaje się, tylko do wodospadów w dolinie Lauterbrunnen; i drugi poeta, Byron, który wlaźł kiedyś aż na Wengernalp i wściekł się, bo widok powalonych przez wichurę drzew „przywiódł mi na myśl siebie samego i całą rodzinę moją”.

Ale najświętszym z naszych patronów jest bez wątpienia niejaki Ernst Gertsch, który przyniósł naszej wsi pieniądze i sławę, bo w roku 1930 zorganizował pierwsze zawody narciarskie na Lauberhornie – sam zresztą wygrał slalom. Raz byłem tak szalony, że wziąłem w nich udział – całkowity brak kompetencji i paniczny strach sprawiły, że jak można się było spodziewać, przegrałem z kretesem. Wykryłem ponadto, że panu Ernstowi nie wystarczył tytuł ojca narciarstwa zjazdowego, bo to on wymyślił stalowe okucia nart i stalowe podkładki pod wiązania – tym większa wdzięczność mu się od nas należy.

Teraz mamy maj, więc w jednym tygodniu całoroczny przegląd pogody: wczoraj spadło parę metrów puchu, ale oczywiście nie było już narciarzy, którzy mogliby się nim cieszyć; dzisiaj żar łał się z nieba, śnieg znów niemal całkiem stopniał, wiosenne kwiatki od nowa zabrały się do roboty. A teraz, pod wieczór,

nad Lauterbrunnen formują się szaro-granatowe chmury, by – jak kiedyś napoleońska Grande Armée – pomaszerować na podbój Szwajcarii.

W ślad za nimi powróci pewnie fen – od paru dni jakoś nas nie nękał – i wtedy hale i lasy utracą swe barwy, chatka będzie trzeszczeć i chwiać się w posadach, a dym z drewna w kominku znów cofnie się na dywan, za który tak przepłaciliśmy w Interlaken bezśnieżnej zimy kilka lat temu. Każdy brzęk czy klakson dochodzący z doliny znów będzie brzmiał jak okrzyk oburzenia; ptaki zostaną zamknięte w gniazdach – poza wronczykami, bo one nie słuchają niczych rozkazów. Kiedy wieje fen, nie jeździ się samochodem, nie udaje się w oświadczyń. Jeśli kogoś boli głowa albo chce zabić bliźniego swego, niech się nie martwi – to nie kac, to fen.

Chatka odegrała w moim osiemdziesięcioczworoletnim życiu rolę zupełnie niewspółmierną do swych skromnych rozmiarów. Zanim ją zbudowałem, przyjeżdżałem w te okolice na narty – pierwsze były z jesionu lub z orzecha, na podejście zakładało się foki, wiązania były skórzane, zjeżdżało się raz, następnie podchodziło w górę. Potem bywałem tu latem, by wspinać się na góry z moim mądrym mistrzem z Oksfordu, Vivianem Greenem, późniejszym rektorem Lincoln College, który posłużył mi jako pierwowzór wewnętrznego portretu George'a Smileya.

To nie przypadek, że Smiley kochał szwajcarskie Alpy jak Vivian, że jak Vivian znajdował ukojenie w ich widokach i że podobnie jak ja przez całe życie trwał w dziwnym związku z niemiecką muzą.

To Vivian musiał wysłuchiwać niekończących się opowieści o moim niegodziwym ojcu; i to on, gdy ojciec znów zbankrutował – tym razem w jakiś szczególnie spektakularny sposób – zdobył skądś pieniądze i ściągnął mnie z powrotem na uczelnię, żebym skończył studia.

W Bernie poznałem potomka jednej z najstarszych rodzin hotelarskich w całym Oberlandzie. Gdyby nie jego wpływy, chatka nigdy by nie powstała, bo w naszej wsi cudzoziemcom nie wolno było wtedy i nie wolno teraz posiadać choćby piędzi szwajcarskiej ziemi.

Również w Bernie stawiałem pierwsze, dziecięce kroki w wywiadzie brytyjskim, dostarczając nie wiem co, nie wiem komu. Ostatnio co jakiś czas zastanawiam się nad tym, jak by też wyglądało moje życie, gdybym nie uciekł wtedy ze szkoły albo gdybym uciekł, lecz gdzie indziej. Dochodzę do wniosku, że wszystko, co mi się w życiu przytrafiło, jest konsekwencją jednej impulsywnej decyzji nastolatka, który postanowił wyrwać się z Anglii najkrótszą z możliwych dróg i obrać sobie za przybraną matkę niemiecką muzę.

W szkole zresztą nie byłem oferą, wręcz przeciwnie – byłem kapitanem każdej z możliwych drużyn, laureatem szkolnych nagród, potencjalnym

prymusem. I uciekłem bardzo dyskretnie, bez wrzasków i hysterii. Oznajmiłem po prostu: „Może ojciec zrobić ze mną, co zechce, ale ja nie wracam”. I zapewne za wszystko winiłem szkołę i przy okazji Anglię, podczas gdy tak naprawdę chciałem za wszelką cenę uwolnić się od ojca. Tylko że tego nie mogłem mu powiedzieć. Oczywiście moje dzieci odwdzińczyły mi się pięknym za nadobne – tylko że one potrafiły zachować się bardziej elegancko i nie robić tyle hałasu.

To jednak nadal nie udziela odpowiedzi na pytanie o kierunek, w jakim mogłoby potoczyć się moje życie. Czy gdybym nie trafił do Berna, i tak prędzej czy później zwerbowano by mnie na nastoletniego chłopca na posyłki brytyjskiego wywiadu? Wtedy jeszcze nie czytałem maughamowskich opowiadań o agencie Ashendenie, ale dobrze znałem *Kima* Kiplinga i całe stopy szowinistycznych przygodówek autorów pokroju G.A. Henty’ego. Dornford Yates, John Buchan i Rider Haggard też zrobili, co mogli.

No i oczywiście w zaledwie cztery lata po wojnie byłem największym brytyjskim patriotą na tej półkuli. Jeszcze w szkole doszliśmy wszyscy do wielkiej wprawy w demaskowaniu w naszych szeregach niemieckich szpiegów – ja zaliczałem się do najlepszych speców od kontrwywiadu. Nasz nacjonalistyczny zapał był niepokonany. Dwa razy w tygodniu mieliśmy „wojsko”, czyli ćwiczenia z bronią w pełnym rynsztunku. W te dni nasi opaleni na wojnie nauczyciele przypinali rozetki orderów. Mój pan od niemieckiego robił w czasie wojny cudownie tajemnicze rzeczy. Doradcy od szkolenia zawodowego przygotowywali nas do dożgonnej służby na najdalszych krańcach Imperium. Opactwo, stanowiące rdzeń naszego miasteczka, obwieszane było pułkowymi sztandarami wystrzępionymi na kolonialnych wojnach w Indiach, Afryce Południowej i Sudanie – potem strzępom tym przywracały dawną świetność kochające kobiece dłonie.

Właściwie więc trudno się dziwić, że gdy wezwała mnie ojczyzna – pod postacią trzydziestoparoletniej, nieco mamusiowatej pani imieniem Wendy zatrudnionej w sekcji wizowej ambasady brytyjskiej w Bernie – siedemnastoletni Anglik, z trudem radzący sobie na zagranicznym uniwersytecie, stanął na baczność i odpowiedział: „Rozkaz, proszę pani!”.

Znacznie trudniej wyjaśnić moje całkowite oddanie się literaturze niemieckiej – w czasach, w których samo słowo „niemiecka” było dla wielu ludzi synonimem najstraszniejszego zła. A tymczasem właśnie to oddanie – podobnie jak ucieczka do Berna – wycisnęło piętno na całej mojej późniejszej drodze życiowej. Gdyby nie ono, nie pojechałbym do Niemiec w roku 1949 za namową mojego pana od niemieckiego, żydowskiego uciekiniera; nie zobaczyłbym zrównanych z ziemią miast w Zagłębiu Ruhry; nie przeleżałbym, chory jak pies, na powehrmachtowskim materacu w niemieckim szpitalu polowym,

zaimprovizowanym w podziemiach berlińskiego metra; nie odwiedziłem obozów koncentracyjnych w Dachau i Bergen-Belsen w czasie, gdy w barakach wciąż unosił się smród – stamtąd wróciłem do niewzruszonego spokoju Berna, do mojego Tomasza Manna, mojego Hermanna Hessego. I na pewno nie odbyłem służby wojskowej w wywiadzie w okupowanej Austrii ani nie studiowałem filologii germańskiej w Oksfordzie; nie uczyłem niemieckiego w Eton ani nie zostałem oddelegowany do ambasady brytyjskiej w Bonn pod przykrywką szeregowego dyplomaty – ani nie pisałem powieści pełnych niemieckich odniesień.

Teraz całkiem dobrze rozumiem, co dało mi tak wczesne zanurzenie się w kulturze niemieckiej. Stworzyło mi własne eklektyczne terytorium; podsycalo mój nieuleczalny romantyzm i umiłowanie liryki; wpoilo we mnie przekonanie, że wędrówka człowieka od kołyski po grób to ciągle uczenie się – jest to przekonanie mało oryginalne i może nawet mylne, ale trudno. A gdy przyszło mi zmierzyć się z dramataми Goethego, Lenza, Schillera, Kleista czy Büchnera, odkryłem, że ich klasyczna powściągliwość jest mi równie bliska jak ich neurotyczne ekscesy. Cała sztuka polega, zdaje się, na tym, by jednym tuszować drugie.

Chatka ma już prawie pięćdziesiąt lat. Gdy dzieci dorastały, co sezon przyjeżdżały tu na narty. Tu było nam najlepiej. Czasem zostawaliśmy na wiosnę. Tutaj też spędziłem cztery przezabawne tygodnie – chyba zimą 1967 roku – w towarzystwie Sydneya Pollacka, reżysera *Tootsie*, *Pożegnania z Afryką* i mojego ulubionego filmu *Czyż nie dobija się koni?*, próbując przerobić na scenariusz moją powieść *Małe miasteczko w Niemczech*.

Śnieg tej zimy był cudowny. Sydney nigdy przedtem nie jeździł na nartach i nigdy nie był w Szwajcarii. Ale na widok roześmianych narciarzy, nonszalancko śmigających pod naszym balkonem, nie wytrzymał – musiał stać się jednym z nich, i to natychmiast. Chciał, żebym to ja go uczył, ale dzięki Bogu wezwałem Martina Eppa, instruktora narciarskiego, legendarnego przewodnika i jednego z tych nielicznych, którzy samotnie zdobyli północną ścianę Eigeru.

Wybitny reżyser z South Bend w Indianie i wybitny alpinista z Arosy natychmiast przypadli sobie do gustu. Sydney niczego nie robił na pół gwizdka. Już po kilku dniach świetnie sobie radził na nartach. Poza tym ogarnęło go niepowstrzymane pragnienie, by zrobić film o Martinie Eppie, i wkrótce całkowicie przyćmiło jego pragnienie nakręcenia *Małego miasteczka*. Eiger miał wystąpić w roli Losu, ja napisać scenariusz, Martin zagrać samego siebie,

a Sydney wisieć w połowie wysokości i filmować wspinaczkę. Zatelefonował do swego agenta i opowiedział mu o Martinie. O Martinie opowiedział też przez telefon swojemu psychoanalitykowi. Śnieg wciąż był cudowny i nieco podkopywał energię Sydneya. Wreszcie uznaliśmy obaj, że najlepiej pisze nam się wieczorem, po kąpieli – tylko że nie wiadomo, czy to prawda, bo nie powstał ani jeden, ani drugi film.

Jakiś czas później dowiedziałem się, że Sydney wynajął moją chatkę dla Roberta Redforda, żeby miał gdzie przygotowywać się do filmu *Zjazdowiec*. Niestety nie miałem okazji poznać pana Roberta, ale później przez wiele lat, ilekroć pojawiałem się we wsi, okazywano mi szczególne względy jako znajomemu Redforda.

To wszystko, co tu opowiadam, to moje prawdziwe wspomnienia – i w tym miejscu każdy ma pełne prawo zapytać, czym jest prawda i czym są wspomnienia dla pisarza dobiegającego, delikatnie mówiąc, zmierzchu życia. Dla prawnika prawda to fakty bez żadnych upiększeń. Inna sprawa, czy można takie fakty znaleźć. Dla pisarza fakt to surowiec – nie cel, lecz narzędzie; zadaniem pisarza jest sprawić, by fakt „zagrał”. Cała prawda leży – jeżeli leży gdziekolwiek – nie w faktach, lecz w niuansach.

Czy w ogóle istnieje coś takiego jak prawdziwe wspomnienia? Wątpię. Nawet jeżeli uda nam się sobie wmówić, że jesteśmy obiektywni, że trzymamy się czystych faktów, nie upiększając ich i nie segregując dla własnej wygody, prawdziwe wspomnienia wymykają się nam jak kostka mokrego mydła. A przynajmniej tak właśnie jest ze mną, który życie strawiłem na rozmywaniu różnicy między własnym doświadczeniem i własną wyobraźnią.

I właśnie dlatego tu i tam – kiedy uważałem, że opowiadanie na tym skorzysta – zaczerpywałem urywki dialogów czy opisów z tworzonych na gorąco artykułów prasowych, bo przynosiły świeże wspomnienia, które odtwarzane z pamięci straciłyby ostrość: tak było na przykład w przypadku opisu Wadima Bakatina, byłego szefa KGB. Kiedy indziej prawie nie zmieniałem gotowych tekstów, trochę je tylko porządkując i dodając tu i ówdzie jakiś ornament dla lepszego zrozumienia lub uaktualnienia całej historii.

Nie jestem aż tak zadufany w sobie, by zakładać, że czytelnik doskonale orientuje się w mojej twórczości – czy wręcz że w ogóle ją zna; stąd gdzieś tam pewne konieczne wyjaśnienia. Gwarantuję jedno: ani razu nie dopuściłem się świadomego fałszerstwa. Pewne rzeczy, które trzeba było ukryć, ukryłem oczywiście. Ale powtarzam: bez fałszerstw. Jeżeli czegoś nie pamiętałem

dokładnie, napisałem, że nie pamiętam. Parę z opowiedzianych tu historii trafiło w formie krótkich wzmianek do niedawno wydanej mojej biografii, więc teraz z przyjemnością sam się pod nimi podpisuję, opowiadam je własnymi słowami i staram się jak najlepiej wzbogacić je o własne odczucia.

Niektóre epizody teraz nabrały znaczenia, którego wtedy sobie nie uświadamiałem – może z powodu śmierci osób grających w nich główną rolę. Przez całe moje długie życie nie prowadziłem dziennika; tylko od czasu do czasu spisywałem krótkie wrażenia z tej czy innej podróży, z tej czy innej ważnej rozmowy. Tak było w przypadku dni spędzonych u Jasira Arafata, przewodniczącego Organizacji Wyzwolenia Palestyny, przed jego wypędzeniem z Libanu i później, gdy złożyłem mu wizytę przedwcześnie zakończoną w jego białym hotelu w Tunisie, w tym samym mieście, w którym paru jego towarzyszy i sztabowców zginęło z rąk izraelskiego komanda w kilka tygodni po moim wyjeździe.

Zawsze interesowali mnie ludzie władzy. Po pierwsze dlatego, że są; po drugie dlatego, że zawsze chciałem się dowiedzieć, co nimi kieruje. Odnoszę jednak wrażenie, że w ich obecności potrafiłem jedynie zdobyć się na potakiwanie z poważną miną, kręcenie głową w odpowiednich miejscach i na parę żartów, którymi starałem się złagodzić napięcie. Dopiero potem, w pokoju hotelowym, wyciągałem pomięty notes i próbowałem ogarnąć to, co usłyszałem i zobaczyłem.

Pozostałe bazgroły, które zachowały się z moich podróży, robione były głównie nie osobiście przeze mnie, tylko przez różne fikcyjne postacie, które ze względów bezpieczeństwa zabierałem ze sobą, jadąc w teren. Pisane są więc z ich punktu widzenia, nie mojego, i ich słowami, nie moimi. Gdy kulilem się ze strachu w okopach nad Mekongiem i po raz pierwszy w życiu mogłem się przekonać, jak to jest, gdy kule plaskają w błoto nad głową, drżąca ręka opisująca w brudnym notatniku ten skandal należała nie do mnie, lecz do mojego dzielnego, ale fikcyjnego bohatera, reportera wojennego Jerry'ego Westerby'ego, dla którego ostrzał był jak bułka z masłem. Wydawało mi się zresztą, że jestem w tym bardzo oryginalny, dopóki nie poznałem sławnego fotografa wojennego, który wyznał mi, że przestaje mieć stracha dopiero w chwili, gdy patrzy przez wizjer aparatu. Ja tam stracha miałem zawsze, ale wiem przynajmniej, co fotograf miał na myśli.

Jeżeli komuś uda się osiągnąć sukces na początku kariery – jak mnie dzięki powieści *Ze śmiertelnego zimna* – wtedy całe jego życie dzieli się na okres przed

i potem. Wspomina się książki sprzed chwili, gdy zostało się wyłowionym z tłumu przez reflektor sławy – jakie one wydają się wówczas niewinne! A z kolei te z potem, kiedy przyjdzie chandra, sprawiają wrażenie, że pisał je ktoś, kogo zaraz będą sądzić. „Za bardzo się stara!” – wyją wtedy krytycy. Ja tam nigdy nie uważałam, że za bardzo się staram. Zawsze miałem wrażenie, że odniesiony sukces każe mi pisać, jak umiem najlepiej. I niezależnie od końcowego efektu nie robiłem nic innego.

Bo ja uwielbiam pisać. Uwielbiam robić dokładnie to, co robię teraz: ukrywać się przed całym światem przy rachitycznym biurku, gryzmolić starym piórem w mroczne, pochmurne majowe przedpołudnie, gdy górski deszcz zacina w szyby i nawet nie mam pretekstu, żeby poleźć na stację pod parasolem, bo „International New York Times” trafia tam dopiero po obiedzie.

Uwielbiam pisać w drodze, robić notatki na spacerze, w pociągach, w kawiarniach, a potem pędzić do domu i napawać się tymi skarbami. Kiedy jestem u siebie w Hampstead, mam na tamtejszym „wrzosowisku”² taką ławeczkę pod rozłożystym drzewem z dala od innych ławeczek – chętnie tam pisuję. I dawniej, i teraz piszę tylko odręcznie. Może mam wygórowane poczucie własnej wartości, ale wolę podtrzymywać wielowiekową tradycję niezmechanizowanego pisania. Pewnie tkwi we mnie niespełniony malarz, bo bardzo lubię rysować słowa.

Uwielbiam też prywatność pisania, więc nie jeżdżę na festiwale literackie i w miarę możliwości stronię od wywiadów, choć może zupełnie inaczej to wygląda na pierwszy rzut oka. Są takie chwile – przychodzą głównie nocą – gdy człowiek w ogóle żałuje, że udzielił wywiadu. Bo najpierw coś się wymyśla na swój temat, a potem jeszcze zaczyna się w to wierzyć. To raczej przeszkadza niż pomaga w procesie samopoznania.

Kiedy jadę robić research do kolejnej książki, jest trochę łatwiej, bo naprawdę nazywam się inaczej. Mogę zameldować się w hotelu i nie martwić się, że ktoś rozpozna moje nazwisko – oczywiście zaraz potem zaczynam się martwić, dlaczego jeszcze nikt mnie nie rozpoznał. Kiedy muszę zagrać w otwarte karty z ludźmi, których chcę wypytywać, bywa różnie. Są tacy, którzy natychmiast przestają mi ufać, i tacy, którzy natychmiast widzą we mnie szefa wywiadu, a kiedy w głos zaprzeczam i zaklinam się na wszystkie świętości, że w życiu nie wyszedłem poza najniższy stopień szpiegowskiej kariery, odpowiadają, że dokładnie tak bym powiedział, gdyby... I zaraz zaczynają mi się zwierzać z rzeczy, których ani nie chcę słuchać, ani nie wykorzystam, ani nie zapamiętam – wszystko w nadziei, że za moim pośrednictwem te rewelacje trafią do Najwyższej Zwierzchności. Przy okazji podam kilka przykładów tego tragikomicznego zjawiska.

Ale większość nieszczęśników, których w ten sposób maltretuję od pięćdziesięciu lat – od dyrektorów średniego szczebla w firmach farmaceutycznych po bankierów, najemników i szpiegów różnej maści – traktowała mnie cierpliwie i przychylnie. A najprzychylniejsi byli zawsze reporterzy wojenni i korespondenci zagraniczni, którzy zaraz brali pod swe skrzydła pisarza pasożyta, uważali, że jest odważny – choć wcale nie był – i pozwalali mu włączyć się za sobą.

Nie mogę sobie wyobrazić moich wypraw do Azji Południowo-Wschodniej czy na Bliski Wschód bez porad i towarzystwa Davida Greenwaya, wielokrotnie nagradzanego korespondenta „Time’a”, „Washington Post” i „Boston Globe” z Azji Południowo-Wschodniej. Nie było drugiego tak przerażonego nowicjusza, któremu udałoby się podczepić pod równie sławnego weterana. Pewnego śnieżnego poranka roku 1975 siedział z nami przy śniadaniu tu, w chatce, gdzie przez krótki czas wypoczywał między jednym a drugim pobytem na pierwszej linii frontu, gdy zatelefonowano do niego z waszyngtońskiej redakcji, że otoczone przez Czerwonych Khmerów Phnom Penh lada dzień się podda. Z naszej wsi nie ma drogi w dolinę, jest tylko mała ciuchcia, którą dojeżdża się do większej kolei, ta zaś dowozi do jeszcze większej kolei, a ona wreszcie na lotnisko w Zurychu. Greenway w jednej chwili zmienił strój narciarski na znoszone szmaty i stare zamszaki korespondenta wojennego, czule pożegnał się z żoną i córkami i popędził w dół na stację. Ja pędziłem za nim z jego paszportem.

Wszyscy świetnie pamiętają, że Greenway był jednym z ostatnich dziennikarzy amerykańskich, których podjęto z dachu oblężonej ambasady amerykańskiej w Phnom Penh. A gdy w roku 1981 na moście Allenby’ego, łączącego Zachodni Brzeg z Jordanią, dopadła mnie czerwotka, właśnie Greenway przepchnął mnie przez tłum niecierpliwych podróżników w kolejce do kontroli granicznej i wymusił na celnikach, by nas przepuścili na drugą stronę.

Kiedy czytam teraz niektóre z tych opisów, łapię się na tym, że albo z czystego egotyzmu, albo dla żywszego tempa akcji nie wspomniałem, kto jeszcze wtedy tam był.

Chodzi mi między innymi o moje spotkanie z rosyjskim fizykiem i więźniem politycznym Andriejem Sacharowem oraz jego żoną Jeleną Bonner. Odkryło się w restauracji w mieście wówczas noszącym jeszcze nazwę Leningrad, pod egidą Human Rights Watch – bo przecież było z nami troje członków tej organizacji, podobnie jak my znoszących dziecinne psikusy KGB-owskich pseudofotoreporterów, którzy strzelali nam w oczy staroświeckimi fleszami aparatów. Mam nadzieję, że ktoś z naszych współtowarzyszy też opisał ten historyczny dzień.

A kiedy opowiadałem o Nicholasie Elliocie, wieloletnim przyjacielu i koledze podwójnego agenta Kima Philby'ego, o tym, jak przechadzał się (Elliott, nie Philby) po salonie mojego londyńskiego domu z kieliszkiem koniaku w dłoni, przypominam sobie teraz, poniewczasie, że była tam z nami moja żona. Siedziała przecież w fotelu naprzeciw mnie i była zauroczona równie jak ja.

Właśnie w tej chwili przypominałem sobie, że pewnego wieczoru Elliott przyprowadził na kolację swoją żonę Elizabeth i że był z nami wtedy przemiły gość z Iranu, mówiący nieskazitelną angielszczyzną z lekką, bardzo zresztą ujmującą wadą wymowy. Gdy wyszedł, Elizabeth zwróciła się do Nicholasasa z iskierką zachwyty w oczach:

– Zauważyłeś, kochanie, jak on się jąka? Zupełnie jak Kim!

Długi rozdział o moim ojcu Ronniem trafił bliżej końca, a nie na początek książki, bo nie mogłem pozwolić, żeby jak zwykle wepchał się do pierwszego szeregu. Choć jego osobą zdręczałem się tyle godzin, pozostaje dla mnie taką samą zagadką jak moja matka.

Wszystkie historyjki są świeżutkie; jeżeli nie, uczciwie o tym mówię. Czasem, gdy uważałem, że trzeba, nazwałem kogoś inaczej. W końcu choć główny zainteresowany może już nie żyje, jego następcy i spadkobiercy mogą nie mieć poczucia humoru. Staralem się podążać uporządkowaną ścieżką pod względem nie tyle chronologicznym, ile tematycznym; cóż z tego, skoro ścieżka, jak to w życiu bywa, zagubiła się gdzieś w polu i niektóre z moich historyjek stały się tym, czym są dla mnie: zbiorem osobnych, samowystarczalnych zdarzeń, nieprowadzących moim zdaniem w żadnym konkretnym kierunku, a opowiadam je wyłącznie dlatego, że tyle dla mnie znaczą, że mnie niepokoją lub wzruszają – albo sprawiają, że budzę się w środku nocy i śmieję się w głos.

Z upływem czasu niektóre z opisanych przeze mnie wypadków uzyskały w moich oczach status drobnych, uchwyconych *in flagranti* okrucich historii przez duże H – tak odbierają to pewnie wszyscy starsi ludzie. Czytając je po raz kolejny – od farsy po tragedię i z powrotem – mam wrażenie, że są nieco nieodpowiedzialne, sam nie wiem dlaczego. Może nieodpowiedzialne było całe moje życie, ale teraz już za późno, żeby to zmienić.

O wielu rzeczach nie mam najmniejszej chęci pisać – jak każdy z nas. Miałem dwie niezwykle wierne i kochające żony. Obu jestem winny ogromną wdzięczność i liczne słowa przeprosin. Nie byłem ani wzorowym mężem, ani wzorowym ojcem i wcale nie chcę za takiego uchodzić. Miłość znalazłem późno, po wielu nieudanych próbach. Lekcje etyki pobierałem u każdego z moich

czterech synów. Ani słowa nie powiem o mojej pracy w wywiadzie brytyjskim, wykonywanej głównie w Niemczech, bo nie chcę dodawać niczego do tego, co opowiedzieli już – niezbyt skrupulatnie - inni. Kierują mną w tym względzie resztki staroświeckiej lojalności zawodowej i zobowiązań wobec tych, którzy ongiś zgodzili się ze mną współpracować. Rozumieliśmy się kiedyś bez słów, byliśmy przekonani, że poufność naszej pracy nigdy się nie przedawni i że rozciąga się dalej, na czasy naszych dzieci i wnuków. Praca ta nie była ani niebezpieczna, ani dramatyczna, ale wymagała ciągłego zmagania się z własnym sumieniem. Niektórzy z tych ludzi jeszcze żyją, inni nie, lecz obietnica dochowania tajemnicy wciąż obowiązuje.

Szpiegostwo było mi od urodzenia tak samo przeznaczone jak morze C.S. Foresterowi czy Indie Paulowi Scottowi. Z tajnego świata, który kiedyś znałem, próbowałem uczynić teatr dla tego szerszego świata, w którym wszyscy żyjemy – najpierw wyobraźnią, potem potrzebą odwzorowania rzeczywistości. Później znowu zaczyna pracować wyobraźnia i wreszcie można zasiąść za biurkiem, przy którym teraz siedzę.

Zły to ptak, co własne służby kala

- Ja już wiem, kto ty jesteś! – woła Denis Healey, były minister obrony w rządzie labourzystowskim, na prywatnym przyjęciu, na które zaproszono nas obu, i z wyciągniętą na powitanie dłonią przepycha się w moją stronę przez tłum gości. – Ty jesteś szpion, komunistyczny szpion, przyznaj się zaraz!

Więc się przyznaję, jak każdy uprzejmy facet by się przyznał w takiej sytuacji. Śmieją się wszyscy, również nasz nieco zdezorientowany gospodarz. Ja też się śmieję, bo jestem uprzejmy facet i znam się na żartach. A choć Denis Healey to wielka szycha w Partii Pracy i zadziorny polityk, podziwiam go też jako uczonego i humanistę. No i wypił już parę drinków więcej niż ja.

– Cornwell, ty sukinsynu! – ryczy do mnie mój były kolega, wiekowy już oficer MI6, w obecności całej chmary waszyngtońskich wyjadaczy na dyplomatycznym przyjęciu zorganizowanym przez ambasadora brytyjskiego. – Ty sukinsynu zasrany!

Nie spodziewał się, że mnie tu spotka, ale skoro spotkał, nie może odmówić sobie przyjemności powiedzenia mi w twarz, co myśli o tym, że zhańbiłem honor naszej służby – naszej, kurwa, służby! – i zrobiłem idiotów z ludzi, którzy kochają naszą ojczyznę, a nie mogą się bronić. Stoi przede mną, jakby zaraz miał przejść od słów do czynów. Gdyby wtedy nie powstrzymały go dyplomatyczne dłonie, poranna prasa miałaby o czym pisać.

Rozmowy przy koktajlach powoli znów się wzmagają. Zdążyłem tylko się zorientować, że książka, którą ma mi za złe, to nie *Ze śmiertelnego zimna*, ale następna, *Wojna w lustrze*, która opowiada przykrą historię brytyjskiego agenta polskiego pochodzenia wysłanego z samobójczą misją do NRD. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że kiedy pracowaliśmy razem, Niemcy Wschodnie były działką mojego oskarżyciela. Zastanawiam się, czy nie poinformować go, że Allen Dulles, dyrektor CIA, który niedawno odszedł na emeryturę, uznał tę powieść za znacznie bardziej zbliżoną do rzeczywistości niż jej poprzedniczka, ale boję się, że tylko jeszcze bardziej się wścieknie.

– Tak, tak, bo my nie mamy serca, co? Nieudacznicy bez serca, tak? Wielkie dzięki!

Mój wściekły ekskolega nie jest wyjątkiem. Przez ostatnie pięć dziesięcioleci czyniono mi ten zarzut kilkakrotnie, choć może w sposób nieco mniej napastliwy. Nie były to jakieś podstępne spiskowe działania, tylko ta sama śpiewka powtarzana przez ludzi, którzy uważali się za pokrzywdzonych przeze mnie – za to tylko, że robili, co do nich należało.

– Co się nas czepiasz? Wiesz przecież, jak jest.

Albo już mniej przyjemnie:

– Słuchaj, stary, tyle już na nas zarobiłeś, dajże nam wreszcie trochę świętego spokoju.

Po czym zawsze następuje smutne przypomnienie, że służby nie mogą się bronić, że są bezbronne w obliczu takiej złej propagandy, że o sukcesach się nie mówi, że wie się tylko o porażkach.

– Jesteśmy zupełnie inni, niż opisuje nasz gospodarz – surowo tłumaczy przy obiedzie sir Maurice Oldfield sir Alecowi Guinnessowi.

Oldfield to były szef służb specjalnych, którego potem tak pięknie załatwiła Margaret Thatcher, ale podczas naszego spotkania był zwykłym starym szpiegiem na emeryturze.

– Zawsze chciałem poznać sir Aleca – powiedział mi swym miłym północnym akcentem, gdy go zapraszałem. – Kiedyś siedziałem naprzeciw niego w pociągu z Winchesteru. Chciałem z nim pogadać, ale nie miałem odwagi.

Guinness ma zagrać mojego tajnego agenta George'a Smileya w przygotowywanej przez BBC telewizyjnej adaptacji *Druciarza, krawca, żołnierza, szpiega* i chce pobyć choć przez chwilę w towarzystwie prawdziwego weterana wywiadu. Ale obiad przybiera niepomyślny obrót. Już przy przystawkach Oldfield rozwodzi się nad zasadami etycznymi dawnej służby i daje do zrozumienia – bardzo grzecznie – że „nasz młody David” zszargał dobre imię firmy. Guinness, były oficer marynarki, który od chwili poznania Oldfielda awansował samego siebie na najwyższe stanowiska w tajnych służbach, może tylko z powagą potakiwać. Przyniesiono solę. Oldfield stawia kolejne tezy:

– Właśnie przez takich ludzi jak nasz młody David – oświadcza przez szerokość stołu pod adresem Guinnessa, kompletnie mnie ignorując, choć siedzę tuż obok – coraz trudniej naszym służbom werbować sensownych pracowników i źródła informacji. Naczytali się jego książek i zniechęcili się. Nic dziwnego.

Guinness przymyka powieki i z żalem kręci głową. Ja płacę za wszystkich.

– David, naprawdę powinieneś zapisać się do Athenaeum – mówi życzliwie Oldfield, sugerując, że ten szacowny londyński klub zrobi ze mnie lepszego człowieka. – Sam zgłoszę twoją kandydaturę. O właśnie. Chciałbyś, co? – Po czym zwraca się do Guinnessa, gdy już stoimy we trzech przed restauracją: –

Alec, było mi bardzo przyjemnie. To dla mnie zaszczyt, przyznaję. Na pewno wkrótce znowu się spotkamy.

– Na pewno – odpowiada z namaszczeniem Guinness. Dwaj starzy szpiedzy ściskają sobie dłonie.

Guinness najwyraźniej nie może się dość nacieszyć naszym gościem, bo patrzy za nim, gdy Oldfield marszowym krokiem oddala się chodnikiem – drobny, dziarski, pewny siebie dżentelmen z wyciągniętym do przodu parasolem.

– To może jeszcze po koniaczku na drogę? – proponuje Guinness. Ledwo usiedliśmy z powrotem przy stoliku, zaczyna się przesłuchanie. – On miał takie krzykliwe spinki u mankietów. Czy wszyscy nasi szpiedzy takie noszą?

Nie. Między nami mówiąc, Maurice po prostu lubi krzykliwe spinki.

– A te jego pomarańczowe zamszaki na słoninie... Czy on je nosi, żeby się skradać po cichu?

Wydaje mi się, że raczej dla wygody. Bo przecież słonina skrzypi.

– To powiedz mi jeszcze jedną rzecz. – Chwyta pustą szklankę. Przechyla ją lekko i pstryka w nią palcami. – Widziałem, że ludzie robią tak. – Udaje, że pstrykając, w zadumie patrzy w szkło. – Albo że robią tak. – Teraz z taką samą zamyśloną miną przesuwa palcem po krawędzi szklanki. – Ale nigdy nie widziałem, żeby ktoś robił coś takiego. – Wpycha palec do szklanki i maca nim od środka. – Jak myślisz, czy on szuka fusów po truciznie?

Czy Guinness pyta na serio? Dziecko, które zawsze w nim tkwiło, jest teraz śmiertelnie poważne. Poddaję, że gdyby teraz naprawdę szukał fusów, znaczyłoby to, że dawno wypił truciznę. Ale Guinness kompletnie mnie ignoruje.

W efekcie zamszowe buty Oldfielda, na słoninie czy na czymś innym, i jego złożony parasol, którym zdawał się wymacywać drogę, przeszły do historii przemysłu rozrywkowego jako niezbywalne atrybuty wykreowanej przez Guinnessa postaci George'a Smileya, starego szpiega, któremu się śpieszy. Ostatnio nie sprawdzałem, czy spinki też; zdaje się, że nasz reżyser uznał je za przesadę i namówił Guinnessa, by zmienił je na coś mniej krzykliwego.

Inna konsekwencja tego obiadu na trzy osoby była mniej przyjemna, choć na pewno ciekawa artystycznie. Okazana przez Oldfielda antypatia do mojej twórczości – a pewnie i do mnie osobiście – na dobre zadomowiła się w aktorskiej duszy Guinnessa, o czym zawsze mi przypominał, gdy chciał dokładniej rozgryźć wyrzuty sumienia targające George'em Smileym – i jak sugerował, jakoby również mną.

Przez ostatnie sto lat, może więcej, nasi brytyjscy szpiegzy trwają w niepewnym, często zabawnym miłosno-nienawistnym związku ze swymi niepokornymi pisarzami. Im też, jak pisarzom, zależy na sławie, ale znacznie gorzej niż pisarze znoszą kpiny czy negatywne oceny. Na początku XX wieku autorzy powieści szpiegowskich tak różnej jakości, jak Erskine Childers, William Le Queux czy E. Phillips Oppenheim, wzbudzili tak silną antyniemiecką histerię, że chyba właśnie im zawdzięczamy w ogóle powstanie instytucji służb bezpieczeństwa państwowego. Do tej pory dżentelmenom nie wypadało czytać listów innych dżentelmenów, choć wielu dżentelmenów właśnie tak czyniło. Wojna światowa 1914–1918 dała nam powieściopisarza Somerseta Maughama, tajnego agenta brytyjskiego – z tego, co wiadomo, agenta niezbyt dobrego. Kiedy Winston Churchill zaczął narzekać, że maughamowski Ashenden łamie ustawę o tajemnicy państwowej³, Maugham, nad którego głową wisiał już skandal homoseksualny, spalił czternaście nieopublikowanych opowiadań, a z wydaniem pozostałych powstrzymał się do roku 1928.

Compton Mackenzie, powieściopisarz, biograf i nacjonalista szkocki, był znacznie mniej bojaźliwy. Zwolniony z wojska z powodu ran odniesionych w pierwszej wojnie światowej, przeszedł do MI6 i został bardzo kompetentnym szefem brytyjskiego kontrwywiadu w neutralnej wówczas Grecji. Ale on też uważał przełożonych za idiotów, ich rozkazy za absurd, więc jak to pisarz, nie pozostawił na nich suchej nitki. W roku 1932 wszczęto przeciw niemu postępowanie o naruszenie wspomnianej ustawy i skazano go na grzywnę w wysokości 100 funtów za autobiograficzne *Greckie wspomnienia*; trzeba przyznać, że aż roіło się w nich od strasznych niedyskrecji. Niczego go to nie nauczyło: już rok później zemścił się satyrą *Woda na mózg*. Słyszałem, że w teczce Mackenziego w MI5 znajduje się pisany wielką czcionką list do dyrektora generalnego, zgodnie z tradycją podpisany zielonym atramentem przez szefa wywiadu:

„Najgorsze jest to” – pisał szef do swego towarzysza broni rezydującego po drugiej stronie St James’s Park – „że Mackenzie wyjawiał autentyczne znaki stosowane w korespondencji tajnych służb⁴. Niektóre z nich są wciąż w użyciu”. Założę się, że duch Mackenziego zaciera ręce z radości.

Ale najbardziej spektakularnym uciekinierem literackim z MI6 jest na pewno Graham Greene, choć wątpię, czy on sam zdawał sobie sprawę, jak niewiele brakowało, by podzielił los Mackenziego. Jedno z moich ulubionych wspomnień z końca lat pięćdziesiątych dotyczy pewnego spotkania na kawie w doskonałej kantine służby bezpieczeństwa z prawnikiem z MI5, dobrodusznym jegomościem z fajką w zębach, przypominającym bardziej rodzinnego radcę prawnego niż biurokratę. Tego dnia jednak był bardzo niespokojny. Właśnie

trafiła na jego biurko „szczotka” *Naszego człowieka w Hawanie*; zdążył już przeczytać do połowy. Powiedziałem, że bardzo mu zazdroszczę, ale on tylko westchnął i pokręcił głową.

- Temu Greene'owi – westchnął – trzeba będzie wytoczyć proces, bo wykorzystuje informacje, które zdobył jako oficer MI6 w czasie pierwszej wojny światowej. Bo na przykład bardzo dokładnie opisał sposoby kontaktu szefa służby w każdej ambasadzie brytyjskiej z agentem w terenie. Za takie coś idzie się do więzienia. A to taka dobra książka – narzekał. – Naprawdę świetna. I to w tym wszystkim najgorsze.

Szukałem potem w gazetach jakiejś wzmianki o aresztowaniu Greene'a, ale ostatecznie nie trafił za kratki. Zapewne baronowie z MI5 doszli do wniosku, że lepiej zrobić dobrą minę do złej gry. Za tę wyrozumiałość Greene odwdzieczył się im dwadzieścia lat później *Czynnikami ludzkim*, książką, w której zrobił z nich nie tylko głupków, lecz także morderców. Co nie znaczy, że MI6 nie dało salwy ostrzegawczej, bo w przedmowie do książki Greene robi, co może, by przekonać czytelnika, że nie naruszył ustawy o tajemnicy państwowej. Takie zapewnienia można też znaleźć we wszystkich wczesnych wydaniach *Naszego człowieka w Hawanie*.

Historia uczy jednak, że grzechy zostają wybaczone. Mackenzie zakończył życie z tytułem szlacheckim, Greene z Orderem Zasługi.

– W pana najnowszej powieści – zagaduje mnie pełen zapału amerykański dziennikarz – jedna z postaci mówi o głównym bohaterze, że nie zostałby zdrajcą, gdyby potrafił pisać. Czy może mi pan powiedzieć, kim by pan był, gdyby nie umiał pan pisać?

Obmyślając jakąś mało ryzykowną odpowiedź na to niebezpieczne pytanie, zaczynam się zastanawiać, czy mimo wszystko nasze tajne służby nie są wdzięczne tym, którzy uciekli z nich do literatury. Przecież w porównaniu z kłopotami, jakich moglibyśmy im narobić w inny sposób, nasza pisanina to jak budowanie z klocków. O ileż bardziej woleliby nasi biedni zaszczuci szpiedzy, by Edward Snowden zadowolili się napisaniem powieści!

A więc co powinienem był wtedy, na przyjęciu dyplomatycznym, odpowiedzieć mojemu wściekłemu ekskoledze, który sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał mnie na ziemię powalić? Na darmo przywoływać fakt, że w niektórych książkach przedstawiłem wywiad brytyjski jako znacznie bardziej kompetentną instytucję, niż kiedykolwiek była w rzeczywistości. Albo że jeden z jej najwyższych oficerów powiedział o *Ze śmiertelnego zimna*, że to „jedyna operacja

z wykorzystaniem podwójnego agenta, która się udała”. Albo że przedstawiając nostalgiczne gry wojenne, uprawiane przez odizolowany od świata wydział w powieści, która tak go rozgniewała, miałem może na celu jednak coś nieco bardziej ambitnego niż chamski atak na jego służby. A już święty Boże nie pomoże, gdybym się upierał, że jak się jest powieściopisarzem badającym duszę jakiegoś narodu, to wcale nie taki głupi pomysł przyglądać się jego tajnym służbom. Nie zdążyłbym nawet dojść do orzeczenia w tym zdaniu – już leżałbym na deskach.

Co do zarzutu, że służby nie mogą się bronić, to nie zapominajmy, że w całym świecie zachodnim nie ma chyba instytucji szpiegowskiej, która byłaby tak dopieszczana przez krajowe środki przekazu jak nasza. Nie chodzi nawet o to, że służby rekrutują dziennikarzy. Wszyscy szpiegowie w wolnym i niewolnym świecie zazdroszczą nam systemu kontroli prasy, opartego na autocenzurze i na niejasnych a drakońskich prawach, na umiejętności chytrego uwodzenia brytyjskiej opinii publicznej i jej zbiorowej zgody na daleko posunięty a oparty na wątpliwych podstawach prawnych nadzór nad obywatelem.

Nie warto też wskazywać na liczne „autoryzowane” wspomnienia dawnych członków służb, które odmalowują takie, jakie chcieliby je widzieć; ani na „oficjalne historie” spuszczone zasłonę milczenia na najgorsze przewiny; albo na niezliczone dezinformujące artykuły w krajowych gazetach, które są wynikiem znacznie miłszych obiadków niż ten, w którym dane mi było uczestniczyć w towarzystwie Maurice’a Oldfielda.

Poza tym jak tu tłumaczyć mojemu rozżłoszczonemu znajomemu, że pisarz opisujący zawodowych szpiegów jako zwykłych śmiertelników, którym zdarza się czasem zbłądzić – jak każdemu z nas – może spełniać skromną, ale pożyteczną funkcję? Na miłość boską, nawet demokratyczną, skoro w Wielkiej Brytanii tajne służby stanowią – na dobre i na złe – duchową ojczyznę naszej politycznej, społecznej i biznesowej elity.

Bo tutaj właśnie, drogi ekskolego, przebiega granica mojej nielojalności. I tu kończy się mój komunizm, drogi nieodżałowany lordzie Healey. Jak się nad tym zastanowić, to za młodu twoja granica przebiegała znacznie dalej⁵.

Z perspektywy półwiecza naprawdę trudno opisać atmosferę powszechnej nieufności panującą w korytarzach tajnego światka Whitehall na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Kiedy oficjalnie zatrudniono mnie w MI5 jako młodszego oficera, był rok 1956, miałem dwadzieścia pięć lat. Powiedziano mi, że nie przyjęto by mnie, gdybym był jeszcze młodszy. „Piątka” – bo tak ją

nazywaliśmy – szczyła się swą dojrzałością. Niestety dojrzałości zabrakło, gdy werbowano takie gwiazdy, jak Guy Burgess, Anthony Blunt i wielu innych żalonych zdrajców z tamtych czasów, którzy do dziś tkwią w publicznej świadomości Brytyjczyków jak trochę już zapomniani, a kiedyś sławni piłkarze.

Wstąpiłem do służby z wielkimi nadziejami, rozbudzonymi przez moje wcześniejsze – choć naprawdę mało spektakularne – wyczyny w wywiadzie. Moi prowadzący byli jak dotąd zawsze jednakowo przyjemni, zorganizowani i wyrozumiali. Umieeli ładnie opowiadać o powołaniu i na nowo wzbudzili we mnie poczucie obowiązku cierpienia – na przykład za ojczyznę – które wpajano mi w prywatnej szkole. Jako oficer wywiadu odbywający w Austrii obowiązkową służbę wojskową, żyłem w nieustającym podziwieniu dla zagadkowych cywilów, którzy czasem zstępowali z niebios do naszego nudnego obozu pod Grazem i choć na chwilę wprowadzali tam atmosferę tajemniczości, tak nam brakującej na co dzień. Przejrzałem na oczy, dopiero gdy sam zostałem jednym z nich.

Szpiegowanie obumierającej Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii, liczącej dwadzieścia pięć tysięcy członków, którą od kompletnego rozpadu ratowała działalność konfidentów MI5, jakoś nie stanowiło spełnienia moich aspiracji. Ani podwójne standardy, którymi kierowały się służby. Mniejsza z tym, czy to dobrze czy źle, ale MI5 działało jako moralny arbiter środowiska brytyjskich urzędników państwowych i naukowców. Według zasad ówczesnej polityki kadrowej uważano, że homoseksualiści i inni „dewianci” są bardziej narażeni na szantaż, więc nie dopuszczano ich do niczego, co było opatrzone klauzulą tajności. Służbom za to zupełnie nie przeszkadzali homoseksualiści w ich własnych szeregach – sam dyrektor generalny oficjalnie mieszkał ze swym sekretarzem w dni powszednie, do żony wracał na weekendy i nawet zostawiał odpowiednie instrukcje oficerom dyżurnym, co mają mówić, gdyby żona go szukała. Za to niechby tylko pojawiła się w kancelarii sekretarka w za krótkiej lub w zbyt obcisłej spódniczce... Albo niechby tylko zainteresował się nią żonaty oficer dyżurny...

Podczas gdy najwyższe szczeble władzy w służbach zajęte były przez podstarzałych bohaterów, pozostałych po latach chwały 1939–1945, środek drabinki obsiedli dawni oficerowie i urzędnicy kolonialni, sieroty po kurczącym się wtedy Imperium Brytyjskim. Choć mieli na pewno doświadczenie w postępowaniu z niesfornymi dzikusami, którym zachciało się walczyć o swą niepodległość, trochę gorzej radzili sobie z chronieniem własnej, lecz w sumie mało im znanej ojczyzny. Brytyjskie masy pracujące były dla nich równie niezrozumiałe jak niegdyś zbuntowani derwisze, a związki zawodowe musiały im się wydawać niczym innym, jak tylko przykrywką dla organizacji komunistycznych.

A tymczasem młodym łowcom szpiegów – takim jak ja – mówiono, by nie marnowali czasu na poszukiwanie kontrolowanych przez Sowietów „nielegalnych”, bo przecież wiadomo z najlepszego źródła, że na ziemi brytyjskiej nie działa nikt taki. Nigdy się nie dowiedziałem, jakie to było źródło. Wytrzymałem cztery lata. W roku 1960 poprosiłem o przeniesienie do MI6 – czyli, jak to określili moi zawiedzeni pracodawcy, „do tych gnojków po drugiej stronie parku”.

Ale na odchodnym muszę wspomnieć o jednym długu wdzięczności względem MI5, którego nigdy nie będę w stanie spłacić. Najostrzejszy trening w pisaniu prozą, jaki kiedykolwiek mi zafundowano, nie był ani dziełem szkolnego nauczyciela, ani wykładowcy uniwersyteckiego – ani tym bardziej jakiegokolwiek kursu pisania. Był dziełem klasycznie wykształconych wyższych oficerów z ostatniego piętra kwatery głównej MI5 na Curzon Street w Mayfair: z radością i pedanterią pastwili się nad moimi raportami, z pogardą katując nieporządnie zbudowane zdania złożone i niepotrzebne epitety, hojnie ozdabiając marginesy mojej nieśmiertelnej prozy takimi uwagami, jak „zbędne”, „opuścić”, „uzasadnić”, „niedbałe”, „naprawdę o to chodzi?”. Moi późniejsi redaktorzy byli znacznie mniej wymagający – i znacznie rzadziej mieli rację.

Wiosną 1961 roku ukończyłem kurs przygotowawczy do MI6; zdobyłem na nim różne umiejętności, które nigdy mi się nie przydały i które szybko zapomniałem. Na uroczystości zakończenia kursu szef szkolenia, twardy, różowy na twarzy, spowity w tweedy weteran oznajmił nam ze łzami w oczach, że mamy wracać do domów i czekać na rozkazy, i że to może potrwać. Wszystko przez to – a nigdy się nie spodziewał, że przyjdzie mu kiedyś powiedzieć coś takiego – że pewien wieloletni oficer naszej służby, w którego lojalność nigdy dotąd nie wątpiono, został właśnie zdemaskowany jako podwójny agent sowiecki. Nazywał się George Blake. Nawet jak na ówczesne czasy skala zdrady Blake’a była wręcz monumentalna. Zdradził dosłownie całe setki agentów brytyjskich – tak wielu, że sam nie mógł się ich doliczyć – najróżniejsze podsłuchy uważane za bezcenne dla bezpieczeństwa narodowego – między innymi, ale bynajmniej nie tylko, tunel audio w Berlinie – no i wreszcie kompletny rejestr personelu MI6, mieszkań operacyjnych, zestawienie sił i środków, placówek na całym świecie. Blake, bardzo zdolny agent według i jednego, i drugiego pracodawcy, przez całe życie szukał Boga, więc nim go zdemaskowano, przechodził kolejno z chrześcijaństwa na judaizm, z judaizmu na komunizm. Osadzony w Wormwood Scrubs – skąd potem dokonał tej swojej sławnej ucieczki – uczył współwięźniów Koranu.

Dwa lata po nieprzyjemnej wiadomości o zdradzie George’a Blake’a służyłem już jako drugi sekretarz (pion polityczny) brytyjskiej ambasady w Bonn. Pewnego dnia późnym wieczorem zostałem wezwany przez szefa placówki, który

poinformował mnie w najgłębszej tajemnicy – następnego dnia mógł ją wyczytać w gazecie każdy Anglik – że Kim Philby, niegdyś błyskotliwy szef wywiadu MI6, typowany przed laty na szefa tajnej służby, okazał się rosyjskim szpiegiem; potem stopniowo dowiedzieliśmy się, że był nim od roku 1937.

W dalszej części tej książki można przeczytać relację Nicholasa Elliotta, przyjaciela Philby'ego, jego powiernika i kolegi z czasów wojny i pokoju, o ich ostatnim spotkaniu w Bejrucie, które poskutkowało częściowym przyznaniem się Philby'ego. I można dojść do wniosku, że Elliott jakoś dziwnie słabo go oskarża czy choćby oburza się jego postępowaniem. Przyczyna jest bardzo prosta. Szpieg to z jednej strony nie policjant, z drugiej zaś i nie moralny realista, za jakiego lubi się uważać. Człowiek, którego misją jest namawianie do zdrady szpiegów przeciwnika, nie może się obrażać, jeśli ktoś od nas – nawet ktoś, kogo kochało się jak brata i szanowało jako kolegę, z kim dzieliło się wszystkie aspekty tajnej pracy – przeszedł na jakąś inną stronę. Tę lekcję bardzo wzięłem sobie do serca, nim napisałem *Ze śmiertelnego zimna*. Nawet jeszcze później – gdy zabrałem się za pisanie *Druciarza, krawca, żołnierza, szpiega* – moją drogę też oświetlała ślepa latarka Kima Philby'ego.

Szpiegostwo i powieściopisarstwo są dla siebie stworzone. I jedno, i drugie wymaga dobrego oka do ludzkich występków i do najróżniejszych dróg, którymi chadza zdrada. Kto raz trafił pod tajny dach, ten już nigdy tak naprawdę go nie opuści. Kto przedtem nie kierował się jego zasadami, ten potem zawsze już pozostanie im wierny. Dowodów nie trzeba daleko szukać – wystarczy przypadek Grahama Greene'a i liczne anegdoty o grze przeciwko FBI, którą sam sobie narzucił. Pewnie zresztą można to przeczytać w jednej z jego niezbyt pochlebnych biografii, ale lepiej do nich nie zaglądać.

Przez całe późniejsze życie Greene, pisarz i eksszpieg, był święcie przekonany, że znalazł się na sporządzonej przez FBI czarnej liście wywrotowych prokomunistów. Miał powody, by tak sądzić: liczne wyjazdy do Związku Sowieckiego, wciąż głośno deklarowana lojalność względem swego przyjaciela i kolegi z wywiadu Kima Philby'ego, z góry skazane na niepowodzenie próby pogodzenia katolicyzmu z komunizmem... Kiedy stanął mur berliński, Greene zaraz zrobił sobie zdjęcie po niewłaściwej stronie i oznajmił, że wolałby mieszkać właśnie po tej. Awersja, jaką czuł do Stanów Zjednoczonych, i obawa przed konsekwencjami własnych radykalnych wypowiedzi doprowadziły do tego, że nawet na spotkania ze swym amerykańskim wydawcą umawiał się w Kanadzie.

I wreszcie kiedyś nadszedł wielki dzień, w którym dane mu było zaglądnąć do własnej teczki w FBI. Znalazł tam tylko jeden zapis: że obracał się w towarzystwie politycznie niezrównoważonej brytyjskiej baleriny Margot

Fonteyn, gdy prowadziła pozbawioną szans powodzenia walkę na rzecz swego sparaliżowanego i niewiernego męża Roberta Ariasa.

To nie szpiegostwo nauczyło mnie skrytości. Uniki i oszustwo były nieodzowną bronią mojego dzieciństwa. Każdy nastolatek staje się w ten czy inny sposób szpiegiem, ale wtedy ja byłem już starym wyjadaczem. Kiedy upomniał się o mnie świat tajnych służb, poczułem się w nim jak w domu. A o tym, jak do tego doszło, lepiej opowiedzieć w późniejszym rozdziale pod tytułem „Syn ojca autora”.

Ustawy doktora Globkego

Bloody Bonn – zasrane cholerne Bonn. My, młodzi brytyjscy dyplomaci z początku lat sześćdziesiątych, tak zwykle mówiliśmy o tej miejscowości. Nie wynikało to z jakiegoś szczególnego braku szacunku dla tego sennego nadreńskiego uzdrowiska, siedziby książąt elektorów Świętego Cesarstwa Rzymskiego i miejsca narodzin Ludwiga van Beethovena; był to raczej sceptycyzm względem idiotycznych marzeń naszych gospodarzy o tym, że kiedyś uda im się przenieść stolicę Niemiec do Berlina. Marzeń tych nie rozwiewaliśmy, przekonani o ich całkowitej nierealności.

W roku 1961 ambasada brytyjska – rozległa industrialna archiszopa przy dwupasmówce łączącej Bonn z Bad Godesbergiem – liczyła sobie trzysta dusz, w większości na stałe mieszkających w kraju, nie na miejscu. Po dziś dzień nie mogę zrozumieć, co oni wszyscy robili w dusznym klimacie Nadrenii – ale te trzy lata spędzone w Bonn były świadkiem tak olbrzymich zmian w moim życiu, że dziś jest to dla mnie miejsce, w którym zakończyła się cała moja dotychczasowa egzystencja, a rozpoczęła twórczość pisarska.

Co prawda jedną powieść zdążył już wcześniej przyjąć mój londyński wydawca, lecz ukazała się – bez fanfar – gdy od kilku miesięcy przebywałem w Bonn. Pamiętam, że pewnej deszczowej niedzieli pojechałem po południu na lotnisko w Kolonii i skupywałem tam różne angielskie gazety. Potem zaparkowałem samochód, usiadłem pod daszkiem na ławce w jakimś ogródku w Bonn i czytałem w samotności. Recenzenci byli łaskawi, choć nie tak entuzjastyczni, jak sobie wymarzyłem. George Smiley im się spodobał. I nagle – stało się.

Zapewne wszyscy pisarze czują to samo na różnych etapach kariery – najpierw całe tygodnie czy miesiące mąk i nieudanych prób, potem bezcenny gotowy rękopis, następnie rytualny zachwyt agenta i wydawcy, korekta, wielkie nadzieje, strach, gdy zbliża się godzina zero, recenzje – i nagle jest po wszystkim. Ostatnią książkę napisałeś rok temu, no co tak siedzisz, lepiej byś znowu coś napisał...

No cóż. Prawda jest taka, że ja akurat wtedy „coś” pisałem.

Już wcześniej zacząłem powieść, której akcja rozgrywała się w prywatnej szkole z internatem. Tło wziąłem z Sherborne, gdzie byłem uczniem, i z Eton, gdzie uczyłem. Ktoś kiedyś twierdził, że zacząłem pisać jeszcze w Eton, ale ja niczego takiego nie pamiętam. Wstawiałem co rano o jakiejś pogańskiej porze, pisałem przed wyjazdem do pracy w ambasadzie – i w ten sposób zdołałem skończyć całkiem szybko, a ukończone dzieło wysłać do wydawcy. Czyli udało się już drugi raz – tylko że obiecałem sobie napisać następnym razem coś mocniejszego, coś bardziej związanego z moim obecnym życiem.

Nim minął rok mojego pobytu w Niemczech, rozszerzono mój rewir na całe Zachodnie Niemcy, dzięki czemu mogłem jeździć po całym kraju i rozmawiać, z kim chciałem. Jako jeden z apostołów przystąpienia Wielkiej Brytanii do Wspólnoty Europejskiej, wpraszałem się do burmistrzów, organizacji i salonów politycznych. Nowo powstała Niemiecka Republika Federalna robiła, co mogła, by sprawiać wrażenie otwartego, demokratycznego społeczeństwa, więc przed młodym dyplomatą wszystkie drzwi stały otworem. Wolno mi było siedzieć przez cały dzień w galerii dla korpusu dyplomatycznego w Bundestagu, jeść obiady ze sprawozdawcami i doradcami parlamentarnymi. Pukałem do ministerialnych drzwi, chodziłem na manifestacje i na podniosłe weekendowe seminaria o kulturze i duszy niemieckiej, i przez cały czas usiłowałem się zorientować, gdzie – w piętnaście lat po upadku Trzeciej Rzeszy – kończą się stare, a zaczynają nowe Niemcy. W roku 1961 nie było to wcale łatwe. Przynajmniej dla mnie.

Bardzo pięknie podsumowuje to powiedzonko przypisywane Konradowi Adenauerowi, zwanemu „Starym”, który sprawował urząd kanclerza od powstania Republiki Federalnej w roku 1949 do 1963: „Nie wylewa się brudnej wody, póki nie ma się czystej”. Podobno miała to być aluzja do doktora Hansa Josefa Marii Globkego, szarej eminencji kanclerza od bezpieczeństwa narodowego i wielu innych spraw. Życiorys Globkego robi wrażenie – nawet w porównaniu z innymi hitlerowcami. Globke wyróżnił się jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy, tworząc antysemityczne prawa dla rządu Prus.

Dwa lata później, już za Führera, przygotował pierwszą z ustaw norymberskich, która pozbawiała wszystkich Żydów obywatelstwa niemieckiego, a pozostałe dla sprawniejszej identyfikacji nakazywały dodanie do posiadanych imion słów „Sara” lub „Israel”. Nie-Żydzi pozostający w związkach z Żydami musieli pozbyć się małżonków. Pracując u Adolfa Eichmanna w hitlerowskim Biurze do spraw Żydów, przygotował kolejną ustawę o ochronie krwi niemieckiej i niemieckiej czci, która dała potem początek Holokaustowi.

Równocześnie – zapewne kierując się swą gorącą wiarą katolicką – utrzymywał dobre stosunki z prawicową opozycją antyhitlerowską. Tak skutecznie, że miał otrzymać wysokie stanowisko, gdyby spiskowcom udało się usunąć Hitlera. Być może właśnie dzięki temu po wojnie udało mu się uniknąć postawienia w stan oskarżenia, do czego dość niemrawo zabierali się alianci. Adenauer uparł się, że chce mieć Globkego przy sobie. Brytyjczycy nie przeszkadzali.

W efekcie już w sześć lat po wojnie – a w dwa po utworzeniu Niemiec Zachodnich – w roku 1951 doktor Hans Globke był autorem kolejnej ustawy sporządzonej z myślą o byłych i obecnych towarzyszach hitlerowców. W naszych czasach aż trudno sobie wyobrazić, że coś takiego było możliwe. Otóż Nowa Ustawa Globkego – tak ją będę nazywał – powodowała, że urzędnicy państwowi z czasów Hitlera, których stosunek pracy zakończył się z powodów od nich niezależnych, mieli otrzymać pełne niewypłacone wynagrodzenia i pełne prawa emerytalne, jakie by im się należały, gdyby nie było drugiej wojny światowej albo gdyby Niemcy ją wygrały. Krótko mówiąc: należał im się pełny awans zawodowy, na jaki mogliby liczyć, gdyby ich kariery potoczyły się bez przeszkody, jaką było zwycięstwo aliantów.

Skutki były natychmiastowe. Stara hitlerowska gwardia obsiadła wszystkie najinratniejsze stanowiska. Młodsze pokolenie, mniej skompromitowane, zostało zdegradowane.

Teraz na scenę wkracza doktor Johannes Ullrich, uczony, działacz i wielbiciel Bacha, dobrego czerwonego burgunda i historii pruskiej wojskowości. W kwietniu 1945 roku, na kilka dni przed bezwarunkowym poddaniem Berlina Rosjanom przez komendanta obrony miasta, Ullrich robił to samo, co robił przez poprzednie dziesięć lat: z mrówczą pracowitością wypełniał obowiązki kustosa i młodszego archiwisty Pruskiego Archiwum Królewskiego w niemieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych na Wilhelmstrasse. Ponieważ Królestwo Prus uległo rozwiązaniu w roku 1918, nie miał do czynienia z żadnymi dokumentami, które nie miałyby co najmniej dwudziestu siedmiu lat.

Kiedy poznałem Johannesesa, nie widziałem jego zdjęć z młodości, ale domyślałem się, że był wtedy całkiem atletycznie zbudowany, nosił poważne garnitury i sztywne kołnierzyki z tych zamierzchłych czasów, w których przebywał najchętniej. Gdy Hitler doszedł do władzy, przełożeni trzykrotnie namawiali go do wstąpienia do partii. Trzy razy odmówił. Nic dziwnego, że nadal był tylko młodszym archiwistą, gdy wiosną roku 1945 żołnierze generała Żukowa

znaleźli się na Wilhelmstrasse. Armia Czerwona, wchodząc do Berlina, nie była raczej zainteresowana braniem jeńców, ale niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych mogło dostarczyć i liczących się więźniów, i interesujących dokumentów hitlerowskich.

Gdy Rosjanie byli tuż-tuż, Johannes zrobił coś, co przeszło do legendy. Pozawijał całe Archiwum Królewskie w ceratę, załadował na wózek i nie zważając na ogień z broni palnej, na wybuchy pocisków moździerzowych i granatów, zawłókł to wszystko gdzieś, gdzie można było wykopać dół, ukrył zawartość wózka i wrócił na miejsce pracy po to tylko, by zostać wziętym do niewoli.

Sowiecki sąd wojskowy nie miał żadnych wątpliwości co do jego winy. Ullrich przechowywał hitlerowskie dokumenty, był więc z definicji faszystowskim agresorem. Z dziesięcioletniego wyroku odbywanego w syberyjskich więzieniach sześć lat spędził w izolatce, pozostałe we wspólnej celi z chorymi umysłowo przestępcami. Żeby przeżyć, musiał szybko nauczyć się ich zwyczajów.

W roku 1955 został zwolniony na mocy układu repatriacyjnego. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił po powrocie do Berlina, było zaprowadzenie grupy poszukiwawczej do miejsca, gdzie zakopał archiwum, i nadzorowanie przeniesienia materiałów. Dopiero potem zajął się ratowaniem własnego zdrowia.

Teraz wracamy do Nowej Ustawy Globkego.

Cóż to nie należało się lojalnemu urzędnikowi państwowemu z czasów hitlerowskich, ofierze bolszewickiej brutalności! Nieważne, że trzykrotnie odmawiał wstąpienia do partii! Nieważne, że nienawiść do wszystkiego co hitlerowskie kazała mu się chronić w królewską historię Prus! Znacznie istotniejsze jest pytanie, jak wiele mógł osiągnąć taki młody działacz o najwyższych kwalifikacjach akademickich, gdyby Trzeciej Rzeszy się udało.

W efekcie uznano, że Johannes Ullrich, który przez dziesięć lat oglądał tylko ściany swej syberyjskiej celi, spędziłby ten czas, kształcąc się w zawodzie dyplomaty. W ten sposób okazało się, że należy mu się podwyżka pensji zgodnie z kolejnymi awansami w pracy dyplomatycznej, łącznie z odpowiednimi wyrównaniami i prawami emerytalnymi oraz – co przecież tak ważne w pracy urzędniczej – gabinet odpowiednich rozmiarów. Aha, i jeszcze co najmniej rok urlopu bezpłatnego.

Johannes idzie więc na urlop i nadal zgłębia historię Prus. Odnawia swą bliską znajomość z burgundem i żeni się z belgijską tłumaczką o cudownym

poczuciu humoru, która go uwielbia. Wreszcie nadchodzi dzień, gdy nie może dłużej się opierać poczuciu obowiązku, nieodłącznej cesze jego pruskiej duszy. Wkłada nowy garnitur, żona pomaga mu zawiązać krawat i odwozi go do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które nie znajduje się już przy berlińskiej Wilhelmstrasse, lecz w Bonn. Portier prowadzi go do gabinetu. Nie do gabinetu, krzyczy Johannes, do komnaty z hektarowym biurkiem, które – Johannes może przysiąc – zaprojektował sam Albert Speer. Czy mu się to podoba, czy nie, Herr Doktor Johannes Ullrich jest od teraz wyższym urzędnikiem dyplomacji zachodnioniemieckiej.

Aby uzmysłwić sobie, jakie wrażenie zrobił na mnie Johannes podczas naszych kilku spotkań – bo miałem to szczęście, że się z nim spotkałem – trzeba wyobrazić sobie przygarbionego pięćdziesięciolatka poruszającego się tak nerwowo, jakby wciąż jeszcze przemierzał celę syberyjskiego więzienia. Od czasu do czasu rzuca przez ramię szybkie zaciekawione spojrzenie, czy gość się nie płoszy. Jeżeli gość się płoszy, wywraca oczami na znak zawstydzenia własnym zachowaniem, wybucha śmiechem i rusza na kolejne okrążenie pokoju, wymachując rękami. Ale nie jest chory umysłowo jak ci biedni więźniowie, z którymi skuwano go jednym łańcuchem. Jest do bólu zdrowy na umyśle, wręcz genialny, a szaleństwo znów jest nie w nim, lecz wokół niego.

Najpierw jednak, na użytek zachwyconych gości sproszonego przeze mnie do mojego wynajętego apartamentu w Königswinter nad Renem, trzeba dokładnie opisać każdy szczegół jego ministerialnej komnaty: bo jest w niej i legendarny Bundesadler, czarny orzeł z głową w profilu, o czerwonych szponach, spoglądający nań groźnie ze ściany – sam Johannes też przekręca głowę w prawo i naśladuje pogardliwy półśmiech godła – i ambadorski zestaw biurkowy ze srebrnym kałamarzem i oprawką na pióro.

Potem Johannes wysuwa wyimaginowaną szufladę Speerowskiego hektarowego biurka i wyjmuje z niej książkę telefoniczną – tylko do użytku wewnętrznego – zachodnioniemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, oprawną, jak twierdzi, w najcieńszą cielecą skórę. Właśnie podaje ją nam pustymi dłońmi, z nabożeństwem schylając głowę, by powąchać skórę, i wywraca oczyma z zachwytu nad jakością wykonania.

Wreszcie ją otwiera. Bardzo powoli. Każdy taki pokaz to dla niego egzorcyzm, choreograficzne oczyszczanie się z myśli, które przysły mu do głowy, gdy pierwszy raz stanął twarzą w twarz z tą listą nazwisk. Bo to te same arystokratyczne nazwiska, ci sami ich właściciele, którzy zdobywali

dyplomatyczne szlify pod kierunkiem Joachima von Ribbentropa, hitlerowskiego ministra spraw zagranicznych – śmiesznego typka, który jeszcze w celi śmierci w Norymberdze wyznawał miłość do Adolfa Hitlera. Może teraz ludzie noszący te szlachetne nazwiska są lepszymi niż wtedy dyplomatami, może nawrócili się, by walczyć o demokrację. Może, jak Globke, zawarli kiedyś jakiś układ z tą czy inną antyhitlerowską grupką, na wypadek gdyby Hitler kiedyś upadł. Ale Johannes nie jest w nastroju, by swych kolegów postrzegać w tak pozytywnym świetle. Na użytek widzów opada na krzesło i pociąga łyk dobrego czerwonego burgunda, nabytego na jego cześć w sklepiku wolnocłowym, w którym my, uprzywilejowani dyplomaci, możemy robić zakupy. Pokazuje nam, że właśnie to samo zrobił tego dnia w swojej komnacie, gdy pierwszy raz zaglądnął do oprawnej w cielęcą skórę książki telefonicznej zachodnioniemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, tylko do użytku wewnętrznego: że padł w głęboki skórzany fotel, trzymając w dłoniach otwarty tom, i w milczeniu odczytywał kolejne wielkie nazwisko, od lewa do prawa, jakby w zwolnionym tempie – każde *von* i każde *zu*. Patrzymy, jak szeroko otwiera oczy, jak porusza ustami. I wlepia wzrok w ścianę mojego wynajętego domu. Mówi, że tak właśnie wpatrywał się w ścianę więzienia na Syberii.

Teraz zrywa się z krzesła, a raczej z fotela w swej komnacie. Znów siedzi za hektarowym biurkiem projektu Alberta Speera, choć tak naprawdę to tylko tandetny mahoniowy bufet obok szklanych drzwi prowadzących do ogrodu. Dłońmi przyciska książkę do blatu. Na moim tandetnym bufeciku nie ma telefonu, ale on już podniósł nieistniejącą słuchawkę i wodząc po papierze palcem wskazującym drugiej ręki, odczytuje pierwszy numer wewnętrzny. Słyszymy sygnał telefonu – to Johannes popiskuje przez nos: *piii, piii*. Teraz widzimy, że jego szerokie plecy kurczą się i prostują, słyszymy, że strzela piętami w najlepszym pruskim stylu. Pada wojskowe szcęknięcie, tak głośne, że moje dawno uśpione dzieci budzą się na piętrze:

– *Heil Hitler, Herr Baron! Hier Ullrich! Ich möchte mich zurück-melden! Heil Hitler!* Tu Ullrich! Melduję powrót do służby!

Nie chciałbym sprawiać wrażenia, iż przez całe trzy lata, które spędziłem wtedy w Niemczech, wyłącznie się oburzałem, że starzy hitlerowcy zajmują wysokie stanowiska, podczas gdy cała uwaga mojej służby koncentrowała się na promowaniu brytyjskiego handlu i na walce z komunizmem. A jeżeli się oburzałem na starych hitlerowców – zresztą wcale nie byli tacy starzy, skoro w roku 1960 byliśmy tylko o pół pokolenia młodszy od samego Hitlera – to

dlatego, że identyfikowałem się z moimi niemieckimi rówieśnikami, którzy chcąc coś osiągnąć w życiu, musieli być uprzejmi dla ludzi mających swój udział w doprowadzeniu ich kraju do ruiny.

Wciąż zadawałem sobie wtedy pytanie, jak musiał się czuć młody początkujący polityk, świadomy, że we władzach jego partii brylują takie osobistości, jak Ernst Achenbach, który jako wysoki urzędnik niemieckiej ambasady w Paryżu podczas okupacji osobiście nadzorował masowe wywózki Żydów do Oświęcimia. Przed sąd ciągli go i Francuzi, i Amerykanie, ale Achenbach, z zawodu prawnik, załatwił sobie jakieś tajemnicze rozgrzeszenie i zamiast stanąć przed trybunałem norymberskim, założył świetnie prosperującą kancelarię prawną, specjalizującą się w bronieniu ludzi oskarżonych o dokładnie takie same zbrodnie, jakie sam popełniał. Jak reagował mój początkujący niemiecki polityk na to, że jego karierę obserwuje taki Achenbach? Ciągłe się nad tym zastanawiałem. Czy zjadał tę żabę i uśmiechał się grzecznie?

Spośród różnych spraw, które zatruwały mi pobyt w Bonn, a potem w Hamburgu, najbardziej nie dawała mi spokoju właśnie ta nierozliczona niemiecka przeszłość. W duchu nigdy nie pogodziłem się z ówczesną wersją politycznej poprawności, nawet jeżeli postępowałem inaczej – i tym samym zapewne zachowywałem się dokładnie tak jak wielu Niemców w czasie wojny 1939–1945.

Potem wyjechałem z Niemiec, ale temat wciąż mnie dręczył. Jakiś czas po *Ze śmiertelnego zimna* powróciłem do Hamburga i odnalazłem niemieckiego pediatrę oskarżonego o udział w hitlerowskim programie eutanazji, który miał oczyścić aryjski naród z nieprzydatnych gąb do wykarmienia. Potem okazało się, że całą sprawę rozpętał – całkowicie bezpodstawnie – zazdrosny kolega po fachu, a ja musiałem wszystko odszczekać. W tym samym 1964 roku pojechałem do Badenii-Wirtembergii, do miasteczka Ludwigsburg, by spotkać się z Erwinem Schülem, dyrektorem Centrali Badania Zbrodni Narodowosocjalistycznych. Szukałem takiej jak ta historii, opowiedziałem ją potem w *Małym miasteczku w Niemczech*, ale nie mogłem się zdobyć na umieszczenie w tle brytyjskiej ambasady w Bonn – na to było dla mnie jeszcze za wcześnie.

Erwin Schüle okazał się dokładnie taki, jakim go sobie wyobrażałem: człowiek uczciwy, szczery, całą duszą poświęcający się swej pracy. Tacy sami byli też jego pracownicy – kilku młodych, bladych prawników. Każdy z nich siedział za swoim przepierzeniem i całymi dniami wczytywał się w przerażające dowody zawarte w hitlerowskich aktach, w skąpych zeznaniach świadków. Starali się przypisać konkretne zbrodnie osobom, które można postawić przed sądem, a nie jednostkom wojskowym, których nie można sądzić. Klęczeli przed dziecinnymi piaskownicami z plastiku i ustawiali w nich ludzkie figurki

oznaczone numerami. W jednym szeregu stali umundurowani żołnierze z karabinami, w drugim ludziki w cywilu: mężczyźni, kobiety, dzieci. A między nimi – rowek w piasku oznaczający masowy grób, który miał zaraz zostać wypełniony.

Wieczorem Schüle i jego żona zaprosili mnie na obiad na tarasie swojego domu stojącego na zalesionym zboczu. Schüle opowiadał z pasją o swej pracy. Mówił, że to jego życiowy obowiązek, historyczna konieczność. Umówiliśmy się na następne spotkanie, ale do niego nie doszło. W lutym następnego roku Schüle poleciał do Warszawy w związku z odnalezieniem nowych akt hitlerowskich, lecz na lotnisku powitała go powiększona kopia jego legitymacji partyjnej NSDAP. Równocześnie rząd sowiecki przedstawił mu całą serię zarzutów, między innymi to, że służąc jako żołnierz na froncie wschodnim, zastrzelił z pistoletu dwóch rosyjskich cywilów i zgwałcił Rosjankę. Znowu jednak okazało się, że oskarżenia były bezpodstawne.

Jaka z tego nauczka? Ano taka, że im bardziej szuka się absolutów, tym trudniej je znaleźć. Jestem przekonany, że Schüle był porządnym człowiekiem. Ale musiał żyć ze swoją przeszłością i jakoś sobie z nią poradzić, cokolwiek to znaczyło. A mnie ciągle interesowało, jak radzą sobie z nią Niemcy z jego pokolenia. Kiedy rozpoczęła się u nich era Grupy Baader-Meinhof, zupełnie się nie dziwiłem. Dla wielu młodych Niemców przeszłość ich rodziców została już dawno pogrzebana, zmieniona, załgana. W pewnym momencie coś musiało pęknąć, no i pękło. Ale to nie dotyczyło już jakiejś tam grupki „warchołów”, tylko całego pokolenia sfrustrowanych dzieci niemieckiej klasy średniej, bo to ci ludzie znieacka włączyli się do walki, wspierając terrorystów pierwszej linii logistycznie i moralnie.

Czy coś takiego mogło się zdarzyć w Wielkiej Brytanii? My już dawno przestaliśmy porównywać się z Niemcami. Może dlatego, że nie mamy na to odwagi. Bo współczesne Niemcy – pewne siebie, nieagresywne demokratyczne mocarstwo, które można dziś stawiać za przykład humanitaryzmu innym krajom – to zbyt gorzka pigułka do przełknięcia przez nas, Brytyjczyków. Niestety, od dawna bardzo mnie to smuci.

Z wizytą oficjalną

Jednym z moich przyjemniejszych obowiązków podczas pracy w bońskiej ambasadzie na początku lat sześćdziesiątych było towarzyszenie – Niemcy nazywają to „wodzeniem niedźwiedzia” – delegacjom dobrze zapowiadających się Niemców na wyjazdach do Wielkiej Brytanii, gdzie mieli uczyć się od nas demokracji i – z dumą żywiliśmy taką nadzieję – naśladować ją. Większość z nich stanowili świeżo upieczeni parlamentarzyści i początkujący, ale już znani dziennikarze. Byli to ludzie w większości bardzo inteligentni i, co uświadomiłem sobie dopiero teraz, sami mężczyźni.

Taki wyjazd trwał zwykle cały tydzień: wylot z Kolonii w niedzielę po południu samolotem BEA, powitanie przez przedstawiciela British Council lub Foreign Office, powrót w sobotę przed południem. Przez pięć bardzo wypełnionych dni goście odwiedzą obie izby parlamentu, przysłuchają się interpelacjom w Izbie Gmin, oglądną siedzibę Sądu Najwyższego i może BBC, zostaną przyjęci przez urzędujących ministrów oraz liderów opozycji szczebla odpowiedniego do statusu gości i – w pewnym stopniu – według widzimisię gospodarzy, a potem zostaną obwiezieni po angielskich zabytkach (zamek windsorski, wyspa Runnymede ze względu na podpisanie tam Magna Carta, modelowe angielskie miasteczko Woodstock w hrabstwie Oksford).

Wieczorami będą mieli wybór między teatrem albo czasem wolnym, który zgodnie z sugestiami – patrz pakiet informacyjny British Council – mogą wykorzystać na spotkania ze swymi odpowiednikami w Anglii: katolicy z katolikami, luteranie z luteranami, socjaliści z towarzyszami labourzystami; kto zaś ma jeszcze bardziej wyrafinowane zainteresowania, jak na przykład rozwój gospodarki w Trzecim Świecie, na pewno też znajdzie się jakiś odpowiedni Brytyjczyk. Przewodnik i tłumacz w jednej osobie – czyli ja – chętnie udzieli wszelkich informacji i do niego należy się zwracać z innymi życzeniami.

I zwracali się, jeszcze jak! Dlatego właśnie pewnego pięknego wieczoru o jedenastej znalazłem się w hotelu na West Endzie. Z dziesięciofuntowym banknotem w dłoni stałem przy recepcji z kilkoma porządnie podlanymi młodymi parlamentarzystami z Niemiec, którzy przechylali się przez moje ramię

i domagali damskiego towarzystwa. Byli w Anglii od czterech godzin – większość z nich po raz pierwszy. Z Londynem lat sześćdziesiątych kojarzyło im się jedno słowo: *swinging*, i teraz właśnie zapragnęli się dowiedzieć, co to znaczy. Wcześniej mój znajomy sierżant ze Scotland Yardu zdążył polecić pewien nocny klub na Bond Street, gdzie „dziewczyny grają *fair* i nie kantują”. Dwie czarne taksówki zawiozły nas pod samo wejście, ale drzwi były zamknięte na głucho i na kłódkę, wewnątrz panowała zupełna ciemność. Nasz sierżant zapomniał, że – w tamtych jakże odległych czasach – przybytki tego typu musiały być zamknięte w niedziele. Stąd moja obecność przy recepcji: by uchronić gości przed rozczarowaniem, chwyciłem się recepcjonisty jako ostatniej deski ratunku. Za dziesięć funtów nie zawiódł:

– Idźcie tak do połowy Curzon Street. Po lewej będzie niebieski podświetlony szyld „Lekcje francuskiego”. Jak światło zgaszone, znaczy, że dziewczyny są zajęte. Jak nie, to wolne. Tylko bądźcie cicho.

Co teraz? Trwać do końca z moimi podopiecznymi czy zostawić ich sam na sam z rozkoszą? A w nich krew się burzyła. Po angielsku mówili niewiele, po niemiecku nie bardzo cicho. Niebieskie światło nie było zgaszone. Palilo się jakoś tak jakby natrętnie, wręcz fluorescencyjnie; miałem wrażenie, że na całej ulicy nie ma innych świateł. Do drzwi frontowych prowadziła krótka ogrodowa ścieżka. Podświetlony przycisk dzwonka mówił: „Nacisnąć”. Moi delegaci nie stosowali się do rady recepcjonisty, by nie hałasować. Nacisnąłem dzwonek. Drzwi otwarła rozłożysta dama w średnim wieku, strojna w biały kaftan i opaskę na głowie.

– O co chodzi? – zapytała oburzona, jakbyśmy zakłócili jej spoczynek.

Już miałem przeprosić ją za najście, gdy parlamentarny przedstawiciel pewnego okręgu wyborczego na zachód od Frankfurtu był szybszy.

– My Niemcy! My chcemy uczyć się francuski! – wrzasnął najlepszą angielszczyzną, na jaką go było stać, co spotkało się z głośno wyrażoną aprobatą jego towarzyszy.

Na naszej gospodyni nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

– Pięć funtów od łeba za krótki seansik, ale po kolei – oznajmiła surowo jak szkolna pielęgniarka.

Już miałem zostawić mych delegatów, by mogli spokojnie odbyć swoje specjalistyczne konsultacje, gdy zobaczyłem, że zbliżają się do nas chodnikiem dwaj mundurowi, jeden stary, jeden młody. Mój mundur stanowiła czarna marynarka i spodnie w prążki.

– Jestem z Foreign Office. Ci panowie to moi oficjalni goście.

– Tylko trochę ciszej – powiedział starszy z policjantów, po czym obaj oddalili się powolnym krokiem.

Palec na spuście

Z polityków, którym towarzyszyłem w ich wyjazdach do Anglii w ciągu trzech lat spędzonych w ambasadzie brytyjskiej w Bonn, największe wrażenie zrobił na mnie Fritz Erler, który w roku 1963 był głównym specjalistą od obrony i spraw zagranicznych w Socjaldemokratycznej Partii Niemiec oraz niemal pewnym kandydatem na przyszłego kanclerza Republiki Federalnej. Ponieważ wysiedziałem swoje na debatach w Bundestagu, wiedziałem, że jest też zagorzałym i inteligentnym przeciwnikiem i urzędującego kanclerza Adenauera, i jego ministra obrony Franza Josefa Straussa. A że prywatnie obu nie znosiłem chyba tak bardzo jak Erler, z tym większą przyjemnością wziąłem na siebie zadanie towarzyszenia mu w wyjeździe do Londynu, gdzie miał rozmawiać z czołowymi brytyjskimi parlamentarzystami różnej maści, między innymi z przywódcą Partii Pracy Haroldem Wilsonem i premierem Haroldem Macmillanem.

Najbardziej palącą sprawą w tamtych czasach była kwestia niemieckiego „palca na spuście” – czyli tego, jak wiele powinien mieć do powiedzenia boński rząd przy podejmowaniu decyzji o odpaleniu amerykańskich pocisków z baz w Niemczech Zachodnich w przypadku wybuchu wojny atomowej. Erler rozmawiał już o tym w Waszyngtonie z prezydentem Kennedym i jego sekretarzem obrony Robertem McNamara. Zadanie przydzielone mi przez ambasadę polegało na towarzyszeniu mu podczas całego pobytu w Anglii i udzielaniu wszelkiej pomocy jako prywatny sekretarz, tłumacz i w ogóle człowiek od wszystkiego. Erler nie był głupi – mówił po angielsku znacznie lepiej, niż udawał, ale cenił sobie dodatkowy czas do namysłu, jaki zyskiwał w trakcie tłumaczenia. Tym bardziej zupełnie mu nie przeszkadzało, że nie byłem zawodowym tłumaczem. Wyjazd miał trwać dziesięć dni, plan był napięty. Foreign Office zarezerwowało mu apartament w hotelu Savoy; dla mnie załatwiono pokój kilka drzwi dalej w tym samym korytarzu.

Co rano o piątej kupowałem codzienne gazety w kiosku na Strandzie i w osaczającym mnie ze wszystkich stron dźwięku savoyowych odkurzaczy siadałem w lobby, zaznaczając wszystkie wiadomości i komentarze, które według

mnie mogły przydać się Erlerowi w nadchodzącym dniu. Potem zostawiałem gazety na podłodze przed jego drzwiami, wracałem do siebie i czekałem na sygnał do porannego spaceru, który zawsze nadchodził punktualnie o siódmej.

Krocząc obok mnie w czarnym berecie i pelerynie, Erler wydawał się uosobieniem surowości i braku poczucia humoru. Wiedziałem dobrze, że to tylko pozory. Codziennie szliśmy w jednym, ale zawsze innym kierunku przez dziesięć minut. Potem Erler się zatrzymywał, obracał na pięcie i ze spuszczoną głową i założonymi na plecach dłońmi recytował z pamięci wszystkie nazwy sklepów i napisy na mosiężnych tabliczkach, które minęliśmy po drodze z hotelu, a ja musiałem sprawdzać, czy się nie pomylił. Dopiero po kilku takich wyprawach wyjaśnił, że w ten sposób ćwiczy dyscyplinę umysłową i że nauczył się tego w obozie koncentracyjnym w Dachau. Trafił tam tuż przed wybuchem wojny, skazany na dziesięć lat za „przygotowywanie zdrady państwa” przeciwko rządowi hitlerowskiemu. W roku 1945 udało mu się uciec z marszu śmierci i zamelinować w Bawarii, gdzie doczekał kapitulacji.

Z dyscypliną umysłową rzeczywiście nie miał problemów, bo nie przypominam sobie, by pomylił się choćby co do jednego szyldu czy tabliczki.

Nasze spotkania przez następne dziesięć dni można określić mianem wycieczki objazdowej po wielkich, dobrych i nie całkiem dobrych postaciach Westminsteru. Pamiętam twarze ludzi po drugiej stronie stołu, pamiętam ich głosy. Najwięcej kłopotu sprawił mi Harold Wilson. Nie potrafiłem, jak zawodowy tłumacz, wyłączyć w sobie zainteresowania wokally-fizycznymi cechami tłumaczonych osób. Najbardziej wryła mi się w pamięć zgaszona fajka Wilsona i teatralne użycie jej jako rekwizytu. Natomiast nie pamiętam ani słowa z tych rozmów, rzekomo toczonych przecież na najwyższym szczeblu. Nasi rozmówcy chyba wiedzieli równie mało o sprawach obronności jak ja – i całe szczęście, bo choć obkułem się z fachowych terminów za pomocą makabrycznego słowniczka Mutually Assured Destruction (MAD), pozostały dla mnie równie niezrozumiałe w mojej mowie ojczystej, jak po niemiecku. Zresztą chyba nie było okazji ich użyć – dzisiaj pewnie nawet bym ich nie rozpoznał.

Jedno tylko spotkanie na zawsze utrwaliło się w mojej pamięci – wzrokowo, dźwiękowo i tematycznie. Był to zresztą szczytowy punkt dziesięciodniowej wizyty: domniemany następca kanclerza Niemiec Fritz Erler jest przyjmowany przez Harolda Macmillana, brytyjskiego premiera na wylocie, pod numerem 10 na Downing Street.

Połowa września 1963 roku. W marcu minister wojny John Profumo oświadczył publicznie, że wcale nie utrzymywał nieodpowiednich stosunków z panną Christine Keeler, pracownicą angielskiego klubu nocnego i protegowaną Stephena Warda, modnego londyńskiego osteopaty. Żonaty minister ma kochankę – sprawa naganna, ale jakoś tam do pomyślenia. Za to pewną przesadą było, że kochankę miał na spółkę – jak twierdziła sama panna Keeler – z attaché do spraw marynarki wojennej ambasady sowieckiej w Londynie. Kozłem ofiarnym całej afery zrobiono biednego osteopatę, który nie czekając nawet na wyrok sfingowanego procesu, popełnił samobójstwo. W czerwcu Profumo złożył rezygnację i z urzędu ministra, i z mandatu deputowanego. W październiku to samo zrobił Macmillan pod pretekstem złego stanu zdrowia. Wrześniowe spotkanie z Erlerem odbyło się więc zaledwie na parę tygodni przed końcem urzędowania.

Na Downing Street dojechaliśmy spóźnieni, co już samo w sobie stanowiło nie najlepszą wróżbę. Wysłany po nas rządowy samochód gdzieś się zawieruszył, więc musiałem rzucić się na środek ulicy – znowu w czarnej marynarce i spodniach w prążki – by zatrzymać pierwsze nadjeżdżające auto i błagać kierowcę, by jak najszybciej zawiózł nas pod numer 10. Siedzący za kierownicą młody człowiek w garniturze uznał najpierw, co zrozumiałe, że jestem wariat. Dopiero jego pasażerka przyszła mi z pomocą:

– No weź ich, bo się spóźnią!

Młody człowiek zagryzł wargi i zrobił, co mu kazała. Jakoś zmieściliśmy się na tylnym siedzeniu. Erler wręczył młodzieńcowi swoją wizytówkę, powiedział, że gdyby kiedyś znalazł się w Bonn... Ale i tak byliśmy spóźnieni o dziesięć minut.

Wprowadzeni do gabinetu Macmillana przeprosiliśmy i usiedliśmy. Macmillan siedział za biurkiem bez ruchu, trzymając przed sobą dłonie upstrzone plamami wątrobowymi. Obok siedział jego prywatny sekretarz Philip de Zulueta, członek Gwardii Walijskiej, który wkrótce miał otrzymać tytuł szlachecki. Erler wyraził po niemiecku żal, że samochód się spóźnił. Poparłem go po angielsku. Pod dłońmi premiera na blacie biurka leżała szyba, pod nią zaś notatki do rozmowy z Erlerem, łącznie z jego życiorysem, spisane tak wielką czcionką, że można ją było łatwo odczytać do góry nogami. Jeszcze większymi literami zapisano słowo „Dachau”. Kiedy Macmillan przemówił, jego dłonie przesuwają się po szybie, jakby czytał brajlem. Jego patrycjuszowski akcent, tak świetnie uchwycony przez Alana Bennetta w satyrycznym kabarecie *Beyond the Fringe*, sprawiał wrażenie, jakby był odtwarzany na starym gramofonie na zwolnionych obrotach. Z kącika prawego oka ciekły mu niepowstrzymane łzy. Toczyły się po zmarszczkach i lądowały za kołnierzykiem.

Po kilku uprzejmych słowach powitania, wypowiedzianych z namysłem i edwardiańskim wdziękiem – czy hotel jest wygodny? czy dobrze się panem zajmują? czy umówiono pana z ciekawymi rozmówcami? – Macmillan zapytał Erlera z wyraźnym zaciekawieniem, o czym przyjechał rozmawiać. Gość był nieco zaskoczony.

– *Verteidigung* – odpowiedział Erler. - O obronności.

Otrzymawszy tę informację, Macmillan zerknął do notatek. Mogę się tylko domyślać, że jego wzrok – podobnie jak mój – znów spoczął na słowie „Dachau”, bo premier wyraźnie się ucieszył.

– No cóż, Herr Erler – oświadczył z nagłym ożywieniem. – Pan przeszedł swoje w czasie drugiej wojny, ja w czasie pierwszej. – Pauza na moje zupełnie niepotrzebne tłumaczenie.

Kolejna wymiana uprzejmości. Czy Herr Erler ma rodzinę? Erler przyznaje, że ma. Ja tłumaczę w najlepsze. Na życzenie Macmillana Erler wylicza swoje dzieci i dodaje, że jego żona też jest zaangażowana politycznie. To też tłumaczę.

– Powiedziano mi, że rozmawiał pan już z amerykańskimi ekspertami od obronności – mówi dalej Macmillan tonem żartobliwego zdziwienia po kolejnym zerknięciu na wielkie litery pod szkłem.

– *Ja*.

Tak.

– A w swojej partii też ma pan ekspertów od obronności? – pyta Macmillan, jakby obu polityków łączyło wspólne nieszczęście.

– *Ja* – odpowiada Erler nieco ostrzej, niżbym sobie życzył.

Tak.

Cisza. Zerkam na de Zuluetę w nadziei, że mi pomoże. Nie chce pomóc. Po tygodniu spędzonym w towarzystwie Erlera aż za dobrze zdaję sobie sprawę, jak bardzo się niecierpliwi, kiedy rozmowy nie spełniają jego nadziei. Wiem, że nie boi się tego okazywać. Wiem, jak starannie przygotował się właśnie na to spotkanie.

– Mnie też nachodzą, wie pan – narzeka Macmillan. – Ci od obronności. Pana pewnie też. I ciągle mówią, że bomby spadną tu a tu. – Premierowska dłoń ilustruje gestem rozrzut bomb ponad szybą. – A pan tyle przeszedł w czasie drugiej wojny, ja w pierwszej... – znów to samo sensacyjne odkrycie – ...że obaj wiemy, że bomby spadną, gdzie spadną!

Jakoś udało mi się to przetłumaczyć. Nawet po niemiecku trwało to najwyżej jedną trzecią czasu, którego potrzebował Macmillan. Za to zabrzmiało dwa razy bardziej niedorzecznie. Kiedy skończyłem, Erler namyślał się przez chwilę. Zawsze, gdy się namyślał, mięśnie twarzy podnosiły mu się i opadały zupełnie niezależnie od siebie. Nagle wstał, sięgnął po beret i podziękował Macmillanowi

za poświęcony czas. Czekał, bym i ja wstał, więc wstałem. Macmillan, równie zdumiony jak pozostali obecni, uniósł się nieco z fotela, by uścisnąć dłoń gościa, i z powrotem opadł na miejsce. Gdy ruszyliśmy w stronę drzwi, Erler odwrócił się do mnie i dał upust rozdrażnieniu:

– *Dieser Mann ist nicht mehr regierungsfähig.*

Ten człowiek już nie jest w stanie rządzić.

Tak sformułowana kwestia brzmi bardzo dziwnie po niemiecku. Może był to cytat z czegoś, co niedawno przeczytał lub usłyszał? Niestety de Zulueta miał dobry słuch i co gorsza znał niemiecki, bo gdy go mijalem, syknął z wściekłością:

– Ja to słyszałem.

Tym razem samochód rządowy był na miejscu, ale Erler wolał się przejść. Szedł ze spuszczoną głową, z dłońmi założonymi do tyłu, ze wzrokiem wbitym w chodnik. Po powrocie do Bonn wysłałem mu egzemplarz *Ze śmiertelnego zimna*, przyznając się do autorstwa. Gdy przyszło Boże Narodzenie, wypowiedział się miło na temat książki w niemieckiej prasie. Również w grudniu tego roku został oficjalnie przywódcą niemieckiej opozycji parlamentarnej. Trzy lata później zmarł na raka.

Do wszystkich zainteresowanych

Każdy, kto ukończył pięćdziesiąt lat, pamięta, gdzie był tego dnia. Tylko nie ja, choćby nie wiem co. Więc jeśli to pan był tym ważnym gościem zagranicznym, który siedział po mojej lewej stronie w ratuszu w St Pancras wieczorem 22 listopada 1963 roku, to bardzo proszę się ujawnić. Na pewno był pan kimś ważnym, bo przecież dlatego został pan zaproszony tam przez rząd brytyjski. Pamiętam jeszcze, że nasze odwiedziny w ratuszu były czymś w rodzaju przerywnika po całym męczącym dniu – okazją, by się przyjrzeć, jak działa nasza brytyjska demokracja na najniższym szczeblu.

„Najniższy” to dobre określenie, bo ratusz pękał w szwach od rozwścieczonych ludzi. Wrzaski były tak głośne, że z trudem rozumiałem wyzwiska rzucone pod adresem prezydium, nie mówiąc już o tłumaczeniu ich panu na niemiecki. Pod ścianami stali z groźnymi minami i założonymi na plecy rękami ratuszowi strażnicy, więc gdyby ktoś rzucił się na prezydium, doszłoby do ogólnej bójki. O ile pamiętam, nawet nam proponowano ochronę *Special Branch*, ale pan podziękował. Siedzieliśmy w samym środku, więc nie mieliśmy dokąd uciekać.

Przedmiot wyzwisk tłumy stał przy mównicy i odwdzięczał mu się pięknym za nadobne. Quintin Hogg, były wicehrabia Hailsham, właśnie rzekł się tytułu, by walczyć o miejsce w parlamencie z okręgu St Marylebone z ramienia torysów. Zawsze uwielbiał awantury, więc i tym razem się nie zawiódł. Miesiąc wcześniej złożył rezygnację Harold Macmillan, zbliżały się wybory. Choć to nazwisko teraz już raczej – szczególnie za granicą – niewiele mówi, Quintin Hogg, znany też jako lord Hailsham, był w roku 1963 uosobieniem walecznego Brytyjczyka dawnego typu: absolwent Eton i filologii klasycznej, żołnierz drugiej wojny światowej, prawnik, wspinacz, homofob i chrześcijański konserwatysta pełną gębą, ale przede wszystkim polityczny showman znany z patosu i waleczności. W latach trzydziestych najpierw próbował appeasementu, podobnie jak cała jego partia, potem jednoznacznie poparł Churchilla. Po wojnie był doskonałym przykładem polityka, któremu prawie się udało. Wciąż wysuwano jego kandydaturę na różne urzędy, ale zawsze kończyło się tak, że zostawał z niczym.

Jednak tego wieczoru – i do końca swego długiego życia – był przede wszystkim arystokratycznym zabijaką, którego uwielbiali nienawidzić wyborcy.

Nie pamiętam już, o czym wtedy mówił – jeżeli w ogóle udało mi się cokolwiek dosłyszeć w tym hałasie. Pamiętam jednak, jak wszyscy świadkowie tamtych czasów, jego zaczerwienioną w uporze twarz, przykrótkie spodnie, czarne sznurowane trzewiki, nogi rozstawione szeroko jak u zapaśnika, nabrzmiałą chłopską twarz i zaciśnięte pięści; no i ten donośny arystokratyczny ryk, którym zagłuszał wycie tłumu i który usiłowałem tłumaczyć temu komuś, kim się wówczas opiekowałem.

Nagle z lewej wchodzi posłaniec – jak u Szekspira. Pamiętam: mały szary człowieczek szedł, jakby skradał się na palcach. Podsuwa się do Hogga, szepcze mu coś do ucha. Ręce mówcy, wymachujące aż do tej chwili na podkreślenie własnych argumentów lub na pohybel przeciwnikom, opadają nagle do boków. Hogg zamyka oczy, potem je otwiera. Przechyla swą dziwnie jajowatą głowę, by jeszcze raz wysłuchać szeptanych słów. Churchillowski mars ustępuje niedowierzaniu, niedowierzanie bezsilności. Pokornym głosem przeprosza i wychodzi. Idzie jak skazaniec prowadzony na szubienicę. Posłaniec za nim. Nieliczni naiwni myślą, że ustępuje pola, więc jeszcze głośniejsz miotają za nim wyzwiskami. Powoli w sali zapada niepewne milczenie. Hogg wraca. Ma spopielałą twarz, ruchy sztywne, niepewne. Nie wita go żaden dźwięk. Hogg czeka chwilę ze spuszczoną głową. Zbiera siły. Unosi głowę. Widzimy, że po policzkach płyną mu łzy.

Wreszcie się odzywa. Od razu widać, że to dziś jego ostatnie słowa. Mówi tak dobitnie, że w odróżnieniu od wszystkiego, co powiedział do tej pory, nikt nie próbuje mu przerwać.

– Właśnie się dowiedziałem, że zamordowano prezydenta Kennedy’ego. Ogłaszam koniec spotkania.

Minęło dziesięć lat. Kolega z dyplomacji zaprosił mnie na galowy bankiet do oksfordzkiego All Souls College ku czci jednego ze zmarłych dobroczyńców. Znowu sami mężczyźni – w tamtych czasach to chyba była reguła. Jedzenie wyśmienite, rozmowy, o ile potrafię zrozumieć przybyłych erudytów, wyrafinowane. Pomiedzy kolejnymi etapami uczyty przechodzimy z jednej sali jadalnej do drugiej, jeszcze piękniejszej. Wszystkie długie stoły nakryte są zabytkowymi srebrami college’u. Przy każdej zmianie sali następuje też zmiana sąsiadów i właśnie w ten sposób po drugiej czy trzeciej znajduję się tuż obok tego samego Quintina Hogga, czyli - jak teraz nazywa go karteczka przed talerzem -

świeżo upieczonego barona Hailsham z St Marylebone. A więc najpierw zrezygnował z tytułu, by móc kandydować do Izby Gmin, ale teraz były mister Hogg załatwił sobie nowy, by wrócić do Izby Lordów.

Nawet będąc w najlepszej formie, nie jestem specjalistą od towarzyskiej konwersacji, a teraz siedzę ramię w ramię z agresywnym konserwatywnym lordem, którego przekonania polityczne są dokładnie przeciwne do moich (jeżeli w ogóle mam jakieś). Czcigodny mędrzec po mojej drugiej stronie mówi z wielką swadą o czymś, o czym nie mam najmniejszego pojęcia. Czcigodny mędrzec z naprzeciwka rozwodzi się nad pewnym szczegółem z greckiej mitologii. Nie jestem mocny w greckiej mitologii. Niestety siedzący po mojej prawej ręce baron Hailsham rzucił okiem na moją karteczkę i zapadł w tak całkowite, pełne dezaprobaty i ponure milczenie, że z czystej uprzejmości muszę je przerwać. Do dziś nie rozumiem, jaka zasada *savoir-vivre*'u nie pozwoliła mi nawiązać do tamtej chwili w ratuszu w St Pancras, gdy przyniósł nam wiadomość o zabójstwie Kennedy'ego. Może nie chciałem mu przypominać, że kiedyś publicznie okazał uczucia?

Z braku lepszego tematu zaczynam mówić o sobie. Wyjaśniam, że z zawodu jestem pisarzem, przyznaję się do literackiego pseudonimu – baron bynajmniej nie jest zachwycony. A może już wcześniej mnie skojarzył i właśnie dlatego wpadł w taki zły humor. Opowiadam, że mam szczęście być posiadaczem domu w Hampstead, lecz częściej przebywam w zachodniej części Kornwalii. Wychwalam piękno kornwalijskiego krajobrazu. Pytam, czy on też ma jakieś miejsce na wsi, w którym może wypocząć w weekendy. No, teraz już musi mi odpowiedzieć. I rzeczywiście odpowiada, zdruzgotany moją głupotą, potwierdza, że ma wiejską posiadłość:

– No przecież Hailsham, ty ćwoku. W końcu jestem baron Hailsham. To niby gdzie mam mieszkać?

Jak działa brytyjski wymiar sprawiedliwości

W samym środku lata roku 1963 pewien wybitny prawodawca zachodniemiecki, gość rządu Jej Królewskiej Mości, którym się opiekowałem, wyraził życzenie przyjrzenia się, jak też działa ów sławny brytyjski wymiar sprawiedliwości. Życzenie to wyraził w obecności ni mniej, ni więcej, tylko samego lorda kanclerza, który swój lordowski tytuł miał przypisany do miejscowości Dilhorne, ale w cywilu nazywał się Manningham-Buller lub, jak woleli mówić o nim koledzy z sal sądowych, Bullying Manner⁶.

Lord kanclerz to członek Rady Ministrów odpowiedzialny za funkcjonowanie sądów. Jeżeli w jakimś procesie zachodzi potrzeba politycznych nacisków – czego Boże broń! – właśnie lord kanclerz będzie musiał się tym zająć. Tematem naszej rozmowy – Dilhorne nie okazał choćby krztyny zainteresowania – było pozyskiwanie i kształcenie młodych sędziów w Niemczech. Dla mojego wybitnego gościa była to sprawa absolutnie zasadnicza i o wielkim znaczeniu dla przyszłości całego niemieckiego sądownictwa w czasach pohitlerowskich. Dla lorda Dilhorne’a było to niepotrzebne zajmowanie mu czasu i nawet nie próbował tego ukryć.

Ale gdy już wstaliśmy do pożegnania, gospodarz uznał jednak za stosowne zapytać gościa mimochodem, czy może uczynić coś, by umilić mu jego pobyt w Wielkiej Brytanii. Gość odparł – dość wyzywająco, dodam z przyjemnością – że owszem, jest taka jedna rzecz. Chciałby mianowicie przyglądać się procesowi karnemu przeciwko Stephenowi Wardowi oskarżonemu o nakłanianie Christine Keeler do nierządu (o jego udziale w aferze Profuma pisałem powyżej). Dilhorne, który odegrał główną rolę w fingowaniu całego oskarżenia, zaczerwienił się, po czym wycedził przez zęby:

– Proszę bardzo.

W ten sposób już kilka dni później znalazłem się ramię w ramię z moim niemieckim gościem w sali rozpraw nr 1 w Old Bailey. Siedzieliśmy dokładnie za plecami oskarżonego Stephena Warda. Jego adwokat wygłaszał coś w rodzaju

mowy końcowej; sędzia, którego wrogość względem podsądnego ustępowała tylko wrogości oskarżyciela, przeszkadzał, jak mógł. Mam wrażenie – ale nie pewność – że gdzieś wśród publiczności siedziała też Mandy Rice-Davies. W każdym razie wokół jej osoby było wtedy tyle rozgłosu w związku z aferą, że zawsze ją tam sobie wyobrażam. Tym, którzy są zbyt młodzi, by mieli wtedy przyjemność przysłuchiwać się jej wesołym zeznaniom, wyjaśniam, że Mandy była modelką, tancerką, showgirl i współlokatorką Christine Keeler.

Za to doskonale pamiętam zmęczenie malujące się na twarzy Warda, który domyślając się, że jesteśmy jakimiś VIP-ami, odwrócił się, by nas pozdrowić: zatroskany, orli profil, mocno ściągnięta skóra, sztywny uśmiech, oczy krótkowidza przekrwione, zmęczone; i chrapliwy głos nałogowego palacza silący się na nonszalancję.

– Jak się panom zdaje? Dobrze mi idzie? – zapytał nagle nas obu.

Człowiek raczej się nie spodziewa, że aktor na scenie odwróci się i rozpocznie pogawędkę z widzami w samym środku dramatu. Odpowiedziałem za nas obu, że chyba nieźle, ale sam sobie nie uwierzyłem. Parę dni później, nawet nie czekając na wyrok, Ward się zabił. Lord Dilhorne i jego wspólnicy mogli mieć powody do satysfakcji.

Ucieczka Iwana Sierowa

Na początku lat sześćdziesiątych, w szczytowym okresie zimnej wojny, młodszych dyplomatów brytyjskich nie zachęcano do zawierania znajomości ze swymi sowieckimi odpowiednikami. Każdy taki kontakt, wszystko jedno, przypadkowy, towarzyski czy oficjalny, musiał być natychmiast zgłoszony przełożonym, najlepiej jeszcze przed faktem. Nic dziwnego, że zrobił się niezły zamęt, gdy przyszło mi zameldować w moim wydziale w Londynie, że przez dobrych kilka tygodni spotykałem się codziennie z wysokim urzędnikiem sowieckiej ambasady w Bonn i że spotkania te odbywały się bez świadków.

Sam zresztą byłem równie zdziwiony jak moi mistrzowie, że do tego doszło. Scena polityczna Niemiec Zachodnich przechodziła właśnie przez kolejne ze swych okresowych zawirowań. Redaktor naczelny „Spiegla” siedział w więzieniu za naruszenie niemieckich przepisów o ochronie tajemnicy państwowej; Franz Josef Strauss, bawarski minister, który go tam wsadził, musiał odpowiadać na zarzuty o nieprawidłowości przy zakupie starfighterów dla sił powietrznych RFN. Każdy dzień przynosił nowe a ekscytujące plotki z bawarskiego półświatka, w których główne role odgrywali alfonsi, rozwiązłe niewiasty i podejrzani pośrednicy.

W takiej sytuacji robiłem to co zawsze w chwilach politycznego zamętu: pędziłem do Bundestagu i zajmowałem miejsce na galerii dla dyplomatów, a potem korzystałem z każdej okazji, by wymknąć się na dół i sondować moje parlamentarne kontakty. I właśnie gdy wróciłem na galerię z jednego z takich wypadów, ze zdumieniem zobaczyłem, że mój fotel zajął otyły, dobroduszny jegomość po pięćdziesiątce, o krzaczastych brwiach, w okularach bez oprawek, odziany w obszerny szary garnitur, w którego skład wchodziła – dość niespodziewanie jak na tę porę roku – kamizelka o kilka numerów za ciasna na jego wydatny brzuch.

Mówię „mój fotel”, bo galeria – mała i podczepiona jak operowa loża pod tylną ścianą sali obrad Bundestagu – zwykle świeciła pustkami. Zawsze siedział tam tylko pewien oficer CIA, zwany niezbyt przekonująco Herr Schulzem, który od pierwszego wejrzenia uznał mnie za element podejrzany i siadał jak najdalej

ode mnie. Ale tego dnia Herr Schulza nie było – tylko ten grubas. Uśmiecham się do niego, on do mnie jeszcze szerzej, niemal z czułością. Siadam parę miejsc dalej. Na sali debata trwa w najlepsze. Słuchamy osobno, ale równie pilnie, i obaj jesteśmy świadomi tej pilności u sąsiada. Przerwa obiadowa. Wstajemy, certolimy się przez chwilę przy drzwiach, osobno schodzimy do bundestagowej stołówki i z osobnych stolików uśmiechamy się do siebie grzecznie znad zupy dnia. Do mnie podchodzi kilku asystentów parlamentarzystów, mój sąsiad z galerii dyplomatycznej jest ciągle sam. Posiedzenie się kończy, rozchodzimy się każdy w swoją stronę.

Następnego dnia rano, kiedy przybywam, grubas znowu siedzi na moim miejscu i znowu radośnie się do mnie uśmiecha. Potem przerwa, znowu sam siedzi i je zupę, ja plotkuję z paroma dziennikarzami. Może go do nas zaprosić? W końcu to kolega po dyplomatycznym fachu... Mam podejść, przysiąc się? Jak zwykle cała moja empatia jest bezpodstawna, bo tamten z wyraźnym zadowoleniem czyta sobie „Frankfurter Allgemeine”. Po południu nie przychodzi, lecz jest lato, piątek, więc Bundestag i tak już powoli zamykają na weekend.

Ale gdy tylko pojawia się znów w poniedziałek, ledwo siadam, zjawia się on. Jeden palec trzyma na ustach z szacunku dla parlamentarnych wrzasków dobiegających z dołu, ale drugą miękką dłoń podaje mi na powitanie w sposób sugerujący taką zażyłość, że mam wyrzuty sumienia, bo on na pewno mnie zna, a ja jego nie. No tak, niewątpliwie poznaliśmy się na wciąż obracającej się w Bonn karuzeli koktajli dyplomatycznych. On mnie zapamiętał, ja jego zapomniałem.

Co gorsza, sądząc po wieku i postawie, jest jednym z niezliczonych pomniejszych bońskich ambasadorów. A pomniejsi ambasadorowie okropnie nie lubią jednego: gdy inni dyplomaci – szczególnie młodszy – ich nie poznają. Prawda wychodzi na jaw po czwartym dniu. Obaj coś notujemy. On w zeszycie w linie, złej jakości, bo musi spinać go gumką, żeby się nie rozpadł, i potem za każdym razem pracowicie go rozprostowuje. Ja na bloku gładkiego papieru; moje zapiski upstrzone są sporządzanymi ukradkiem karykaturami głównych postaci Bundestagu. Zapewne było nieuniknione, że któregoś nudnego popołudnia w chwili przerwy sąsiad przechylił się psotnie przez dzielące nas puste miejsce i zapytał, czy może rzucić okiem. Gdy tylko mu na to pozwalałam, oczy za okularami zamieniają się w wąskie szczelinki, a cały tułów zaczyna trząść się z wesołości – i równocześnie gestem prestidigitatora grubas wyciąga z kieszeni kamizelki wymiętą wizytówkę i przypatruje mi się, gdy ją czytam – najpierw po rosyjsku, potem, dla niedouczonej, po angielsku: „Tow. Iwan Sierow, II Sekretarz, Ambasada ZSRR, Bonn, RFN”⁷.

A poniżej dopisek czarnym atramentem wielkimi cienkimi literami:
KULTURALNY.

Jeszcze dziś słyszę jakby z oddali naszą ówczesną rozmowę:

– Ty napiłby się kiedyś?

Z przyjemnością.

– Muzykę lubisz?

Bardzo, choć słoń nadepnął mi na ucho.

– Ty żonaty?

Żonaty. A pan?

– Moja żona Olga, ona też lubi muzykę. U ciebie dom?

– W Königswinter. – Nie warto łąać. Adres jest w spisie dyplomatów, i tak się dowie, jeśli zechce.

– A duży?

Cztery sypialnie, odpowiadam, nie licząc.

– A u ciebie telefon?

Podaję mu numer. Zapisuje. Podaje mi swój. Wręczam mu własną wizytówkę: „II sekretarz ds. politycznych”.

– A ty muzykę grasz? Fortepian?

Bardzo bym chciał, ale niestety nie.

– Ty tego Adenauera parszywie narysował, okej? – I tłucze mnie w plecy, i ryczy ze śmiechu. – Ty słuchaj. U mnie za małe mieszkanie. Jak głośno grać, zaraz skandal. Ty do mnie raz zadzwoń, okej? Zaproś do siebie, pogramy ci pięknie. Ja Iwan, okej?

– David.

Podstawowa zasada zimnej wojny: nic nie jest tym, czym się wydaje. Każdemu tak naprawdę chodzi o coś innego. Albo o coś jeszcze innego. Sowiecki urzędnik tak otwarcie wprasza się razem z żoną do zupełnie mu nieznanego zachodniego dyplomaty? Kto tu kogo podchodzi? Inaczej mówiąc: co ja takiego powiedziałem, co takiego zrobiłem, żeby zachęcić tamtego do złożenia tak nieprawdopodobnej propozycji? David, jeszcze raz. Mówiłeś, że nigdy wcześniej go nie spotkałeś. A teraz twierdzisz, że może jednak?

Decyzję podjęto – nie mnie pytać, kto ją podjął. Mam zaprosić Sierowa, tak jak proponował. Telefonicznie, nie pisemnie. Mam zadzwonić pod podany numer, który okazał się oficjalnym numerem sowieckiej ambasady w Bad Godesbergu.

Mam przedstawić się własnym nazwiskiem i poprosić o połączenie z attaché kulturalnym Sierowem. Każdą z tych na pozór oczywistych czynności opisano mi z najwyższą precyzją. Kiedy zostaną połączone z Sierowem – jeżeli zostaną połączone – mam zapytać go bez żadnych podtekstów, jaki dzień i jaka godzina najbardziej odpowiadałyby państwu Sierowom na zorganizowanie muzycznej imprezy, o której rozmawialiśmy. Mam próbować umówić się jak najwcześniej, bo potencjalni uciekinierzy często działają impulsywnie. I żebym koniecznie prosił o przekazanie ukłonów jego żonie, bo sam fakt, że ma uczestniczyć w całej sprawie – że w ogóle została wspomniana – jest czymś wyjątkowym w takich sytuacjach.

Przez telefon Sierow był opryskliwy. Rozmawiał, jakby ledwo mnie pamiętał, powiedział, że musi zaglądnąć do terminarza, że oddzwoni. Do widzenia. Moi mistrzowie orzekli, że to koniec naszych kontaktów. Zadzwoił następnego dnia; domyśliłem się, że nie z ambasady, bo tym razem znów był jowialny.

Okej, David, ósma w piątek?

Czy będziecie oboje?

Koniecznie. Sierowa też przyjdzie.

Doskonale, Iwanie. Do zobaczenia o ósmej. Ukłony dla małżonki.

Przez cały dzień dźwiękowcy sprowadzeni z Londynu majstrowali podśluch w naszym salonie. Żona martwiła się, że zadrapią farbę na ścianach. O oznaczonej godzinie na podjazd przed domem zajeżdża i powoli się zatrzymuje potężny osobowy ził z szoferem i zaciemnionymi szybami. Otwierają się tylne drzwi. Z wnętrza wynurza się Iwan – tyłem, zupełnie jak Alfred Hitchcock w jednym ze swych filmów, ciągnąc za sobą olbrzymi futerał na wiolonczelę. I więcej nikt. Czyli jednak przyjechał sam? Wcale nie. Drugie drzwi z tyłu, których nie widzę z ganku domu, także się otwierają – za chwilę po raz pierwszy zobaczę panią Sierową. Ale to nie Sierowa. To wysoki, zwinny człowiek w eleganckim jednorzędowym czarnym garniturze.

– Powitaj Dimitrija – oznajmia Sierow na progu. – On zamiast mojej żony.

Dimitrij wyznaje, że też kocha muzykę.

Przed obiadem Sierow, który najwyraźniej nie miał żadnych oporów w spożywaniu trunków, pił wszystko, czym go częstowano, i pożarł cały półmisek kanapek, po czym zagrał nam na wiolonczeli jakąś uwerturę Mozarta. Biliśmy brawo, a najgłośniej Dimitrij. Potem, przy obiedzie – Sierow okazał się wielkim amatorem dziczyzny – Dimitrij oświecił nas co do najnowszych sowieckich osiągnięć w dziedzinie sztuki, podróży kosmicznych i walki o pokój.

Po kolacji Iwan zagrał nam trudny utwór Strawińskiego. Znowu biliśmy brawo, znowu pod przywództwem Dimitrija. O dziesiątej na podjazd znów wtoczył się ził. Iwan wziął wiolonczelę i poszedł sobie z Dimitrijem u boku.

Kilka tygodni później został wezwany do powrotu do Moskwy. Nigdy nie podzielono się ze mną informacjami z jego akt, nie wiem więc, czy był z KGB, czy z GRU, i czy naprawdę nazywał się Sierow, więc mogę wspominać go takim, jakim go poznałem – jako „Kulturalnego Sierowa”, jowialnego melomana, który pewnie od czasu do czasu przemyślał smutno, czyby nie uciec na Zachód. Może nawet to tu, to tam wysyłał takie sygnały, ale bez prawdziwej chęci doprowadzenia sprawy do końca. Bo że pracował albo dla KGB, albo dla GRU, to pewne, inaczej nie miałyby takiej swobody poruszania się po Bonn. Czyli „kulturalny” znaczy szpieg. Krótko mówiąc, był po prostu jeszcze jednym Rosjaninem rozdartym między miłością do ojczyzny a niespełnionym marzeniem o trochę większej wolności.

Czy widział we mnie kolegę po fachu? Kolejnego Schulza? KGB, jeżeli tylko się mną interesował, nie mógł się nie domyślić, kim jestem. Nie zdawałem egzaminu do służby dyplomatycznej, nigdy nie uczestniczyłem w tych odbywających się w wiejskich dworach rautach, na których podobno sprawdzano oglądę towarzyską potencjalnych dyplomatów. Nie uczęszczałem na żaden kurs w Foreign Office ani nawet nie byłem nigdy w kwaterze głównej ministerstwa w Whitehall. W Bonn pojawiłem się znikąd – i na dodatek mówiłem bezczelnie dobrze po niemiecku.

A jeżeli to wszystko nie wystarczyło, by zdemaskować mnie jako szpiega, to pozostawały jeszcze sokolookie żony naszych dyplomatów, które drapieżnie śledziły każdy krok potencjalnych rywali ich mężów do awansów, orderów i tytułów szlacheckich – nie gorzej niż najwytrawniejszy specjalista z KGB. Tym paniom wystarczył jeden rzut oka w mój życiorys, by wiedzieć, że nie muszą się mną przejmować. Nie byłem „z tych sfer”. Byłem „przyjacielem”, bo tak właśnie porządni ludzie z brytyjskich służb dyplomatycznych nazywają szpiegów, których muszą z taką odrazą gościć pod swoim dachem.

Dziedzictwo

Jest rok 2003. Spod hotelu w Monachium zabiera mnie o świcie opancerzony mercedes z szoferem. Wiezie mnie kilkadziesiąt kilometrów do sympatycznego bawarskiego miasteczka Pullach. Główne gałęzie przemysłu: piwowarstwo, ale podupadłe, i szpiegostwo, które jest wieczne. Jestem umówiony na *déjeuner d'affaires* z doktorem Augustem Hanningiem, ówczesnym urzędującym szefem BND, wywiadu niemieckiego, i kilkoma jego najważniejszymi współpracownikami. Za strzeżoną bramą mijamy niskie budynki, częściowo skryte w drzewach i spowite siatką kamuflażową, i wreszcie dojeżdżamy do przyjemnego białego dworku, bardziej typowego dla północnych niż południowych Niemiec. Doktor Hanning czeka na progu. Mówi, że mamy trochę czasu. Czy chciałbym rozejrzeć się po siedzibie firmy? Dziękuję, Herr Doktor, z wielką przyjemnością.

Ponad trzydzieści lat wcześniej, podczas pracy dyplomatycznej w Bonn i Hamburgu, nie miałem żadnych kontaktów z BND. Nie zostałem im „zadeklarowany”, jak się mówiło w szpiegowskim żargonie, więc tym bardziej nie miałem wstępu do ich sławnej kwatery głównej. Ale gdy upadł mur berliński – tego wydarzenia jakoś nie przewidział żaden wywiad – i ambasada brytyjska w Bonn, nie posiadając się ze zdumienia, musiała spakować manatki i przenieść się do Berlina, nasz ówczesny ambasador był tak dzielny, że uparł się, by mnie zaprosić do Bonn dla uświetnienia przeprowadzki. Tymczasem napisałem powieść pod tytułem *Małe miasteczko w Niemczech*, w której nie oszczędziłem ani ambasady brytyjskiej, ani ówczesnego rządu bońskiego. Wieszcząc – błędnie – zwrot Niemiec Zachodnich ku radykalnej prawicy, wymyśliłem wspólny spisek brytyjskich dyplomatów i zachodnioniemieckich polityków, w wyniku którego zginął pracownik ambasady chcący ujawnić niewygodną prawdę.

Nie miałem więc najmniejszych złudzeń, że wszyscy bez wyjątku marzyli o tym, bym to właśnie ja zamykał starą ambasadę albo otwierał nową, ale ambasador, człowiek bardzo kulturalny, wolał myśleć inaczej. Nie wystarczyło mu, że wygłosiłem optymistyczne (mam nadzieję) przemówienie na ceremonii

pożegnania – zaprosił mnie do swej rezydencji nad Renem wraz ze wszystkimi prawdziwymi pierwowzorami moich fikcyjnych niemieckich urzędników, których tak obsmarowałem w książce, i jeszcze uparł się, że w zamian za zaproszenie na kolację każdy z nich wygłosi przemówienie jako jedna z postaci mojej powieści.

I pan doktor August Hanning, grający najczarniejszy charakter w całej historyjce, uczynił to z wielkim wdziękiem i dowcipem. Za ten gest byłem mu bardzo wdzięczny.

Teraz jesteśmy w Pullach, minęło ponad dziesięć lat, Niemcy są już całkowicie zjednoczone, Hanning czeka na mnie na progu swego ładnego białego dworku. Choć nigdy tam nie byłem, znam z grubsza – jak każdy – całą historię BND. Wiem, że generał Reinhard Gehlen, szef hitlerowskiego wywiadu wojskowego na froncie wschodnim, jakoś pod koniec wojny wywiózł swoje bezcenne sowieckie archiwum do Bawarii, ukrył je, po czym dogadał się z amerykańską OSS, poprzedniczką CIA, przekazał jej archiwum, swoich ludzi i siebie w zamian za to, że został szefem antysowieckiej organizacji szpiegowskiej kontrolowanej przez Amerykanów, którą zresztą później nazwano Organizacją Gehlena albo, dla wtajemniczonych, po prostu „Org”.

Oczywiście były pewne etapy pośrednie, nawet coś w rodzaju zalotów i umizgów. W roku 1945 Gehlen zostaje przewieziony do Waszyngtonu. Oficjalnie jest wciąż jeńcem. Allen Dulles, naczelny szpieg Ameryki, założyciel i pierwszy dyrektor CIA, ogląda go sobie i uznaje, że mu się podoba. Gehlena się zabawia, dopieszcza, zabiera na mecz bejsbolowy, ale nie wyzbywa się on małomówności i rezerwy, które w świecie szpiegów zbyt łatwo brane są za tajemniczość i głębię. Nikt nie wie – albo nikogo nie obchodzi – że szpiegując w Rosji na rzecz Führera, dał się złapać na sowiecką dezinformację, przez co znaczna część jego archiwum jest bez wartości. Teraz toczy się nowa wojna, Gehlen jest po naszej stronie. W roku 1946, zapewne już nie będąc jeńcem, zostaje przywieziony w teczce jako szef dopiero rodzącego się zagranicznego wywiadu Niemiec Zachodnich – oczywiście pod protekcją CIA. Trzon jego organizacji stanowią starzy towarzysze z czasów hitlerowskich. Ręcznie sterowana amnezja odstawia przeszłość do lamusa.

Podejmując odgórnie decyzje, który z byłych czy obecnych hitlerowców jest z definicji lojalny sztandarowi antykomunizmu, Dulles i jego zachodni sprzymierzeńcy oczywiście oszukiwali samych siebie na wielką skalę. Każde dziecko wie, że osoba o podejrzanym przeszłości to świetny kandydat do szantażu. Kiedy dodać do tego głęboko zakorzenione resentymy po klęsce militarnej,

urazoną dumę i skrywane oburzenie na dywanowe bombardowania przez aliantów rodzinnych miast – na przykład Drezna – trudno o lepszą receptę na zwerbowanie przez KGB czy Stasi.

Bardzo pięknie ilustruje to zjawisko przypadek Heinza Felfego. W roku 1961, gdy wreszcie został aresztowany – akurat byłem wtedy w Bonn – ten rodowity drezdeńczyk zdążył już być szpiegiem hitlerowskiej SD, brytyjskiego MI6, wschodnioniemieckiej Stasi i sowieckiego KGB, właśnie w takiej kolejności – aha, no i oczywiście BND, gdzie był cenionym uczestnikiem zabawy w kotka i myszkę prowadzonej z rosyjskimi służbami wywiadowczymi. I nic dziwnego, bo jego sowieccy i wschodnioniemieccy chlebobdawcy podrzucali mu wszystkich swych niepotrzebnych agentów w szeregach Orgu, żeby ich najlepszy agent mógł ich sobie zdemaskować i chodzić w chwale. Felfe był tak cenny dla swych sowieckich panów, że umieścili w NRD specjalną placówkę KGB, której jedynym zadaniem było prowadzenie agenta, analiza dostarczanych przez niego informacji i dbanie o jego karierę w Orgu.

Do roku 1956, gdy Org otrzymał szumną nazwę Federalnej Służby Wywiadowczej, czyli Bundesnachrichtendienst, BND, Felfe i jego wspólnik o nazwisku Clemens, podobnie jak on pochodzący z Drezna i czołowy przedstawiciel BND, dostarczyli Rosjanom kompletną strukturę swej organizacji, w tym również listę dziewięćdziesięciu siedmiu głęboko zakonspirowanych oficerów za granicą – można powiedzieć, że to był taki wielki szlem. Ale Gehlen, wieczny pozer i nieco fantasta, dotrwał na stanowisku do roku 1968, kiedy już 90 procent jego agentów w NRD pracowało dla Stasi. Za to w Pullach siedziało na etatach w BND szesnaścioro członków jego bliższej i dalszej rodziny.

Nikt nie potrafi robić lepszych nadużyć finansowych niż szpiegdy. Nikt nie umie tak świetnie wykorzystywać służbowych misji do własnych celów. Nikt lepiej od nich nie potrafi tworzyć wokół siebie atmosfery tajemniczej wszechwiedzy i całkiem się w niej ukryć. Nikt nie jest lepszym specjalistą w sprawianiu wrażenia, że jest lepszy od innych i że właśnie dlatego trzeba płacić mu bająnskie sumy za drugorzędne informacje, których atrakcyjność jest efektem nie ich prawdziwej wartości, lecz podejrzanych sposobów, które pozwoliły je zdobyć. W tym wszystkim BND nie była bynajmniej odosobniona⁸.

Jesteśmy więc w Pullach, mamy trochę czasu, gospodarz oprowadza mnie po swym sympatycznym wiejskim dworku, urządzonej całkiem w angielskim stylu. Dają po sobie poznać, że jestem pod wrażeniem – tego, zdaje się, oczekuje mój przewodnik – imponującej sali konferencyjnej z długim lśniącym stołem, dwudziestowiecznych pejzaży na ścianach i ładnego widoku na wewnętrzny dziedziniec, gdzie posągi chłopców i dziewcząt, takich, co to „w zdrowym ciele zdrowy duch”, w heroicznym pozach wdzięczą się do siebie z cokołów.

– Panie doktorze, to wszystko jest doprawdy niezwykle – mówię grzecznie.

Hanning odpowiada z leciutkim uśmieszkiem:

– O tak, Martin Bormann miał całkiem niezły gust.

Podążam za nim w dół po stromych schodach, mijając kolejne podesty, i wreszcie docieramy do spersonalizowanej na potrzeby Bormanna wersji *Führerbunker* Hitlera, gdzie są i łóżka, i telefony, latryny, wentylacja – słowem wszystko, co potrzebne do życia ulubionemu pomocnikowi Hitlera. Gdy rozglądam się wokół z głupią miną, Hanning zapewnia mnie z tym samym uśmiechem, że to wszystko jest teraz zabytkiem, chronionym oficjalnie przez bawarskie prawo. A więc to tu przywieziono Gehlena w roku 1947, myślę sobie. Do tego domu. Tutaj wydano mu racje żywnościowe, świeżą pościel, archiwa i katalogi z czasów hitlerowskich, tu sprowadzono mu dawnych współpracowników – podczas gdy Martina Bormanna szukały nieskoordynowane grupki amatorów, a świat usiłował jakoś pojąć nieopisaną groźbę Belsen, Dachau, Buchenwaldu, Auschwitzu i całej reszty. To tu umieszczono Reinharda Gehlena i jego hitlerowskich tajniaków – w wiejskiej rezydencji Bormanna, któremu raczej się już nie przyda. A więc można być najpierw niezbyt zdolnym szefem szpiegów Hitlera, umykającym przed furią Rosjan, a już za chwilę przeobrazić się w ulubieńca zwycięskich Amerykanów.

No cóż, może jestem za stary, by się dziwić. To samo zdaje się sugerować uśmiech gospodarza. Przecież ja też uprawiałem kiedyś ten zawód. Przecież moja własna firma energicznie wymieniała się informacjami z gestapo aż do roku 1939. I czy nie pozostawała w przyjaznych stosunkach z szefem tajnej policji Muammara Kaddafiego aż do samego końca rządów tegoż – tak przyjaznych, że wychwytywała jego przeciwników politycznych, nie wyłączając kobiet w ciąży – i dostarczała ich do więzienia w Trypolisie, gdzie byli przesłuchiwani zgodnie z najpiękniejszymi miejscowymi tradycjami?

Czas wracać po długich kamiennych schodach, bo już podano śniadanie. Gdy docieramy na górę, znajdujemy się – jak mi się zdaje, choć pewności nie mam – w głównym holu budynku przed honorową ścianą, z której witają mnie dwa portrety: admirała Wilhelma Canarisa, szefa hitlerowskiej Abwehry z lat 1935-1944, i naszego dobrego znajomego generała Reinharda Gehlena, pierwszego szefa BND. Canaris, farbowany lis, nazista, lecz bynajmniej nie wielbiciel Hitlera, prowadził podwójną grę z prawicowymi grupkami ruchu oporu, ale i z wywiadem brytyjskim, z którym pozostawał w sporadycznym kontakcie przez całą wojnę. Za swą dwulicowość zapłacił w końcu w roku 1945, gdy został postawiony przed sądem doraźnym i stracony ze szczególnym okrucieństwem przez SS – w sumie był to dzielny, choć nieco zdezorientowany bohater. Nie był antysemitą, zdradził przywódców swego kraju... Za to co do Gehlena, też

przecież zdrajcy, trudno powiedzieć, co można w nim podziwiać w świetle twardych historycznych faktów – poza obłudą, chytryością i darem przekonywania godnym wielkiego oszusta.

Patrząc na te dwie jakby zawstydzone twarze, zastanawiam się więc, czy to wszystko, na co stać BND. Czy ci dwaj wątpliwi herosi to jedyny model do naśladowania, jaki ta instytucja może zaoferować nowym, pełnym entuzjazmu pracownikom? I pomyśleć tylko, o ile bogatszym repertuarem dysponuje w tym względzie nasz brytyjski świat tajnych służb! Własną mitologię tworzy oczywiście każda organizacja szpiegowska, ale Brytyjczycy są pod tym względem klasą samą w sobie. Po co wspominać nasze fatalne wpadki z czasów zimnej wojny, gdy KGB okpiwał nas i penetrował, jak chciał? Lepiej się szczyścić czasami drugiej wojny światowej, tymi naszymi najpiękniejszymi, najdumniejszymi chwilami – jeśli wierzyć naszej telewizji i tabloidom. Nasi szyfranci z Bletchley Park! Nasz system Double Cross, dzięki któremu przeciągnęliśmy na swoją stronę tylu wrogich agentów! A nasza fantastyczna kampania dezinformacyjna przed lądowaniem w Normandii! A nasi nieuchwytni radiooperatorzy i sabotażyści zrzućani na tyły wroga! Skoro szlak został przetarty przez takich bohaterów, nic dziwnego, że przeszłość naszej firmy stanowi ciągle źródło inspiracji dla nowych pracowników!

A przede wszystkim to myśmy wygrali, więc to my mogliśmy pisać historię.

Biedna BND nie ma do zaoferowania swym rekrutom równie szczytnych – choćby podejrzanych – tradycji. Nie może na przykład przechwalać się prowadzoną przez Abwehrę operacją Biegun Północny, zwaną również *Englandspiel*, „angielską grą”, kampanią dezinformacji, w wyniku której brytyjskie kierownictwo sił specjalnych wysłało na pewną śmierć – lub na jeszcze gorszy los – pięćdziesięciu dzielnych holenderskich agentów do ich okupowanej ojczyzny. Niemieckie osiągnięcia kryptologiczne też były nie w kij dmuchał, ale cóż z tego? Jak tu chwalić się niewątpliwym talentem kontrwywiadowczym Klausa Barbiego, byłego szefa gestapo w Lyonie, zwerbowanego na informatora BND w roku 1966? Barbie osobiście torturował dziesiątki członków francuskiego ruchu oporu, co w końcu wyszło na jaw mimo ukrywania tego faktu przez aliantów. Został skazany na dożywocie i w końcu zmarł w tym samym więzieniu, w którym dopuścił się swych najgorszych czynów – ale wcześniej podobno pomagał CIA w polowaniu na Che Guevarę.

Na razie dowody wskazują, że to niemożliwe. W roku 2002 BND i NSA podpisały porozumienie stwierdzające kategorycznie, że niemieccy figuranci są dla Amerykanów owocem zakazanym. Założono specjalne filtry mające zapewnić przestrzeganie umowy. To co się stało – filtry nie zadziałały? A jeśli nie zadziałały, to czy z powodu błędu ludzkiego, technicznego czy też ze zwykłego

rozprężenia, które przychodzi z czasem? I czy NSA, stwierdziwszy usterkę, uznała, że nie warto niepokoić nią niemieckiego sojusznika?

Jak twierdzą lepiej ode mnie zorientowani obserwatorzy Bundestagu, komisja najprawdopodobniej uzna, że biuro kanclerza zaniedbało swój konstytucyjny obowiązek nadzoru nad BND, że BND zaniedbała obowiązek nadzoru nad sobą i że choć współpraca z wywiadem amerykańskim była faktem, to nie miała charakteru zmowy. Kiedy będziecie czytali te słowa, sprawa okaże się jeszcze bardziej skomplikowana i niejednoznaczna i w końcu winić będzie można wyłącznie historię.

I może rzeczywiście jedynym winnym jest tu historia. Gdy niedługo po wojnie amerykański wywiad radiowy po raz pierwszy zarzucał swe sieci na młodą Republikę Federalną, świeżo powołany rząd Adenauera robił wszystko, co mu kazano – a kazano mu bardzo niewiele. Z czasem stosunki te trochę się zmieniły, ale była to zmiana wyłącznie kosmetyczna. NSA nadal szpiegowała, kogo i jak chciała, bez żadnego nadzoru ze strony BND, a trudno sobie wyobrazić, by ten zwyczaj od pierwszego dnia nie obejmował szpiegowania w obcym kraju wszystkiego, co się rusza. Szpiegdy szpiegują, bo im się na to pozwala.

Wydaje mi się dość nieprawdopodobne, by BND kiedykolwiek udało się skutecznie kontrolować NSA – a tym bardziej, by było to możliwe w przypadku wyboru przez NSA swych niemieckich i europejskich celów. Dziś NSA stosuje prostą zasadę: chcecie, żebyśmy wam powiedzieli o zagrożeniu terrorystycznym w waszym kraju, to siedźcie cicho i róbcie, co się wam każe.

Oczywiście po rewelacjach Snowdena Wielka Brytania też przeprowadziła podobne śledztwa i doszła do równie mało znaczących wniosków. I w tym przypadku chodziło o tak niewygodne sprawy, jak zakres świadczeń wykonywanych przez nasz wywiad radiowy na rzecz Ameryki, by robić za Amerykę to, czego Ameryce nie wolno robić dla siebie. Tylko że brytyjska opinia publiczna, choć bardzo się oburzała, od dziecka karmi się tajemnicami i poddaje się perswazji prorządowych środków masowego przekazu, by nie przesadzać z awanturami o naruszanie prywatności. Jeżeli doszło do łamania prawa, to pośpiesznie je zmieniono, żeby wszystko było w porządku. Jeżeli protesty trwają nadal, tłumi je prawica. Tłumaczenie jest zawsze takie samo: co z nami będzie, jeżeli ktoś podważy naszą lojalność względem Stanów Zjednoczonych?

Za to Niemcy, którzy w jednym pokoleniu doświadczyli i faszyzmu, i komunizmu, nie przechodzą tak łatwo do porządku dziennego nad państwowymi szpiegami, którzy wścibiają nos w sprawy uczciwych obywateli – a już na pewno nie wtedy, gdy czynią to na zamówienie i na korzyść obcego supermocarstwa i domniemanego sojusznika. To, co w Wielkiej Brytanii określa się mianem

special relationship, nazywane jest w Niemczech zdradą stanu. Niemniej przewiduję, że w naszych niepewnych czasach nie pojawi się żaden jednoznaczny werdykt w tej sprawie, nim ta książka pójdzie do druku. Niemiecki parlament powie swoje, ktoś zaraz przypomni, że w tej chwili liczy się przede wszystkim wojna z terroryzmem, a zaniepokojeni niemieccy obywatele usłyszą, że lepiej nie gryźć ręki, która karmi, nawet jeśli ostatnio trochę zanadto ich obmacywała.

Ale gdyby mimo wszystko doszło do najgorszego, czym to usprawiedliwić? Chyba tylko tym, że podobnie jak każdy, kto nie jest pewny własnego pochodzenia, BND nie wie do końca, czym ma być. Nawet w najlepszych czasach obustronna wymiana informacji z nadmiernie potężną agencją wywiadowczą to niebezpieczna sprawa, szczególnie gdy chodzi o wymianę z krajem, który wydał nas na świat, zmieniał nam pierwsze pieluszki, płacił kieszonkowe, sprawdzał zadania i wskazywał drogę życiową. Jest to nawet jeszcze trudniejsze, gdy ma się do czynienia z krajem, który wydzierżawił wiele swoich spraw zagranicznych własnym szpiegom – a to coś, co ostatnio Stany Zjednoczone robią aż za często.

Niewinność Murata Kurnaza

Siedzę w pokoju na wysokim piętrze hotelu w Bremie na północy Niemiec. Z okna mam widok na szkolne boisko lekkoatletyczne. Jest rok 2006. Murata Kurnaza, Niemca pochodzenia tureckiego, urodzonego, wychowanego i wykształconego w Bremie, właśnie wypuszczono na wolność po pięciu latach spędzonych w więzieniu w Guantánamo. Zanim tam trafił, został aresztowany w Pakistanie, sprzedany Amerykanom za trzy tysiące dolarów. Był trzymany przez dwa miesiące w amerykańskim ośrodku tortur w Kandaharze, rażony prądem, bity do utraty przytomności, podtapiany i zawieszany na haku. Mimo olbrzymiej siły fizycznej o mało nie umarł. Kiedy już spędził w Guantánamo cały rok, jego amerykańscy i niemieccy śledczy – dwaj z BND, jeden z niemieckiej służby bezpieczeństwa – uznali wreszcie, że jest niegroźny, naiwny i nie przedstawia żadnego zagrożenia dla niemieckich, amerykańskich czy izraelskich interesów.

Tu jednak pojawia się paradoks, którego nie umiem ani rozwiązać, ani wyjaśnić, ani tym bardziej osądzić. Kiedy poznałem Kurnaza osobiście, nie miałem pojęcia, że doktor Hanning, z którym zasiadałem przy ambadorskim stole w Bonn, ten sam, który gościł mnie w Pullach, odgrywał jakąkolwiek rolę w jego losach. Dopiero teraz dowiaduję się, że na spotkaniu wysokich niemieckich urzędników państwowych i szefów agencji wywiadowczych, które odbyło się zaledwie kilka tygodni temu, Hanning jako *präsident* BND głosował przeciwko powrotowi Kurnaza, a więc najwyraźniej niezgodnie z zaleceniami członków własnej służby. Jeżeli Kurnaz ma gdziekolwiek wracać, niech wraca do Turcji, tam, gdzie jego miejsce. Albo jeszcze bardziej pokrętnie: Kurnazowi nie można wierzyć, że nie był kiedyś terrorystą albo że nie zostanie nim w przyszłości – podobno to słowa Hanninga.

W roku 2004, gdy Kurnaz był jeszcze więziony w Guantánamo, policja i służby bezpieczeństwa bremeńskiego kraju związkowego oświadczyły, że skoro Kurnaz nie przedłużył sobie pozwolenia na pobyt, zdążyło ono wygasnąć. Zaniedbanie było dość zrozumiałe, zważywszy, że w klatkach w Guantánamo

trudno o pióro, atrament, znaczki pocztowe i papier listowy, ale to nie przeszkodziło w zabronieniu mu wstępu do domu własnej matki.

Oczywiście sąd szybko unieważnił tę decyzję, Hanning jednak do dziś nie zmienił zdania.

Tylko że gdy wspominam, jak mniej więcej sześćdziesiąt lat temu, podczas zimnej wojny, sam musiałem podobnie, choć w znacznie skromniejszej roli sędzić ludzi, którzy często dość przypadkowo trafiali do tej czy innej kategorii – dawni sympatycy komunizmu, poputczycy, właściciele legitymacji zdelegalizowanej partii i inni – orientuję się, że i moje dylematy nie miały łatwego rozwiązania. Na pierwszy rzut oka i na papierze młody Kurnaz pasował jak ulał. W Bremie uczęszczał do meczetu znanego z propagowania radykalizmu. Przed wyjazdem do Pakistanu zapuścił brodę i domagał się od rodziców, by surowiej stosowali się do zasad Koranu. Gdy wyruszył w podróż, zrobił to w tajemnicy, nie informując rodziców. Bardzo zły początek. Mama tak się przestraszyła, że sama poszła na policję, skarżąc się, że syn się zradykalizował w meczecie Abu Bakra, czytał dżihadystyczne pisemka i zamierzał uczestniczyć w dżihadzie w Czeczenii lub Pakistanie. Podobne zeznania złożyli z różnych powodów inni bremeńscy Turcy. Nic dziwnego – całą ich społeczność dzieliły podejrzenia, brak perspektyw i wzajemne urazy. W końcu zamach na WTC też przeprowadzili ich współwyznawcy z całkiem niedaleka, bo z Hamburga. Ze swej strony Kurnaz twierdził nieodmiennie, że jedynym powodem wyjazdu do Pakistanu była chęć pobierania nauk o islamie. Pasował więc jak ulał – tylko że nie został żadnym terrorystą. Kurnaz nie popełnił najmniejszego przestępstwa i przeszedł przez piekło – za niewinność. Tylko że gdyby mnie cofnąć w czasie i przedstawić podobne dowody w takim samym klimacie zagrożenia, nie sądzę, bym zaraz rzucił się Kurnazowi na ratunek.

Teraz siedzę sobie wygodnie w pokoju hotelowym w Bremie, popijam kawkę i pytam Kurnaza, jak udało mu się porozumiewać ze współwięźniami z sąsiednich cel, choć groziło to natychmiastowym pobiciem i innymi karami, na które Kurnaz był szczególnie narażony z racji własnego uporu i sporych rozmiarów. Trzymano go w klatce, w której przez dwadzieścia trzy godziny na dobę ani nie mógł się wyprostować, ani siedzieć.

Odpowiada – po namyśle, do czego już zdążyłem się przyzwyczaić – że trzeba było uważać. I to nie tylko na strażników, lecz także na innych więźniów. Nie wolno było nikogo pytać, za co tu są. Ani czy należą do Al-Kaidy. Kiedy

jednak przez cały dzień i całą noc trwa się w kucki o metr od współwięźnia, nic dziwnego, że prędzej czy później kontakt się jakoś nawiązuje.

Przede wszystkim mieli te malutkie umywaleczki, tylko że one służyły do takich bardziej ogólnych kontaktów. O oznaczonej godzinie – nie chciał powiedzieć, jak uzgadniano porę, bo wielu z tych „wrogich bojowników” wciąż tkwiło w więzieniu – przestawali używać umywalek i szeptali w odpływ. Nie dało się słyszeć słów, lecz ten kolektywny szmer dawał poczucie wspólnoty.

Były też styropianowe kubki z zupą, które wsuwano im do celi razem z kawałkiem suchego chleba. Po wypiciu zupy można było wyłamać z kubka mały kawałek krawędzi, mniej więcej wielkości paznokcia, i mieć nadzieję, że strażnik nie zauważy. Wtedy specjalnie na tę okazję nieprzycinanym paznokciem można było wyryć w styropianie werset z Koranu. Należało też zostawić sobie odrobinę chleba, pożuć go trochę i ulepić z niego kulkę. Następnie wyciągało się nitkę z więziennego drelichu, jeden koniec zawiązywało się na kulce z chleba, drugi na styropianie i wykorzystując chleb jako ciężarek, przerzucało się całość przez kratę do sąsiada, który wciągał ją do swojej klatki.

Po pewnym czasie przychodziła podobna odpowiedź.

Ponieważ chodziło o niewinnego człowieka, którego nawet według chwiejnych zasad prawnych rządzących Guantánamo niesłusznie, jak stwierdzono, zamknięto na pięć lat i wobec tego należy go odesłać do domu, Kurnaza przewiózł do bazy w Ramstein specjalny samolot. Na podróż sprawiono mu czystą bieliznę, dżinsy i biały T-shirt. Żeby było mu jeszcze przyjemniej, podczas lotu pilnowało go dziesięciu żołnierzy amerykańskich, a gdy po wylądowaniu przekazano go niemieckiemu komitetowi powitalnemu, amerykański dowódca wręczył swemu niemieckiemu odpowiednikowi lżejsze i nieco wygodniejsze kajdanki na resztę podróży. Oficer niemiecki – chwala mu za to – odpowiedział:

– Nie popełnił żadnego przestępstwa. Tu, w Niemczech, jest już wolnym człowiekiem.

Tej opinii nie podzielał jednak August Hanning.

Wszystko przecież zaczęło się od tego, że w roku 2002 Hanning uznał Kurnaza za zagrożenie dla bezpieczeństwa Niemiec. Od tego czasu – o ile wiem – nie wyjaśniono, dlaczego nie chciał słuchać niemieckich i amerykańskich śledczych. W każdym razie jeszcze pięć lat później, w roku 2007, tym razem jako osoba odpowiedzialna za sprawy wywiadu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, Hanning nie tylko po raz kolejny sprzeciwiał się pobytowi

Kurnaza w Niemczech – sprawa była jak najbardziej aktualna, bo Kurnaz właśnie wrócił – ale również za przekroczenie uprawnień besztal śledczych z BND, swych byłych podwładnych, którzy uznali, że Kurnaz jest niegroźny.

Gdy w końcu ja sam, trochę poniewczasie, stanąłem w obronie Kurnaza, Hanning, którego nadal bardzo szanuję, przesłał mi przyjacielskie ostrzeżenie, że wybrałem sobie zły obiekt współczucia, ale nie wyjaśnił, dlaczego tak uważa. A ponieważ żadnego powodu nigdy nie przedstawił ani opinii publicznej, ani szanowanemu adwokatowi Kurnaza, uznałem za stosowne nie zastosować się do tej rady. Może chodziło o coś więcej? Czasem prawie chciałem w to uwierzyć. Czy demonizacja Kurnaza miała służyć jakiejś politycznej konieczności? Czy Hanning, którego zawsze miałem za człowieka honoru, poświęcał się w ten sposób?

Nie tak dawno Kurnaz przyjechał do Anglii na promocję książki, którą napisał o swoich przeżyciach. Książka została dobrze przyjęta w Niemczech i przetłumaczona na kilka języków⁹. Ja sam gorąco ją chwaliłem. Na początku swego angielskiego tournée Kurnaz był u nas przez chwilę w Hampstead, gdzie za namową mecenasa Philippe'a Sandsa, specjalisty od praw człowieka, został zaproszony bez zapowiedzi, by przemówić do uczniów liceum University College. Zaproszenie przyjął i przemówił tak, jak zawsze mówi – prosto i ostrożnie, płynną angielszczyzną, której nauczył się w Guantánamo, między innymi od tych, którzy go tam przesłuchiwali. W pękającej w szwach sali uczniom różnych wyznań – lub bez wyznania – wyjaśnił, że przy życiu trzymało go jedno: wiara muzułmańska. Nie chciał oskarżać ani swych strażników, ani katów. Jak zwykle ani słowem nie wspomniał o Hanningu ani o żadnym innym niemieckim polityku czy urzędniku, którzy sprzeciwiali się jego powrotowi. Opowiedział, że gdy został zwolniony, podał strażnikom swój adres w Niemczech, na wypadek gdyby ciężar tego, co zrobili, stał się kiedyś dla nich zbyt wielki. Wzruszył się dopiero wtedy, gdy mówił o swych współwięźniach. Powiedział, że nie zamilknie, dopóki w Guantánamo pozostanie choć jeden człowiek. Gdy skończył, młodzieży, która chciała uścisnąć mu dłoń, zgromadziło się tyle, że trzeba było sformować kolejkę.

W mojej powieści *Bardzo poszukiwany człowiek* występuje Niemiec tureckiego pochodzenia. Ma tyle samo lat co Murat, jest tego samego wyznania, ma takie samo pochodzenie. Nazywa się Melik i też przychodzi mu zapłacić podobną cenę za coś, czego nie zrobił. Budową ciała, sposobem mówienia i bycia bardzo przypomina Murata Kurnaza.

Praca w terenie

Moje biurko do pracy w Kornwalii zostało wbudowane w strych granitowej stodoły stojącej na samym skraju nadmorskiego klifu. Gdy słonecznym lipcowym rankiem patrzę przed siebie w dal, widzę tylko Atlantyk, zabarwiony na idiotycznie perfekcyjny śródziemnomorski lazur, i całą flotyllę smukłych żaglówek pochylających się na lekkiej wschodniej bryzie. Znajomi, którzy nas odwiedzają, uważają – w zależności od pogody – albo że jesteśmy kopnięci, albo że czuwa nad nami szczególne boże błogosławieństwo. Dziś mamy błogosławieństwo, ale na tym cypelku na krańcu świata pogoda może człowieka zaskoczyć, gdy tylko jej przyjdzie chęć. Dzień i noc sztorm, potem nagle cisza i spokój. W dowolnym dniu w ciągu roku na naszym klifie może sobie zaparkować gęsty obłok mgły i nie ma takiego deszczu, który mógłby go stamtąd przegonić.

Kilkaset metrów w głąb lądu, w rozwalonej ruderze należącej do starego gospodarstwa o przepięknej nazwie Boscawen Rose, mieszka sobie rodzina płomyków. W pełnym składzie widziałem je tylko raz: dwie dorosłe sowy i rządkiem czworga piskląt ustawił się na połamanym parapecie do rodzinnego zdjęcia, którego nie zdążyłem zrobić. Od tej pory stosunki towarzyskie utrzymuję tylko z jednym dorosłym osobnikiem – a przynajmniej tak sobie mówię, bo przecież za każdym razem może to być każdy członek tej sporej rodziniki (pisklęta już dawno dorosły). Tata sowa – bo uparcie tak o nim myślę – jest moim tajemnym współnikiem, który w jakiś nieznan mi sposób zawsze z wyprzedzeniem informuje mnie o swym przybyciu na długo przedtem, nim przefrunie przed moim zachodnim oknem. Siedzę tam i piszę z nosem w papierach, stracony, mam nadzieję, dla świata, ale zawsze zdążę dostrzec jego złoto-biały cień sunący tuż nad ziemią pod oknem. O ile wiem, nikt na niego nie poluje – nie zaczepiają go ani mieszkające w ścianach klifu wrony, ani sokoły wędrownie. Moja płomykówka ma też takie wyczulenie na obserwację, że nam, ludzkim szpiegom, musi wydawać się nadprzyrodzone. Unosi się w miejscu, gdzie pastwisko zaczyna stromo opadać ku morzu, pół metra nad wysoką trawą, w każdej chwili gotowa opaść na niczego niepodejrzewającą nornicę. Ale gdy

tylko spróbuję unieść głowę, natychmiast przerywa operację i kryje się za klifem. Jeżeli potem, wieczorem, mam szczęście i tata płomykówka o mnie zapomniał, pojawia się znowu. Drżą mu same tylko końce mleczno-miodowych piór. Muszę wtedy pamiętać, że obiecałem sobie nie podnosić głowy.

Pewnego słonecznego wiosennego dnia w roku 1974 zjawiłem się w Hongkongu i dowiedziałem się, że ktoś bez mojej wiedzy zbudował podmorski tunel między wyspą a leżącym na stałym lądzie Koulunem. A ja właśnie odesłałem korektę *Druciarza, krawca, żołnierza, szpiega* i w każdej chwili z pras drukarskich spłyną gotowe egzemplarze. Sęk w tym, że jedną z atrakcji książki miał być pościg promem przez cieśninę dzielącą Koulun od wyspy Hongkong. Ciężki wstyd: fragment ten pisałem tu, w Kornwalii, posiłkując się przestarzałym przewodnikiem. Teraz spotkała mnie zasłużona kara.

W hotelu był faks. W bagażu miałem oprawiony egzemplarz próbny powieści. Wygrzebałem go z walizki i w środku nocy zatelefonowałem do mojego agenta, błagając go, by jakoś przekonał wydawców, żeby wstrzymać druk. Na Amerykę i tak pewnie za późno? Powiedział, że sprawdzi, ale nie jest najlepszej myśli. Kazałem się wieść kilka razy tam i z powrotem przez tunel z notatnikiem na kolanie, przeredagowałem tekst, wysłałem faksem do Londynu i zakląłem się w capa, że już nigdy nie umieszczę żadnej sceny w miejscu, którego nie widziałem na własne oczy. Ale agent miał rację – na pierwsze wydanie amerykańskie było już za późno.

Była to cenna nauczka. Tym cenniejsza, że uświadomiła mi, iż osiągnąwszy wiek średni, zaczynam obrastać w tłuszcz, rozleniwiać się i trwonić wcześniej zgromadzony kapitał doświadczenia. Że czas zająć się tym, co nieznane. Po głowie kołatało mi powiedzenie Grahama Greene'a, że kiedy pisze się o ludzkim cierpieniu, obowiązkiem pisarza jest je dzielić. Mniejsza z tym, czy rzeczywiście wszystko przez ten tunel, czy też podjąłem tę decyzję trochę później. Wiem jedno – od przygody z tunelem wzięłem tobolek na plecy i niczym wędrowiec rodem z tradycji niemieckiego romantyzmu ruszyłem na poszukiwanie nowych przeżyć: najpierw do Kambodży i Wietnamu, potem do Izraela i między Palestyńczyków, później do Rosji, Ameryki Środkowej, Kenii i Wschodniego Konga. To tak naprawdę jedna wielka podróż, która trwa już od jakichś czterdziestu kilku lat, ale dla mnie – tak sobie myślę – zaczęła się właśnie w Hongkongu.

W ciągu kilku dni miałem szczęście zawrzeć znajomość z tym samym Davidem (H.D.S.) Greenwayem, który znacznie później pognał na łeb na szyję

obludzoną ścieżką z mojej chatki w Alpach, bez paszportu, żeby być jednym z ostatnich Amerykanów, którzy wydostali się z Phnom Penh. Gdy go poznałem, wybierał się właśnie na krótki objazd po różnych polach walki, żeby pisać stamtąd dla „Washington Post”. To może bym z nim pojechał? Czterdzieści osiem godzin później leżałem obok niego w wąskim rowie, zdrętwiały ze strachu, i wypatrywałem snajperów z armii Czerwonych Khmerów okopanych na przeciwnym brzegu Mekongu.

Do tej pory nikt nigdy do mnie nie strzelał. Nagle znalazłem się w świecie, w którym wszyscy dookoła mieli więcej odwagi niż ja – nie tylko korespondenci wojenni, ale i zwykli ludzie, wiodący codzienne życie w pełnej świadomości, że o kilka kilometrów od ich obleżonego miasta ciągną się okopy Czerwonych Khmerów, że w każdej chwili mogą spaść bomby i że popierane przez Amerykanów siły Lon Nola nie panują już nad sytuacją. Prawda, to było dla mnie czymś nowym, inni byli zaprawieni. Może rzeczywiście tak jest, że kiedy dość długo żyje się twarzą w twarz z zagrożeniem, ono powszednie – a może nawet, co gorsza, człowiek się od niego uzależnia. Później, w Bejrucie, prawie w to uwierzyłem. A może należę do tych, którzy nie potrafią pogodzić się z myślą o nieuchronności ludzkich konfliktów.

Każdy ma własne pojęcie ludzkiej odwagi. I zawsze jest ono subiektywne. Każdy zastanawia się, gdzie leży jego własna granica wytrzymałości, kiedy i jak ją osiągnie i jak zachowa się na tle innych. Co do mnie, wiem tylko tyle, że najbliższ mi było do okazania odwagi w chwili, gdy z całych sił tłumiłem w sobie coś wręcz przeciwnego – i chyba trudno o lepszą definicję stuprocentowego tchórza. W dodatku takie coś zdarzało mi się zawsze wtedy, gdy wszyscy inni wykazywali się większą odwagą niż to, do czego sam byłem zdolny, i dodawali mi jej własnym przykładem. A z tych wszystkich ludzi, których spotkałem podczas moich wędrówek, najodważniejsza – niektórzy, ale nie ja, powiedzieliby, że najbardziej szalona – była drobna prowincjonalna bizneswoman, Francuzka z Metz, Yvette Pierpaoli. Wraz ze swym partnerem Kurtem, byłym kapitanem żeglugi wielkiej ze Szwajcarii, prowadziła w Phnom Penh podejrzaną firmę eksportową z własną stajnią starych jednosilnikowych samolotów i barwnym zespołem pilotów, którzy latali z miasta do miasta ponad wrogą, bo opanowaną przez Pol Pota dżunglą, dostarczając żywność i lekarstwa, wywożąc chore dzieci do wciąż jeszcze stosunkowo bezpiecznego Penh.

Bo gdy pierścień okrążenia zaciskał się coraz ciasniej wokół stolicy i do miasta sływały zewsząd całe rodziny uchodźców, gdy zamęt powiększany był jeszcze przez beładny ostrzał i zamachy bombowe, Yvette Pierpaoli odkryła swą prawdziwą misję życiową – ratowanie dzieci, które znalazły się w niebezpieczeństwie. Jej piloci, pozbierani Bóg wie skąd po całej Azji, którzy

dotąd najczęściej transportowali maszyny do pisania i faksy, teraz wywozili dzieci z matkami z miast i miasteczek, nim opanują je Czerwoni Khmerzy Pol Pota.

Trudno się dziwić, że jej piloci byli ludźmi świętymi jakby tylko na pół etatu. Niektórzy latali przedtem w Air America, ulubionej linii lotniczej CIA; inni wozili opium; większość robiła kiedyś i jedno, i drugie. Zresztą chore dzieci często kładziono na workach z opium albo z półszlachetnymi kamieniami skupowanymi za twardą walutę w Pailin. Jeden z pilotów, z którym miałem okazję lecieć, uczył mnie, jak wylądować samolotem, gdyby sam przesadził z morfiną. W powieści, do której zbierałem wtedy materiał, a która otrzymała potem tytuł *Jego uczniowska moc*, nazywa się Charlie Marshall.

A tymczasem w Phnom Penh nieustraszona Yvette robiła, co mogła, by zapewnić schronienie i nadzieję dzieciom, które dotąd nie mogły liczyć ani na jedno, ani na drugie. Właśnie u Yvette zobaczyłem pierwszy raz w życiu ofiary wojny: martwych i zakrwawionych żołnierzy kambodżańskich, bosych, wrzuconych w równe stosy na pakę ciężarówki. Bosych, bo ktoś ukradł ich buty, nie mówiąc już o dokumentach, zegarkach czy pieniądzach, które zabrali ze sobą na pole walki. Ciężarówka stała obok baterii artyleryjskiej, która prowadziła na oślep ostrzał dżungli. Między działami snuły się bezradnie małe dzieci ogłuszone i otumanione hukiem. Blisko dzieci siedziały młode matki, których mężczyźni walczyli w dżungli. Czekwały na ich powrót z pełną świadomością, że jeżeli nie wrócą, dowódcy nie zgłoszą strat, aby pobierać żołd za poległych.

Wciąż się kłaniając, uśmiechając i wykonując *wai*, Yvette przysiadła się do kobiet i przygarniała do siebie dzieci. Nie mam pojęcia, co takiego mówiła im w huku armat. Ale już po chwili wszyscy się śmiali – i matki, i dzieci, i nawet mężczyźni obsługujący działa. W całym mieście małe dziewczynki i chłopcy kucali na zakurzonych chodnikach z litrowymi butelkami, do których zbierali benzynę z baków zniszczonych aut. Jeżeli gdzieś w pobliżu wybuchała bomba, benzyna się zapalała i dzieci stawały w płomieniach. Po każdym wybuchu Yvette zbiegała z werandy swego domku, wskakiwała do zdezelowanego autka, które prowadziła, jakby to był czołg, i przeczesywała ulice w poszukiwaniu ocalałych.

Zanim Phnom Penh wreszcie upadło, byłem tam jeszcze kilka razy. Gdy wyjeżdżałem po raz ostatni, wydawało się, że w mieście pozostaną najdłużej indyjscy sklepikarze i dziewczęta w riksach – handlarze dlatego, że im większe braki, tym wyższe ceny; a dziewczęta wierzyły w swej naiwności, że ich usługi przydadzą się zwycięzcom, kimkolwiek oni będą. W efekcie albo zostały wcielone do Czerwonych Khmerów, albo zmarły z głodu na polach śmierci.

Z Sajgonu, bo tak się jeszcze wtedy nazywał, napisałem do Grahama Greene'a, że właśnie przeczytałem *Spokojnego Amerykanina* i że ta książka jest wciąż całkowicie aktualna. List jakimś cudem dotarł do adresata, on zaś gorąco mi radził, bym odwiedził muzeum w Phnom Penh i podziwiał melonik ze strusimi piórami, którym dawniej koronowali się khmerscy królowie. Niestety musiałem odpisać, że nie ma już nie tylko melonika, ale i całego muzeum.

O Yvette krążyło wiele najdziwniejszych opowieści – niektóre całkiem wysrane z palca, inne prawdziwe, choć nieprawdopodobne. Najbardziej lubię tę, którą usłyszałem od niej samej – to nie zawsze gwarancja autentyczności – o tym, jak w ostatnich dniach Phnom Penh wmaszerowała do konsulatu francuskiego na czele całej grupy khmerskich sierot i zażądała paszportu dla każdego dziecka.

– Czyje to dzieci? – bronił się przerażony urzędnik działu wizowego.

– Moje. Ja jestem ich matką.

– Przecież one są wszystkie w tym samym wieku!

– Miałam kupę czworaczków, debilu!

Urzędnik kapituluje – zresztą pewnie chciał skapitulować. Pyta o imiona dzieci. Yvette recytuje bez namysłu:

– Lundi, Mardi, Mercredi, Jeudi, Vendredi...

Yvette Pierpaoli w kwietniu 1999 roku podczas misji w Kosowie zginęła wraz z Penny i Davidem McCallami z organizacji Refugees International, gdy kierujący ich samochodem Albańczyk nie wyrobił zakrętu na górskiej drodze i auto spadło kilkadziesiąt metrów w przepaść. Przedtem przy pomocy mojej żony napisała książkę, przetłumaczoną na kilka języków¹⁰, zatytułowaną *Kobieta z tysiącem dzieci*. Miała sześćdziesiąt jeden lat. Byłem wtedy w Nairobi, bo pisałem *Wiernego ogrodnika*, powieść, w której akcja toczy się wokół postaci kobiety gotowej na wszystko, by pomagać tym, którzy nie mogą sobie pomóc sami: w tym przypadku afrykańskim kobietom używanym jako króliki doświadczalne przy testowaniu leków. Yvette zdążyła zrobić wiele dobrego i w Afryce, i w Gwatemali, i wreszcie w Kosowie, gdzie spotkał ją tragiczny koniec. W mojej powieści główna bohaterka – na imię ma Tessa – też ginie. Od początku planowałem, że zginie; podróżując tu i tam z Yvette, pewnie jakoś zdawałem sobie sprawę, że i jej szczęście kiedyś się wyczerpie. Jako dziecko Yvette była gwałcona, bita i porzucona. Jako młoda kobieta schroniła się w Paryżu, ale tam, by przeżyć, musiała zarabiać na życie prostytutką. Kiedy zaszła w ciążę z pewnym Kambodżaninem, pojechała za nim do Phnom Penh,

lecz okazało się, że miał tam już rodzinę. W jakimś barze poznała Kurta. Zostali partnerami i w biznesie, i w życiu.

Poznałem ją w domu niemieckiego dyplomaty w oblężonym Phnom Penh – podczas obiadu serwowanego przy akompaniamencie wystrzałów dobiegających z pałacu Lon Nola sto metrów dalej przy tej samej ulicy. Był z nią Kurt. Firma, którą prowadzili, nazywała się Suisindo i miała siedzibę w starym drewnianym domu w centrum miasta. Yvette była jak iskra, twarda, o piwnych oczach, dobrze po trzydziestce, to wrażliwa, to krzykliwa, ale ani jedno, ani drugie nie trwało długo. Potrafiła podeprzeć się pod boki i zwyzywać człowieka od ostatnich. Albo uśmiechnąć się tak, że temu samemu człowiekowi robiło się ciepło na duszy. Umiała dowolnie przymilać się, schlebiać i przekabacać na swoją stronę, zawsze jednak skutecznie. I zawsze w dobrej sprawie.

A tą „sprawą” – jak każdy mógł szybko się przekonać – było zdobywanie żywności i pieniędzy dla głodujących, nie przebijając w metodach i za wszelką cenę. Lekarstwa dla chorych, schronienie dla bezdomnych, dokumenty dla bezpieczeństwa – czyniła cuda w najzwyczajniejszy biznesowy, przyziemny sposób. W niczym nie przeszkadzało jej to opierać funkcjonowania własnej firmy na sprycie i nierzadko bezczelności, szczególnie gdy miała do czynienia z ludźmi, których pieniądze – według jej głębokiego przekonania - przydałyby się znacznie bardziej potrzebującym. Suisindo miało niezłe zyski, i całe szczęście, bo zarobione przez firmę pieniądze zaraz gdzieś się rozpląwały w kolejnych akcjach dobroczynnych, które wymyślała Yvette. Kurt, najmądrzejszy i najcierpliwszy na świecie mężczyzna, tylko się uśmiechał i żegnał z zyskiem.

Rozkochany w Yvette szwedzki filantrop zaprosił ją kiedyś na swą prywatną wyspę u wybrzeży Szwecji. Phnom Penh już upadło, Kurt i Yvette przenieśli się do Bangkoku i nie mieli grosza przy duszy. Ważyły się losy wielkiego kontraktu: czy uda im się zdobyć wielomilionowe zamówienie szwedzkich funduszy pomocowych na zakup i transport ryżu dla uchodźców z Kambodży głodujących na granicy z Tajlandią? Najgroźniejszą konkurencję stanowił pewien pozbawiony skrupułów chiński kupiec. Yvette była przeświadczona – kierując się zapewne wyłącznie własną intuicją – że ten człowiek zamierza oszukać i Szwedów, i uchodźców.

Za namową Kurta wyruszyła na szwedzką wyspę. Domek na plaży okazał się miłym gniazdem uwitym na jej przyjazd. Przysięgała potem, że w sypialni paliły się wonne świece. Amant był pełen pasji, ale ubłagała go, by był cierpliwy. Może najpierw romantyczna przechadzka po plaży? Oczywiście! Dla ciebie wszystko! Zimno jak diabli, więc muszą się grubo ubrać. Z trudem brną wśród wydm w ciemnościach. Yvette proponuje zabawę z dzieciństwa:

– Stań bez ruchu. O tak. Teraz przysuń się do mnie. Bliżej. O tak. Bardzo dobrze. Teraz zamknę oczy. Połóż mi na nich palce. Dobrze ci? Mi też. Teraz możesz zadać mi jedno pytanie, jakie chcesz, ale tylko jedno, a ja muszę odpowiedzieć ci zgodnie z prawdą. Jeżeli nie odpowiem, nie jestem ciebie warta. Zabawimy się? Świetnie. To o co chciałbyś spytać?

Jak można się było spodziewać, pytanie dotyczy jej najintymniejszych pragnień. A ona, założę się, łże jak z nut: marzy tylko o tym, mówi, by pewien przystojny, jurny Szwed kochał się z nią w pachnącej sypialni na samotnej wyspie otoczonej wzburzonym morzem. Teraz jej kolej. Odwraca go, pewnie znacznie mniej delikatnie, niż się biedak spodziewał, zakrywa mu oczy dłońmi i wrzeszczy do ucha:

– Kto jeszcze złożył podobną ofertę jak Suisindo na dostarczenie tysiąca ton ryżu dla uchodźców na granicy tajlandzko-kambodżańskiej?

Teraz już wiem, że pisząc *Wiernego ogrodnika*, chciałem uczcić dokonania Yvette. Może wiedziałem to od samego początku, choć nie mam właściwie pojęcia, gdzie ten początek był. Może ona wiedziała. W każdym razie to jej postać, i przed śmiercią, i po niej, kierowała mną podczas pracy. Ona powiedziałaaby: oczywiście.

Patrzę, a to Jerry Westerby

W piwnicy pełnej beczek z winem na Fleet Street George Smiley siedzi z Jerrym Westerbyem nad bardzo dużym różowym dżinem. Cytuję z mojej powieści *Druciarz, krawiec, żołnierz, szpieg*. Nie wiadomo na pewno, czyj to dżin, ale domyślamy się, że Jerry'ego¹¹. Na następnej stronie Jerry zamawia Krwawą Mary, zakładamy, że dla Smileya¹². Jerry jest korespondentem sportowym starej szkoły, silnie zbudowanym, był kiedyś wicket-keeperem w powiatowej drużynie krykieta. Ma „wielką”, wyściełaną mięśniami dłoń i czerwoną twarz, która w chwilach zawstydzenia oblewa się ciemnym szkarłatem. Do kremowej jedwabnej koszuli nosi krawat w barwach sławnej drużyny krykieta – tekst nie wyjawia jakiej.

Ale oprócz tego, że jest doświadczonym korespondentem sportowym, Jerry Westerby to również agent brytyjskiego wywiadu, który czci Smileya jak bóstwo. To także świetny świadek. Robi to, co wszyscy najlepsi agenci: podaje konkretne informacje, domysły zostawia analitykom tajnych służb, których nazywa czule „sowami”.

Smiley przepytuje go łagodnie w wybranej przez Jerry'ego restauracji hinduskiej. Jerry zamawia najostrejsze curry, jakie mają w jadłospisie, nakruszył do niego popadamu – znowu tymi swoimi „wielkimi” dłońmi, powtórzenie!¹³ – po czym jeszcze polewa je czerwonym sosem – zakładamy, że to prawie samo chili, żeby było jeszcze ostrzej. Jerry żartuje, że właściciel trzyma ten sos „w specjalnym schronie”. Krótko mówiąc, Jerry jest tu przedstawiony jako nieśmiały, niezdarly, przyjacielski, sympatyczny typ – tak nieśmiały, że odruchowo ucieka się do takich zachowań jak to, co sam pewnie nazwałby „mówieniem po indiańsku”: nawet żegna się ze Smileyem, mówiąc „howgh”, i odchodzi „do swego rezerwatu”. Koniec sceny i koniec epizodzik Jerry'ego Westerby'ego w tej powieści. Jego zadaniem było przekazać Smileyowi niepokojące informacje na temat jednej z osób podejrzanych o to, że jest „kretem” w Cyrku, Toby'ego Esterhase'a. Jerry robił to niechętnie, ale wiedział, że to jego obowiązek. I tyle o Jerrym Westerbyem w *Druciarzu, krawcu, żołnierzu, szpiegu*. Wtedy ja też wiedziałem o nim tylko tyle, dopóki nie wyruszyłem do

Azji Południowej, przygotowując *Jego uczniowską mość*, i nie zabrałem ze sobą Jerry'ego w charakterze tajnego współnika.

Jeżeli Jerry z mojej powieści ma jakiś związek z kimś prawdziwym, to zapewne jest tym kimś pewien arystokratyczny włóczęga o niepewnym rodowodzie imieniem Gordon, którego mój ojciec pozbawił rodzinnej fortuny. Gordon potem w końcu zabił się z rozpaczy, więc pewnie dlatego tak silnie odcisnął się w mojej pamięci. Arystokratyczne pochodzenie uprawniało go do idiotycznego tytułu szlacheckiego, który nadałem mu już w *Druciarzu, krawcu, żołnierzu, szpiegu*, ale on wolałby zginąć, niż go używać, „no zrozum mnie, stary”¹⁴. A co do tego „ucznia”, to nie okłamujmy się – Jerry jest starym dziennikarskim wygą i tajnym agentem brytyjskim, lecz w sprawach sercowych ma ten czterdziestolatek najwyżej czternaście lat.

Tak właśnie wyobraziłem sobie mojego Jerry'ego i taki dokładnie był, gdy – to jedno z najdziwniejszych spotkań w całej mojej pisarskiej karierze – wpadłem na niego w hotelu Raffles w Singapurze: nie na opis, tylko na niego samego. Wszystko się zgadzało, nawet mięsiste dłonie i szerokie bary. Nie nazywał się Westerby, chociaż wcale bym się nie zdziwił, gdyby tak było. Nazywał się Peter Simms. Był doświadczonym korespondentem zagranicznym brytyjskiej prasy, a także, jak się potem okazało – choć wtedy ani ja, ani nikt inny nie miał o tym pojęcia – doświadczonym tajnym agentem. Miał prawie dwa metry wzrostu, płowe włosy i uczniowski uśmiech i krzyczał na cały głos „*Supa!*”¹⁵, gdy z całych sił ścisnął człowiekowi dłoń przy powitaniu.

Nikt, kto go poznał, nie mógł zapomnieć momentalnego przyływu przyjacielskości i kumplostwa, które zwałało człowieka z nóg. Nigdy też nie zapomnę uczucia oszołomionego niedowierzania połączonego z lekkimi wyrzutami sumienia, że znalazłem się twarzą w twarz z człowiekiem, którego kiedyś stworzyłem z niczego i z własnych młodzińskich wspomnień – a teraz on stoi tu przede mną z krwi i kości (na oko dobrze ponad sto kilo tej krwi i kości). Oto wszystko, czego wtedy jeszcze nie wiedziałem o Peterze, a dowiedziałem się na raty później i niestety często zbyt późno. W czasie drugiej wojny światowej Simms służy w Indiach w bombajskim pułku saperów. Zawsze się domyślałem, że Westerby też miał w młodości epizod kolonialny – i proszę! Potem studiuje sanskryt w Cambridge i zakochuje się w Sandzie, pięknej księżniczce ze stanu Szan, którą w dzieciństwie wożono po birmańskich jeziorach w ceremonialnej łódce w kształcie złotego ptaka – Westerby też by się zakochał. W ogóle Simms tak kocha Azję, że przechodzi na buddyzm. Pobierają się z Sandą w Bangkoku. Przez całe życie kroczą dumnie, triumfalnie razem, mają razem mnóstwo przygód to z własnej woli, to na zlecenie tajnych służb Jej Królewskiej Mości. Peter wykłada na uniwersytecie w Rangunie, pracuje w redakcji „*Time'a*” w Bangkoku

i Singapurze, potem nawet u sułtana Omanu i wreszcie w sekcji wywiadu policji w Hongkongu w czasach, gdy Hongkong jest jeszcze kolonią. Sanda jest z nim na każdym etapie życia.

Co tu kryć: nie poskapiłbym Jerry'emu Westerby'emu ani jednego szczegółu życia Simmsa – może poza szczęśliwym małżeństwem, bo Jerry był mi potrzebny jako samotnik wciąż jeszcze poszukujący miłości. To wszystko wiem jednak dopiero teraz. Kiedy pierwszy raz natknąłem się na Petera Simmsa w hotelu w Singapurze – a gdzieżby indziej? – byłem ciemny jak tabaka w rogu. Wiedziałem tylko jedno: oto dokładne wcielenie mojego Jerry'ego, tak pełne energii i marzeń, tak gorąco brytyjskie, a równocześnie tak mocno identyfikujące się z kulturą Azji, że jeżeli do tej pory Simms nie pracował dla wywiadu brytyjskiego, to chyba tylko przez zaniedbanie.

Następnym razem widzieliśmy się w Hongkongu, potem w Bangkoku, potem jeszcze w Sajgonie. W końcu zebrałem się na odwagę i zapytałem Petera, czy nie chciałby towarzyszyć mi w różnych podejrzanych zakątkach Azji Południowo-Wschodniej. Niepotrzebnie się obawiałem. Ależ z przyjemnością, stary! Zapytałem więc, czy zgodziłby się przyjąć honorarium za pomoc i przewodnictwo. No pewnie! Akurat kończył mu się kontrakt z policją w Hongkongu, trochę kasy bardzo się przyda, a jak. I ruszyliśmy w drogę. Bez niewyczerpanej energii Petera, jego azjatyckiej erudycji i azjatyckiej duszy nigdy nie udałooby mi się namalować równie barwnego portretu Westerby'ego, który tak lekko naszkicowałem w *Druciarzu, krawcu, żołnierzu, szpiegu*.

Peter zmarł we Francji w roku 2002. Eleganckie wspomnienie o nim pióra Davida Greenwaya zatytułowane *Dziennikarz, awanturnik, szpieg i przyjaciel* – stąd ukradłem ten okrzyk „*Supa!*” – słusznie opisuje go jako pierwowzór Jerry'ego Westerby'ego w *Jego uczniowskiej mości*. Tylko że mój Westerby był tam przed Peterem Simmsem. Peter, nieuleczalny, do końca ofiarny romantyk, chwycił tylko Jerry'ego w obie wielkie dłonie i z wielkim hałasem go sobie przywłaszczył.

Samotność w Wientianie

Leżeliśmy na pięterku palarni opium w Wientianie na trzciniowych matach i z drewnianymi poduszkami pod karkiem, przez co człowiek musiał bez przerwy gapić się w sufit. Stary kulis w tradycyjnym szerokim kapeluszu klęczał nieopodal w półmroku i dosypywał nam do fajek. Moją co rusz zapalał na nowo – z niejaką irytacją – bo ciągle mi gasła. Gdyby w jakimś scenariuszu filmowym ktoś napisał: WNEŹTRZE. PALARNIA OPIUM. LAOS. KONIEC LAT SIEDEMDZIESIĄTYCH. NOC, to scenograf wymyśliłby dokładnie taką dekorację, a my, palacze, stanowilibyśmy wręcz idealną grupkę dla tego czasu i miejsca: stary kolonialny plantator z Francji, *monsieur* Edouard, teraz pozbawiony majątku przez toczoną na północy tajną wojnę; banda pilotów z Air America; kwartet korespondentów wojennych; libański handlarz bronią; i niezbyt do tego wszystkiego entuzjastycznie nastawiony turysta, czyli ja. No i Sam, mój sąsiad z najbliższej maty, snujący senny monolog od chwili, gdy położyłem się obok niego. W palarni panuje lekko nerwowa atmosfera, bo władze laotańskie oficjalnie nie lubią opium; pewien nadmiernie zasadniczy korespondent wojenny ostrzegł nas nawet, że może będziemy musieli uciekać po dachach i drabinach w boczny zaułek. Ale mój sąsiad Sam powiedział, żeby dać sobie spokój, że to bujda z chrzanem. Nigdy się nie dowiem, kim jest czy był Sam – podejrzewam, że Anglikiem wysłanym przez rodzinę na Wschód, żeby się go pozbyć, poszukującym własnej duszy, której po pięciu latach tułania się po wojennych strefach Kambodży, Wietnamu i wreszcie Laosu ciągle nie mógł znaleźć. Tak przynajmniej mogłem wnosić po treści jego dość sympatycznego strumienia świadomości. Nigdy przedtem i nigdy potem nie paliłem opium, ale od tego czasu całkiem nieodpowiedzialnie uważam, że ten zabroniony środek o fatalnej reputacji ma wyłącznie pozytywne skutki, jeżeli używają go rozsądne osoby w rozsądnych ilościach. Trzeba wyciągnąć się na macie, trochę się pobać, trochę poczuć jak idiota. W końcu to pierwszy raz. Pokazują, jak się zaciągnąć, źle, kulis kręci głową, człowiekowi robi się jeszcze głupiej. Ale jak już się nauczyć – wystarczy tylko wdychać dym długo i powoli – ujawnia się dobrotliwa strona charakteru człowieka, nie robisz się pijany, ogłupiały czy agresywny ani nie

targają tobą niepowstrzymane seksualne żądze. Zmieniasz się w zadowolonego z siebie, przyjaznego ludziom faceta, którym przecież zawsze byłeś. Co najlepsze, rano nie masz kaca, wyrzutów sumienia, nawrotu lęków, tylko po świetnie przespanej nocy doskonały humor na cały następny dzień. Tak przynajmniej zapewnił mnie Sam, kiedy się dowiedział, że to mój pierwszy raz – do dziś mu wierzę.

Z jego niejasnych opowieści domyślałem się, że życie Sama z początku toczyło się całkiem zwyczajnie – ładny angielski dworek na wsi, szkoły z internatem, Oksford albo Cambridge, małżeństwo, dzieci – po czym nagle przysłała jakaś katastrofa. Jaka, gdzie, nie mam pojęcia. Sam albo uważał, że wiem, albo nie chciał, żebym wiedział, ja zaś jestem zbyt dobrze wychowany, by pytać. Katastrofa i już. Ale chyba nieźła, bo jeszcze tego samego dnia Sam strząsnął angielski proch ze swych stóp, przysiągł sobie, że nigdy nie wróci, i zamelinował się w Paryżu, gdzie bardzo mu się podobało, dopóki nie zakochał się we Francuzce, która go nie chciała. Więc znowu katastrofa.

Pierwszą myślą Sama było wstąpić do Legii Cudzoziemskiej, lecz pewnie tego dnia nie przyjmowali albo zasnął, albo poszedł pod zły adres, bo teraz zaczynam podejrzewać, że to, co dla większości z nas jest proste, niekoniecznie było proste dla Sama. Miał w sobie jakiś taki brak kontaktu z rzeczywistością, który sprawiał, że pewne związki przyczynowo-skutkowe u niego nie działały. W efekcie zamiast do Legii Cudzoziemskiej poszedł do francuskiej agencji prasowej zajmującej się sprawami Azji Południowo-Wschodniej. Nie zwracają za podróże ani za wydatki, tłumaczy mi Sam, ale jak przyśle im się coś w miarę użytecznego, to dadzą parę groszy. A ponieważ Sam ma trochę własnych pieniążków – jak to określa – taki układ bardzo mu odpowiada.

I dlatego od pięciu lat jeździ po różnych wojnach, czasem coś mu się uda, to go nawet zacytują w jakimś dużym francuskim szmatławcu – zwykle jak dowie się czegoś od prawdziwych dziennikarzy albo jak zmyśli. Zawsze dość optymistycznie podchodził do własnych zdolności literackich, w końcu takie ma ciekawe życie, i chętnie by coś z tym zrobił, może by coś napisał, jakieś opowiadania, powieść, te rzeczy. Tylko że ta samotność mu przeszkadza, bo jak twierdzi, szlag go trafia na myśl, że miałby siedzieć przy biurku w dżungli i dzień w dzień tłuc w maszynę, bez terminu, bez redaktora, który by go popędzał...

Ale kiedyś się weźmie. Czytał ostatnio swoją twórczość i nie ma najmniejszych wątpliwości, że te historyjki, które wyssał z palca na użytek francuskiej agencji, są o niebo lepsze od wszystkiego, co niby jest oparte na faktach. I kiedyś, może całkiem niedługo, zasiądzie za tym biurkiem w dżungli i mimo samotności, braku terminu i redaktorskich ponagień coś napisze, ale tak, że wszystkim w piąty pójdzie, można mu wierzyć. Tylko ta samotność mu

zawadza, powtarza na wypadek, gdyby jeszcze do mnie nie dotarło. No zżera go po prostu, szczególnie tu, w Wientianie, gdzie można tylko palić, ciupciać i wysłuchiwać przechwałek pijanych Meksykanów z Air America, czego to nie zestrzelili, kiedy dziewczyny robią im mambo pod Białą Różą.

Potem opowiada mi, jak sobie radzi z samotnością, która teraz, wyznaje, nie jest związana wyłącznie z ambicjami pisarskimi, tylko w ogóle dręczy go przez całe życie. Za czym tak tęskni? No, za Paryżem. Jak ta jego wielka miłość puściła go kantem i znowu była katastrofa, to do Paryża już nie pojechał i nie pojedzie. No nie pojedzie, przez tę dziewczynę nie pojedzie, no bo jak? Przecież tam każda ulica, każdy dom, każdy zakręt rzeki mu o niej krzyczy, tłumaczy mi sennie, ale akurat całkiem interesująco z literackiego punktu widzenia. Zaraz, a może po prostu przypomniała mu się ta piosenka Maurice'a Chevaliera? Tak czy inaczej duszę zostawił w Paryżu. Serce też, dopowiada po namyśle. Słyszysz? Słyszę, Sam. No więc jak już wypali parę fajek, mówi dalej, to zrobi tak – postanawia wyjawic mi swoją najskrytszą tajemnicę, bo jestem jego najbliższym przyjacielem i jedynym człowiekiem na świecie, który go nie olewa, dodaje – to jak tylko mu się zachce, a może nawet zaraz mu się zachce, jak mu się tylko trochę w głowie rozjaśni, no więc pójdzie wtedy pod Białą Różę, gdzie go znają, da Madame Lulu dwudziestodolarowy banknot i zamówi sobie trzy minuty rozmowy z Café de Flore w Paryżu. A jak kelner w Café de Flore odbierze, to poprosi do telefonu mademoiselle Julie Delassus, zresztą z tego, co wie, nie jest to jej prawdziwe nazwisko, przedtem nazywała się inaczej... I będzie słuchał, jak ją nawołują między stolikami i na zewnątrz, na bulwarze: *Mademoiselle Delassus... Mademoiselle Julie Delassus... au téléphone, s'il vous plaît!*

I jak ją będą wołać, raz po raz, aż wołanie zniknie w eterze albo mu się czas skończy, to on sobie posłucha Paryża za dwadzieścia dolarów.

Teatr Rzeczywistości: tańczący z Arafatem

To pierwsza z czterech powiązanych historii o moich wędrówkach między 1981 a 1983 rokiem, połączonych z *Małą doboszką*. Tematem książki jest konflikt palestyńsko-izraelski. Tytułowa doboszka to Charlie, bohaterka zainspirowana moją przyrodnią siostrą Charlotte Cornwell, o czternaście lat młodszą ode mnie. Dlatego „doboszka”, że w mojej powieści Charlie wywołuje wojownicze emocje u postaci po obu stronach konfliktu. Kiedy pisałem książkę, Charlotte była już znaną aktorką teatralną i telewizyjną (Royal Shakespeare Company, serial *Rock Follies*), a równocześnie zażartą zwolenniczką radykalnej lewicy.

W powieści Charlie, również aktorka, zostaje zwerbowana przez Josepha, charyzmatycznego agenta antyterrorystycznego z Izraela, by zagrała główną rolę w czymś, co sam nazywa Teatrem Rzeczywistości. Wystąpi w nim jako radykalna bojowniczką, którą dotąd była głównie we własnej wyobraźni – to słowa Josepha – czyli zagra siebie, ale tym razem naprawdę, a gdy dzięki jego reżyserii osiągnie nowy, wyższy poziom gry aktorskiej, stanie się atrakcyjną przynętą dla różnych palestyńskich i zachodniemieckich terrorystów i w ten sposób – już naprawdę – przyczyni się do ratowania niewinnych ludzi. Rozdarta między współczuciem dla losu Palestyńczyków, których ma zdradzić, uznaniem żydowskich praw do ojczyzny, nie mówiąc już o uczuciu do Josepha, Charlie staje się dwukrotnie obiecaną kobietą w dwukrotnie obiecanej ziemi.

Postawiłem przed sobą następujące zadanie: towarzyszyć jej w tej podróży – dać się uwieść, tak jak Charlie, argumentom miotanym przez obie strony i spróbować przeżyć wraz z nią sprzeczne wierności, nadzieje i desperacje. I właśnie w ten sposób doszło do tego, że w Nowy Rok 1982 tańczyłem dabke z Jasirem Arafatem i jego sztabem w położonej na górskim zboczu szkole dla sierot po tych, którzy zginęli w walce o wyzwolenie Palestyny – zwanych też męczennikami.

Ciężko było dotrzeć do Arafata, ale w tamtych czasach tak często go przedstawiano jako nieuchwytnego, chytrego, byłego terrorystę, a teraz męża stanu, że każda wygodniejsza podróż byłaby rozczarowaniem. Najpierw musiałem dotrzeć do nieżyjącego już Patricka Seale'a, urodzonego w Belfaście i wykształconego w Oksfordzie dziennikarza brytyjskiego i (podobno) brytyjskiego szpiega, który zastąpił Kima Philby'ego na stanowisku bejruckiego korespondenta „Observera”. Seale poradził mi udać się do wiernego Arafatowi Salaha Tamariego, palestyńskiego dowódcy, którego zdążyłem już poznać podczas jednego z jego regularnych pobytów w Wielkiej Brytanii. W restauracji Odina na Devonshire Street – gdzie wszyscy palestyńscy kelnerzy wpatrywali się w Salaha jak w tęczę – Tamari potwierdził tylko to, co mówiły mi wszystkie inne osoby, których się radziłem: kto chce wejść między Palestyńczyków, musi mieć błogosławieństwo pana przewodniczącego.

Tamari obiecał wstawić się za mną, ale i tak muszę pójść oficjalnymi kanałami. Próbowałem już wcześniej. Teraz, wyposażony w listy polecające od Tamariego i Seale'a, dwukrotnie umawiałem się z przedstawicielem Organizacji Wyzwolenia Palestyny przy Lidze Państw Arabskich w biurze na Green Street w londyńskim Mayfair, dwukrotnie oglądali mnie uważnie na chodniku panowie w czarnych garniturach, dwukrotnie stawałem w szklanej trumnie w drzwiach i poddawałem się przeszukaniu na okoliczność posiadania ukrytej broni, dwukrotnie też zostałem – grzecznie – splawiony z powodów niezależnych od pana przedstawiciela. Powody te zapewne naprawdę były od niego niezależne – miesiąc wcześniej jego poprzednika zastrzelono w Belgii.

W końcu poleciałem do Bejrutu na wariata. Zatrzymałem się w hotelu Commodore, bo należał do Palestyńczyków i znany był z pobłażliwego traktowania dziennikarzy, szpiegów i tym podobnej menażerii. Do tej pory cały research robiłem w Izraelu. Spędziłem całe dni w towarzystwie żołnierzy izraelskich sił specjalnych, siedziałem w ładnie urządzonej gabinecie i rozmawiałem z obecnymi i byłymi szefami wywiadu izraelskiego. Za to biuro rzecznika Organizacji Wyzwolenia Palestyny w Bejrucie mieściło się przy zrujnowanej ulicy za pierścieniem z baryłek z blachy falistej wypełnionych cementem. Na mój widok uzbrojeni ludzie z palcami na kabłkach spustowych zmarszczyli się groźnie. W tonącej w półmroku poczekalni powitały mnie poźółkłe pisemka propagandowe po rosyjsku, a w popękanych szklanych gablotkach mogłem sobie obejrzeć odłamki i niewybuchy bombek kasetowych pozbieranych z obozów uchodźców palestyńskich. Istną ścianę płaczu tworzyły niedbale przypięte szpilkami zdjęcia zamordowanych kobiet i dzieci.

Prywatny gabinet pana Lapadiego, samego przedstawiciela, nie jest wiele przyjemniejszy. Lapadi siedzi za biurkiem. Przy lewej ręce leży mu pistolet,

u boku ma kałasznikowa. Jest blady, wyczerpany, patrzy spode łba.

– Pan pisze do gazety?

Też. Ale w ogóle to piszę książkę.

– To pan jest zoolog od ludzi?

Powieściopisarz.

– Pan chce na nas zarobić?

Na własne oczy przekonać się, o co walczyacie.

– Pan poczeka.

Więc pan czeka. I czeka. Dzień za dniem, noc za nocą. Leżę w pokoju hotelowym. W świetle poranka świetnie liczy się w zasłonach dziury po kulach. Do późna w nocy ukrywam się w piwnicznym barze hotelu, słuchając gawęd wymęczonych korespondentów wojennych, którzy dawno już zapomnieli, co to sen. Któregoś wieczoru siedzę w przepastnej, dusznej jadalni hotelu i zajadam ćwierćmetrową sajgonkę. Podekscytowany kelner szepcze mi do ucha:

– Pan przewodniczący teraz pana przyjmie.

W pierwszej chwili myślałem, że chodzi o prezesa sieci hotelowej – wyrzucają mnie, nie zapłaciłem, obraziłem kogoś przy barze, chce, żebym mu podpisał książkę... Olśnienie przychodzi po chwili. Idę za kelnerem do holu, wychodzę za nim przed hotel, leje jak z cebra. Uzbrojeni bojownicy w dżinsach kręcą się wokół piaskowego volva kombi z otwartymi drzwiami z tyłu. Nikt nic nie mówi, więc ja też nie. Wciskam się na tylne siedzenie, bojownicy wskakują za mną z obu stron, jeden siada z przodu przy kierowcy.

W ulevie pędzimy na złamanie karku przez rozwalone miasto, za nami jeep z obstawą. Zmiana pasów. Potem samochodów. Śmigamy bocznymi uliczkami, z hukiem przejeżdżamy po krawężniku oddzielającym jezdnie zatłoczonej dwupasmówki. Ruch z naprzeciwka rozstępuje się w popłochu. Znowu zmiana samochodów. Zostaję obmacany po raz czwarty czy szósty. Stoję w deszczu na chodniku gdzieś w Bejrucie, otoczony przez uzbrojonych mężczyzn w ociekających wodą pelerynach. Samochody zniknęły. Otwierają się drzwi w murze, jakiś człowiek przywołuje nas gestem do wnętrza podziurawionego przez kule domu mieszkalnego o pustych oknach i bez świateł. Wskazuje na wykafelkowaną klatkę schodową, wzdłuż której stoi cały szereg widmowych, uzbrojonych postaci. Na drugim zakręcie schodów docieramy na wyłożony chodnikiem korytarz i zostajemy wprowadzeni do otwartej windy śmierdzącej środkiem dezynfekcyjnym. Winda gwałtownie rusza i zaraz zatrzymuje się z szarpnięciem. Znajdujemy się w salonie w kształcie litery L. Pod ścianami stoją bojownicy i bojowniczk. Dziwne – nikt nie pali. Przypominam sobie, że Arafat nie lubi dymu papierosowego. Po raz n-ty jakiś bojownik zaczyna mnie przeszukiwać. Obezwładnia mnie ten bezsens strachu.

– No przecież już tyle razy...

Rozkłada ręce, jakby chciał pokazać, że nic w nich nie ma, uśmiecha się i odchodzi.

Za biurkiem w krótszej części litery L siedzi przewodniczący Arafat i czeka, aż go zauważę. Ma na sobie białą kefiję, koszulę w kolorze khaki z widocznymi zgięciami od leżenia w pudełku, u boku srebrny pistolet w kaburze z karbowanego plastiku. Nie unosi głowy, by spojrzeć na gościa. Jest zbyt zajęty, podpisuje jakieś papiery. Jest zbyt zajęty, by mnie zauważyć nawet wtedy, gdy prowadzą mnie na rzeźbiony w drewnie tron po jego lewej stronie. Wreszcie unosi głowę. Uśmiecha się przed siebie, jakby przypomniawszy sobie coś miłego. Odwraca się w moim kierunku i w tej samej chwili zrywa się na nogi ze zdumioną i zachwyconą miną. Ja też się zrywam. Patrzymy sobie w oczy jak dobrze znający się aktorzy na scenie. Już wcześniej mówiono mi, że Arafat zawsze gra. Teraz mówię sobie, że ja też gram. Że gramy razem, na żywo, przed trzydziestoosobową na oko publicznością. Arafat odchyła się do tyłu i wyciąga obie ręce w geście powitania. Ujmuję jego dłonie, są miękkie jak u dziecka. Wyłupiaste piwne oczy patrzą żarliwie i błagalnie.

– Pan David! – woła. – Czemu mnie pan odwiedził?

– Panie przewodniczący – odpowiadam takim samym górnolotnym tonem. – Przyjechałem dotknąć dłonią serca Palestyny!

Myśmy to chyba przedtem ćwiczyli, bo Arafat już ciągnie moją dłoń na lewą kieszeń swojej wojskowej koszuli. Kieszeń jest zapinana na guzik i perfekcyjnie wyprasowana.

– Panie Davidzie, ono tu bije! – krzyczy z uniesieniem. – Tu bije! – powtarza na użytek publiczności.

Publiczność szaleje z zachwytem. Wielki sukces! Teraz rzucamy się sobie w objęcia, po arabsku, lewo, prawo, lewo. Jego broda wcale nie jest szczeciniasta, wręcz przeciwnie, jest jedwabista i pachnie pudrem dla dzieci Johnson & Johnson. Arafat puszcza mnie, lecz jedną rękę trzyma mi władczo na ramieniu, gdy zwraca się do publiczności. Deklamuje, że mam prawo swobodnego poruszania się wśród Palestyńczyków – to mówi ten, który nigdy nie śpi dwie noce z rzędu w jednym łóżku, sam jest swoim szefem ochrony i twierdzi, że jego jedyną miłością jest Palestyna. Mogę patrzeć i słuchać wszystkiego, co chcę zobaczyć i usłyszeć. Prosi mnie tylko, bym pisał i mówił prawdę, bo tylko prawda przyniesie Palestynie wolność. Powierzy mnie opiece tego samego przywódcy swoich bojowników, którego poznałem w Londynie, Salahowi Tamariemu. Salah osobiście wybierze mi ochronę spośród najlepszych młodych bojowników. Salah zabierze mnie do południowego Libanu, Salah opowie mi o wielkiej walce przeciw syjonizmowi, przedstawi mnie swym dowódcom i ich żołnierzom.

Wszyscy Palestyńczycy, których spotkam, będą rozmawiać ze mną całkiem szczerze. Prosi, żebym pozwolił się z nim sfotografować. Odmawiam. Pyta o powód odmowy. Ma tak miły i figlarny wyraz twarzy, że podejmuję ryzyko i mówię prawdę:

– Bo pewnie będę w Jerozolimie trochę przed panem.

Śmieje się serdecznie, więc publiczność też się śmieje. Ale ja właśnie powiedziałem o jedną prawdę za dużo i już żałuję.

Po spotkaniu z Arafatem wszystko inne wydawało się całkiem normalne. Młodymi bojownikami Al-Fatahu dowodził właśnie Salah, ośmiu z nich stanowiło moją osobistą obstawę. Średnia wieku nie przekraczała siedemnastu lat. Spali albo nie spali wokół mojego łóżka na górnym piętrze i mieli mieć baczenie na pierwsze oznaki wrogiego ataku z ziemi, morza i powietrza. Jak im się nudziło – a dość szybko się nudzili – strzelali sobie z pistoletów do kryjących się po krzakach kotów. Większość czasu spędzali jednak, mrużąc coś do siebie po arabsku, albo próbowali ćwiczyć się na mnie w angielszczyźnie – ale chyba tylko wtedy, gdy zasypiałem. W wieku ośmiu lat wstąpili do palestyńskiego skautingu, do aszbalów. W wieku czternastu lat byli już w pełni wykwalifikowanymi żołnierzami. Według Salaha nikt nie potrafił lepiej niż oni przymierzyć rakieta przeciwpancerną w izraelski czołg. No, to już moja biedna Charlie, ta moja gwiazda w Teatrze Rzeczywistości, dumiałem sobie, zapisując jej myśli w sfatygowanym notatniku, już ona ich wszystkich pokocha!

Z Salahem jako przewodnikiem i z Charlie jako nieodłączną towarzyszką zwiedzam palestyńskie placówki przy granicy z Izraelem i przy akompaniamencie warkotu izraelskich samolotów zwiadowczych oraz wybuchającej co jakiś czas palby wysłuchuję prawdziwych albo zmyślonych – tego nie wiem – opowieści bojowników o nocnych pontonowych rajdach na stronę galilejską. Nie chwalam się swoją brawurą. Twierdzą, że wystarczy tam być choćby przez kilka godzin – że to jest jak najpiękniejszy sen, choćby przyszło potem zginąć albo pójść do niewoli: zatrzymać na chwilę łódź, chłonąć woń kwiatów, drzew oliwkowych i uprawnych pól ojczyzny, wsłuchiwać się w beczenie owiec na ojczystych wzgórzach – że to jest prawdziwe zwycięstwo.

Z Salahem u boku przemierzam korytarze szpitala dziecięcego w Sydonie. Siedmiolatek, który w wybuchu stracił obie nogi, unosi triumfalnie oba kciuki. Charlie nigdy nie była przy mnie bardziej obecna niż wtedy. Z obozów dla uchodźców pamiętam najlepiej Ar-Raszidiję i An-Nabatiję, które są tak naprawdę osobnymi miastami. Ar-Raszidijja słynie z drużyny piłkarskiej.

Tamtejsze boisko – goła ziemia bez jednego źdźbła trawy – było bombardowane tyle razy, że mecze organizuje się zawsze w ostatniej chwili. Kilku najlepszych piłkarzy zginęło śmiercią męczeńską. Ich zdjęcia widnieją wśród zdobytych przez nich srebrnych pucharów. W An-Nabatijji stary Arab w białych szatach zauważa moje brązowe angielskie buty i że chodzę tak jakoś jak kolonizator.

– Czy pan jest Brytyjczykiem, *sir*?

– Jestem.

– Niech pan czyta.

Ma w kieszeni dokument. Jest to zaświadczenie wydrukowane po angielsku, podbite i podpisane przez oficera Brytyjskiego Mandatu Palestyny, potwierdzające, że okaziciel jest prawomocnym właścicielem niewielkiego gospodarstwa rolnego i sadu oliwkowego pod Betanią. I data: rok 1938.

– Ja jestem ten okaziciel, *sir*. A teraz widzi pan, na co nam przyszło?

Mój bezsilny wstyd zasila gniew Charlie.

Wieczorne posiłki w domu Salaha w Sydonie dają złudzenie magicznego spokoju po całodziennym trudzie. Co z tego, że dom jest cały poznaczony kulami? Pewnego razu wystrzelona z morza izraelska rakietka przeleciała przez niego na wylot, ale nie wybuchła. Wokół kręcą się rozleniwione psy, w ogrodzie rosną kwiaty, w kominku płoną drwa, na stół właśnie wniesiono jagnięce kotlety. Żona Salaha, Dina, jest haszymidzką księżniczką, która była kiedyś żoną króla Jordanii Husajna. Uczyła się w brytyjskiej szkole prywatnej i studiowała anglistykę w Girton College w Cambridge.

Z wielkim taktem, humorem i kulturą Dina i Salah edukują mnie w sprawach palestyńskich. Charlie siedzi tuż obok mnie. Salah opowiada z dumą, że kiedy ostatni raz w Sydonie trwały walki, Dina, ta drobna, lecz sławna z piękności i siły charakteru kobieta, jeździła do miasta ich wysłużonym jaguarem, odbierała świeżą pizzę z piekarni, wozila ją na pierwszą linię i uparła się, że będzie ją osobiście rozdawać bojownikom.

Jest listopadowy wieczór. Przewodniczący Arafat i jego świta zjechali do Sydonu na siedemnastą rocznicę rewolucji palestyńskiej. Niebo jest granatowe, zanoszą się na deszcz. Przy mnie jest tylko jeden członek obstawy - reszta zniknęła, bo wszyscy tłoczą się setkami w ciasnej uliczce, z której zaraz wyruszy pochód – nieprzenikniony Mahmud, on jeden z moich goryli nie nosi broni, nie strzela do kotów z okien domu Salaha, mówi najlepiej po angielsku i ma pozór tajemniczego samotnika. Na ostatnie trzy noce Mahmud całkiem zniknął; do

domu Salaha wracał dopiero o świcie. Teraz ten niski, krępy osiemnastolatek w okularach stoi przy mnie dumnie w pękającym w szwach, zatłoczonym zaułku.

Pochód rusza. Najpierw orkiestra i flagi, potem głośnik, przez który ktoś ryczy hasła. Na zaimprovizowanej trybunie stoją twardziele w wojskowych mundurach, oficjele w czarnych garniturach. Wśród nich bieleje kefija Arafata. Ulica wybucha radością, nad głowami unosi się zielony dym, który potem zmienia barwę na czerwoną. Mimo padającego deszczu rozpoczynają się fajerwerki, wtórują im wystrzały ostrej amunicji. Nasz przywódca stoi bez ruchu u stóp sceny – gra swój własny pomnik w migającym świetle sztucznych ogni, palce trzyma wzniesione w geście zwycięstwa. Maszerują pielęgniarki z naszywkami z zielonym półksiężycem, za nimi suną na wózkach inwalidzkich okaleczone dzieci, teraz już aszbałe – młodszy skauci - wymachują rękami, myląc krok, jeep ciągnie lawetę z bojownikami owiniętymi w palestyńskie flagi, kierującymi lufy kałasznikowów w czarne deszczowe niebo. Stojący obok mnie Mahmud macha do nich w zapamiętaniu – ku mojemu zaskoczeniu tamci odwracają się jak jeden mąż i też machają mu w odpowiedzi. Bo ci chłopcy na lawecie to reszta mojej obstawy.

– Mahmud! – wołam do niego przez złożone w tubę dłonie. – Czemu nie jesteś z kolegami? Czemu nie celujesz w niebo z karabinu?

– Bo ja nie mam broni, panie Davidzie!

– Mahmud, dlaczego?

– Ja pracuję w nocy!

– Jak to w nocy? Mahmudzie, czy ty jesteś szpiegiem? – Zniżam głos, na ile się da w tym hałasie.

– Ja nie jestem szpieg, panie Davidzie.

Nawet w tym całym rozgardiaszu Mahmud długo się decyduje, nim wreszcie zdradza mi swój wielki sekret.

– Widział pan to zdjęcie Abu Ammara, naszego przewodniczącego Arafata, na piersiach mundurów aszbałów?

Widziałem, Mahmudzie.

– To ja osobiście, w jednym tajnym miejscu, wprasowuję żelazkiem w te mundury zdjęcie Abu Ammara, przewodniczącego Arafata.

Myślę sobie, że Charlie najbardziej zakocha się właśnie w nim.

Arafat zaprosił mnie do wspólnego spędzenia Nowego Roku w szkole dla sierot po palestyńskich męczennikach. Obiecał przysłać po mnie jeepa do hotelu. Ten hotel to wciąż Commodore, a jeep stanowił część konwoju, który pędził na

złamanie karku, zderzak w zderzak, przez libańskie, syryjskie i palestyńskie posterunki w tym samym ulewnym deszczu, który prześladowuje mnie podczas wszystkich spotkań z Arafatem.

Droga miała tylko jeden pas, była nieutwardzona, a teraz zupełnie rozmyła ją ta ulewa. Spod kół innego jeepa, jadącego z przodu, sypały się na nas drobne kamyki. Kilka centymetrów od pobocza otwierały się całe doliny, w nich, kilkaset metrów niżej, co jakiś czas rozbłyskiwały niewielkie dywaniki światła. Nasz konwój prowadził czerwony opancerzony land rover. Podobno jechał nim nasz przewodniczący. Ale gdy dotarliśmy do szkoły, obstawa powiedziała nam, że daliśmy się nabrać. Land rover był na wabia. Arafat przebywał już na dole, w auli, bezpieczny, witał gości noworocznych.

Szkoła wyglądała z zewnątrz jak każdy skromny dwupiętrowy budynek. W środku okazało się, że wejście jest na górnym piętrze, a reszta budynku opada w dół zbocza. Naszemu schodzeniu przyglądali się jak zwykle uzbrojeni mężczyźni w kefijach i kobiety ze skrzyżowanymi na piersiach pasami z amunicją. Aula była wielka, ogromny, wypełniony po brzegi amfiteatr z drewnianym podwyższeniem. Arafat stał poniżej w pierwszym rzędzie widowni i ścisnął gości do wtóru rytmicznego łomotu klaszczących dłoni. Z sufitu spływały noworoczne serpentyny. Na ścianach wisiały rewolucyjne hasła. Popchnięto mnie ku niemu, jeszcze raz przyjął mnie rytualnym uściskiem, siwi panowie w mundurach khaki i wojskowych pasach ścisnęli mi dłoń i głośno składali noworoczne życzenia, usiłując przekrzyczeć oklaski. Niektórzy mieli jakieś imiona i nazwiska, inni tylko pseudonimy, jak Abu Dżihad, zastępca Arafata. Niektórzy w ogóle się nie nazywali. Rozpoczęły się występy. Najpierw śpiewały i tańczyły w kółku pozbawione rodziców palestyńskie dziewczęta. Potem pozbawieni rodziców chłopcy. Później wszystkie dzieci razem tańczyły dabke i przekazywały sobie z rąk do rąk drewniane kałasznikowcy. Tłum klaskał do rytmu. Siedzący na prawo ode mnie Arafat wstał i wyciągnął ręce. Przynaglony skinieniem głowy ponurego bojownika siedzącego po jego drugiej stronie chwyciłem Arafata pod lewy łokieć i razem z bojownikiem podsadziliśmy go na scenę, po czym sami wdrapaliśmy się na nią.

Arafat wiruje wśród swych ukochanych sierotek – można odnieść wrażenie, że całkowicie zatracą się w ich towarzystwie. Chwyta za tylny rąbek swej kefiji i wywija nią jak Alec Guinness w roli Fagina w filmie *Oliver Twist*. Twarz rozpala mu się w uniesieniu. Śmieje się czy płacze? Zresztą jego uczucia są teraz tak gwałtowne, że nie ma to wielkiego znaczenia. Gestem nakazuje mi objąć go za plecy, ktoś inny obejmuje mnie. Teraz wszyscy, sztabowcy i skromni szeregowcy, zachwycone dzieci i na pewno zgraja szpiegów z całego świata – bo

nikogo w historii nie szpiegowano tak dokładnie jak Arafata – tworzą węża, którego głowę stanowi nasz przywódca.

W dół betonowym korytarzem, w górę po schodach, przez galeryjkę, znowu w dół. Tupot naszych stóp zagłusza oklaski. Za nami czy ponad nami donośne głosy intonują hymn Palestyny. Jakimś cudem udaje nam się z powrotem trafić do auli. Arafat idzie na krawędź sceny i zatrzymuje się. Widownia wyje, on rzuca się w dół, wprost w wyciągnięte ramiona swych bojowników.

W mojej wyobraźni zachwycona Charlie wiwatuje na jego cześć, ile tchu w płucach.

Osiem miesięcy później, 30 sierpnia 1983 roku, Izrael najechał Liban. Arafat i jego sztab zostali wypędzeni. Wyzywająco strzelając w powietrze, Arafat i jego bojownicy odpłynęli z Bejrutu do Tunisu, gdzie czekał na nich z powitaniem prezydent Burgiba na czele swego rządu. Nową kwaterę Arafata urządzono pośpiesznie w luksusowym hotelu poza miastem.

Parę tygodni później pojechałem go tam odwiedzić.

Długa jazda do eleganckiego białego domu wśród wydm. Dwaj młodzi bojownicy zapytali, jaki mamy interes. Tym razem obyło się bez szerokich uśmiechów, bez zwykłych gestów arabskiej uprzejmości. Amerykanin? Pokazałem brytyjski paszport. Jeden ze strażników zapytał mnie z piekącą ironią, czy nie słyszałem przypadkiem o masakrze w Sabrze i Szatili. Powiedziałem, że w Szatili byłem kilka dni temu i że jestem głęboko zasmucony wszystkim, co tam zobaczyłem i usłyszałem. Dodałem, że przyjechałem odwiedzić Abu Ammara – to miano sugeruje zażyłość – by złożyć mu wyrazy ubolewania. Powiedziałem, że widziałem się z nim kilka razy w Bejrucie, potem znowu w Sydonie, i że spędziłem z nim Nowy Rok w szkole dla sierot po męczennikach. Jeden z chłopców podniósł słuchawkę telefonu. Nie usłyszałem, by wymienił moje nazwisko, choć trzymał w dłoni paszport. Odłożył słuchawkę, rzucił: „Idziemy”, wyciągnął zza pasa pistolet, mocno przyłożył mi go do skroni i pociągnął mnie przez długi korytarz zakończony zielonymi drzwiami. Otworzył drzwi, oddał mi paszport i pchnął mnie na świeże powietrze. Znalazłem się na wysypanej pustynnym piaskiem ujeżdżalni. Po okręgu jeździł na ładnym arabskim koniu Arafat w białej kefiji. Patrzyłem, jak robi jedno, drugie, trzecie okrążenie. Ale mnie nie zobaczył. Albo nie chciał zobaczyć.

A tymczasem Salaha Tamariego, mojego gospodarza i komendanta palestyńskich milicji w południowym Libanie, podejmowano z honorami należnymi każdemu wybitnemu bojownikowi palestyńskiemu, gdy wpadnie w ręce izraelskie. Siedział

samotnie w izolatce osławionego więźnia Ansar i był poddawany – jak to się teraz elegancko mówi – wzmocnionym technikom przesłuchania. W wolnych chwilach nawiązał bliską przyjaźń z wybitnym izraelskim dziennikarzem, Aharonem Barneą, która zaowocowała napisaną przez Barneę książką *Mine Enemy*¹⁶. Oprócz innych punktów, w których się ze sobą zgadzają, jest w niej mowa o poparciu Salaha dla idei koegzystencji izraelsko-palestyńskiej: kiedyś przecież współistnienie musi zastąpić odwieczną beznadziejną walkę zbrojną.

Teatr Rzeczywistości: Willa Brigitte

Więzienie stanowiła dyskretna grupka zielonych wojskowych baraków, ustawiona w niecce na pustyni Negew i otoczona drutem kolczastym. Na każdym rogu stała wieża strażnicza. Ludzie wtajemniczeni w sprawy izraelskiego wywiadu nazywali ten obiekt „Willa Brigitte”; pozostali ludzie na świecie nic o nim nie wiedzieli. Brigitte – jak biegłą angielszczyzną wyjaśnił młody pułkownik, izraelskiej służby bezpieczeństwa Szin Bet, gdy wiózł mnie jeepem przez fale piasku – była zradykalizowaną niemiecką aktywistką, która związała się z grupą terrorystów palestyńskich. Planowali zestrzelenie samolotu linii El Al przy podejściu do lądowania na lotnisku Kenyatty w Nairobi i w tym celu zaopatrzyli się w przeciwlotniczy zestaw rakietowy, w dach na trasie lotu maszyny i właśnie w Brigitte.

Jej zadanie było proste: nordycka uroda i włosy blond sprawiały, że mogła bez podejrzeń stać w budce telefonicznej na lotnisku i za pomocą krótkofalówki przy jednym uszku, a telefonu przy drugim przekazywać polecenia kontroli lotów chłopcom na tym ich dachu. Właśnie się tym zajmowała, gdy zjawił się przy niej cały zespół izraelskich agentów i na tym jej udział w operacji się zakończył. Samolot El Al dla bezpieczeństwa przyleciał wcześniej i przywiózł tylko jej prześladowców. Zaraz zresztą wrócił do Tel Awiwu z przykutą do pokładu Brigitte. Los chłopców jest niejasny. Mój pułkownik z Szin Bet zapewnił mnie, że się nimi zajęto, ale nie powiedział jak, ja zaś uznałem, że pytać nie wypada. Dano mi już wcześniej do zrozumienia, że spotkał mnie zupełnie wyjątkowy zaszczyt, a to dzięki wstawiennictwu generała Szlomo Gazita, do niedawna szefa izraelskiego wywiadu wojskowego. Ma się te znajomości.

Brigitte była teraz więźniem w rękach Izraelczyków, ale – ostrzeżono mnie – utrzymanie całej operacji w tajemnicy to sprawa najwyższej wagi. Władze kenijskie współpracowały z Izraelem, lecz nie miały ochoty narażać się muzułmańskim rodakom. Izraelczycy z kolei nie chcieli spalić swych źródeł i narażać na kłopoty cennego sojusznika. Teraz wieziono mnie do niej pod warunkiem, że nie napiszę o tym, dopóki mi nie pozwolą. A ponieważ oznajmili mi, że na razie nie przyznali się ani jej rodzicom, ani władzom niemieckim, że

wiedzą, gdzie się znajduje, pewnie przyjdzie mi trochę poczekać. Wcale mi to nie przeszkadzało. Bo ja właśnie chciałem przedstawić swoją fikcyjną Charlie w towarzystwie, w którym się znajdzie, jeżeli uda się jej przeniknąć do zachodnioniemiecko-palestyńskiej komórki terrorystycznej – bo przecież do tego była przygotowywana. Jak dobrze pójdzie, Charlie będzie pobierać u Brigitte pierwsze nauki teorii i praktyki terroru.

– A Brigitte mówi? – pytam młodego pułkownika.

– Może coś powie.

– O tym, co nią kierowało?

– Może.

Czyli najlepiej, jak ją sam spytam. W porządku. Mam przeczucie, że mi się uda. Że uda mi się nawiązać z Brigitte nic porozumienia, choćby tylko fałszywą i ulotną. Choć wyjechałem z Niemiec na sześć lat przed pojawieniem się tam Frakcji Czerwonej Armii Ulrike Meinhof, nie mam najmniejszych problemów ze zrozumieniem powodów jej powstania. W dodatku częściowo zgadzam się z jej argumentacją, choć nie pochwalam metod. Pod tym jednym jedynym względem nie różnię się niczym od znacznej części niemieckiej klasy średniej, która potajemnie wspiera grupę Baader-Meinhof pieniądze i duchowo. Bo mnie też oburza obecność byłych urzędników hitlerowskich w polityce, sądownictwie, policji, przemyśle, bankach i kościołach; oburza mnie, że Niemcy rodzice nie rozmawiają o czasach hitleryzmu ze swymi dziećmi; i że rząd Niemiec Zachodnich niewolniczo wspiera zimnowojenną politykę Ameryki w jej najgorszych przejawach. A jeżeli Brigitte potrzebuje więcej, to przecież odwiedzam palestyńskie obozy i szpitale, jestem świadkiem panującej tam biedy, słyszę płacz... To wszystko razem musi chyba wystarczyć na bilet wstępu – choćby tylko na bardzo krótko – do umysłu radykalnej dwudziestokilkuletniej Niemki?

Mam nieprzyjemną obsesję na punkcie więzień. Nie mogę odpędzić od siebie widoku mojego ojca za kratkami. W wyobraźni widziałem go w większej liczbie więzień, niż rzeczywiście był – widziałem zawsze tego samego twardego, silnego, nerwowo aktywnego mężczyznę o einsteinowskim czole, krążącego po celi jak tygrys w klatce i wiecznie twierdzącego, że siedzi za niewinność. Dawniej za każdym razem, gdy szedłem przesłuchiwać ludzi w więzieniu, musiałem walczyć ze strachem przed kpinami moich rozmówców, gdy tylko zatrasną się za mną żelazne drzwi.

W Willi Brigitte nie było dziedzińca. A przynajmniej nie pamiętam, żeby był. Zatrzymano nas przy bramie, oglądnięto i przepuszczono dalej. Młody pułkownik poprowadził mnie zewnętrzną klatką schodową i zawołał coś na powitanie po hebrajsku. Komendantką więzienia była major Kaufmann. Nie wiem, czy

naprawdę nazywała się Kaufmann, czy też takie nazwisko sam jej wtedy nadałem. Kiedy pracowałem w wywiadzie wojskowym w Austrii, w miejskim więzieniu w Grazu, gdzie trzymaliśmy podejrzanych, pracował sierżant Kaufmann. Ale o major Kaufmann mogę powiedzieć tylko tyle, że na lewej kieszeni nietypowo nienaganego munduru nosiła białą plakietkę z nazwiskiem, że była w stopniu majora, że miała około pięćdziesiątki, że była mocno zbudowana, ale nie gruba, że miała piwne oczy i smutny, lecz miły uśmiech.

Z panią major rozmawiamy po angielsku. Po angielsku rozmawiałem z pułkownikiem, więc to naturalne, że dalej będziemy używać angielszczyzny, skoro ja nie umiem po hebrajsku. Czyli przyjechał pan zobaczyć się z Brigitte, mówi, a ja, że tak, że zdaję sobie sprawę, jakie to wyróżnienie, i czy są jakieś sprawy, o których powinienem albo nie powinienem z nią rozmawiać? Potem tłumaczę jej coś, czego nie wyjaśniłem pułkownikowi: nie jestem dziennikarzem, tylko powieściopisarzem, zbieram materiały do takiego bardzo odległego tła i zobowiązuję się nie pisać ani nie mówić niczego o dzisiejszym spotkaniu bez zgody gospodarzy. Pani major uśmiecha się grzecznie i mówi, ależ oczywiście. Kawa czy herbata?

– Ostatnio Brigitte jest trochę trudna – ostrzega mnie serdecznym tonem lekarki omawiającej stan pacjentki. – Kiedy tu przyjechała, była pogodzona z losem. Ale w ciągu ostatnich tygodni... – Lekkie westchnienie. – Jakby mniej się godziła.

Ponieważ nie mam pojęcia, jak można pogodzić się z uwięzieniem, siedzę cicho.

– Będzie z panem rozmawiać albo nie będzie. Nie wiem. Najpierw mówiła, że nie, teraz, że tak. Nie może się zdecydować. Mam ją sprowadzić?

Przez radio po hebrajsku każe ją sprowadzić. Czekamy i czekamy. Pani major uśmiecha się do mnie, więc ja też się do niej uśmiecham. Zaczynam się zastanawiać, czy Brigitte jednak nie zmieniła zdania, gdy naraz słyszę zbliżające się do drzwi kroki i przez chwilę wyobrażam sobie z przykrością, że zaraz zobaczę młodą, rozszalałą kobietę z potarganymi włosami, zakutą w kajdanki, ciągniętą przed moje oblicze wbrew jej woli. Ktoś otwiera zamek drzwi od środka i do pokoju wkracza wysoka, piękna kobieta w więziennym drelichu, z wciętą talią podkreśloną ciasno zapiętym paskiem, prowadzona przez dwie drobne strażniczki, z których każda trzyma ją lekko za ramię. Na plecy opadają jej długie, zaczesane do tyłu blond włosy. Nawet w tym drelichu jest jej do twarzy.

Gdy strażniczki odchodzą, postępuje krok do przodu, dyga ironicznie jak należąca do dobrego domu i wyciąga do mnie dłoń.

– Z kim mam zaszczyt? – pyta arystokratyczną Niemczyzną. Powtarzam po niemiecku to, co już powiedziałem major Kaufmann po angielsku: jestem powieściopisarzem, chcę informacji. Nic nie odpowiada, patrzy tylko na mnie, dopóki pani major, siedząca na krześle w rogu pokoju, nie odezwie się swą nienaganną angielszczyzną:

– Możesz już usiąść, Brigitte.

Więc Brigitte siada, sztywno i prosto jak niemiecka pensjonarka, którą najwyraźniej chce być. Miałem w planie powiedzieć na początek kilka nic nieznaczących banałów, ale uświadamiam sobie, że jakoś nie mogę się na nie zdobyć. Przechodzę więc od razu do rzeczy za pomocą paru niezręcznych pytań w rodzaju: „Czy teraz żałujesz tego, co zrobiłaś?” i: „Co sprawiło, że wstąpiłaś na drogę radykalizmu?”. Brigitte nie ma nic do powiedzenia na żaden z tych tematów. Woli siedzieć nieruchomo, trzymając dłonie na płask na blacie stołu, i patrzeć na mnie z mieszaniną niezrozumienia i pogardy.

Major Kaufmann przychodzi mi z pomocą:

– To może opowiesz panu, jak stałaś się członkinią swojej grupy? – proponuje. Mówi zupełnie jak angielska nauczycielka, tylko z obcym akcentem.

Brigitte jakby tego nie słyszy. Ogląda mnie od stóp do głów, metodycznie, jeśli nie obraźliwie. Wreszcie kończy oględziny i wyraz jej twarzy mówi mi wszystko, co chcę wiedzieć: jestem dla niej jeszcze jednym nieuświadomionym lokajem represyjnej burżuazji, poszukiwaczem taniej sensacji, z gatunku podludzi. Po co ma marnować na mnie czas? Ale jednak marnuje. Mówi, że wygłosi krótkie oświadczenie, może bardziej dla siebie niż dla mnie. Z intelektualnego punktu widzenia jest chyba komunistką, przyznaje, dokonawszy obiektywnej samoanalizy, lecz komunistką niekoniecznie w sowieckiej wersji. Raczej uważa, że nie ogranicza się do jednej konkretnej doktryny. Przedmiotem jej życiowej misji jest nieuświadomiona burżuazja, której świetnymi przedstawicielami są jej rodzice. Ojciec zaczyna wykazywać pierwsze oznaki uświadomienia, matka jak dotąd żadnych. Niemcy Zachodnie to hitlerowskie państwo rządzone przez burżuazyjnych faszystów z pokolenia Auschwitz. Proletariat tylko ich naśladuje.

Powraca do tematu rodziców. Ma nadzieję, że uda jej się ich przekonać, szczególnie ojca. Wiele myślała o tym, jak przełamać ich podświadome zahamowania, pozostałości po hitleryzmie. Zastanawiam się, czy to nie zaszyfrowana wiadomość, że za nimi tęskni. Może nawet że ich kocha? Że dzień i noc się o nich martwi? Jakby w odpowiedzi na moje burżuazyjno-sentymentalne pomysły zaczyna wyliczać swoich proroków: Habermas, Marcuse, Frantz Fanon

i jeszcze paru innych, o których w życiu nie słyszałem. Potem rozprawia o zbrodniach militarystycznego kapitalizmu, remilitaryzacji Niemiec Zachodnich, poparciu udzielanemu przez imperialistyczną Amerykę faszystowskim dyktatorom, na przykład szachowi Iranu, i o kilku innych kwestiach, w których miałbym podobne do niej zdanie, gdyby ją to interesowało, ale nie interesuje.

– A teraz, pani major, chciałabym wrócić do celi.

Wykonawszy jeszcze jedno ironiczne dygnięcie i uściskawszy mi dłoń, daje znak strażniczkom, że mogą ją zabrać.

Pani major nie rusza się ze swego miejsca w kącie ani ja nie ruszam się z za stołu naprzeciw krzesła opuszczonego dopiero co przez Brigitte. Panujące między nami milczenie staje się nieco dziwne. Zupełnie jakbyśmy budzili się oboje z tego samego koszmaru.

– Czy po to pan przyjechał? – pyta pani major.

– O tak, dziękuję. To bardzo ciekawe.

– Według mnie Brigitte jest dziś trochę nie w formie.

Na co odpowiadam, no cóż, szczerze mówiąc, ja chyba też nie. Tak jestem skupiony na sobie, że dopiero teraz uświadamiam sobie, że mówimy po niemiecku i że w Niemczech pani major nie ma ani krztyny obcego akcentu, ani jidysz, ani żadnego innego. Zauważa moje zdziwienie i odpowiada na niezadane pytanie:

– Z nią rozmawiam tylko po angielsku. Nigdy po niemiecku. Ani słowa. Bo jak mówi po niemiecku, to mogę nad sobą nie zapanować. – I jakby trzeba było dalej tłumaczyć: – Bo wie pan, ja byłam w Dachau.

Teatr Rzeczywistości: kwestia winy

Lato w Jerozolimie. Upalna noc. Siedzę w domu Michaela Elkinsa, amerykańskiego dziennikarza, który najpierw pracował w CBS, a potem przez siedemnaście lat w BBC. Zwróciłem się do niego, bo jak miliony ludzi z mojego pokolenia wychowałem się w dźwięku jego nieco monotonnego, lecz dobitnego głosu wypowiadającego świetnie skonstruowane zdania z wyraźnym nowojorskim akcentem, najczęściej z jakiegoś zapalnego miejsca na świecie z pierwszej linii frontu; ale również dlatego, że jakąś inną częścią mózgu prowadziłem poszukiwania dwóch fikcyjnych oficerów wywiadu izraelskiego, których nazwałem sobie Joseph i Kurtz. Joseph był młody, Kurtz stary i doświadczony.

Nie potrafię dokładnie wytłumaczyć – ani wtedy nie potrafiłem, ani nie potrafię teraz – czego tak właściwie chciałem od Elkinsa. Miał już siedemdziesiąt lat, więc może szukałem w nim choćby drobnej cząstki mojego Kurtza? Wiedziałem, że Elkins z niejednego pieca chleb jadł, ale dopiero niedawno dowiedziałem się konkretów – że pracował dla OSS i przy okazji, na boku, przemycał do Palestyny broń dla żydowskiej Hagany jeszcze przed powstaniem Izraela, za co w końcu wywalono go z OSS, więc zamelinował się w jakimś kibucu wraz z żoną, z którą się potem rozwiódł. Nie przygotowałem się i wtedy jeszcze nie przeczytałem jego książki *Forged in Fury*, wydanej w roku 1971¹⁷.

Mimo to wiedziałem, że Elkins, podobnie jak Kurtz, miał korzenie wschodnioeuropejskie i że wychował się na nowojorskiej Lower East Side, gdzie jego przybyli z Europy rodzice pracowali w przemyśle odzieżowym. Niech będzie – może rzeczywiście szukałem w nim mojego Kurtza. Nie tyle w wyglądzie czy sposobie bycia, bo sam już go sobie całkiem dokładnie nakreśliłem i nie zamierzałem dać się okraść Elkinsowi, ile w nadziei, że w jego wspomnieniach o dawnych czasach odnajdę jakąś perełkę prawdy. W Wiedniu siadywałem u stóp Szymona Wiesenthala, sławnego, choć kontrowersyjnego tropiciela hitlerowców, więc choć nie dowiedziałem się niczego, czego bym wcześniej nie wiedział, to, co usłyszałem, zapamiętałem na zawsze.

Ale przede wszystkim chciałem go poznać osobiście, bo to przecież Mike Elkins, właściciel najtwardszego, najbardziej urzekającego głosu, jaki kiedykolwiek słyszałem w radiu. Te żywe, starannie złożone zdania, wypowiedane głębokim bronksowskim pomrukiem, sprawiały, że człowiek prostował się, słuchał i wierzył w każde słowo. Więc kiedy Elkins zatelefonował do mnie do hotelu i powiedział, że właśnie się dowiedział o moim przyjeździe do Jerozolimy, natychmiast skorzystałem z okazji.

Zwykle wieczorem w Jerozolimie nie jest tak parno. Pocę się jak mysz. Mike Elkins chyba nigdy się nie poci. Jest szczupły i żyłasty, silny jak jego głos. Ma wielkie oczy, zapadłe policzki i długie kończyny, siedzi do mnie profilem po mojej lewej. W jednej ręce trzyma szklanę whisky, drugą zaczepił o poręcz fotela, za głową tkwi mu olbrzymi księżyc. Jego radiowy głos jest jak zawsze uspokajający i poprawny – może tylko zdania są trochę krótsze. Czasem urywa, jakby zastanawiał się nad tym, co właśnie sam powiedział, i wtedy pociąga kolejny łyk szkockiej.

Nie mówi wprost do mnie, tylko przed siebie, w mrok, w nieistniejący mikrofon, i od razu wiadomo, że przez cały czas panuje nad składnią i intonacją. Rozmowę zaczęliśmy wewnątrz, ale wieczór zrobił się taki piękny, że przenieśliśmy się z drinkami na balkon. Nie jestem pewien, kiedy zaczęliśmy rozmawiać o tropieniu hitlerowców. Może to ja wspomniałem o wizycie u Wiesenthala, lecz teraz mówi tylko Mike. I nie o tropieniu, tylko o zabijaniu.

Mówi, że nieraz nie było czasu wyjaśnić, o co chodzi. Po prostu zabijaliśmy ich i szliśmy sobie. Kiedy indziej braliśmy ich gdzieś i wtedy tłumaczyliśmy. Na polu, w jakimś magazynie. Niektórzy płakali i przyznawali się. Inni się stawiali. Jeszcze inni błagali o litość. Jeszcze inni nie potrafili niczego powiedzieć. Jak któryś z nich miał garaż, to braliśmy go do garażu. Pętla na szyję, sznur na krokiew. Stawialiśmy go na jego własnym samochodzie, wyjeżdżaliśmy z garażu, potem wracaliśmy sprawdzić, czy nie żyje.

Mówisz „my”? Jacy „my”? Mike, czy ty chcesz mi powiedzieć, że byłeś osobiście jednym z mścicieli? Czy to takie bardziej ogólne „my”, „my, Żydzi”, i siebie tylko do nich zaliczasz?

Opisuje inne sposoby zabijania, wciąż w tej nie do końca dla mnie zrozumiałej pierwszej osobie liczby mnogiej, po czym przechodzi do moralnego uzasadnienia zabijania zbrodniarzy hitlerowskich, którzy zataiwszy prawdziwe nazwiska i zszedłszy do podziemia – na przykład w Ameryce Południowej – nigdy w życiu nie odpowiedzialiby za swe czyny. Od tego przechodzi do jeszcze

bardziej ogólnego pojęcia winy – już nie winy tych, których zabito, ale tych, którzy ich zabijali.

Dopiero poniewczasie znalazłem książkę Mike'a. Jej wydanie wywołało burzę, szczególnie wśród samych Żydów. W tonie i treści jest dokładnie tak przerażająca, jak sugeruje tytuł. Do napisania jej namówił Mike'a poznany w galilejskim kibucu człowiek, Malachi Wald. Mike opisuje więc, jak pod wpływem zaznanego w dzieciństwie amerykańskiego antysemityzmu sam odkrył własną żydowską tożsamość, która okrzepła potem z powodu potworności Holokaustu i jego własnych przeżyć jako pracownika OSS w okupowanych Niemczech. Pisze o tym stylem głęboko osobistym, to znów z piekącą ironią. W najdrobniejszych szczegółach relacjonuje czyny bezprzykładnie bestialskie, dokonywane przez hitlerowców na Żydach w gettach i obozach; równie szczegółowo opisuje heroizm męczenników żydowskiego ruchu oporu. Ale najważniejsze – i najbardziej kontrowersyjne – jest to, że ujawnia istnienie żydowskiej organizacji o nazwie DIN, co po hebrajsku oznacza „sąd”, której założycielem był właśnie ów Malachi Wald. Książka opowiada, że tylko w 1945 i 1946 roku organizacja DIN znalazła i zabiła co najmniej tysiąc hitlerowskich zbrodniarzy wojennych. Organizacja, której działalność trwała aż do lat siedemdziesiątych, planowała między innymi zatrucie wodociągów dostarczających wodę do dwustu pięćdziesięciu tysięcy niemieckich gospodarstw domowych – chodziło o to, by w odwecie za zabicie sześciu milionów Żydów zabić milion niemieckich mężczyzn, kobiet i dzieci. Na szczęście nigdy do tego nie doszło. Mike twierdzi, że DIN cieszyła się poparciem Żydów na całym świecie. Pierwsi członkowie – w liczbie około pięćdziesięciu – pochodzili z różnych grup społecznych, byli wśród nich biznesmeni, duchowni, poeci.

I dziennikarze, dodaje Mike, ale już bez komentarza.

Teatr Rzeczywistości: czułe słówka

W tamtych pełnych napięcia czasach – zresztą trudno przypomnieć sobie taki okres w historii Bejrutu, kiedy napięcia tam nie było – hotel Comodore był ulubionym miejscem pobytu wszystkich prawdziwych lub nieprawdziwych korespondentów wojennych, handlarzy bronią i narkotykami, każdego udawanego czy autentycznego pracownika organizacji charytatywnej na tej półkuli. Bywalcy lubili czynić porównania do kawiarni Ricka w Casablance, ale ja nie widziałem żadnego podobieństwa, Casablanca nie była sceną walk ulicznych, tylko przejściowym miejscem pobytu uchodźców. Do Bejrutu ludzie przyjeżdżali robić pieniądze, rozrabiać, nawet zaprowadzać pokój – ale nikt do Bejrutu nie uciekał.

Sam hotel to nic zachęcającego. To znaczy nie był zachęcający w roku 1981, bo teraz nie istnieje. Był to nudny, kanciasty budynek pozbawiony jakiegokolwiek wartości architektonicznej, chyba że ktoś przepada za recepcją zrobioną z ponad metrowej grubości betonu, która w bardziej niespokojnych sytuacjach spełniała również rolę stanowiska ogniowego. Najbardziej szanowanym mieszkańcem hotelu była stara papuga imieniem Coco, która rządziła piwnicznym barem z żelaznej grzędy. Wraz z doskonaleniem technik walk ulicznych – od broni samopowtarzalnej do raketowej, od lekkiej do średniej czy jak to się tam nazywa – Coco wciąż uaktualniała swój repertuar bitewnych odgłosów. W efekcie nieprzyzwyczajony gość siedzący przy barze drętwiał nagle na dźwięk nadlatującego pocisku i wrzask w rodzaju: „Na ziemię, debilu! No już!”. Zaprawieni w bojach pismacy, wracający do hotelu po kolejnym piekielnym dniu spędzonym w tym raj, uwielbiali patrzeć na kolejnego nieszczęsnego nowicjusza znikającego pod stołem, podczas gdy oni z pełną nonszalancją nadal sączyli swoją terpentynową whisky.

Coco umiała też nucić pierwsze takty *Marsylianki* i wstępne akordy Beethovenowskiej Piątki. Dalsze losy papugi owiane są tajemnicą: ktoś wywiózł ją w bezpieczne miejsce, gdzie śpiewa sobie do dziś; zastrzeliła ją syryjska milicja; w końcu padła od nadmiaru alkoholu w karmie.

Tamtego roku w Bejrucie i południowym Libanie byłem kilka razy – częściowo z powodu powieści, częściowo z powodu jej nieszczęsnej adaptacji filmowej. W mojej pamięci wszystkie te pobyty układają się w jedno nieprzerwane pasmo nierzeczywistych przeżyć. Osobom o słabych nerwach Bejrut serwował strach dwadzieścia cztery godziny na dobę – wszystko jedno, czy jadło się kolację na nadmorskiej promenadzie przy akompaniamencie kanonady, czy wsłuchiwało się uważnie w słowa palestyńskiego nastolatka przykładającego człowiekowi lufę kałasznikowa do głowy i zwierającego się z życiowego marzenia, by studiować w Hawanie. Może mi pan w tym pomóc?

Jako nowo przybyły do hotelu Commodore natychmiast przyłgnałem do Mo. Mo widywał więcej śmierci i umierania w jedno popołudnie niż ja przez całe życie. Przysyłał sensacyjne wiadomości z najczarniejszych jąder ciemności na świecie. Jego wyjątkowość stawała się oczywista, gdy tylko pojawiał się pod koniec dnia, wracając z kolejnego pobjowiska z wysłużoną zgniłozieloną torbą na ramieniu, i przepychał się przez zatłoczony hol do biura prasowego. Mówiono, że Mo to największy wyga w mieście, wszystko widział, wszystko robił, bez jaj, jak przyjdzie co do czego, to tylko Mo, każdy to powie. Czasem ma lekką depresję, czasem może jest trochę dziwny. A że zamyka się w pokoju z butelką na dzień czy dwa, to co? Mo miał ostatnio tylko jednego przyjaciela, kota, ale podobno kot rzucił się z rozpaczy z okna na najwyższym piętrze.

Więc kiedy drugiego, może trzeciego dnia mojego pierwszego pobytu w Bejrucie Mo zaproponował mi od niechcienia, żebym pojechał z nim na małą przejażdżkę, nie wahałem się ani chwili. Do tej pory udało mi się skutecznie pociągać za język wszystkich pozostałych dziennikarzy, ale Mo trzymał się na uboczu. Teraz oczywiście poczułem satysfakcję.

– Jedziemy na pustynię? Znam tam paru wariatów...

Odpowiedziałem, że o niczym innym nie marzę.

– Szukasz klimacik, co?

Szukałem klimaciku.

– Mój kierowca to druz. Druzowie to zasrańcy, mają wszystko gdzieś. Tak?

Oczywiście, że tak, Mo, jak najbardziej.

– Inni zasrańcy, ci tam szyici, sunnici, chrześcijanie, oni szukają guza. Druzowie nie.

Doskonale.

- Będziemy jeździć po posterunkach. Nie cierpię lotnisk, wind, krematoriów, granic państwowych i straży granicznej. Ale posterunki to zupełnie inna sprawa.

Tam nie sprawdzają paszportów, tylko ręce. I twarz. A potem patrzą, czy ktoś ma charyzmat, czy nie. A nawet jeżeli jeden posterunek uzna, że ktoś jest w porządku, to na pewno nie przekaże tej dobrej nowiny na następny posterunek, bo żaden posterunek nie lubi się przyznawać, że kogoś nie podejrzewa.

Zatrzymaliśmy się przy biało-czerwonym szlabanie opartym na dwóch beczkach po ropie. Chłopak, który mierzy do nas z kałasnikowa, ma żółte kalosze, wystrzępione džinsy obcięte na kolanach, a na kieszeni koszulki odznakę klubu kibica Manchester United.

– Mo, stary zasrańcze! – woła z zachwytem to zjawisko. – Witam, witam! Jak pan się dziś miewa? – A wszystko starannie ćwiczoną angielszczyzną.

– Doskonale, dziękuję, zasrany Anwarze – odpowiada równie uprzejmie Mo. – Czy zasraniec Abdullah dzisiaj przyjmuje? Bo chcę mu przedstawić mojego dobrego kumpla, zasranego Davida.

– Zasrany Davidzie, serdecznie witamy.

Czekamy. Anwar wrzeszczy radośnie do rosyjskiej krótkofalówki. Unosi się rachityczny biało-czerwony szlaban. Nie mam pojęcia, czego się spodziewać po spotkaniu z zasranym Abdullahem. Jego kwatera główna to kupa cegieł i kamieni podziurawiona przez kule i upstrzona hasłami. Siedzi za gigantycznym mahoniowym biurkiem. Wokół snują się jego inni zasrańcy, każdy przebiera palcami przy karabinie. Nad jego głową wisi na ścianie oprawione zdjęcie douglasa DC-8 linii Swissair wybuchającego na lotnisku. Doskonale pamiętam, że lotnisko nazywało się Dawson's Field i że DC-8 został porwany przez bojowników palestyńskich przy pomocy grupy Baader-Meinhof. W tamtych czasach dużo latałem Swissairem. Teraz się zastanawiam, komu się chciało wozić to zdjęcie do oprawy i wybierać ramkę. Ale przede wszystkim dziękuję Stwórcy za to, że nasza rozmowa odbywa się za pośrednictwem tłumacza, którego znajomość angielszczyzny jest bardzo nierówna, i modłę się do tegoż Stwórcy, by pozostała nierówna na tyle długo, aż nasz druzyjski kierowca, nieszukający guza, odwiezie nas do tej bezpiecznej oazy spokoju i logiki, jaką w tej chwili wydaje mi się hotel Commodore. I pamiętam szczęśliwy uśmiech na brodatej twarzy Abdullaha, kiedy położywszy dłoń na sercu, gorąco dziękuje zasranym Mo i Davidowi za odwiedzinę.

– Mo lubi przeginać – ostrzegł mnie poniewczasie pewien życzliwy. Ale podtekst był jasny: w świecie Mo turysta bawiący się w wojnę dostaje to, na co zasłużył.

Czy jeszcze tej samej nocy przytrafiła mi się ta przedziwna rozmowa telefoniczna? Jeśli nie, to szkoda, bo w sam raz pasowałaby do tej okazji. Ale na pewno musiało to być na początku moich wyjazdów do Bejrutu, bo tylko nowicjusz mógł być tak głupi, żeby przyjąć darmowy *upgrade* do apartamentu dla nowożeńców na górnym i nie wiadomo dlaczego pustym piętrze hotelu Commodore. W roku 1981 nocna orkiestra bejrucka jeszcze nie dorównywała jakością swym późniejszym wyczynom, ale już się starała. Koncert rozpoczynał się zwykle koło dwudziestej drugiej i osiągał kulminację we wczesnych godzinach rannych. Goście przeniesieni na górne piętro raczeni byli pełnym spektaklem: błyskami udającymi świt, hukiem wystrzałów i wybuchów artyleryjskich – tylko które są które? – i grzechotem broni ręcznej, a potem złowróżbną ciszą. W dodatku nieprzyzwyczajonym wydawało się, że to wszystko dzieje się w pokoju obok.

No więc dzwoni telefon. Przed chwilą zastanawiałem się, czy nie położyć się pod łóżkiem, teraz jednak siedzę na nim wyprostowany jak struna i przyciskam słuchawkę do ucha.

– John?

John? Ja? No cóż, zdarza się, że ludzie, głównie dziennikarze, którzy nie poznali mnie osobiście, nazywają mnie John. No więc odpowiadam, że tak, a kto mówi? W odpowiedzi leci cała wiązanka. Moją rozmówczynią jest kobieta, najwyraźniej Amerykanka, i najwyraźniej ma do mnie jakieś pretensje.

– Jak to, kurwa, kto mówi? Nie udawaj, kurwa, że mnie nie poznajesz! Ty angolski skurwielu! Ty zdechlaku, ty oszuście, tylko mi, kurwa, nie przerywaj, tak? – Moje próby wyjaśnienia, że to nieporozumienie, giną w potoku nowych wyzwisk. – Zamknij mordę, kurwa, nie pieprz mi tu po angolsku, nie jesteśmy u tej twojej jebanej królowej! Liczyłam na ciebie, tak? Zaufałam ci. Nie, kurwa, słuchaj. Poszłam, kurwa, do fryzjera. Spakowałam, kurwa, rzeczy. Stałam na chodniku, kurwa, jak kurwa przez, kurwa, dwie godziny! I zamartwiałam się, kurwa, że leżysz, kurwa, w jakimś rowie, a ty gdzie, kurwa, jesteś? W łóżku, kurwa! – Milknie na chwilę, bo w jej ufryzowanej głowie właśnie rodzi się nowe podejrzenie. – Czy ty się teraz, kurwa, pieprzysz z jakąś kurwą? Bo jak tak, to... Teraz ja mówię! Zamknij ryj, angolski skurwielu!

Bardzo, ale to bardzo powoli udaje mi się uspokoić. Wyjaśniam, że nie jestem jej John i że tak naprawdę wcale nie jestem John, tylko David – tu przerwa na śliczną wymianę ognia – i że John, ten prawdziwy John, musiał się chyba wyprowadzić – znowu trochę bum-bum – bo wczoraj hotel zaoferował mi za darmo ten przepiękny apartament. A przede wszystkim przepraszam, gorąco przepraszam, że tak głupio wyszło i opieprzyła niewłaściwego człowieka. Naprawdę rozumiem, jak cierpi – bo teraz przynajmniej rozmawiam z drugą

istotą ludzką, zamiast umierać samotnie pod łóżkiem w darmowym apartamencie hotelowym. I jeszcze dodaję rycersko, że to musi być okropne zostać tak wystawioną do wiatru – bo teraz jej zmartwienie jest moim zmartwieniem i naprawdę chcę, żebyśmy się rozstali w zgodzie. W dodatku może ten właściwy John jest usprawiedliwiony, bo przecież w tym mieście wszystko może się zdarzyć, prawda? – tu znowu słyhać bum-bum.

Ona na to, że pewnie, David, tylko po cholere ja mam dwa imiona? Więc tłumaczę się z tego, pytam, skąd dzwoni, okazuje się, że z baru w piwnicy, że jej John też jest brytyjskim pisarzem, ale jaja. Że ona ma na imię Jenny, a może Ginny albo Penny, nie słyszę dobrze, bo znowu jest bum-bum. Może bym zszedł do niej na dół, to się napijemy?

Ja na to – ostrożnie – no dobrze, a ten prawdziwy John?

Ona na to, że ma Johna w dupie, nic mu nie będzie, da sobie radę.

Wszystko jest lepsze niż leżenie na łóżku lub pod nim i czekanie na bombę. W dodatku jej głos zrobił się całkiem miły, jak już się uspokoiła. Jestem samotny i wystraszony. Następne tłumaczenia mogą być jeszcze głupsze. Ubieram się szybko i schodzę na dół. Schodzę, nie zjeżdżam windą, bo nie cierpię wind, a poza tym sam zaczynam się podejrzewać o zdożne myśli – na schodach jeszcze zdążę się zastanowić. Ale gdy docieram do baru w piwnicy, są tam tylko dwaj pijani handlarze bronią z Francji, barman i stara papuga, która ćwiczy efekty balistyczne. Może to zresztą jednak samiec, ale kto wie?

Po powrocie do Anglii podejmuję decyzję, że z *Małej doboszki* trzeba koniecznie zrobić film i że zainspirowaną przez siebie rolę Charlie musi zagrać moja siostra Charlotte. Warner Brothers kupuje prawa, zatrudnia George'a Roya Hilla, tego od *Butcha Cassidy'ego* i *Sundance Kida*. Mówię mu o Charlotte. Hill reaguje entuzjastycznie, spotyka się z nią, podoba mu się. Pogada z wytwórnią. Rolę dają Diane Keaton i może dobrze się stało, bo jak potem wyznał sam George, człowiek, który nie owija w bawełnę:

– David, spieprzyłem ci ten film.

Sowiecki rycerz umiera we własnej zbroi

W Rosji byłem tylko dwa razy. Najpierw w roku 1987, gdy dzięki Michaiłowi Gorbaczowowi Związek Sowiecki miał zaraz wyzionąć ducha, o czym wiedzieli wszyscy poza CIA; potem w roku 1993, gdy w tym upadłym państwie przejął władzę rozpasany, skryminalizowany kapitalizm, zamieniając je w Dzikie Wschód. Miałem wielką ochotę zobaczyć na własne oczy również tę nową, westernową Rosję. W efekcie tak się złożyło, że moje pobyty miały miejsce tuż przed największymi zmianami społecznymi w historii tego kraju od rewolucji bolszewickiej i tuż po nich. A w dodatku zmiany te odbyły się, jak na rosyjskie zwyczaje, niemal bezkrwawo – jeśli nie liczyć paru zamachów stanu, kilku tysięcy ofiar morderstw na zamówienie, walk gangów, zabójstw politycznych, wymuszeń i tortur.

Przez dwadzieścia pięć lat przed pierwszą wizytą moje stosunki z Rosją były mało przyjazne. Od chwili ukazania się *Ze śmiertelnego zimna* byłem celem sowieckich inwektyw literackich, raz za to, że – jak twierdzili moi adwersarze, wynosiłem szpiega na piedestał jako bohatera – choć przecież sami wzniesli się w tej dyscyplinie na szczyty sztuki – a kiedy indziej znowu za to, że choć poprawnie opisywałem zimną wojnę, to wyciągałem niepoprawne wnioski, a na taki zarzut nie ma już logicznej odpowiedzi. Ale wtedy rozmawialiśmy nie logiką, tylko propagandą. Z okopów „Sowietskoj Litieraturnoj Gaziety”, pilnowanej przez KGB, i czasopisma „Encounter”, pilnowanego przez CIA, przykładowo obrzucaliśmy się nawzajem pociskami, doskonale zdając sobie sprawę, że w tej bezpłodnej, bo ideologicznej wojnie na słowa nie wygra nikt. Trudno się więc dziwić, że gdy w roku 1987 musiałem stawić się w sprawie wizy u attaché kulturalnego ambasady sowieckiej w Kensington Palace Gardens, człowiek ów zauważył niezbyt uprzejmie, że jak wpuszczą mnie, to wpuszczą każdego.

A tym bardziej nie można się dziwić, że gdy miesiąc później zjawiłem się na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo na zaproszenie Związku Pisarzy

Sowieckich – zdaje się, że załatwili mi to do spółki, ponad głowami KGB, pani Raisa, żona Gorbaczowa, i nasz ambasador – zamknięty w swej szklanej klatce chłopak o kamiennej twarzy i z karmazynowymi epoletami podawał w wątpliwość autentyczność mojego paszportu, na czterdzieści osiem godzin zaginął mi bagaż, po czym w niewytłumaczony sposób objawił się w moim pokoju hotelowym (wszystkie garnitury były zwinięte w kłębek), ponadto mój pokój w tymże samym ponurym hotelu Minsk był ostentacyjnie wywracany do góry nogami (grzebano w szafie, rozrzucano papiery po biurku), a ilekroć wychodziłem gdzieś sam, śledziła mnie w odległości dwóch metrów ta sama para otyłych tajniaków z KGB w średnim wieku. Nazwałem jednego Muttski, drugiego Jeffski¹⁸.

I chwała Bogu, że za mną chodzili. Oto bowiem spędziwszy interesujący wieczór w domu dziennikarza i dysydenta Arkadija Waksberga – który w końcu stracił przytomność na podłodze swego saloniku – znajduję się sam jak palec na nieznannej mi ulicy. Ciemno, choć oko wykol, ani księżyc, ani przedświt, ani nawet odległej łuny centrum miasta. Nie umiem ani słowa po rosyjsku, żeby się kogoś spytać, zresztą nie ma kogo. Wreszcie z ulgą identyfikuję sylwetki moich wiernych tajniaków. Siedzą wsparci o siebie na ławce – pewnie spali tam na zmianę.

– *You speak English?*

Niet.

– *Français?*

Niet.

– *Deutsch?*

Niet.

– *I-am-very-drunk.* – Robię głupią minę, powoli kręcę palcem prawej dłoni wokół prawego ucha. – *Hotel Minsk, okay? You know Minsk? We go together?* – Odciągam w bok łokcie na znak braterstwa i bierności.

Nasz trzyosobowy szereg rusza w powolny marsz wysadzaną drzewami aleją. Opustoszałymi ulicami docieramy do okropnego hotelu Minsk. Jestem człowiek wygodny, upierałem się, że zamieszkać w jednym z nielicznych w ówczesnej Moskwie hoteli za dolary, ale gospodarze nawet nie chcieli o tym słyszeć. Minsk, koniecznie Minsk, apartament dla VIP-ów na górnym piętrze, bo tam mamy zamontowane na stałe przedpotopowe mikrofony, a na korytarzu pełni służbę przerażająca etażowa.

Ale tajniacy przecież też ludzie. Z czasem zacząłem widzieć w Muttskim i Jeffskim tyle rezygnacji, tyle zmęczenia, zacząłem czuć do nich tyle sympatii, że zupełnie niezgodnie z konwencją miałem ochotę zbliżyć się do nich, zamiast się oddalić. Któregoś wieczoru umówiłem się na kolację z moim młodszym bratem

Rupertem, który w tamtych burzliwych czasach był szefem moskiewskiej redakcji „The Independent”. Poszliśmy do jednej z pierwszych spółdzielczych – czyli prawie że prywatnych – restauracji w Moskwie. Jest między mną a bratem kilkanaście lat różnicy, ale w słabym świetle wyglądamy dość podobnie, szczególnie jak ktoś jest pijany. Rupert doprosił jeszcze innych korespondentów moskiewskich. Gadaliśmy, piliśmy – a w tym czasie moi dwaj tajniacy siedzieli smętnie przy stoliku w kącie. Wzruszony ich cierpieniem posłałem im butelkę wódki przez kelnera, udając, że to nie dla nich. Kiedy wreszcie odwróciłem ku nim wzrok, butelki nigdzie nie było, ale potem poszli nie za tym bratem co trzeba.

Opisywać ówczesną Rosję bez wódki to jak mówić o wyścigach konnych bez koni. Podczas tego samego pobytu odwiedzam mojego moskiewskiego wydawcę. Jest jedenasta przed południem. Ciasny gabinet na poddaszu pęka w szwach od zakurzonych dickensowskich segregatorów, tajemniczych pudeł tekturowych ustawionych jedno na drugim i poźółkłych maszynopisów przewiązanych sznurkiem do snopowiązałek. Na mój widok wydawca zrywa się zza biurka i z rykiem zachwytu przyciska mnie do piersi.

– U nas *glasnost*! – krzyczy. – U nas *pieriestrojka*! U nas już *niet* cenzury! Przyjacielu! Ja teraz wydam wszystkie twoje książki, stare książki, nowe książki, nędzne książki, *wsio rawno*! Napisał książkę telefoniczną? Ja wydam! Ja wydam wszystko, tylko nie to, co mi każą wydawać te swołocze z partyjnej cenzury!

I kompletnie ignorując dopiero co wprowadzone gorbaczowowskie ukazy antyalkoholowe, już wyciąga z szuflady butelkę wódki, już zrywa zakrętkę, już wyrzuca ją (zakrętkę) do kosza. Drętwieję ze strachu.

Było dla mnie czymś całkowicie logicznym, że w tym lustrzanym świecie, w którym się znalazłem, jestem obserwowany, śledzony i traktowany z najwyższą podejrzliwością, a równocześnie podejmowany z honorami. „Izwestia” zamieściły moje zdjęcie z całkiem przyjemnym komentarzem; królewskie wręcz przyjęcie zgotowali mi moi gospodarze, Związek Pisarzy – choć literackie kwalifikacje wielu z nich były dość niejasne, a w kilku przypadkach wyłącznie mityczne.

Był więc wśród nich wielki poeta, którego twórczość składała się z tomiku wierszy ułożonych trzydzieści lat wcześniej, ale podobno napisał je nie on, tylko inny poeta, rozstrzelany za Stalina za nieprawomyślność. Był bardzo, bardzo stary człowiek z siwą brodą i o czerwonych zażawionych oczach, który pól

wieku spędził w gułagach i zrehabilitowano go dopiero za głośności, ale jakoś udało mu się przechować i wydać olbrzymią cegłę, czyli swój pamiętnik cierpienia. Cegłę mam u siebie na półce, lecz jest po rosyjsku, którego nie znam. Byli literaccy akrobaci, którzy całymi latami stąpali po linii państwowej cenzury, szyfrując w alegoriach to, co mogli odczytać tylko wtajemniczeni. Zastanawiałem się, co napiszą teraz, gdy mają pełną swobodę? Czy staną się Tołstojami, Lermontowami przyszłości? A może tak przyzwyczaili się pisać pokrętnie, że normalnie już nie potrafią?

Na przyjęciu na świeżym powietrzu w Pieriedielkinie, położonej w lesie kolonii dla pisarzy, ci z nich, którzy dawniej zbyt gorliwie trzymali się linii partyjnej, mieli teraz nieco niewyraźne miny – wszystko przez pierestrojkę, gorbaczowowskie reformy polityczno-ekonomiczne – na tle tych, którzy kojarzyli się z niepokornością. Do tej drugiej kategorii, jak sam mi powiedział, należał Igor, pijany dramaturg, który koniecznie musiał obejmować mnie za szyję i konspiracyjnie szeptać mi do ucha.

Już wcześniej omówiliśmy z Igorem Puszkina, Czechowa i Dostojewskiego. To znaczy Igor omawiał, ja słuchałem. Podziwialiśmy Jacka Londona. Przynajmniej Igor. Teraz opowiada mi, że jeżeli naprawdę chcę się przekonać, jakim gównem jest komunistyczna Rosja, to wystarczy spróbować przesłać używaną lodówkę od siebie z Leningradu do babci w Nowosybirsku. Nie dojedzie. Uznaliśmy, że to świetna miara upadku trzęsącego się w posiadach Związku Sowieckiego, i uśmialiśmy się jak norki.

Następnego dnia rano Igor dzwoni do mnie do hotelu Minsk.

– Nie mów mi po imieniu. Poznajesz, kto mówi? Tak?

Tak.

– Wczoraj opowiadałem ci głupoty o babci, okej?

Okej.

– Pamiętasz?

Pamiętam.

– Wcale ci tego nie opowiadałem. Okej?

Znowu okej.

– Przysięgaj.

Przysięgam.

Jedynym z poznanych tam artystów, który na pewno poradzi sobie z wszelkimi ograniczeniami i pewnie jeszcze na nich skorzysta, jest Ilja Kabakow, który tak często to wypadał z łask, to do nich powracał, że dla świętego spokoju zaczął podpisywać własne ilustracje cudzym nazwiskiem. Do jego studia trafiali tylko zaufani, po znajomości; prowadził ich zawsze chłopiec z latarką,

oświetlając karkołomne przejście po deskach spoczywających luzem na krokwiach kilku przyległych do siebie poddaszy.

Po dotarciu na miejsce poznawało się Kabakowa, żywiołowego pustelnika i niezwykłego malarza, królującego w otoczeniu uśmiechniętych pań i panów wielbicieli. A na płótnach pysznił się cudowny świat jego samouwięzienia: wyśmiany, rozgrzeszony, upiększony i zuniwersalizowany kochającym spojrzeniem swego niewyciężonego twórcy.

W ławrze Troicko-Siergijewskiej w Zagorsku¹⁹, nazywanej często „rosyjskim Watykanem”, widziałem ubrane na czarno stare Rosjanki, które padały na kamienną posadzkę i całowały grube, zmatowiałe szyby relikwiarzy. A tuż obok, w nowoczesnym, urządzonym skandynawskimi meblami gabinecie, przepięknie ubrany przedstawiciel archimandryty tłumaczył mi, jak chrześcijański Bóg działa za pośrednictwem aparatu państwowego.

– Ale czy tylko komunistycznego? – zapytałem, gdy mojemu rozmówcy wyczerpały się wyuczone formułki. – Czy też tak działa przez każde państwo?

W odpowiedzi otrzymałem szeroki, przebaczący uśmiech oprawcy.

By odwiedzić pisarza Czingiza Ajtmatowa, o którym – co za hańba! – nigdy przedtem nie słyszałem, razem z przywiezionym z Anglii tłumaczem lecimy Aerofłotem do garnizonowego miasta Frunze, które teraz, jako stolica Kirgistanu, nazywa się Biszkek. We Frunze nie nocujemy w tutejszym odpowiedniku hotelu Minsk, tylko w pięciogwiazdkowym ośrodku wczasowym Komitetu Centralnego.

Cały ogromny teren ośrodka patrolują z psami uzbrojeni strażnicy z KGB. Podobno mają nas chronić przed góralami koniokradami. O wrogich muzułmańskich plemionach ani słowa. Jesteśmy jedynymi gośćmi. W podziemiach mamy luksusowo wyposażony basen i saunę. Szafki na ubrania, ręczniki i płaszcze kąpielowe mają wyszywane zwierzątka. Wybieram łosia. Woda w basenie jest niemiłosiernie przegrzana. Za parę dolarów kierownik oferuje nam zakazaną wódkę o najróżniejszych smakach oraz kobiety lekkich obyczajów. Z pierwszej oferty korzystamy, za drugą dziękujemy.

Kiedy wracamy do Moskwy, okazuje się, że z tajemniczych powodów nie można wejść na plac Czerwony. Przesunięto nam o jeden dzień pielgrzymkę do Mauzoleum Lenina. Dopiero po dwunastu godzinach dowiadujemy się o tym, o czym wie już cały świat – że młody niemiecki pilot Mathias Rust, za nic sobie mając sowieckie systemy obrony przeciwlotniczej, wylądował maleńkim samolotem u stóp Kremla i przy okazji dostarczył Gorbaczowowi pretekst do zwolnienia ministra obrony i całej śmietanki generalskiej niechętniej jego reformom. Pamiętam dobrze, że wśród intelektualistów z Pieriediełkina jakoś nie było głośnych wiwatów na cześć tego wyczynu, gromkich wybuchów śmiechu – wręcz przeciwnie, robiło się cicho i obecni sztywnieli ze strachu, że znów zdarzy

się coś nieprzewidzianego, coś złego. Polityczny zamach stanu, wojskowy pucz, a może – choć przecież to nie te czasy – czystka wśród nas, literatów?

W mieście, które wtedy jeszcze nosi nazwę Leningrad, poznaję najwybitniejszego rosyjskiego dysydenta swego pokolenia i w ogóle jednego z największych ludzi: fizyka, laureata Nagrody Nobla Andrieja Sacharowa i jego żonę Jelenę Bonner, których Gorbaczow właśnie wypuścił z zesłania do miasta Gorki, żeby pomogli mu w pieriestrojce.

Właśnie fizyk Sacharow zbudował Kremlowi pierwszą bombę wodorową i właśnie dysydent Sacharow obudził się pewnego dnia rano i zrozumiał, że swoją bombę zrobił dla bandy gangsterów – i miał odwagę powiedzieć im to głośno, prosto w oczy. Siedzimy i rozmawiamy przy okrągłym stoliku w jedynej spółdzielczej restauracji w mieście – Sacharow jest z Jeleną u boku – a grupka młodych działaczy z KGB kręci się wokół naszego stołu i bez przerwy strzela nam w oczy lampami błyskowymi z lat trzydziestych. Jest to tym bardziej surrealistyczna sytuacja, że ani w restauracji, ani na ulicy nikt nie odwraca się za Andriejem Sacharowem, nikt nie podbiega ukradkiem, by ucisnąć dłoń wielkiego człowieka, i nic dziwnego – odkąd popadł w niełaskę, jego wizerunek też podlegał cenzurze. W efekcie nasi niefotografowie fotografują nietwarz.

Sacharow pyta mnie, czy znam Klause Fuchsa, brytyjskiego fizyka atomowego, zdemaskowanego jako sowiecki szpieg, który po wyjściu z więzienia zamieszkał w NRD.

Nie, nie znam.

A może wiem, jak go złapano?

Odpowiadam, że znam człowieka, który go przesłuchiwał, ale nie wiem, jak został złapany. Najgorszym wrogiem szpiega jest inny szpieg, mówię, wskazując głową wirujący wokół nas krąg fałszywych fotografów. Snuję domysły, że może jeden z ich szpiegów powiedział o Fuchsie jednemu z naszych szpiegów. Sacharow się uśmiecha. W odróżnieniu od żony uśmiecha się często. Zastanawiam się, czy to u niego naturalne, czy też jest to zachowanie wyuczone po to, by rozbrajać prześladowców. Tylko dlaczego pyta o Fuchsa? Zastanawiam się dalej, choć już tylko w myśli. Może dlatego, że w stosunkowo otwartym społeczeństwie zachodnim Fuchs wybrał drogę tajnej zdrady, zamiast wstać i głośno ujawnić swoje poglądy, podczas gdy Sacharow, żyjący w dogorywającym właśnie państwie policyjnym, znosił tortury i więzienie dla wolności słowa?

Sacharow opowiada mi, że umundurowany strażnik z KGB, który codziennie stał przed ich domem w Gorkim, miał zakaz kontaktu wzrokowego ze swymi podopiecznymi, więc codzienną „Prawdę” podawał im przez ramię: proszę wziąć, ale nie patrzeć mi w oczy. I że na zesłaniu czytał Szekspira od deski do deski. Jelena Bonner dodaje, że Andriej nauczył się na pamięć całych fragmentów dzieł wieszczą ze Stratfordu, lecz nie umie tego wymówić, bo na zesłaniu nie mieli kontaktu z angielskim mówionym. I opowiada, jak pewnego wieczoru w szóstym roku zsyłki ktoś załomotał do ich drzwi. Bonner mówiła, żeby Andriej nie otwierał, ale otworzył.

– Powiedziałem Jelenie, że nie mogą nam zrobić niczego, czego już nie robili – tłumaczy.

Więc otworzył. Zobaczył dwóch mężczyzn. Jeden był w mundurze oficera KGB, drugi w kombinezonie roboczym.

– Zakładamy wam telefon – powiedział KGB-ista.

Sacharow pozwala sobie na złośliwy uśmiech. Mówi, że nie pije – i naprawdę jest abstynentem – ale otrzymanie telefonu w rosyjskim mieście zamkniętym jest mniej więcej tak prawdopodobne jak otrzymanie kieliszka zmrożonej wódki na Saharze.

– Nie chcemy telefonu, zabierajcie to – powiedziała Bonner oficerowi.

Ale Sacharow znowu miał inne zdanie. Niech zakładają, co nam szkodzi? I założyli, choć Jelena nie była zadowolona.

– Jutro w południe czekajcie na rozmowę – powiedział na odchodnym oficer KGB i zatrzasnął drzwi.

Sacharow mówi precyzyjnie, jak to naukowcy. Prawda leży w szczegółach. Minęło południe, pierwsza, druga. Uznali, że są głodni. Nie spali dobrze, nie jedli śniadania. Powiedział do potylicy strażnika, że idzie do sklepu po chleb. Już wyszedł, gdy Bonner zawołała za nim:

– Telefon do ciebie.

Wrócił do mieszkania, podniósł słuchawkę. Kilka osób mniej lub bardziej opryskliwie łączyło go dalej i w końcu okazało się, że rozmawia z Michaiłem Gorbaczowem, sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego. Gorbaczow mówi, że co było, to było. Teraz Komitet Centralny na nowo rozpatrzył waszą sprawę, możecie wracać do Moskwy. Dawne mieszkanie już czeka, zostaniecie natychmiast przyjęci z powrotem do Akademii Nauk, nie ma już żadnych przeszkód, byście mogli zostać odpowiedzialnym obywatelem nowej, pieriestrojkowej Rosji.

Słowa „odpowiedzialny obywatel” podziały na Sacharowa jak płachta na byka. Poinformował Gorbaczowa – założę się, że bardzo stanowczo, choć Sacharow wciąż się uśmiecha – że odpowiedzialny obywatel to ktoś, kto szanuje

prawa swojego państwa. I że tu, w tym zamkniętym mieście, widział skazanych, którzy nigdy nawet nie byli w sądzie, i takich, co w ogóle nie wiedzieli, za co tu są.

– Wysyłałem wam listy o tym, nie dostałem w odpowiedzi ani słowa.

– Mamy wasze listy – odpowiedział pojednawczo Gorbaczow. – Komitet Centralny też się nimi zajmuje. Wracajcie do Moskwy. Co było, to było. Pomóżcie odbudować kraj.

Teraz Sacharow rzeczywiście zmienił się w rozjuszony byk, bo zaczął przedstawiać Gorbaczowowi całą litanię – dawnych i obecnych – grzechów Komitetu Centralnego, o których do niego pisał, oczywiście bez rezultatu. Nagle zobaczył wzrok żony i uświadomił sobie, że jeżeli dalej będzie tak mówił, to Gorbaczow w końcu powie mu: „Skoro tak uważacie, towarzyszu, to zostańcie w Gorkim”.

Więc Sacharow odłożył słuchawkę. Tak po prostu. Nawet nie powiedział „Do usłyszenia, Michaił Siergiejewiczu”.

Dopiero wtedy się zorientował, co zrobił – i teraz uśmiecha się łobuzersko na to wspomnienie, nawet Bonner ma w oczach iskierki.

– I wtedy się zorientowałem – powtarza wciąż nieco zdziwiony – że rozmawiałem przez telefon po raz pierwszy od sześciu lat i rzuciłem słuchawką sekretarzowi generalnemu Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego.

Minęło kilka dni. Mam wystąpić przed grupą studentów w auli Uniwersytetu Łomonosowa. Na podium jest ze mną John Roberts, mój niezłomny przewodnik i tłumacz z Anglii, Wołodia, mój rosyjski przewodnik przydzielony przez PEN-Club albo Związek Pisarzy, nigdy nie wiem, przez kogo, i mizerny profesor, który przedstawia mnie publiczności – moim zdaniem niezbyt przychylnie – jako produkt głośności. Mam wrażenie, że według niego głośność mogłaby się beze mnie obejść. Teraz z takim samym brakiem entuzjazmu prosi o pytania z sali.

Pierwsze pytania są zadawane po rosyjsku, ale błąd profesorek w tak oczywisty sposób je cenzuruje, że studenci już się niecierpliwią i po prostu wykrzykują je po angielsku. Załatwiamy program obowiązkowy: moi ulubieni pisarze, moi nieulubieni pisarze, szpieg jako produkt zimnej wojny. Rozważamy – w bardzo wyzywający sposób – moralny problem donosicielstwa. Tego już blademu profesorkowi za wiele. Jeszcze tylko jedno pytanie. Podnosi rękę jakaś studentka. Tak, pani.

Studentka:

- *Sir. Please. Mr le Carré. Co pan sądzi o Marksie i Leninie, please?*

Powszechny wybuch śmiechu.

Ja:

- Uwielbiam ich.

Wcale nie uważam tego za swoją najlepszą wypowiedź, ale publiczność przyjmuje ją długą owacją i okrzykami wesołości. Błady profesorek kończy spotkanie, studenci natychmiast porywają mnie i prowadzą w dół po schodach do jakiejś – chyba – świetlicy, gdzie wypytują mnie bardzo dokładnie o pewną moją powieść, która – wiem dobrze – jest u nich zakazana od dwudziestu pięciu lat. Pytam, jakim cudem udało się im ją przeczytać.

– Oczywiście w naszym prywatnym kółku czytelniczym – odpowiada studentka łamaną, ale na Jane Austen ćwiczoną angielszczyzną, wskazując na wielki ekran komputera. – Całą grupą przepisaliliśmy tekst z nielegalnego egzemplarza, który dostaliśmy od jednego z pańskich rodaków. Nocami wielokrotnie czytaliśmy pana książkę. W ten sposób czytaliśmy bardzo dużo innych zakazanych książek.

– A co będzie, jak was złapią? – pytam.

Śmieją się.

Kiedy idę pożegnać się z Wołodią, moim nieskończenie uczynnym rosyjskim przewodnikiem, i jego żoną Iriną w ich maleńkim mieszkanku, bawię się w Świętego Mikołaja, choć do Bożego Narodzenia bardzo daleko. Oboje skończyli studia z wyróżnieniem, ledwie wiążą koniec z końcem. Mają dwie małe córeczki. Wołodii przynoszę whisky, kupę długopisów, jedwabny krawat i tym podobne skarby kupione przed wylotem w sklepie wolnoctwowym na Heathrow; dla Iriny mam angielskie mydło, pastę do zębów, pończochy, chustki, też jedwabne – to efekt rad mojej żony. Dla dziewczynek – czekoladę i spódniczki w szkocką kratę. Jestem zażenowany ich wdzięcznością. Nie chcę być kimś takim. Oni też nie.

Kiedy teraz łączę sobie wszystkie spotkania, jakie odbyłem w ciągu tych dwóch krótkich tygodni w Rosji roku 1987, znów czuję przede wszystkim żal na myśl o ciężkim życiu i ogromnej wytrwałości tak zwanych zwykłych ludzi, którzy wcale zwykli nie byli; żałuję ich z powodu wszystkich upokorzeń doznanych w sklepowych kolejkach po najniezbędniejsze im i dzieciom rzeczy, a także ciągłej czujności, by nie powiedzieć czegoś nieprawomyślnego, co mogłoby ich zgubić. Kiedy w parę dni po niespodziewanych odwiedzinach Mathiasa Rusta spacerowałem po placu Czerwonym ze starszą koleżanką po piórze, zrobiłem

zdjęcie strażników pilnujących grobu Lenina – i zobaczyłem, że koleżanka blednie, i usłyszałem, że syczy do mnie, bym schował aparat.

Narodowa rosyjska dusza najbardziej obawia się jednego – chaosu. Jej największym marzeniem jest stabilizacja. Najbardziej boi się nieznanej przyszłości. Nic dziwnego – ten naród stracił dwadzieścia milionów istnień zabitych przez oprawców stalinowskich, trzydzieści milionów – przez hitlerowskich. Czy życie po komunizmie rzeczywiście będzie lepsze od tego, co mają teraz? Prawda – artyści i inteligenci, gdy już mi zaufali, z zachwytem mówili o swobodach, które – odpukać – wkrótce staną się ich udziałem. Ale między wierszami wyczuwałem też wątpliwości. Jaka będzie ich pozycja w tym nowym społeczeństwie? Czy ci, którzy cieszyli się przywilejami partyjnymi, dostaną coś w zamian? Czy jeżeli pisali tak, by partia ich doceniała, to czy teraz doceni ich wolny rynek? A jeżeli wypadli z łask, to czy nowy system ich do nich przywróci?

W roku 1993 wróciłem do Rosji w nadziei, że się tego dowiem.

Na Dzikim Wschodzie: Moskwa 1993

Upadł mur berliński. Michaił Gorbaczow przeżył prawdziwą huśtawkę nastrojów, bo najpierw znalazł się w areszcie domowym na Krymie, potem powrócił do władzy na Kremlu i wreszcie został zastąpiony przez swego starego rywala Borysa Jelcyna. Sowiecka partia komunistyczna zawiesiła działalność, zamknięto jej moskiewską siedzibę. Leningrad stał się na powrót Petersburgiem, Stalingrad – Wołgogradem. Przestępczość zorganizowana szaleje, wymiar sprawiedliwości nie działa. Nieopłaceni weterani nieszczęsnej awantury afgańskiej snują się po ulicach, kto chce, może ich sobie wynająć. Społeczeństwo obywatelskie nie istnieje, Jelcyn nie chce albo nie może nic z tym zrobić. Wiedziałem to wszystko jeszcze przed wyjazdem do Moskwy latem 1993 roku. Nie mam pojęcia, skąd przyszło mi do głowy, by wziąć ze sobą syna, dwudziestoletniego studenta. Na szczęście pojechał ze mną i nic nam się nie stało, i nawet nie żarliśmy się tak bardzo między sobą.

Wiedziałem dokładnie, po co jadę, a przynajmniej tak sobie teraz wmawiam. Chciałem pokosztować nowego systemu. Czy nowi bossowie mafii to starzy bossowie w nowych szatach? Czy Jelcyn rzeczywiście rozwiązał KGB, czy tylko – jak już wielokrotnie bywało – odtworzył go pod innym szyldem? W Hamburgu, skąd zaczynamy podróż, robię planowe zakupy tych samych podstawowych towarów, które wiozłem do Rosji w roku 1987: mydełka, szampony, pasta do zębów, czekoladowe ciasteczka Cadbury, szkocka whisky, niemieckie zabawki. Ale już na lotnisku Szeremietiewo, przez które przepuszczono nas ledwie skinieniem, panuje atmosfera tandetnego materializmu. Nieprzygotowany, najbardziej się dziwię, że w kiosku przy wyjściu można zapłacić kaucję w wysokości pięćdziesięciu dolarów i dostać na cały pobyt telefon komórkowy.

Hotel? Gdzie tam, już nie Minsk. Lśniący marmurowy pałac, w środku szerokie kręcone schody, żyrandole takiej wielkości, że można by nimi oświetlić operę, w holu cały wianuszek eleganckich dziewczyn nieskrywających, że

wyczekują męskiego towarzystwa. Pokoje wonieją świeżą farbą, odświeżaczem powietrza i kanalizacją. Podczas przejazdu przez miasto wystarczy jeden rzut oka na wystawy sklepowe i wszystko jasne: nie ma sławnego państwowego GUM-u, w tym miejscu pyszni się teraz Estée Lauder.

Tym razem mój rosyjski wydawca już mnie nie obejmuje. Nie wyciąga wesoło z biurka butelki wódki, nie wyrzuca zakrętki do kosza. Najpierw przygląda mi się przez judasza w stalowych drzwiach, otwiera całą baterię zamków, wciąga mnie do środka i wszystko zamyka z powrotem. Półgłosem przeprosza, że wita mnie sam, bo nikogo innego nie ma w biurze. Pracownicy przestali przychodzić, od kiedy byli tu ubezpieczyciele.

Jacy ubezpieczyciele? Faceci w garniturach, z aktówkami. Sprzedają ubezpieczenie od pożaru, kradzieży i zalania. Ale głównie od pożaru. W dzielnicy jest duże zagrożenie pożarowe, bo było mnóstwo podpaień. Nic dziwnego, że polisy są drogie. W każdej chwili można się spodziewać pożaru. Lepiej podpisać od razu, proszę, tu jest długopis. Bo jak nie, to znają gości, którzy podpalą, i co wtedy będzie z tymi starymi aktami, z tymi wszystkimi maszynopisami? Pytam:

– A policja?

– Powiedzą, żeby zapłacić i siedzieć cicho. Policja też dostaje swój udział.

To co, zapłaci? Może. Zobaczysz. Nie podda się bez walki. Kiedyś znał ważnych ludzi, tylko że teraz oni już nie są ważni.

Pytam znajomego z dawnego KGB, czy mógłbym poznać jakiegoś szefa mafii. Wkrótce oddzwania. W czwartek o pierwszej w nocy przyjdź do takiego a takiego klubu nocnego, Dima cię przyjmie. Z synem? Pewnie, można z synem, jak syn jest z dziewczyną, ją też przyprowadźcie. Klub jest Dimy. On jest właścicielem. Porządna klientela, bardzo bezpiecznie. Dostajemy nieodzownego goryla. Ma na imię Pusia, jest mistrzem Abchazji w zapasach, chętnie opowiada o wszystkim, co się tyczy walki swych rodaków o niepodległość. Z figury najbardziej przypomina Michelinowego ludzika, ale jest prawdziwym erudytą, językoznawcą, uczonym i – paradoksalnie – najbardziej pokojowo usposobionym człowiekiem, jakiego można sobie wyobrazić. A że jest powszechnie znany, tym bezpieczniej można się czuć w jego towarzystwie.

Wysportowani młodzi ludzie z karabinami maszynowymi stoją w szeregu przed wejściem do klubu. Obszukują nas – Pusia przygląda się temu z dobrodusznym uśmiechem. Ławki obite szkarłatnym pluszem otaczają okrągły parkiet, na którym poważnie podrygują pary w takt muzyki z lat sześćdziesiątych.

Kierownik informuje Pusię, który prowadzi nas do jednej z ławek, że pan Dima zaraz będzie.

Już wioząc nas tutaj, dał Pusia pokaz swych rozjemczych zdolności. Ulica zablokowana, na samym środku dwa sczepione ze sobą auta, większe i mniejsze. Kierowcy zaraz rzucą się na siebie. Tłum zachwyconych gapiów dzieli się na dwa obozy. Pusia otwiera drzwi od swojej strony i powoli podchodzi do miejsca zamieszania. Domyślam się, że chce rozdzielić albo uspokoić walczących, ale nie – chwytając mniejszy samochód za tylny zderzak, odczepia go od większego i przy wtórze hałaśliwego aplauzu tłumu spycha go do krawężnika.

Pijemy lemoniadę, kierownik uprzedza, że pan Dima może się spóźnić. Pan Dima załatwia jakiś b i z n e s. „Biznes” to nowe rosyjskie słowo, oznacza nieznaną transakcję. Odgłosy z korytarza zwiastują nadejście pana i władcy. Muzyka wzmagą się na powitanie i milknie. Najpierw wchodzi kolejni dwaj wysportowani młodzieńcy, krótko ostrzyżeni, ubrani w granatowe włoskie garnitury.

Specnaz, mruży do mnie Pusia. Dla bogaczy moskiewskich żołnierze dawnych sił specjalnych to obstawa z wyboru. Jak drapieżne ptaki lustrują pomieszczenie kawałek po kawałku.

Na widok Pusi nieruchomieją. Pusia uśmiecha się dobrotliwie w odpowiedzi.

Postępują o krok dalej, nieco w bok od wejścia. Przez chwilę nic się nie dzieje, po czym na scenie pojawia się we własnej osobie porucznik Kojak z policji nowojorskiej alias Dima; za nim cała świta: piękne dziewczęta i jeszcze więcej młodzieńców.

Jeśli ktoś oglądał telewizyjny serial *Kojak*, to podobieństwo jest niesamowite: takie same ciemne okulary, lśniąca łysa głowa, szerokie bary, płynny chód, jednorzędowy garnitur, ręce lekko odchyłone od boków jak u małpy. Okrągła, puciołowata, wygolona twarz zastygła w drwiącym uśmiešku. *Kojak* to teraz w Rosji wielki przebój. Czy Dima świadomie się na nim wzoruje? Nie byłby pierwszym szefem mafii, który uważa się za głównego aktora we własnym filmie.

Pierwszy rząd jest niewątpliwie zarezerwowany dla rodziny. Dima rozsiada się na środku, jego ludzie dosiadają się z boku. Po prawej dziewczyna niezwyklej urody, obwieszona biżuterią, po lewej mężczyzna o ospowatej, pozbawionej wyrazu twarzy – domyślam się, że to jakiś *consigliere*. Kierownik klubu przynosi tacę, na niej znowu tylko lemoniada. Dima unika alkoholu, mówi nam Pusia, który też jest abstynentem.

– Bardzo proszę. Pan Dima teraz z panem porozmawia.

Pusia zostaje na swoim miejscu. Przemierzam parkiet w towarzystwie mojego rosyjskiego tłumacza. Dima wyciąga dłoń. Ściskam ją – jest równie miękka jak moja. Klękam przed nim na parkiecie, obok klęka tłumacz. Nie bardzo to

wygodne, ale nie ma miejsca na nic więcej. Dima i jego ludzie patrzą na nas przez balustradkę. Już wiem, że Dima mówi tylko po rosyjsku. Ja po rosyjsku nie mówię.

– Pan Dima pyta, czego pan chce – ryczy mi w prawe ucho tłumacz.

Muzyka jest tak głośna, że nie słyszałem pytania Dimy, ale usłyszał je tłumacz, a tylko to się liczy. Jego usta są teraz jakieś dziesięć centymetrów od mojego ucha. Ponieważ klęczę, uważam za stosowne zdobyć się na jakiś akt odwagi, więc mówię, że chciałbym, by ściszone muzykę, i czy pan Dima byłby taki miły i zdjął te okulary, bo ciężko się rozmawia z kimś, kto ma dwie czarne dziury zamiast oczu. Dima każde ściszyć muzykę, po czym z rozdrażnieniem ściąga okulary, odsłaniając bezzębne świńskie oczka.

I czeka, żebym mu powiedział, czego chcę. Szczerze mówiąc, sam chciałbym wiedzieć.

– Słyszałem, że jest pan gangsterem – mówię. – Czy to prawda?

Nie mam pojęcia, jak ocenzurował to pytanie tłumacz, ale chyba dość mocno, bo Dima nie sprawia wrażenia urażonego.

– Pan Dima mówi, że w tym kraju każdy jest gangsterem. Wszystko jest na lewo, każdy biznesmen to gangster, każdy biznes to gang.

– To czy mogę zapytać pana Dimę, jakim biznesem się zajmuje?

– Pan Dima zajmuje się handlem zagranicznym – wyjaśnia tłumacz, lecz w jego głosie słychać błaganie, bym nie drążył tematu.

Tyle że ja nie mam innego tematu.

– A czym handluje? Proszę go zapytać.

– To niewygodne²⁰.

– No dobrze. Proszę go zapytać, ile ma pieniędzy. No, czy ma na przykład pięć milionów dolarów?

Tłumacz, co prawda niechętnie, musiał zadać to pytanie, bo ludzie Dimy uśmiechają się złośliwie, a sam Dima reaguje pogardliwym wzruszeniem ramion. Mniejsza z tym. Powoli zaczynam się orientować.

– Rozumiem. Sto milionów, dwieście, wszystko jedno. Wiadomo, w Rosji teraz łatwo zrobić wielkie pieniądze. A jak nic się nie zmieni, to można przyjąć, że za parę lat Dima będzie bardzo, ale to bardzo bogaty. Proszę mu to powiedzieć, ja tylko stwierdzam fakt.

Najwyraźniej tłumacz robi, o co go proszę, bo dolna część łysej twarzy uśmiecha się lekko na znak zgody.

– Czy Dima ma dzieci? – pytam teraz już bez żadnych oporów.

Ma.

– A wnuki?

– Nieważne.

Dima zakłada na powrót okulary, jakby chciał dać do zrozumienia, że to koniec rozmowy, ja jednak wcale nie kończę. Za daleko już doszedłem, żeby teraz się wycofać.

– Mam takie pytanie. Dima na pewno wie, że dawno temu w Stanach Zjednoczonych wielcy aferzyści zbijali fortuny sposobami, powiedzmy, nieformalnymi.

Z przyjemnością dostrzegam za czarnymi okularami błysk zainteresowania.

– Ale potem, jak się zestarzelili i patrzyli, jak rosną ich dzieci i wnuki, nagle stali się idealistami i postanowili stworzyć świat lepszy, bardziej ludzki niż ten, w którym sami oszukiwali.

Oczy za czarnymi szybkami wpatrują się we mnie, gdy tłumacz mówi, co mówi.

– Więc mam do Dimy takie pytanie. Czy on potrafi sobie wyobrazić, że jak będzie starszy, powiedzmy, za dziesięć, piętnaście lat... Czy Dima myśli, że przyjdzie czas, kiedy i on zacznie budować szpitale, szkoły i galerie sztuki? Tak z dobrego serca? Mówię poważnie, proszę go zapytać. Żeby w ten sposób oddać ludziom w Rosji to... no cóż, to, co im ukradł?

W starych komediach powtarza się taki żart, kiedy ktoś rozmawia przez tłumacza. Pada pytanie, zostaje przetłumaczone. Pytana osoba najpierw słucha uważnie, potem zaczyna wymachiwać rękami i przemawia przez dwie minuty czasu filmowego, po czym tłumacz odczekuje chwilę i mówi: „Nie”, „Tak” albo „Może”. Dima nie wymachuje rękami. Miarowo mówi po rosyjsku. Jego kibice zaczynają chichotać. A Dima mówi dalej. Wreszcie zadowolony łączy dłonie i czeka, by tłumacz przekazał mi jego oświadczenie.

– Panie Davidzie, bardzo przepraszam, ale pan Dima mówi, żeby się pan odpiardolił.

Siedzimy pod kryształowym żyrandolem w blichtrówatym holu mojego moskiewskiego hotelu. Naprzeciw mnie sączy orange fizz szczupły, nieśmiały trzydziestolatek w szarym garniturze i okularach i tłumaczy mi zasady rządzące światem złodziei, czyli jak ich się tu nazywa, worów. Sam jest tego świata pełnoprawnym obywatelem. Podobno to jeden z ludzi Dimy. Może był jednym z tych, którzy sprzedawali mojemu wydawcy ubezpieczenie od pożaru. Mówi ostrożnie. Bardzo przypomina mi rzecznika prasowego ministerstwa spraw zagranicznych.

– Czy wory bardzo się zmienili od upadku sowieckiego komunizmu?

– Powiem tak: wory bardzo rozszerzyli zakres działalności. Dzięki znacznie większej swobodzie poruszania się po upadku komunizmu i lepszym połączeniom lotniczym zdobyli nowe wpływy za granicą.

– Gdzie konkretnie? W jakich krajach?

Ale mój rozmówca twierdzi, że lepiej mówić o miastach niż o krajach.

– Wory mają świetne warunki pracy w Warszawie, Madrycie, Berlinie, Rzymie, Londynie, Neapolu, Nowym Jorku.

– A tu, w Rosji?

– Powiedziałbym, że panujący w Rosji chaos społeczny wpłynął korzystnie na działalność worów.

– Na przykład?

– Słucham?

– Na jaką działalność?

– Powiem tak: tu, w Rosji, świetnie zarabia się na narkotykach. Poza tym wiele firm nie może działać bez wymuszeń. No i mamy kasyna i dużo klubów.

– Burdele?

– Burdele worom niepotrzebne. Lepiej mieć kobiety i załatwiać im hotele. Zdarza się, że hotele też mamy.

– Czy przynależność etniczna ma jakiś wpływ?

– Słucham?

– Czy grupy worów pochodzą z jakichś konkretnych regionów?

– Powiem tak: dziś mamy u nas wielu ludzi, którzy nie są rodowitymi Rosjanami.

– Na przykład?

– Abchazów, Ormian, Słowian. I Żydów.

– A Czeczenów?

– Z Czeczenami to co innego.

– Czy wśród worów istnieje dyskryminacja rasowa?

– Jak wor jest dobry wor i trzyma się zasad, to wory są sobie równi.

– A dużo jest tych zasad?

– Niedużo, ale są surowe.

– Bardzo proszę o przykład.

Rozmówca odpowiada bardzo chętnie. Wor nie może pracować dla władzy. A państwo to władza, więc nie wolno mu pracować dla państwa, walczyć za państwo ani w żaden sposób państwu służyć. Nie wolno mu płacić państwu podatków.

– Czy wory kochają Boga?

– Tak.

– Czy wor może zająć się polityką?

– Jeżeli celem wora w zajmowaniu się polityką jest rozszerzanie wpływów worów, a nie pomaganie władzy, to może.

– A jeżeli zostanie znanym politykiem, popularnym, jeżeli osiągnie sukces w polityce, to czy możliwe, żeby w sercu wciąż pozostał worem?

– Możliwe.

– Czy jeden wor może zabić drugiego za złamanie worskiego prawa?

– Jeżeli tak postanowi rada.

– A pan by zabił najlepszego przyjaciela?

– Gdyby było trzeba...

– Czy pan osobiście zabił dużo ludzi?

– Możliwe.

– Nie myślał pan kiedyś, by zostać prawnikiem?

– Nie.

– Czy wor może się ożenić?

– Musi być mężczyzną ponad kobietami. Może mieć wiele kobiet, ale nie wolno mu się im poddawać, bo się nie liczą.

– Czyli lepiej się nie żenić?

– Jest zasada. Wor się nie żeni.

– Ale niektórzy się żenią.

– Taka jest zasada.

– Czy wor może mieć dzieci?

– Nie.

– Ale są tacy, co mają?

– Powiem tak: to możliwe, ale niekorzystne. Lepiej pomagać innym worom i słuchać się worskiej rady.

– A matki i ojcowie worów? Czy ich można mieć?

– Lepiej nie. Lepiej ich opuścić.

– Bo to też władza?

– Nie wolno okazywać uczuć i pozostać w świecie worów.

– Ale niektórzy z worów kochają swoje matki?

– Możliwe.

– A pan opuścił rodziców?

– Trochę. Może niewystarczająco.

– Czy kiedyś zakochał się pan w kobiecie?

– Nie wypada.

– Nie wypada pytać czy nie wypada się zakochać?

– Nie wypada – powtarza.

Teraz już się czerwieni, śmieje jak uczeń, i mój tłumacz też się śmieje. W końcu śmiejemy się we trójkę. A ja, skromny czytelnik Dostojewskiego,

zastanawiam się, jak w duszy współczesnego rosyjskiego kryminalisty znaleźć moralność, dumę i ludzkie uczucia, bo po głowie chodzi mi jedna postać, która bardzo chciałaby to wiedzieć.

Potem okazało się, że nie jedna, a kilka. Rozeszły mi się po dwóch powieściach bez konkretnego zakończenia, które od tamtego czasu napisałem o nowej Rosji bezpośrednio po upadku komunizmu, *Nasza gra* i *Single & Single*. Obie zawiodyły mnie do Rosji, Gruzji i na zachodni Kaukaz. Obie stanowiły próbę opisania skali korupcji w Rosji i ciągnących się w nieskończoność wojen na jej muzułmańskim południu. A dziesięć lat później, w trzeciej książce, *Zdrayca w naszym typie*, zająłem się najważniejszym towarem eksportowym Rosji (jeśli nie liczyć surowców energetycznych): praniem brudnych pieniędzy, miliardów zrabowanych z własnych rosyjskich skarbców.

Zawsze w pobliżu – ale nie za blisko – był z nami Pusia, nasz mistrz Abchazji w zapasach. Tylko raz miałem obawy, że przyjdzie nam skorzystać z jego bardziej fizycznych usług.

Tym razem jesteśmy w nocnym klubie w Petersburgu. Podobnie jak klub Dimy, należy do jednej ze wschodzących gwiazd rosyjskiego b i z n e s u. Osobnik ten nazywa się Karl i ma prawnika imieniem Ilja, który nie odstępuje go na krok. Na miejsce zawieziono nas opancerzonym mikrobusem, za którym jechał opancerzony land rover z obstawą. Przy wejściu, leżącym na końcu wykładanej kamieniami ścieżki obwieszanej papierowymi lampionami, spotykamy jak zwykle cały pluton uzbrojonych mężczyzn, którzy oprócz karabinów maszynowych mają też granaty ręczne podwieszane na wypolerowanych mosiężnych sprzączkach pasów amunicyjnych. W środku miejscowe dziewczyny tańczą ze sobą leniwie do wtóru ogłuszającego rocka. Czekają, aż pojawią się klienci.

Ale klientów nie ma, a już wpół do dwunastej.

– Petersburg budzi się późno – tłumaczy Karl z uśmiechem znawcy, gdy prowadzi nas do długiego stołu nakrytego na naszą cześć międy pluszowymi fotelami.

Ma wydatny nos, wygląda jak profesor, jest młody, lecz maniery ma staroświeckie. Olbrzymi Ilja w ogóle do niego nie pasuje. Blondynka, żona Ilji, jest w futrze z soboli, choć to środek lata.

Prowadzą nas do górnego rzędu foteli w stromo wznoszącej się sali. Parkiet na dole służy też za ring bokszerski, mówi z dumą Ilja, ale dziś boksu nie będzie. Pusia siada po mojej lewej, mój syn Nick po prawej. Ilja siedzi u boku swego

pana i mruży do telefonu komórkowego – jedna rozmowa za drugą, słowa płyną beznamiętnie.

Klientów nadal brak. Wokół puste miejsca, muzyka rockowa dudni, znudzone dziewczyny z obowiązku kręcą się po parkiecie – w takich warunkach trochę trudno się rozmawia. Na ulicach korki, tłumaczy Karl, wychylając się zza wielkiego Ilji. Wszystko przez tę nową *prosperity*. Dziś każdy ma samochód, wieczorny ruch uliczny w Petersburgu to po prostu skandal.

Mija kolejna godzina.

Wszystko dlatego, że dziś czwartek, tłumaczy Karl. W czwartki petersburska elita najpierw jedzie na kolację, dopiero potem do nocnego klubu. Jakoś mu nie wierzę, Pusia chyba też nie, wymieniamy niespokojne spojrzenia. Przez głowę przebiegają mi najróżniejsze scenariusze, wszystkie złe, i Pusia chyba myśli tak samo. Czy petersburska elita wie o czymś, o czym my nie wiemy? Czy Karl naraził się komuś w interesach i zaraz ktoś nas wysadzi w powietrze albo ostrzela na sito? A może – przypominam sobie te granaty na mosiężnych sprzączkach – już jesteśmy zakładnikami, Ilja zaś właśnie negocjuje okup przez komórkę? Pusia przykłada palec do ust, rusza w kierunku toalet, lecz potem skręca gdzieś w ciemność. Po paru minutach wraca uśmiechnięty jeszcze radośniej niż zwykle. Nasz gospodarz po prostu przesadził z oszczędnością. Ci goryle z granatami u pasa to Czeczeni. A w petersburskim towarzystwie Czeczeni to jednak przesada. Nikt, kto chce być kimś w Petersburgu, mówi Pusia, nie może sobie pozwolić, żeby nocnego klubu pilnowali mu Czeczeni.

A Dima? Trwało to rok, ale wbrew duchowi tamtych czasów zabrała się za niego moskiewska policja, pewnie na zlecenie konkurencji albo – jeżeli odpowiednio się nie opłacał – Kremla. Kiedy ostatni raz o nim słyszałem, był w więzieniu i usiłował się wytłumaczyć, dlaczego trzymał u siebie w piwnicy, przykutych do ściany, dwóch bardzo pokiereszowanych kolegów po fachu. Ja w końcu stworzyłem sobie własnego Dimę w *Zdrajcy w naszym typie*, podobieństwo jednak kończyło się na imieniu. Mój Dima był co prawda zatwardziałym gangsterem, ale takim, który w jakimś momencie pewnie dałby kasę na jakąś szkołę, szpital czy muzeum.

Krew i skarby

W ostatnich latach nabyłem dziecinną awersję do czytania wszystkiego, co o mnie piszą w prasie – wszystko jedno, czy piszą dobrze, czy źle, czy jeszcze inaczej. Czasem jednak jakiś tekst przedrze się do mojej świadomości – i tak właśnie się stało pewnego ranka jesienią roku 1991, gdy otwarłem „Timesa” i ze szpalt spojrzała na mnie złośliwie moja własna twarz. Mina była tak kwaśna, że od razu wiedziałem, co się święci – redakcja fotograficzna wie, co robi. No i czytam, że pewien ledwie wiążący koniec z końcem teatr w Warszawie chciał uczcić odzyskaną po komunizmie wolność, wystawiając sceniczną wersję *Ze śmiertelnego zimna*²¹. Tylko że zachłanny le Carré [patrz zdjęcie] miał czelność zażądać 150 funtów od przedstawienia – „Teraz wiemy, jaka jest cena wolności”. Jeszcze raz spojrzałem na fotografię i zobaczyłem na niej dokładnie takiego gościa, którego można podejrzewać, że jest łasy na krwawicę biednych polskich teatrów. A to chciwa świnia! Czego mu się zachciewa! Od razu widać, jaki paskudny, te jego brwi... Oczywiście natychmiast straciłem apetyt na śniadanie.

Zachować spokój. Zatelefonować do agenta. Pierwsze mi się nie udało, drugie tak. Mój agent literacki nazywa się Rainer. Głosem, który powieściopisarze nazywają trzęsącym, czytam mu na głos cały artykuł. Wypytyuję go delikatnie, czy może... czy przypadkiem... czy to możliwe, że w tej sprawie był trochę zbyt gorliwy w moim imieniu. Rainer bardzo stanowczo odpowiada, że skąd, że wręcz przeciwnie. Ponieważ Polacy wciąż dochodzą do siebie po upadku komunizmu, był miękki jak wosk. Na dowód recytuje z pamięci warunki, jakie uzgodnił z polskim teatrem. Zapewnia mnie, że nie bierzemy 150 funtów od przedstawienia, tylko marne 26, najmniej, jak można, chyba nie zapomniałem? No więc oczywiście zapomniałem. I jeszcze nie wzięliśmy ani pensa za prawa. Krótko mówiąc, Davidzie, warunki były cudowne specjalnie po to, by wyciągnąć pomocną dłoń ku polskiemu teatrowi w potrzebie. Świetnie, mówię oszołomiony. Ale w środku aż się gotuję.

Zachować spokój. Wysłać faks do redaktora naczelnego „Timesa”. To człowiek, którego działalność i pióro teraz bardzo podziwiam, ale w roku 1991 tego jeszcze o nim nie wiedziałem. Jego odpowiedź wcale mnie nie uspokaja. Jest

zbyt górnolotna i szczerze mówiąc, doprowadza mnie do pasji. Bo pan redaktor uważa, że nic takiego się nie stało. Daje do zrozumienia, że jak ktoś ma tak dobrze jak ja, to musi się przyzwyczaić, że czasem... Nie zamierzam się do niczego przyzwyczajać. Tylko do kogo teraz się zwrócić? No jak to, do kogo – do człowieka, do którego należy ta gazeta, do mojego starego kumpla Ruperta Murdocha!

No dobrze, może nie kumpla. Co prawda spotkałem Murdocha kilka razy na gruncie towarzyskim, ale wątpię, by to pamiętał. Za pierwszym razem było to w latach osiemdziesiątych w restauracji Boulestina, gdzie jadłem obiad z innym agentem literackim, i wtedy wszedł Murdoch. Agent przedstawił nas sobie, Murdoch przysiadł się na martini. Był dokładnie w moim wieku. Właśnie zaczynała się na dobre jego walka na śmierć i życie ze związkami zawodowymi drukarzy z Fleet Street. Chwilę o tym rozmawialiśmy, po czym zapytałem go od niechcienia – pewnie pod wpływem martini – dlaczego postanowił zerwać z tradycją. Bo dawniej ubodzy Angole wyjeżdżali robić fortunę w Australii, a teraz on, bynajmniej nie ubogi Australijczyk, przyjechał robić fortunę w Anglii. Co się stało? Pytanie było idiotyczne, lecz Murdoch nie mógł przepuścić takiej okazji.

– Już panu mówię – odparł. – To się stało, że wy tu wszyscy jesteście jak z drewna! – I na potwierdzenie postukał placem w drewniany blat stołu.

Podczas naszego drugiego spotkania, które odbyło się w czyimś prywatnym domu, bez ogródek uraczył wszystkich swoimi negatywnymi opiniami na temat rozpadu Związku Sowieckiego. Na koniec był tak miły, że wręczył mi wizytówkę z numerem telefonu, faksu, domowym adresem. Dzwon, kiedy chcesz, to telefon do mnie na biurko.

Zachować spokój. Zafaksować do Murdocha. Piszę, że stawiam trzy warunki: po pierwsze, obszerne przeprosiny w „Timesie”, ale umieszczone tak, żeby było je widać, a nie gdzieś w dolnym rogu strony siedemnastej; po drugie, hojna darowizna dla tego biednego polskiego teatru. A po trzecie – czy to dalej efekt tego martini? – ma zjeść ze mną lunch. Następnego dnia rano na podłodze pod moim faksem leży jego odpowiedź: „Na warunki przystaję. Rupert”.

W tamtych czasach grill w hotelu Savoy miał coś w rodzaju antresoli dla lepszych gości – podkowiaste łoże w czerwonym pluszu, w których w dawnych dobrych czasach bogaci dżentelmeni pewnie zabawiali swoje panie. *Maître d'hôtel*,

któremu szepczę na ucho nazwisko Murdocha, prowadzi mnie do jednego z gabinetów. Przyszedłem za wcześnie. Murdoch był na czas, co do minuty.

Jest mniejszy, niż go pamiętałem, ale jakby bardziej wojowniczy i od ostatniego spotkania nauczył się takiego kaczkowatego chodu połączonego z kolistym ruchem bioder, charakterystycznego dla wielkich ludzi interesów, gdy zbliżają się do siebie, by uścisnąć sobie dłonie przed kamerami. Również przechylenie głowy w stosunku do ciała jest silniejsze, niż zapamiętałem. Gdy mruży oczy, by obdarzyć mnie swym promiennym uśmiechem, mam dziwne wrażenie, że bierze mnie na cel.

Siadamy naprzeciw siebie. Zauważam – bo nie da się nie zauważyć – niepokojąco wielką kolekcję pierścieni na lewej dłoni. Zamawiamy, wymieniamy kilka banałów. Rupert przeprosza za to, co o mnie napisali. Mówi, że Angole świetnie piszą, tylko nie zawsze wiedzą co. Odpowiadam, że nie ma sprawy, że dziękuję mu za tak uczciwą reakcję. Ale teraz przechodzi do rzeczy – i już patrzy mi prosto w oczy, i już nie uśmiecha się promiennie.

– To kto zabił Boba Maxwella? – pyta.

Tym, którzy mają szczęście go nie pamiętać, przypominam, że Robert Maxwell był urodzonym w Czechach brytyjskim magnatem prasowym i parlamentarzystą, a podobno też szpiegiem pracującym dla kilku krajów, między innymi dla Izraela, Związku Sowieckiego i Wielkiej Brytanii. Jako młody czeski żołnierz brał udział w lądowaniu w Normandii, potem zdobył brytyjski stopień oficerski i order za odwagę. Po wojnie pracował dla Foreign Office w Berlinie. Był też bezwstydnym kłamcą i nieprawdopodobnym draniem, który okradł fundusze emerytalne własnych przedsiębiorstw na łączną sumę około 440 milionów funtów i narobił długów na jakieś cztery miliardy, których nie miał jak spłacić. W listopadzie 1991 roku wyłowiono jego ciało z morza u wybrzeży Teneryfy – wyglądało na to, że wypadł za burtę własnego luksusowego jachtu, ochrzczonego na cześć jego córki.

Teorii spiskowych pojawiło się co niemiara. Dla jednych było to oczywiste samobójstwo człowieka, który nie potrafił wyplątać się z sieci własnych zbrodni; inni twierdzili, że na pewno zamordowano go na zlecenie jednej z licznych agencji wywiadowczych, dla których jakoby pracował. Tylko której? Nie mam pojęcia, skąd Murdochowi przyszło do głowy, że mogę wiedzieć na ten temat więcej niż inni, ale nie chcę sprawić mu zawodu. No cóż, Rupercie, jeśli naprawdę uważamy, że to nie samobójstwo, to ja bym pewnie w sumie postawił na Izraelczyków.

– Dlaczego?

Jak wszyscy nasłuchałem się najróżniejszych plotek, więc teraz wyrzucam je z siebie: Maxwell, wieloletni agent wywiadu izraelskiego, szantażował byłych

chlebodawców; Maxwell handlował z peruwiańskim Świetlistym Szlakiem – izraelska broń za strategiczny kobalt; Maxwell zagroził, że ujawni całą sprawę, jak mu nie zapłacą.

Ale Rupert Murdoch już wstaje od stołu, już ściska mi dłoń i mówi, że wspaniale było znowu się ze mną spotkać. Poza tym może jest równie zażenowany jak ja albo po prostu znudzony, bo już go nie ma, a że wielcy ludzie nie podpisują rachunków, robi to za niego jakiś jego człowiek. Cały lunch trwał około dwudziestu pięciu minut.

Teraz żałuję, że nie spotkaliśmy się na lunchu kilka miesięcy później, bo wtedy miałbym dla niego znacznie ciekawszą teorię na temat śmierci Boba Maxwella.

Jestem w Londynie, piszę o nowej Rosji i chcę poznać kilku zachodnich awanturników, którzy uczestniczą w tamtejszej gorączce złota. Ktoś mi powiedział, że w takim razie muszę koniecznie poznać Barry'ego, i ten ktoś, okazuje się, ma rację. Prędzej czy później zawsze znajdzie się jakiś Barry, a jak się na niego natrafi, to nic, tylko się go trzymać. Oczywiście najpierw znajomy A skontaktuje cię ze znajomym B. B jest bardzo przykro, ale on nic tu nie pomoże. Może znajomy C? C nie, ale akurat D jest w mieście, wiesz, zadzwoń do D, powiedz, że jesteś kumplem C, tu masz numer D. I nagle siedzi się w pokoju z właściwą osobą.

Barry to klasyczny *Eastender*, któremu powiodło się na West Endzie: nie przynależy do żadnej klasy społecznej, mówi szybko, chętnie pozna pisarza, ale książki nie przeczyta, jak nie musi, słynie z tego, że bez wysiłku zbija jedną fortunę za drugą, i rzeczywiście interesuje się całkiem nieakademicko różnymi okazjami dalszego dorobienia się na gruzach Związku Sowieckiego. Właśnie dlatego – mówi – zatelefonował raz do niego Bob Maxwell i jak to Bob, kazał zaraz zameldować się u siebie, „ale to już”, i powiedzieć, jak w jeden tydzień zbić fortunę w Rosji, bo jak nie, to Bob będzie miał przesrando.

A tak, akurat Barry ma dziś okienko na lunch, Davidzie, więc Julio, kochanie, wiesz co? Skasuj mi dzisiaj wszystkie spotkania z popołudnia, jak cię proszę, bo pójdziemy sobie z Davidem do Silver Grilla, tylko zadzwoń do Marthy i powiedz, że na dwie osoby, i poproś, żeby dała jakiś zaciszny kącik.

Najważniejsze, żebyś zapamiętał, Davidzie – upomina mnie surowo Barry najpierw w taksówce, potem nad zajebistym befsztyczkiem, zrobili go tak, jak Barry lubi najbardziej – no więc pamiętaj, kiedy Bob Maxwell do mnie wtedy zadzwonił. W lipcu dziewięćdziesiątego pierwszego, czyli na cztery miesiące

przed wyłowieniem go z wachy. Kumasz? Bo jak nie kumasz, to niczego nie skumasz. No to w porządku. Zaczynam.

– Michaił Gorbaczow jest mój – oświadcza Barry’emu Robert Maxwell, gdy tylko zasiedli twarzą w twarz we wspianym gabinecie Maxwella na najwyższym piętrze jego biurowca. – Ty, Barry, zrobisz tak. Weźmiesz łajbę – chodzi o Lady Ghislaine, z której potem Maxwell wypadł i utonął, chyba że nie żył już, jak wypadł – posiedzisz na niej najwyżej trzy dni i wrócisz tu do mnie z propozycją. A teraz spierdalaj.

Oczywiście Barry też nieźle na tym zarobi, inaczej by przecież do niego nie szedł, tak? Najpierw ryczałek z góry za sam pomysł, potem procencik od zysku. Z łajby nie skorzystał, bo nie lubi, ale ma taką metę na wsi, gdzie jeździ czasem pomyśleć i pokombinować, i już dwadzieścia cztery godziny później – a nie, jak mówił Bob, w trzy dni – wraca z gotową propozycją. A właściwie, Davidzie, z trzema propozycjami. Wszystkie trzy murowane, zysk gwarantowany, choć niekoniecznie taki sam.

Po pierwsze, Bob, mówi Maxwellowi, ropa. Oczywiście sprawa. Jakby Gorbi załatwił ci na Kaukazie jaką koncesyjkę, które mają zaraz rozdawać, to można by ją zlicytować największym nafciarzom albo komuś wydzierżawić wydobyć. Tak czy inaczej kupa kasy, Bob.

Maxwell przerywa:

– Minusy? Jakie są, kurwa, minusy?

Minus to czas, bo mówisz, że bardzo ci zależy na czasie, tak? Taki interes w ropie to nie hop-siup, nawet jeżeli steruje tym twój kumpel na Kremlu. Więc na razie...

Jak tak, to nie. Następny pomysł.

Mój następny pomysł, Bob, to złom. I nie chodzi mi o to, że masz wziąć taczki i łązić po ulicach, i drzeć się, że skupujesz żelastwo. Chodzi o złom najlepszej jakości, całe góry złomu wyprodukowane przez gospodarkę nakazową, która się rypła – całe hektary zardzewiałych czołgów, broni, fabrycznych ruder, wypalonych elektrowni i tego szajsu, którego narobili w planie pięcioletnim, siedmioletnim czy w ogóle bez planu. Za to na światowym rynku, Bob, taki bezcenny surowiec tylko czeka na kogoś takiego jak ty. Po co ma go wziąć kto inny? Zrobisz Rosji dobrze, jak im to zabierzesz. Wystarczy miły liścik od naszego koleżki z Kremla, kilka słów, jaki to jest ci wdzięczny, że się trudzisz, potem już tylko parę telefonów do ludzi, co robią w metalu, i sprawa załatwiona.

Tylko co? Jaki jest tym razem minus dla ciebie, Bob? Ano taki, że to będzie trochę kłuło w oczy. Bo ty jesteś jak na widelcu, że tak powiem. Bo prędzej czy później ktoś zacznie się dopytywać, dlaczego to akurat Bob Maxwell zajmuje się tym złodem, a nie jakiś miły, porządny Rosjanin.

Więc Maxwell traci cierpliwość i pyta Barry'ego o trzecią propozycję. A Barry na to: krew, Bob. Krew.

– Krew, Bob – mówi Barry Robertowi Maxwellowi – to bardzo cenny towar na każdym rynku. Ale rosyjska krew, odpowiednio pobierana i zareklamowana, to po prostu żyła złota. Obywatele Rosji to patrioci. Niech tylko który usłyszy w radiu czy w telewizji albo przeczyta w swojej ruskiej gazecie, że jest jakaś narodowa tragedia, jakaś wojenka, pociąg się wykoleił, samolot spadł, trzęsienie ziemi, gazociąg strzelił, terrorysta rozpiardolił ludzi na targu, to Rosjanin nie siedzi na dupie, tylko zaraz leci do najbliższego szpitala i oddaje krew. Oddaje, Bob. Za darmo. Taki z niego dobry obywatel. Razem robią się z tego miliony litrów. Wszyscy ustawiają się w kolejce, stoją grzecznie, bo są przyzwyczajeni, i za darmo oddają krew. Bo takie mają dobre ruskie serduszka. Za darmo.

Barry urywa na chwilę nad swym stekiem, na wypadek gdybym miał jakieś pytanie, ale nie mam żadnych pytań, bo ogarnęło mnie takie nieprzyjemne uczucie, jakby namawiał teraz na ten interes już nie Roberta Maxwella, tylko mnie.

– No więc mamy nieograniczone zapasy rosyjskiej krwi. Za darmo – powtarza Barry i przechodzi do logistyki. – To co jeszcze trzeba? Pewnie od razu martwisz się stroną organizacyjną, no bo to w końcu Rosja. System poboru jest, czyli jest z czym zacząć, trzeba im go tylko trochę podrasować. Potem dystrybucja. W każdym rosyjskim mieście jest chłodnia, ale znowu przydałoby się im to rozbudować. Czyli więcej chłodni, więcej lepszych chłodni. Kto to sfinansuje? No, państwo sowieckie, a raczej to, co z niego zostało. Państwo sowieckie z dobrego serca rozbuduje i zmodernizuje cały system, bo najwyższy czas, i Gorbi będzie cię mógł za to poklepać po plecach. Czyli: skarb państwa finansuje wszystko centralnie, każda republika przysyła uzgodniony procent urobku do centralnego banku krwi – a ten bank jest w Moskwie, niedaleko jednego z lotnisk – jako wkład w naturze. Kiedy oficjalnie centralny bank krwi w Moskwie użyje swoich zapasów? Jak będzie jakaś megakatastrofa. A ty kiedy? Ty masz flotę jumbo jetów z chłodniami, która będzie latała na okrągło między Szeremietiewem a JFK. Wcale nie musisz ich kupować, załatwisz sobie leasing przeze mnie. Wieziesz krew do Nowego Jorku, po drodze badają ci ją chemicy,

znam takich gości... A czy ty masz pojęcie, ile na światowym rynku płacą za litr przetestowanej na AIDS krwi od białego człowieka?

Ale jaki jest minus, Barry? Tym razem to ja pytam, nie Maxwell, i Barry już kręci głową.

– David, nie ma minusów. Krew pójdzie jak woda. Bardzo bym się zdziwił, gdyby w tej chwili już ktoś nie robił na tym kokosów.

Ale dlaczego nie Bob?

Data, David, data! Barry powraca do kwestii daty, na którą uczulał mnie na początku swej opowieści.

– Lato dziewięćdziesiątego pierwszego, pamiętasz? Gorbi ledwo się trzyma u władzy. Partia mu się rozpada, Jelcyn tylko czeka, żeby mu się noga powinęła. Przychodzi jesień, republiki wybijają się na niepodległość, nikt nie myśli o wysyłaniu krwi do Moskwy. Pewnie raczej uważają, że najwyższy czas, by dla odmiany Moskwa wysłała coś republikom.

Pytam: a twój przyjaciel Bob?

– Bob Maxwell nie był ani ślepy, ani głupi. Jak tylko się zorientował, że już po Gorbim, od razu wiedział, że sprawa z krwią się rypla i że ostatnia okazja przeszła mu koło nosa. Gdyby poczekał miesiąc, zobaczyłby na własne oczy, jak rozpada się Związek Sowiecki. Wiedział, że jest po ptakach, więc nie czekał, tak?

W powieści, którą potem napisałem, wykorzystałem pomysł Barry'ego na handel rosyjską krwią, ale nie wyszło tak, jak chciałem. Może dlatego, że nikt się z tego powodu nie zabił.

Życie dopisało ciekawy komentarz do tego mojego dwudziestopięciominutowego lunchu z Rupertem Murdochem w grillu w hotelu Savoy. Ktoś z byłych asystentów Murdocha, opisując sprawki swego ekszefa przed brytyjską komisją parlamentarną badającą podsłuchy telefoniczne stosowane przez jedną z murdochowskich gazet, stwierdził, że kiedy ów szef miał wygłosić słynne, wypowiedziane ze ściśniętym gardłem słowa, że nigdy dotąd nie odczuwał równie silnej potrzeby skromności, doradcy błagali go, by przedtem zdjął z palców lewej dłoni te wszystkie złote pierścienie.

Największe niedźwiedzie w zoo

W życiu poznałem dwóch byłych szefów KGB. Obu polubiłem. Ostatnią osobą na tym stanowisku przed zmianą nazwy – ale tylko nazwy – był Wadim Bakatin. Ktoś mądry powiedział, że służby wywiadowcze są jak instalacja elektryczna – przychodzi nowy właściciel, włącza światło, zapalają się z powrotem stare lampy.

Jest rok 1993. Wadim Bakatin, już nie szef (byłego) KGB, tylko emeryt, rysuje w notatniku złamane strzały. Są wąskie, na końcu mają ładnie wykończone piórka. Ale w środku załamują się pod kątem prostym i stają się strzałami-bumerangami. Każdy grot kieruje się w inną stronę, zawsze gdzieś poza kartkę. Rysuje je, siedząc sztywno, jakby na baczność, za długim stołem we Wszechzwiązkowej (potem Wszechrosyjskiej) Państwowej Bibliotece Literatury Zagranicznej. Wielkie bary pochylają się do przodu, głowa wciśnięta w ramiona jak przy inspekcji wojsk. *Reforma Fund*, głosi angielskojęzyczny rewers niedbale wydrukowanej wizytówki: *Międzynarodowa Fundacja Reform Społeczno-Ekonomicznych*.

Jest zwalistym, rudawym nordykiem o smutnym uśmiechu i zwinnych, piegawatych dłoniach. Urodzony i wychowany w Nowosybirsku, z wykształcenia inżynier, był najpierw dyrektorem państwowej firmy budowlanej, a potem członkiem Komitetu Centralnego i ministrem spraw wewnętrznych. Aż tu w roku 1991, ku swemu zdumieniu i niezbyt wielkiemu zadowoleniu, otrzymał od Michaiła Gorbaczowa zatruty kielich: zajmij się KGB, zrób tam porządek. Kiedy teraz siedzę z nim i go słucham, zaczynam się domyślać, co sprawiło, że Gorbaczow zaproponował mu to stanowisko: rzucająca się w oczy przyzwoitość Bakatina, taka uparta i niewzruszona, objawiająca się w niewygodnych chwilach milczenia, gdy dokładnie zastanawia się nad pytaniem, nim da spokojną, wyważoną odpowiedź.

– Moje propozycje nie spodobały się w KGB – zauważa i rysuje kolejną strzałkę. Jakby po namyśle dodaje: – Zadanie nie było łatwe. – Chodzi mu o to, że dość trudno wejść sobie w niedzielny poranek do kwatery głównej KGB na placu Dzierżyńskiego, jednym gestem wykorzeń panujący tam autokratyzm i stworzyć od podstaw nową, uzdrowioną, społecznie wrażliwą agencję

szpiegowską na miarę odnowionej demokratycznej Rosji, jak wymarzył sobie Gorbaczow. Bakatin wiedział od początku, że będzie ciężko. Pytanie, jak dużo wiedział. Czy wiedział na przykład, że KGB był wspaniale działającą kleptokracją, która już wcześniej zdążyła zawładnąć znaczną częścią państwowych rezerw walut i złota i ukryć je za granicą? Że jej szefowie szli rączka w rączkę z krajowymi syndykatami zbrodni? Że wielu z nich należało do starej stalinowskiej gwardii, która w Gorbaczowie widziała Wielkiego Niszczyciela? Ale niezależnie od tego, co Bakatin wiedział, a czego nie, dokonał takiej głośności, jakiej świat nie widział w całej historii agencji wywiadowczych. W ciągu kilku tygodni po objęciu stanowiska wręczył Robertowi Straussowi, ambasadorowi Stanów Zjednoczonych w Rosji, wykaz i instrukcje obsługi wszystkich urządzeń podsłuchowych zamontowanych przez audiotekników KGB w murach nowego budynku, który miał zastąpić poprzednią siedzibę ambasady USA. Według słów Straussa, wykonał ten gest „bez żadnych warunków wstępnych, w duchu współpracy i dobrej woli”. Potem po Moskwie krążył dowcip, że budynek o mało się nie zawalił, gdy amerykańscy technicy powyciągali KGB-owskie podsłuchy.

– Z tymi technikami nigdy nie wiadomo – zwierza mi się Bakatin. – Powiedziałem Straussowi, że tyle udało mi się z nich wyciągnąć, więcej nie. – Ten akt odwagi i otwartości przyjęto z wściekłością w zarządzanej przez niego instytucji. Odezwały się okrzyki o zdradzie, jego stanowisko zostało zlikwidowane. Potem, za Jelcyna, KGB rozparcelowano na osobne agencje po to tylko, by wkrótce pod nową nazwą połączyć je w jedno pod osobistą władzą Władimira Putina, który sam był wychowankiem dawnego KGB.

Wadim Bakatin wraca do swych strzałek i medytuje nad szpiegostwem. Mówi, że każdy, kto się tym zajmuje zawodowo, to obsesjonat, który stracił kontakt z rzeczywistością. On sam trafił do szpiegostwa i odszedł od niego jako amator.

– Pan wie o tym znacznie więcej niż ja – dodaje, nagle unosząc wzrok.

– Ależ nieprawda – oponuję. – Ja też jestem amator. Robiłem to, jak byłem młody, skończyłem trzydzieści lat temu. Od tego czasu kombinuję na własny rachunek.

Kolejna strzałka.

– Czyli to taka zabawa – mówi.

Czy chodzi mu o to, że ja się tylko bawię? Czy że zabawą jest samo szpiegowanie? Kręci głową, jakby nie miało to żadnego znaczenia. Nagle jego pytania zaczynają przypominać oburzenie człowieka, który wyzbył się wszelkich przekonań. Dokąd zmierza świat? Dokąd zmierza Rosja? Gdzie leży trzecia

droga, droga humanitaryzmu, pomiędzy nadmiarem kapitalizmu a nadmiarem socjalizmu? On sam, mówi, jest socjalistą. Tak się wychował.

– Od dziecka wychowywano mnie w wierze, że jedyną możliwą drogą rozwoju ludzkości jest komunizm. Jak widać, nie wyszło. Władza dostała się w niewłaściwe ręce, partia poszła w niewłaściwą stronę raz, drugi, trzeci. Ale ja ciągle wierzę, że byliśmy w świecie moralną dobrą siłą. A teraz kim jesteśmy? Gdzie ta moralna siła?

Trudno o większy kontrast między dwojgiem ludzi niż między introspektywnym Bakatinem, inżynierem i wiernym członkiem partii z Nowosybirsk, a Jewgienijem Primakowem, wychowanym w Gruzji synem lekarki Żydówki i prześladowanego politycznie ojca, uczonym arabistą, mężem stanu, akademikiem i – jak na to, że egzystował w systemie, który raczej nie służył z łagodnego traktowania odstępców – mistrzem przetrwania.

W odróżnieniu od Bakatina Jewgienij Primakow miał wszelkie kwalifikacje, by prowadzić KGB i w ogóle każdą liczącą się służbę wywiadowczą. Jako młody sowiecki agent terenowy o kryptonimie MAKSIM szpiegował na Bliskim Wschodzie i w Stanach Zjednoczonych, to jako korespondent Radia Moskwa, to jako dziennikarz „Prawdy”. Praca w terenie nie przeszkadzała mu awansować w naukowych i politycznych kręgach sowieckiej władzy. Gdy władza ta upadła, Primakow awansował dalej, więc nikogo nie zdziwiło, gdy po pięciu latach szefowania rosyjskiej agencji wywiadu zagranicznego został ministrem spraw zagranicznych i pojechał w tej roli do Londynu, by rozmawiać o NATO z szefem brytyjskiego Foreign Office, Malcolmem Rifkindem.

Wieczorem w dniu jego przyjazdu, bez żadnego uprzedzenia, zostałem wraz z żoną wezwany na obiad z Primakowem i jego żoną do ambasady rosyjskiej w Kensington Palace Gardens. Wcześniej, bo jeszcze przed południem, mój agent literacki dostał spanikowany telefon z prywatnego sekretariatu Rifkinda: pan minister życzy sobie otrzymać jak najszybciej egzemplarz mojej powieści, oczywiście z podpisem autora, bo chce go wręczyć swemu rosyjskiemu koledze Jewgienijowi Primakowowi.

– Jakiejś konkretnej powieści czy wszystko jedno? – pyta agent.

*Ludzie Smiley*a. Ale tak na wczoraj.

Nie trzymam u siebie sterty niesprzedanych książek, lecz udało mi się wygrzebać skądś *Ludzi Smiley*a w twardej okładce i we w miarę dobrym stanie. Zapewne nie chcąc narażać państwa na wydatki, sekretariat Rifkinda ani słowem nie zająknął się o przysłaniu nam kuriera, więc sami wezwaliśmy firmę,

zapakowaliśmy książkę, zaadresowaliśmy do Rifkinda na adres Ministerstwa Spraw Zagranicznych, i wysłaliśmy.

Parę godzin później kolejny telefon z sekretariatu ministra. Książka nie doszła, na miłość boską, co się dzieje? Żona rozpaczliwie wydzwania do firmy kurierskiej. Wspomniana przesyłka została dostarczona do Ministerstwa Spraw Zagranicznych o takiej a takiej godzinie, odbiór potwierdzono własnoręcznym podpisem. Przekazujemy tę wiadomość do sekretariatu. Chryste Panie, pewnie ochrona ją trzyma, sprawdzimy. Sprawdzają. Książka, zapewne dokładnie obwąchana, popotrząsana i prześwietlona, zostaje wyrwana z łap ochrony, Rifkind pewnie podpisuje się pod moim autografem, jak to minister ministrowi. Tego jednak nie dowiemy się nigdy, bo ani Rifkind, ani nikt z jego sekretariatu nie odezwał się już do nas ani słowem.

Czas się przebrać i wezwać czarną londyńską taksówkę. Żona zainwestowała w doniczkę białych storczyków dla gospodyni, żony rosyjskiego ambasadora. Ja nabrałem do plastikowej torby całą kupę książek i kaset wideo dla Primakowa. Taksówka zajeżdża przed ambasadę. Ciemno, w budynku nie pali się ani jedno światło. Mam obsesję na tle punktualności, więc przyjechaliśmy o kwadrans za wcześnie. Ale wieczór przyjemny, a parę kroków dalej stoi przy krawężniku czerwony radiowóz policji dyplomatycznej.

Dzień dobry panom.

Dzień dobry państwu.

Panowie, mamy mały problem. Idziemy na kolację do ambasady rosyjskiej, ale przyjechaliśmy trochę za wcześnie, a niesiemy drobne prezenty naszym gospodarzom. Czy moglibyśmy zostawić je u panów w samochodzie, a my przejdziemy się chwilkę po ogrodach kensingtonskich?

Ależ oczywiście, proszę pana, tylko niestety, nie możemy wziąć ich do siebie do radiowozu. Proszę je postawić tam, na chodniku, popilnujemy.

Odkładamy prezenty na chodnik, idziemy na spacer, wracamy, zabieramy prezenty, które przez ten czas wcale jakoś nie wybuchły. Wchodzimy na schody przed ambasadą. Nagły błysk światła, otwierają się drzwi frontowe.

Bardzo duzi mężczyźni patrzą groźnie na nasze bagaże. Jeden sięga po storczyki, drugi grzebie w plastikowej torbie. Skinieniem głowy każą nam wejść do urządzonego z przepychem salonu. Żywego ducha. Dopadają mnie wspomnienia całkiem nie na miejscu. Kiedy miałem dwadzieścia pięć lat, jako świeżo upieczony szpieg Jej Królewskiej Mości bywałem w tym samym salonie na okropnych spotkaniach Towarzystwa Przyjaźni Angielsko-Sowieckiej. Potem

zawsze zabierali mnie na górę przesadnie przyjacielscy łowcy talentów z KGB. Po raz n-ty musiałem z nimi oglądać *Pancernik Potiomkin* Eisensteina i odpowiadać na bardzo grzeczne pytania na temat mojego życia, pochodzenia, dziewczyn, poglądów politycznych i aspiracji. Znosiłem to wszystko w płonnej nadziei, że kiedyś sowiecki wywiad zaproponuje mi współpracę, co sprawi, że w oczach moich brytyjskich szefów otrzymam upragniony status podwójnego agenta. Nigdy do tego nie doszło i nikogo nie powinno to dziwić, biorąc pod uwagę skalę spenetrowania przez Sowietów naszych służb wywiadowczych. A może po prostu im śmierdziałem, co też by mnie nie zdziwiło.

W tamtych czasach w kącie tego pięknego salonu był mały barek serwujący niechłodzone białe wino każdemu z towarzyszy, który potrafił przedrzeć się przez tłok. Teraz barek też jest. Stoi za nim siedemdziesięcioletnia babuszka.

- Chcecie pić?
- Bardzo.
- A co?
- Proszę szkocką. Dwie szkockie.
- A, whisky
- Tak, whisky.
- Chcecie dwie? Druga dla niej?
- Bardzo proszę. Z wodą sodową, bez lodu.
- Z wodą?
- Bardzo proszę z wodą.

Ale ledwie pociągnęliśmy pierwszy łyżeczek, podwójne drzwi otwierają się na oścież i wchodzi Primakow w towarzystwie własnej żony i żony ambasadora, a potem sam ambasador i cały pochód osiłeków w letnich garniturach. Primakow zatrzymuje się przy nas i oskarżycielsko wskazuje palcem na moją szklanę.

- A wy co tu pijecie?
- Szkocką.
- Wy teraz w Rosji. Wódkę pijcie.

Zwracamy niemal nietkniętą whisky babuszce, dołączamy do pochodu i forsownym marszem przechodzimy do eleganckiej przedrewolucyjnej jadalni. Jeden długi, oświetlony świecami stół. Siadam, gdzie mi każą, czyli naprzeciw Primakowa, jakiś metr od niego. Moją żonę sadzają o dwie osoby dalej po tej samej stronie. Sprawia wrażenie znacznie spokojniejszej ode mnie. Barczyści kelnerzy nalewają wódki. Do pełna. Zaczynam podejrzewać, że Primakow już wcześniej się nią częstował. Jest wesolutki, mruga oczyma. Obok siedzi małżonka, piękna blondynka, lekarka z Estonii o matczynym wejrzeniu. Z drugiej strony minister ma tłumacza, lecz Primakow woli posługiwać się własną zamaszystą angielszczyzną i tylko od czasu do czasu prosi go o pomoc.

Tymczasem okazuje się, że osiłki w letnich garniturach to rosyjscy ambasadorzy z całego Bliskiego Wschodu ściągnięci do Londynu na naradę. My z żoną jesteśmy jedynymi nie-Rosjanami przy stole.

– Ty mi mów Jewgienij, ja ci mówię David – informuje mnie Primakow.

Przyjęcie rozpoczęte. Kiedy przemawia Primakow, reszta milknie.

Mówi gwałtownie, z namysłem, od czasu do czasu sprawdza jakieś słowo z tłumaczem. Jak większość znanych mi rosyjskich intelektualistów nie traci czasu na rozmowy o pogodzie. Dziś zamierza mówić na następujące tematy i właśnie w takiej kolejności: Saddam Husajn, prezydent George Bush senior, premier Margaret Thatcher, jego własne nieudane próby zapobieżenia wojnie w Zatoce Perskiej. Jest zręcznym, interesującym rozmówcą. Ma sporo wdzięku. Nie odwraca wzroku od twarzy osoby, z którą rozmawia. Od czasu do czasu przerywa, uśmiecha się do mnie promiennie, unosi kieliszek w toaście. Podnoszę własny kieliszek, odwdzięczam się równie promiennym uśmiechem i odpowiadam toastem. Dla każdego z biesiadników jest chyba osobny kelner z osobną butelką wódki. Ja na pewno mam swojego. Jeżeli już trzeba wziąć udział w takim wódczanym maratonie – pouczał mnie przed pierwszym wyjazdem do Rosji angielski kolega – to lepiej ograniczyć się do wódki i na miłość boską, nie tykać zabójczego krymskiego szampana. Ta wspaniała rada nigdy mi się tak nie przydała.

– Ty znasz, David, „Pustynną Burzę”? – pyta Primakow.

Tak, Jewgieniju, znam.

– Saddam, on był mój *drug*. Ty znasz, David, co to *drug*?

Tak, Jewgieniju, domyślam się z kontekstu, co to *drug*.

– Saddam, on do mnie raz dzwoni – narastające oburzenie. – Jewgienij, ty daj mi zachować twarz. Wyciągnij ty mnie z tego K u w e j t a.

Czeka chwilę, by dotarło, o co chodzi. Powoli dociera. Mówi mi, że Saddam Husajn prosił go o przekonanie George’a Busha seniora, by pozwolił mu wycofać się z Kuwejtu z godnością – z twarzą – czyli bez wojny między Stanami Zjednoczonymi a Irakiem.

– Tak ja jadę do Busha – ciągnie, gniewnie akcentując nazwisko. – A on taki... – Tu zażarta dyskusja z tłumaczem. Jeżeli Primakow chciał użyć nieparlamentarnego epitetu pod adresem Busha seniora, to się powstrzymał.

– A on taki niepomocny – mówi z niechęcią i pozwala sobie na zgorzony grymas. – Tak ja jadę do Anglii – mówi dalej. – Do Wielkiej Brytanii. Do twojej Thatcher. Jadę do jej... – Kolejna pośpieszna konsultacja z tłumaczem, tym razem wychwytyję rosyjskie słowo „dacza”, chyba jedyne, które znam.

– Do Chequers – podsuwa usłudźnie tłumacz.

– Tak jadę do Chequers. – Ruch dłoni w górę, jakby chciał nakazać milczenie, ale cały stół już dawno milczy jak grób. – G o d z i n ę mnie baba maglowała. Oni chcą w o j n y!

Było już po północy, gdy wraz z żoną ze schodów ambasady rosyjskiej zstąpiliśmy do Anglii. Czy przez cały ten wieczór Primakow zadał mi choć jedno osobiste czy polityczne pytanie? Czy rozmawialiśmy o literaturze, szpiegostwie, życiu? Jeżeli tak, nie pamiętam. Pamiętam tylko, że jemu tak naprawdę zależało na tym, by podzielić się ze mną swym rozgoryczeniem – świadomością, że jako człowiek rozsądny i nastawiony pokojowo zrobił, co mógł, by zapobiec wojnie, a jego wysiłki spełzły na niczym przez – jak sądził – ośli upór dwojga zachodnich przywódców.

Dopiero niedawno okazało się, że życie dopisało do tej historii ironiczny epilog. Minęło dziesięć lat. Do władzy doszedł młodszy Bush, zaraz zacznie się kolejna inwazja na Irak, więc Primakow leci do Bagdadu i namawia swego starego przyjaciela Saddama, by oddał Organizacji Narodów Zjednoczonych na przechowanie posiadaną broń masowego rażenia. Ale tym razem nie spławił go Bush junior, tylko Saddam, bo przecież Amerykanie się nie odważą, bo ma z nimi za dużo wspólnych tajemnic.

Od czasu tego przyjęcia już nie widziałem się z Primakowem ani z nim nie rozmawiałem. Nie wymieniliśmy ani listów, ani e-mailów. Od czasu do czasu przez osoby trzecie przychodziło zaproszenie – proszę powiedzieć Davidowi, że jeśli kiedyś będzie w Moskwie, itd. Ale Putinowska Rosja jakoś mnie już nie pociągała, więc się nie kontaktowałem.

Potem na wiosnę 2015 roku dostałem wiadomość, że Primakow choruje i czybym nie przysłał mu jeszcze paru książek, bo chciałby sobie poczytać. Ponieważ nikt nie powiedział których, zrobiliśmy z żoną wielką paczkę – wszystkie były w twardej oprawie, z dedykacją – i wysłaliśmy kurierem na podany adres. Wróciły z adnotacją rosyjskich służb celnych, że za dużo książek naraz. Podzieliliśmy więc paczkę na kilka mniejszych i pewnie dotarły, choć nie dostaliśmy odpowiedzi.

I już nie dostaniemy, bo Jewgienij Primakow zmarł, zanim zdążył je przeczytać. Podobno w pamiętnikach pisze o mnie z sympatią, co bardzo mnie cieszy. Pisząc te słowa, próbowałem zdobyć tekst, no ale wiadomo – Rosja...²²

Jak oceniam tamten wieczór z perspektywy czasu? Wiem od dawna, że kiedy sporadycznie przychodzi mi stanąć twarzą w twarz z moźnymi tego świata, staje się całkowicie bezkrytyczny i chcę tylko słuchać i obserwować. Byłem dla

Primakowa ciekawostką na jeden wieczór, ale mam wrażenie, że również okazją, by szczerze zwierzyć się przed pisarzem, którego twórczość jakoś mu „podeszła”.

Wadim Bakatin zgodził się porozmawiać ze mną tylko na prośbę jednego ze swych przyjaciół, ale i w tym wypadku mam nadzieję, że dzięki temu miał się przed kim wygadać. Z tego, co wiem o ludziach tkwiących w samym oku cyklonu, mam wrażenie, że nie wiedzą zbyt dobrze, co się wokół nich dzieje. Przychodzi im to tym trudniej, że sami stanowią to epicentrum. Dopiero pewien Amerykanin dowiedział się od Primakowa, z którym z moich bohaterów ma najwięcej wspólnego: „No jak to, oczywiście z George’em Smileyem!”.

Oldřich Černý nie należy do osób, które powinno się w jakikolwiek sposób porównywać z Bakatinem czy Primakowem, bo ci dwaj byli w swoim czasie komunistami. Oldřich Černý – dla przyjaciół Olda – przejął czeski wywiad zagraniczny w roku 1993, cztery lata po upadku muru berlińskiego. Na prośbę swego starego kolegi i współdysydenta Václava Havla miał zmienić te służby w coś, z czym mogłoby współpracować zachodnie środowisko szpiegowskie.

Przez pięć lat swego szefowania czeskim służbom nawiązał bliskie stosunki z MI6, przede wszystkim z Richardem Dearlove’em, który później, już za Tony’ego Blaira, został z kolei szefem brytyjskiej agencji. Wkrótce po tym, gdy Černý odszedł ze stanowiska, odwiedziłem go w Pradze. Spędziliśmy razem kilka dni, czasem w jego małym mieszkanku – z Heleną, jego wieloletnią towarzyszką życia - albo w jednej z licznych praskich piwnicznych gospód, siedząc przy jasnych sosnowych stołach nad szklanką whisky.

Podobnie jak Wadim Bakatin, również Černý nie miał wcześniej pojęcia o pracy w wywiadzie; Havel powiedział mu, że właśnie dlatego go wybrał. Gdy już został szefem wywiadu, nie mógł uwierzyć, w jakim świecie się znalazł:

– Sukinsyny nie wiedziały, kurwa, że zimna wojna się skończyła! – wołał, co chwila wybuchając śmiechem.

Niewielu cudzoziemców umie przekonująco przeklinać po angielsku, ale Černý był tu wyjątkiem. Za Praskiej Wiosny wyjechał na stypendium do Newcastle, więc pewnie tam się tak wyuczył. Gdy wrócił do spacyfikowanego przez Rosję kraju, za dnia tłumaczył książki dla dzieci, nocą pisał anonimowo dysydenckie teksty.

– Goście dalej szpiegowali Niemców! – ciągnął z niedowierzaniem. – Kurwa, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim! Chodzili po ulicy z pałami i szukali księży albo elementów antypartyjnych, żeby im dowalić! Teraz, kurwa, mamy demokrację!

Černý miał pełne prawo mówić jak ktoś świeżo wypuszczony z więzienia. Był antykomunistą z natury i z urodzenia. Jego ojciec, podczas wojny bojownik czeskiego ruchu oporu, został uwięziony przez hitlerowców w Buchenwaldzie, a potem dostał dwadzieścia lat za zdradę stanu – ale już od komunistów. Jednym z najwcześniejszych wspomnień Oldřicha był widok trumny ze zwłokami ojca podrzuconej pod drzwi domu przez więziennych siepaczy.

Nic dziwnego, że Černý – pisarz, dramaturg, tłumacz i absolwent anglistyki – przez całe życie walczył przeciwko politycznej tyranii; albo że co chwila ciągało go na przesłuchanie to KGB, to czeski wywiad, którym nie udało się go zwerbować, więc go prześladowały.

To bardzo ciekawe, że choć sam przekonywał, jak bardzo nie nadaje się do przejęcia władzy nad czeskimi szpiegami po rozwodzie ze Słowacją, pozostał na tym stanowisku przez pięć lat, pracę zakończył z honorem, po czym zarządzał fundacją na rzecz praw człowieka założoną przez swego przyjaciela Havla i stworzył własny ośrodek studiów nad bezpieczeństwem międzynarodowym, który w piętnaście lat od powstania i trzy lata po śmierci założyciela nadal prowadzi ożywioną działalność.

Na krótko przed śmiercią Černego, na prywatnym obiedzie u ambasadora Czech, poznałem stareńkiego Václava Havla. Był zmęczony i już bardzo schorowany; siedział z dala od innych i prawie się nie odzywał. Ci, co go znali bliżej, wiedzieli, że lepiej dać mu spokój. Nieśmiało podszedłem i wspomniałem Černego. Powiedziałem, że świetnie się z nim bawiłem w Pradze. Natychmiast się rozpromienił.

– No to miał pan szczęście! – odpowiedział. I przynajmniej przez chwilę potem się uśmiechał.

Wśród Inguszków

Ja już wcześniej wiedziałem, kto to jest Issa Kostojew, ale poza tym pewnie mało kto to wie, jeżeli ma mniej niż pięćdziesiąt lat. Otóż Kostojew był oficerem policji rosyjskiej zajmującym się szczególnie trudnymi sprawami i w roku 1990 udało mu się uzyskać przyznanie się do winy od seryjnego mordercy Andrieja Czikałiło, ukraińskiego technika, który miał na sumieniu pięćdziesiąt trzy ofiary. Obecnie Kostojew jest niestrudzonym i nieprzebierającym w słowach członkiem Dumy Państwowej, walczącym o lepsze traktowanie i zapewnienie praw obywatelskich narodom północnego Kaukazu, szczególnie zaś swojemu własnemu narodowi, Inguszkom, bo jak uważa, o ich losie nikt na świecie nic nie wie.

Ledwo się narodził, a już Stalin uznał Czeczenów i Inguszków za zbrodniarzy, bo jakoby kolaborowali z niemieckim najeźdźcą. Wcale nie kolaborowali, ale co z tego: cały naród – w tym matka Issy – został zesłany do obozów pracy w Kazachstanie. Z dzieciństwa dokładnie pamięta, jak rosyjscy strażnicy na koniach bili jego matkę batem, bo przywłaszczyła sobie trochę kukurydzy. Mówi ponuro, że Ingusze tak samo nienawidzą wszystkich najeźdźców. Gdy wreszcie Stalin umarł, a im pozwolono wrócić do siebie, okazało się, że do ich dawnych domostw wprowadzili się Osetyjczycy, schrytlanizowane plemię z południowej strony gór, niedawni sprzymierzeńcy Stalina. Ale ze wszystkiego największy gniew wzbudza w nim powszechna u przeciętnych Rosjan rasowa dyskryminacja jego ludu.

– Ja w Rosji jestem c z a r n u c h – mówi z uporem, z całej siły ciągnąc się za azjatycki nos i uszy. – W każdej chwili mogą mnie w Moskwie aresztować, tylko za ten nos, za te uszy! – Potem bez uprzedzenia zmienia metaforę i twierdzi, że Ingusze to rosyjscy Palestyjczycy: – Najpierw wyrzucili nas z naszych miasteczek i wiosek, a teraz nienawidzą nas, bo nie wyginęliśmy.

Mówi mi, że zbierze grupę ludzi i zawiezie mnie do Inguszetii. Czemu nie? Zaproszenie jest spontaniczne, ale bardzo szybko się orientuję, że całkowicie szczerze. Razem zobaczymy, jak tam pięknie, poznamy Inguszków, sam będę mógł ocenić. I choć jestem jeszcze trochę oszołomiony, odpowiadam, że bardzo mi

miło, że nic nie sprawi mi większej przyjemności, i ściskamy sobie dłonie, że sprawa załatwiona. Jest rok 1993.

Wszyscy najlepsi specjaliści od przesłuchań mają jakiś sposób bycia, jakąś indywidualną cechę, której używają jako oręża perswazji. Niektórzy starają się sprawiać wrażenie uosobienia zdrowego rozsądku, inni wolą przerażać lub zbijać z pantafyku; jeszcze inni chcą czarować szczerością i wdziękiem osobistym. Issa Kostojew, wielki twardziel z wiecznie niepokieszoną miną, już od pierwszej chwili napawa rozmówcę chęcią pocieszenia go, choć można odnieść wrażenie, że nic nie zdoła zwalczyć jego smutku, któremu towarzyszy dobrotliwy uśmiech starego człowieka.

– A jak to było z Czikatilem? – pytam go. – Kiedy już pan wiedział na pewno?

Lekkie zmrużenie ciężkich powiek, ciche westchnienie.

– Z gęby mu śmierdziało – odpowiada, najpierw głęboko zaciągnąwszy się papierosem. – Czikatilo zżerał intymne części ciała swoich ofiar. Nic dziwnego, że w końcu wpłynęło mu to na trawienie.

Od czasu do czasu trzeszczy krótkofalówka. Siedzimy naprzeciw siebie w wiecznym półmroku za kotarami górnego piętra moskiewskiej kamienicy, która znała już lepsze czasy. Do środka co chwila pukają uzbrojeni ludzie, wchodzą, wymieniają kilka słów, wychodzą. Gliniarze? Inguscy patrioci? Jesteśmy w biurze czy w melinie? No i owszem, ma rację – jestem między wygnańcami. Poważna młoda kobieta, którą przedstawiono mi tylko jako „panią prokurator”, całkiem przypominała bojowniczkę Salaha Tamariego z Sydonu czy Bejrutu. Zgrzytająca fotokopiarka, zabytkowa maszyna do pisania, niedojedzone kanapki, przepełnione popielniczki i puszki z niechłodzoną colą to przecież obowiązkowe elementy niepewnej egzystencji palestyńskich żołnierzy wolności. Podobnie jak olbrzymi pistolet, który Kostojew trzyma w kaburze na pośladkach – chyba że akurat dla wygody przesuwa go sobie nad krocze.

Inguszami zainteresowałem się również dlatego, że jak słusznie stwierdził Kostojew, na Zachodzie chyba nikt o nich nie słyszał; mój amerykański agent zapytał mnie wręcz, czy ich sobie wymyśliłem. Głównie jednak ciekawili mnie dlatego, że podczas moich podróży bliski stał mi się los podbitych narodów po zakończeniu zimnej wojny. Ta sama ciekawość prowadziła mnie w różnych czasach do Kenii, Konga, Hongkongu i Panamy. Na początku lat dziewięćdziesiątych jeszcze ważyły się losy muzułmańskich republik północnego Kaukazu. Czy przetrwają tam powojenne „strefy wpływów”? Czy gdy Rosjanie

wyzwolili się z pęt bolszewizmu, ich południowe dominia zechcą uwolnić się od Rosji? A jeśli tak, czy na nowo rozgorzeją ich odwieczne wojny z Wielkim Niedźwiedziem? Teraz wiemy, że najkrótsza odpowiedź to „tak” – wojny rozgorzały na nowo i przyszło zapłacić za nie straszliwą cenę. Jednak w czasie mojej rozmowy z Kostojewem wołanie o wolność republik azjatyckich było wręcz ogłuszające; nikt nie przewidział – albo przewidział, lecz go to nie obchodziło – że ceną stłumienia tych dążeń będzie radykalizacja milionów umiarkowanych dotąd muzułmanów.

Planowałem umieścić akcję swojej nowej powieści w Czeczenii, ale po poznaniu Kostojewa zdecydowałem się na sąsiadów, czyli Inguszów, bo pod ich nieobecność przekazano ich kraj komu innemu. Do wyjazdu przygotowywałem się w Kornwalii. Złożyłem podanie o wizę, którą dostałem dzięki wstawiennictwu Kostojewa. Z myślą o tej podróży w sklepie sportowym w Penzance kupiłem plecak i – sam się sobie dziwiłem – pas na pieniądze. Próbowałem też popracować nad kondycją, żeby się nie zbląźnić w najwyższych górach Europy. Skontaktowałem się z brytyjskimi uczonymi zajmującymi się muzułmańskimi społecznościami w Rosji i przekonałem się – zawsze tak jest, gdy się trochę poszuka – że istnieje na świecie całe środowisko badaczy pasjonatów, którym w głowie tylko północny Kaukaz. Środowiska tego zostałem tymczasowym i bardzo niedoświadczonym członkiem. Poznałem czeczeńskich i inguskich imigrantów mieszkających w Europie i zadręczałem ich pytaniami.

Z powodów, o które nie pytałem, ale które pojmowałem doskonale, Kostojew wolał porozumiewać się ze mną przez pośredników nienależących do rasy białej. Powiedział mi, żebym koniecznie zabrał ze sobą mnóstwo amerykańskich papierosów i kilka świecidełek. Sugerował tani zegarek, najlepiej pozłacany, parę zapalniczek Zippo, parę długopisów w metalowej oprawce. To na wypadek, gdyby nasz pociąg na południe został zatrzymany przez bandytów. To porządni bandyci, tłumaczył Kostojew, nikogo nie chcą zabijać. Po prostu takie mają przekonanie, że jak ktoś przejeżdża przez ich teren, musi zapłacić myto.

Obstawę zredukowałem do sześciu ludzi. Sześciu wystarczy. Kupiłem świecidełka i zapalniczki, upchałem je do plecaka. Na czterdzieści osiem godzin przed planowanym wyjazdem do Moskwy, skąd mieliśmy podążyć do Nazranu, nasz pośrednik zatelefonował do mnie z wiadomością, że wycieczka odwołana. „Oдноśne władze” nie mogą mi zagwarantować bezpieczeństwa, chcą, żebym przyjechał, dopiero gdy się uspokoi. Nigdy się nie dowiedziałem, jakie władze, ale byłem im wdzięczny. Armia Czerwona właśnie dokonała zmasowanego ataku z ziemi i powietrza na Czeczenię; wyglądało na to, że sąsiednia Inguszetia zostanie zaraz wciągnięta w ten konflikt.

Gdy piętnaście lat później pisałem *Bardzo poszukiwanego człowieka*, młodym, niewinnym rosyjskim muzułmaninem, który zostaje wciągnięty w tak zwaną wojnę z terrorem, uczyniłem Czeczena. Na cześć Kostojewa nadałem mu imię Issa.

Nobel dla Brodskiego

Jesień roku 1987, słoneczny dzień. Razem z żonąjemy lunch w chińskiej restauracji w Hampstead. Naszym jedynym gościem jest Josip Brodski – rosyjski emigrant, były sowiecki więzień polityczny, poeta, który dla licznych swych wielbicieli jest uosobieniem Rosji. Josipa znaleźliśmy już od paru lat, ale nie wiemy właściwie, dlaczego akurat tego dnia kazano nam się nim zająć.

– Tylko pod żadnym pozorem nie pozwalajcie mu ani pić, ani palić – ostrzegła nas podejmująca go w Londynie dama o szerokich kontaktach kulturalnych. - Bo mimo kłopotów ze zdrowiem, lubi i jedno, i drugie.

Powiedziałem, że zrobię, co się da, ale znałem Josipa na tyle, by wiedzieć, że i tak postąpi, jak zechce.

Z Josipem nie zawsze łatwo się rozmawiało, lecz tego dnia przy lunchu był niezwykle wesoły, na co jakiś wpływ miało zapewne kilka dużych Jasiów Wędrawniczków z czarną nalepką, które spożył mimo łagodnych perswazji mojej żony, i paru papierosów, które popił maleńkimi, niemal ptasimi łyżkami chińskiego rosółku z chińskim makaronem.

Już dawno zdążyłem się przekonać, że literaci zwykle nie mają za wiele do powiedzenia – poza narzekaniem na agentów, wydawców i czytelników – choć może tylko mnie nie mają nic do powiedzenia. W każdym razie nie mogę sobie teraz przypomnieć, o czym w ogóle wtedy rozmawialiśmy – tym bardziej że trudno o większe różnice między dwoma ludźmi. Czytałem jego wiersze, ale miałem przy tym wrażenie, że przydałby się jeszcze podręcznik. Z zachwytem czytałem jego eseje – szczególnie ten o Leningradzie, gdzie był więziony – i wzruszyło mnie jego uwielbienie dla nieżyjącej już Achmatowej. Ale gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że w życiu nie przeczytał ani jednej mojej książki i że wcale nie poczuwa się do takiego obowiązku.

Mimo to było nam razem całkiem wesoło aż do chwili, gdy w drzwiach restauracji pojawiła się opiekunka Josipa, wysoka, elegancka, z bardzo surową miną. Moją pierwszą myślą było, że na widok butelek na stole i unoszących się nad nim kłębow dymu papierosowego będzie nam robić wymówki, że nie pilnujemy Josipa. Szybko się zorientowałem, że z trudem hamuje podniecenie.

– Josipie – mówi bez tchu. – Dostałeś nagrodę.

Długa chwila ciszy, bo Josip właśnie zaciąga się papierosem i ze zmarszczonym czołem wpatruje się w dym.

– Jaką nagrodę? – odburkuje wreszcie.

– Josipie, dostałeś Nobla!

Josip szybko podrywa dłoń ku wargom, jak gdyby chciał się powstrzymać przed powiedzeniem czegoś szokującego. Patrzy na mnie błagalnie, jakby oczekiwał pomocy. Ale ja nie wiem, jak mu pomóc, tym bardziej że ani moja żona, ani ja nie mieliśmy pojęcia, że był jednym z kandydatów, nie pamiętaliśmy również, że tego dnia miano ogłosić werdykt.

Zadają jego opiekunce oczywiste pytanie:

– Skąd pani wie?

– Bo przed naszym domem czekają skandynawscy dziennikarze. Chcą ci pogratulować, Josipie, i przeprowadzić z tobą wywiad. Josipie!

Zmęczone oczy Josipa wciąż patrzą na mnie rozpaczliwie. Zupełnie jakby chciał powiedzieć: „No zrób coś, wyciągnij mnie z tego”. Zwracam się znów do opiekunki:

– Może robią wywiady z wszystkimi kandydatami, a nie tylko z jednym. Może ze wszystkimi...

W korytarzu jest telefon. Opiekunka Josipa już wie, że jego amerykański wydawca, Roger Straus, miał przyjechać do Londynu tak na wszelki wypadek. Jest kobietą energiczną, więc natychmiast dzwoni do hotelu wydawcy i rozmawia z nim. Gdy w końcu odkłada słuchawkę, jest uśmiechnięta.

– Musimy wracać do domu, Josipie – mówi łagodnie i dotyka jego ramienia.

Josip pociąga ostatni łyk ukochanej whisky i ociężale, jakby go coś bolało, podnosi się zza stolika. Ściska opiekunkę, przyjmuje od niej gratulacje. Przyłączamy się do nich z żoną. Wychodzimy w czwórkę na oświetlony słońcem chodnik. Staję z Josipem twarzą w twarz. Przez chwilę mam wrażenie, że żegnam się z więźniem, którego zaraz powloką z powrotem do leningradzkiej celi. Z rosyjską gwałtownością chwytą mnie w ramiona, potem trzymając na nich dłonie, odsuwa mnie do tyłu, bym zobaczył zbierające się w kąciach jego oczu łzy.

– No, to teraz czeka mnie rok prawienia banałów – oświadcza i potulnie daje się wieść na przesłuchanie.

Znawca od siedmiu boleści

Myślę sobie, że jeżeli ktoś chce poznać tajniki samochodowych wyścigów Grand Prix, to raczej nie wybiera na źródło informacji młodszego mechanika o chorobliwej wyobraźni i zerowym doświadczeniu na torze. To jednak całkiem sensowna analogia do tego, jak to jest, gdy z dnia na dzień człowiek zostaje okrzyknięty wielkim guru od wszelkich spraw związanych ze szpiegostwem i szpiegami – i to wyłącznie na podstawie własnych wyssanych z palca historyjek.

Kiedy pierwszy raz próbowano przyprawić mi tę gębę, zasłaniałem się – całkiem zgodnie z prawdą – obowiązującą mnie klauzulą milczenia, zakazującą mi przyznania się, że kiedykolwiek miałem cokolwiek do czynienia z pracą w wywiadzie. Nigdy do końca nie wyzbyłem się obaw, że moja dawna instytucja, która gorzko żałowała udzielonego mi niegdyś pozwolenia na publikację, zechce kiedyś zemścić się na mnie, choćby dla przykładu – ale zaklinam się na wszelkie świętości, że tak naprawdę nie znałem żadnych tajemnic wartych wyjawienia. Mam wrażenie – nawet jeśli sam się przed sobą do tego nie przyznaję – że najbardziej cierpiała moja pisarska miłość własna. Zawsze chciałem, by moje opowiadki czytano nie jako lekko zawołowane rewelacje literackiego renegata, ale jako dzieła mojej wyobraźni, lekko tylko nawiązujące do rzeczywistości, dzięki której powstały.

A tymczasem nikt już nie traktował poważnie moich zapewnień, że w życiu nie miałem nic do czynienia ze światem tajnych służb, głównie zresztą dzięki moim byłym kolegom, którzy nie mieli oporów, by mnie zdemaskować. Kiedy wyszło szydło z worka, a ja próbowałem przekonywać ludzi, że jestem pisarzem, który kiedyś przypadkiem był szpiegiem, a nie szpiegiem, który przerwucił się na pisarstwo, spotykałem się najczęściej z takimi reakcjami: „Gdzie tam, raz szpiegiem. Zawsze szpiegiem”. Sam mogę nie wierzyć w te moje historyjki, wystarczy, że inni wierzą. Trzeba było się przyzwyczaić.

Więc chcąc nie chcąc, jakoś się przyzwyczaiłem. Mam wrażenie, że w ciągu tych lat – jeśli kto chce, moich najlepszych lat – nie było tygodnia, by nie napisał do mnie czytelnik z pytaniem, jak zostać szpiegiem, na co zawsze odpowiadałem z głupia frant: proszę napisać do członka parlamentu z pana/pani okręgu albo do

Ministerstwa Spraw Zagranicznych; a jeżeli jeszcze się pan/pani uczy, najlepiej porozmawiać z poradnią zawodową.

Sęk w tym, że w tamtych czasach nie można było tak po prostu się zgłosić. Nie tak to się załatwiało. Nie można było wygooglować MI5, MI6 czy GCHQ, nigdyś całkowicie utajnionej służby deszyfracyjnej. Teraz można. Wtedy „Guardian” nie zamieszczał ogłoszeń na pierwszej stronie, że jeśli komuś uda się przekonać do czegoś trzy osoby w jednym pokoju, to może nadaje się do szpiegostwa. Wtedy trzeba było zostać z w e r b o w a n y m. Bo jak ktoś się sam zgłasza, to pewnie wróg, a jak tylko się go zwerbujecie, to już nie. No cóż, wiemy doskonale, czym to się skończyło.

Trzeba było mieć kupę szczęścia, żeby zostać zwerbowanym. Trzeba było chodzić do dobrej szkoły, najlepiej prywatnej, i potem pójść na studia, najlepiej do Oksfordu albo Cambridge. Byłoby idealnie, gdyby w rodzinie już ktoś był szpiegiem – a jeśli nie szpiegiem, to chociaż żołnierzem. Jeżeli nie spełniało się tego ostatniego warunku, musiało się wpaść w oko – nie wiadomo kiedy – dyrektorowi szkoły, profesorowi lub dziekanowi, który znalazłszy takiego kandydata do werbunku, zaprosi go do siebie, zamknie drzwi, poczęstuje kieliszkiem sherry i zaproponuje spotkanie z interesującymi ludźmi w Londynie.

Jeśli kandydat powie, że owszem, chętnie pozna interesujących ludzi, to wkrótce może nadejść list w charakterystycznej bladoniebieskiej, podwójnie zaklejonej kopercie z wytłoczonym oficjalnym godłem. W środku będzie zaproszenie, by stawić się pod adresem gdzieś w Whitehall, i w ten sposób delikwent zacznie – lub nie zacznie – pędzić życie szpiega. W moich czasach do rytuału należał lunch w przepaścistym klubie na Pall Mall z przerażającym admirałem, który zapytał mnie, czy lepiej się czuję na świeżym powietrzu, czy nie. Do dziś zastanawiam się, co odpowiedzieć.

Nawet jeżeli większą część mojej korespondencji z czytelnikami stanowiły listy od aspirujących szpiegów, na drugim miejscu plasowali się ludzie prześladowani przez tajne służby. Moi nadawcy byli śledzeni, mieli telefony na podsłuchu, podsłuch mieli też w domach i samochodach, przekupywano sąsiadów... Poczta przychodziła do nich zawsze o jeden dzień później; mężowie, żony, kochankowie i kochanki pisali na nich donosy; nie mogli zaparkować, żeby nie dostać mandatu. Nękał ich urząd skarbowy, przed domem już od tygodnia sterczą jacyś faceci, niby udają, że dłubią w kanalizacji, ale przecież nic nie zrobili. Odpowiedź, że może rzeczywiście coś jest na rzeczy, nie byłaby szczególnie pomocna.

Ale czasem zdarzało się, że reputacja wielkiego szpiega dawała mi się nieźle we znaki. Tak było w roku 1982, gdy grupka młodocianych polskich dysydentów, mieniących się „członkami Powstańczej Armii Krajowej”, zajęła ambasadę swego kraju w Bernie, gdzie kiedyś studiowałem, i rozpoczął się trzydniowy – jak się okazało – impas.

Mój telefon w Londynie zadzwonił w środku nocy. Telefonował pewien szacowny dżentelmen, wysoko postawiony w politycznej hierarchii Szwajcarii, którego kiedyś przypadkiem poznałem. Powiedział, że potrzebuje natychmiast mojej rady i prosi o zachowanie całkowitej dyskrecji. Prosi w imieniu swoim i kolegów. Miałem wrażenie, że mówi strasznie głośno, ale może po prostu byłem trochę niedobudzony.

Powiedział, że nie ma żadnych prokomunistycznych sympatii. Szczerze mówiąc, gorąco nienawidzi komunistów. Jest pewny, że ja też. No ale polski rząd, choć komunistyczny, jest jednak legalny, a jego berneńskiej ambasadzie należy się pełna ochrona ze strony gospodarzy.

Czy wiem, o co chodzi? Wiedziałem. To dobrze. Bo właśnie grupa młodych Polaków zajęła z bronią w ręku polską ambasadę w Bernie, dzięki Bogu na razie bez jednego wystrzału. Czy słucham? Słuchałem. No więc ci młodzi ludzie to antykomuniści, więc w każdej innej sytuacji należałoby ich wspierać. Tylko że teraz nie można sobie pozwolić na osobiste sympatie, prawda, Davidzie? Prawda. Nie można.

Czyli tych chłopaków trzeba rozbroić, tak czy nie? Usunąć ich z ambasady, a potem z kraju jak najszybciej i jak najdyskretniej. A ponieważ ja się znam na takich sprawach, to może bym przyjechał i ich wyciągnął? Głosem, w którym na pewno pobrzmiwały nutki hysterii, zacząłem zaklinać się na wszelkie świętości, że nie mam żadnego doświadczenia w takich sprawach, nie znam ani słowa po polsku, nie wiem absolutnie niczego o polskim ruchu oporu, a tym mniej o sztuce czulenia się do ludzi, którzy biorą zakładników. Robiłem, co mogłem, żeby wykazać, do jakiego stopnia jestem nieprzydatny. Wreszcie – o ile pamiętam – poradziłem, żeby poszukali jakiegoś księdza mówiącego po polsku. A jeśli to nie da oczekiwanych rezultatów, proszę wyciągnąć z łóżka brytyjskiego ambasadora w Bernie i poprosić o pomoc nasze służby specjalne.

Nigdy nie dowiem się oczywiście, czy mój znakomity szwajcarski znajomy i jego koledzy zastosowali się do moich rad. Człowiek ten nigdy nie opowiedział mi osobiście, jak to wszystko się skończyło, choć wiem z prasy, że policja szwajcarska zdobyła ambasadę, pojmała czterech powstańców i uwolniła zakładników. Kiedy pół roku później natknąłem się na niego na nartach i zacząłem wypytywać, odpowiedział niedbale, że to był jakiś nieszkodliwy żart.

Zinterpretowałem to w ten sposób, że jeżeli władze szwajcarskie z kimś się dogadały, to nie będą o tym opowiadać byle cudzoziemcowi.

A potem jeszcze prezydent Włoch.

Kiedy włoski attaché kulturalny w Londynie zatelefonował do mnie z informacją, że prezydent Cossiga jest moim wielbicielem i pragnie zaprosić mnie na obiad do Kwirynału, poczułem taki przyływ dumy, jaki staje się udziałem naprawdę niewielu pisarzy. Czy wykonałem jakikolwiek wysiłek, by się dowiedzieć, jakie są poglądy polityczne pana prezydenta i jak ocenia go teraz jego naród? Nie przypominam sobie, bym zrobił coś takiego. Byłem w siódmym niebie.

Nieśmiało zapytałem attaché kulturalnego, czy pan prezydent szczególnie lubi którąś z moich książek, czy też jego aprobatą cieszy się cała moja twórczość. Attaché obiecał się dowiedzieć. Po jakimś czasie przyszła odpowiedź: *Druciarz, krawiec, żołnierz, szpieg*.

Czy w takim razie jego ekscelencja wolałby wersję angielską, czy też będzie mu łatwiej przeczytać przekład włoski? Odpowiedź chwyciła mnie za serce: pan prezydent woli czytać w mojej mowie ojczystej.

Następnego dnia zaniósłem egzemplarz wybranego dzieła do najmodniejszych wówczas londyńskich introligatorów, Sangorski & Sutcliffe, by dać je oprawić, mniejsza o koszty, w najcieńszą cielecącą skórę – zdaje się, że wybrałem ciemny błękit i kazałem krzykliwie pozłocić nazwisko autora. Efekt końcowy – ponieważ wnętrza ówczesnych brytyjskich książek wyglądały staro od nowości – przywodził na myśl wiekowy, ale na nowo oprawiony rękopis.

Stronę tytułową ozdobiłem własną dedykacją: Dla Francesca Cossigi, Prezydenta Republiki Włoch. Pod spodem wielkimi literami umieściłem mój pseudonim literacki. I chyba dodałem jeszcze coś w tym stylu, że w hołdzie, z głębokim szacunkiem, z wieczną wdzięcznością... Wiem na pewno, że zastanawiałem się długo, jak to ubrać w słowa, i nawet ćwiczyłem sobie najpierw na brudno, zanim złożyłem ową historyczną inskrypcję.

I tak, uzbrojony w oprawny w skórę egzemplarz własnej powieści, wyruszyłem do Rzymu.

Zdaje się, że hotel, który mi wybrano, nazywał się Grand, że źle spałem i prawie nie tknąłem śniadania. Potem spędziłem sporo czasu przed lustrem, zamartwiając się własną fryzurą, bo moje włosy w stresie mają tendencję do odstawania na boki. I chyba kupiłem – płacąc jak za woły – jedwabny krawat

z jednej z licznych przeszklonych gablotek w hotelu, do których klucz miał recepcjonista.

I znacznie wcześniej, niż mnie umówiono, tkwiłem na podjeździe przed hotelem, spodziewając się najwyżej kogoś z biura rzecznika prezydenta z samochodem i kierowcą. Bo na pewno nic nie przygotowało mnie na wspaniałą limuzynę z firaneczkami w oknach, która zajechała przed wejście do hotelu w asyście całego plutonu odzianych na biało policjantów na motocyklach. Błyskały niebieskie koguty, wyły syreny. To wszystko na moją cześć. Wsiadłem. Znacznie szybciej, niżbym sobie życzył, wysiadłem i zostałem oślepiony błyskami całego rządu reporterskich fleszy. Gdy wspinałem się po wielkich schodach, mijani panowie z poważnymi minami, w średniowiecznych rajtuzach i w okularach, prężyli się służbiście.

Trzeba zrozumieć, że w tym momencie straciłem wszelkie poczucie rzeczywistości. Do dziś mam wrażenie, że wpadłem w jakąś dziwną pętlę czasu. Stoję więc sam w olbrzymiej sali z ręką zaciśniętą na oprawionej przez Sangorskiego książce. Czy w takich warunkach człowiek może czuć się swobodnie? Owszem – bo oto po majestatycznych kamiennych schodach sunie w dół ku mnie mężczyzna w szarym garniturze. Prezydent Włoch pełną gębą. Jego wyszukana elegancja, miłe słowa powitania, cicha włoska angielszczyzna – to wszystko wręcz emanuje spokojną, władcą pewnością siebie, gdy zbliża się do mnie z rękami wyciągniętymi do przodu na znak radości, jaką na mój widok odczuwa.

– Pan le Carré. Całe moje życie. Każde pańskie słowo. Każda sylaba, tu, w mojej pamięci. – Westchnienie rozkoszy. – Witamy, witamy w Kwirynale.

Z trudem zdobywam się na słowa podziękowania. Za naszymi plecami zbiera się tymczasem cała armia mężczyzn w średnim wieku i w szarych garniturach, ale zachowują pełen respektu dystans.

– Może zanim przejdziemy na górę, pozwoli pan, że pokażę mu kilka ciekawostek pałacu? – pyta tym samym śpiewnym głosem mój gospodarz.

Pozwalam. Kroczymy obok siebie przez wspaniałe korytarze, którego wysokie okna wychodzą na Wieczne Miasto. Szara armia sunie za nami, wciąż trzymając się daleko z tyłu. Gospodarz zatrzymuje się na humorystyczny przerywnik:

– Po prawej widzimy taki mały pokój. To tu trzymaliśmy Galileusza, czekając, aż zmieni zdanie.

Chichoczę. On też chichocze. Idziemy dalej i znów się zatrzymujemy, tym razem przed wielkim oknem. Mamy cały Rzym u stóp.

– Tam, po lewej stronie, to Watykan. Z Watykanem też nie zawsze się zgadzaliśmy.

Znów porozumiewawcze uśmiechy. Skręcamy za zakręt korytarza. Przez chwilę jesteśmy sami. Dwoma szybkimi gestami ocieram pot z cielejącej skórki Sangorskiego i wręczam książkę gospodarzowi.

Mówię, że pozwoliłem sobie przywieźć mu t o.

Bierze tom do ręki, uśmiecha się wdzięcznie, podziwia okładkę, ogląda, czyta dedykację. Oddaje mi książkę.

– Bardzo piękna – mówi. – Najlepiej będzie, jeśli wręczy ją pan osobiście panu prezydentowi.

Z samego obiadu pamiętam niewiele. To znaczy nie wiem, cośmy jedli i co pili, ale na pewno wszystko było wyśmienite. Siedzieliśmy przy długim stole w mniej więcej trzydziści osób – w tym nasza szara armia – w średniowiecznym penthousie pięknym jak niebo. Na naczelnym miejscu siedział prezydent Francesco Cossiga, zgarbiony, dziwnie przygnębiony mężczyzna w przyciemnionych okularach. Mimo wcześniejszych zapewnień londyńskiego attaché kulturalnego, angielskim chyba nie władał zbyt dobrze. Pod ręką była tłumaczka, by pochwalić się swymi umiejętnościami, ale okazała się mało przydatna, gdy przeszliśmy z panem prezydentem na francuski. Potem okazało się, że miała tłumaczyć nie tyle nam dwom, ile otaczającej nas szarej armii.

Nie przypominam sobie powtórnego wręczenia oprawnego w cielejącą skórę woluminu, choć przecież chyba go wręczyłem. Pamiętam tylko ogólny temat naszej rozmowy, bo nie chodziło o literaturę, sztuki piękne, architekturę czy politykę, tylko o szpiegów. Sama rozmowa przypominała raczej serię nagłych i niespodziewanych ataków. Za każdym razem Cossiga unosił głowę i wpatrywał się we mnie przez przyciemnione okulary z niepokojącym natężeniem.

Najpierw chciał się dowiedzieć, czy społeczeństwa mogą w ogóle obyć się bez szpiegów. Jakie jest moje zdanie? Jak państwo, które uważa się za demokratyczne, ma pilnować swych szpiegów? Jak powinny robić to Włochy? – zupełnie jakby były jakimś szczególnym przypadkiem, nie państwem demokratycznym, tylko właśnie *Włochami* (kursywą). Bardzo proszę, ale szczerze, własnymi słowami, jakie jest moje zdanie o włoskich służbach wywiadowczych *en général*? Czy są czegoś warte? Jak sądzę: czy są siłą negatywną, czy pozytywną? Moje odpowiedzi na te pytania – i wtedy, i teraz – były i są niewarte funta kłaków. A o pracy wywiadu włoskiego nie miałem najmniejszego pojęcia. Zauważyłem też, że za każdym razem, gdy prezydent strzelał w moim kierunku kolejnym pytaniem, a ja siliłem się na jakąkolwiek sensowną odpowiedź, cała szara armia natychmiast przestawała przeżuwać

i podnosiła głowę jak na znak czyniony dyrygencką batutą, i powracała do posiłku, gdy na chwilę zabrakło mi inwencji.

Nagle prezydent zniknął. Może miał mnie już dość. Może musiał iść rządzić światem. Zerwał się na równe nogi, obrzucił mnie jeszcze jednym przeszywającym spojrzeniem, uścisnął mi dłoń i pozostawił samego z resztą gości.

Służba zaprowadziła nas do sąsiedniego pokoju na kawę i likiery. Nikt nic nie mówił. Odziani w szare garnitury panowie siedzieli w fotelach wokół niskiego stołu i tylko od czasu do czasu wymieniali niewyraźnie kilka słów, jakby się bali, że ich ktoś podsłucha; ze mną nikt nie zamienił ani słowa. Potem jeden po drugim wstawali, ściskali mi dłoń, kłaniali się i wychodzili.

Dopiero gdy wróciłem do Londynu, zasięgnąłem języka u ludzi dobrze poinformowanych i usłyszałem, że miałem zaszczyt jeść obiad w towarzystwie szefów bardzo licznych włoskich służb wywiadowczych. Najwyraźniej Cossiga uznał, że od takiego znawcy jak ja mogli się czegoś nauczyć. Zrozpaczony, zawstydzony, dopiero wtedy – idiota! – zacząłem rozpytywać o mojego gospodarza i wreszcie dowiedziałem się tego, co powinienem był wiedzieć, zanim udałem się do firmy Sangorski & Sutcliffe.

Otóż okazało się, że prezydent Cossiga, który po wyborze ogłosił się ojcem narodu, stał się z czasem jego zmorą. Swych kolegów z lewicy i prawicy zaczął atakować tak gwałtownie, że zyskał przydomek *picconaiò*, czyli „facet z motyką”. Wciąż powtarzał, że Włochy to kraj wariatów.

Ten radykalnie konserwatywny katolik, dla którego komunizm był antychrystem, zasnął w Panu w roku 2010. Na starość – jeśli wierzyć nekrologowi w „Guardianie” – jeszcze bardziej mu odbiło. W annałach nie zapisano, czy skorzystał z moich rad.

Na obiad zaprosiła mnie też pani Thatcher. Jej gabinet chciał przedstawić mnie do jakiegoś medalu, lecz odmówiłem. Nie głosowałem na nią, ale akurat ten fakt nie miał na moją decyzję żadnego wpływu. Uważałem i nadal uważam, że nie pasuję do brytyjskiego systemu odznaczeń państwowych, który reprezentuje wszystko, czego najbardziej nie cierpię w moim kraju; że lepiej trzymać się od tego z daleka; i w końcu – jeżeli w moich utyskiwaniach może być jakiś koniec – skoro nie mam szczególnego nabożeństwa do naszego brytyjskiego „komentariatu” literackiego, nie muszę też przejmować się jego osądami, nawet jeżeli są dla mnie przychylne. W liście, w którym przedstawiłem swoją decyzję, zapewniłem gabinet pani premier, że postępuję tak brzydko nie z powodu

osobistych czy politycznych animozji, podziękowałem za zaszczyt i prosiłem o przekazanie wyrazów szacunku pani premier. Byłem przekonany, że na tym sprawa się zakończy.

Myliłem się. Drugi list był już pisany w tonie bardziej osobistym. Autor zapewniał mnie, że jeżeli żałuję może zbyt pochopnie podjętej decyzji, droga do orderu jest wciąż otwarta. Odpowiedziałem – mam nadzieję, że równie uprzejmie - iż z mojego punktu widzenia droga ta jest i pozostanie zamknięta niezależnie od dalszych okoliczności. Ale jeszcze raz dziękuję i jeszcze raz proszę o przekazanie pani premier wyrazów szacunku. I znowu myślałem, że jest po sprawie, dopóki nie przyszedł kolejny list, tym razem z zaproszeniem na obiad.

Tego dnia w jadalni pod numerem dziesiątym na Downing Street nakryto sześć stołów, ja pamiętam jednak tylko, kto siedział przy naszym: u szczytu pani Thatcher, po prawej ręce mając premiera Holandii Ruuda Lubbersa, po lewej mnie, ubranego w nowy i nieco za ciasny szary garnitur. Musiał to być rok 1982. Właśnie wróciłem z Bliskiego Wschodu, Lubbers dopiero co dostał misję stworzenia rządu. Twarze pozostałych trzech współbiesiadników są dla mnie różową plamą. Z powodów, których dziś nie pamiętam, uważałem ich za przemysłowców z północnej Anglii. Nie pamiętam też żadnej wstępnej wymiany zdań między naszą szóstką, ale może doszło do niej jeszcze przy koktajlach, zanim usiedliśmy. Pamiętam za to, że pani Thatcher zwróciła się do premiera Holandii, by zaznajomić go z moimi zasługami.

– A to, proszę pana – powiedziała tonem, który miał go przygotować na miłą niespodziankę – jest pan C o r n w e l l, choć pan zna go lepiej jako pisarza Johna le Carrégo.

Pan Lubbers pochylił się do przodu, by mi się dobrze przyjrzeć. Miał młodą twarz i jakby psotną minę. Uśmiechnął się, ja też – to były takie szczere, przyjacielskie uśmiechy.

– Nie słyszałem – odpowiedział.

I wciąż się uśmiechając, rozparł się na krześle.

Wiadomo jednak, że pani Thatcher nie lubiła, by jej zaprzeczać.

– No jak to, panie premierze. Musiał pan słyszeć o Johnie le Carrém. To ten, co napisał *Ze śmiertelnego zimna* i... – chwila zajknięcia – inne piękne książki.

Lubbers, rasowy polityk, jeszcze raz przemyślał swe stanowisko. Jeszcze raz pochylił się do przodu i przyglądał mi się znowu, lecz tym razem dłużej – z taką samą sympatią jak przedtem, ale już z większą powagą, jak prawdziwy mąż stanu.

– Nie słyszałem – powtórzył.

I najwyraźniej zadowolony, że od początku miał rację, znów odchylił się do tyłu na krześle.

Teraz zaczęła mnie oglądać pani Thatcher. Na pewno tak samo spoglądała na swój rząd – złożony z samych mężczyzn²³ – gdy z jakiegoś powodu zasłużył na potępienie z jej strony.

– No, panie Cornwell – powiedziała, jakby przyprowadzono przed jej oblicze niesforemego uczniaka. – Skoro już pan tu jest – to miało sugerować, że sam się tu wepchałem – to może chciałby mi pan coś powiedzieć?

Dopiero w tej chwili, trochę poniewczasie, uświadomiłem sobie, że mam jej do powiedzenia aż nazbyt wiele. Ponieważ dopiero co wróciłem z południowego Libanu, uznałem, że mam obowiązek przedstawić jej sytuację pozbawionych własnej ojczyzny Palestyńczyków. Lubbers słuchał. Słuchali dżentelmeni z naszej uprzemysłowionej północy. Ale najuważniej słuchała pani Thatcher, w dodatku bez śladu zniecierpliwienia, o które często ją oskarżano. Nawet kiedy już kończyłem swój speech, słuchała do ostatniego słowa, nim mi odpowiedziała.

– Niech mi pan tu nie opowiada c k l i w y c h h i s t o r y j e k – rzekła nagle stanowczo, mocno akcentując najważniejsze słowa. – Ludzie codziennie usiłują przemawiać do moich u c z u ć. Tak nie można rządzić. To po prostu nie *fair*.

Po czym sama zaczęła przemawiać do m o i c h uczuć, przypominając mi, że to właśnie Palestyńczycy wyszkolili terrorystów z IRA, którzy zamordowali jej przyjaciela Aireya Neave'a, brytyjskiego bohatera wojennego, polityka, jednego z jej najbliższych doradców. Potem już chyba nie rozmawialiśmy wiele. Wolą – bardzo słusznie – poświęcić resztę czasu panu Lubbersowi i swym przemysłowcom.

Od czasu do czasu zastanawiam się, czy pani Thatcher nie zaprosiła mnie na obiad w jakimś z góry podjętym, nieznanym mi celu. Może zastanawiała się, czy nie wciągnąć mnie do jednej ze swych quasi-pozarządowych organizacji, tych, co to niby mają władzę, ale nic nie mogą – a może na odwrót? Tylko że nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, do czego mógłbym się jej przydać. Chyba że chciała się dowiedzieć od znawcy – takiego od siedmiu boleści, jak ja – jak sobie radzić w tłumie skłóconych szpiegów, wśród których się obracała.

Stróż brata swego

Trochę się wahałem, nim zdecydowałem się przytoczyć tutaj opowieść Nicholasa Elliotta o jego związkach z przyjacielem i współszpiegiem, brytyjskim zdrajcą Kimem Philbym. Po pierwsze dlatego, że jego opowieść to raczej fikcja, w którą uwierzył, niż obiektywna prawda; po drugie, bo choć Philby znaczy bardzo wiele dla mojego pokolenia, jego nazwisko nie jest już równie dobrze znane pokoleniom późniejszym. Ale w końcu nie mogłem się powstrzymać, bo pozbywszy się z tego opowiadania całej publicystyki, otrzymujemy świetny opis brytyjskiego establishmentu szpiegowskiego lat powojennych, jego klasowych uprzedzeń i sposobu myślenia.

Skala zdrady Philby'ego jest trudno wyobrażalna dla kogoś, kto nigdy nie pracował w naszym zawodzie. W samej tylko Europie Wschodniej uwięziono, torturowano i rozstrzelano dziesiątki, może setki brytyjskich agentów. Tych, których nie zdradził Philby, zdradził George Blake, inny podwójny agent w MI6.

Zawsze miałem lekką obsesję na tle Philby'ego; jak już pisałem powyżej, doprowadziła mnie ona do publicznej kłótni z moim przyjacielem Grahamem Greenem, czego szczerze żałuję, i z luminarzami pokroju Hugh Trevora-Ropera, czego nie żałuję wcale. Dla nich Philby był po prostu jednym z genialnych dzieci lat trzydziestych, dekady, która należała do nich, nie do nas. Zmuszony do wyboru między kapitalizmem – dla ówczesnych lewicowców tożsamym z faszyzmem – a nowym wspaniałym światem rodzącego się komunizmu, wybrał komunizm. Greene wybrał katolicyzm. Trevor-Roper nie wybrał niczego. Prawda, tak się złożyło, że decyzja Philby'ego była szkodliwa dla Zachodu, ale była to jego decyzja, miał do niej prawo, koniec dyskusji.

Z kolei dla mnie motywacja kierująca Philbym, by zdradzić własny kraj, pachnie mi takim jakimś nałogowym kręactwem. To, co zaczęło się od zaangażowania ideologicznego, stało się potem psychicznym nałogiem, a jeszcze później wręcz nieopanowanym pragnieniem. Jemu po prostu za mało było pracować tylko dla jednej strony. On musiał grać z całym światem. Dlatego też bynajmniej się nie zdziwiłem, przeczytawszy w świetnym opisie przyjaźni Philby'ego z Elliottem²⁴, że gdy Philby tkwił w zawieszeniu w Bejrucie pod

koniec swej niechlubnej kariery agenta MI6 i KGB i zadręczał się myślą, że jego sowieccy prowadzący już o nim zapomnieli, tak naprawdę najbardziej tęsknił za krykietem i za dreszczykiem emocji, który przez tyle lat zawdzięczał prowadzeniu podwójnego życia.

Czy moja wrogość względem Philby'ego zmalała z biegiem lat? Nie sędzę. Był to typowy uprzywilejowany Brytyjczyk, który potępiając grzechy imperializmu, związał się z innym imperialnym mocarstwem, łudząc się, że może mocarstwem tym pokierować. Według mnie taki właśnie był Philby. Podobno w rozmowach ze swym biografem Philem Knightleyem zastanawiał się głośno, dlaczego wciąż żywie do niego urazę. Mogę mu odpowiedzieć jedno: podobnie jak Philby, wiem, co to znaczy mieć nieprzewidywalnego ojca, ale są lepsze sposoby odgrywania się za to na społeczeństwie.

Teraz wkracza na scenę Nicholas Elliott, najwierniejszy przyjaciel Philby'ego, jego powiernik i oddany towarzysz broni czasów wojny i pokoju, dziecko Eton, syn byłego kierownika tej prestiżowej szkoły, łowca przygód, alpinista i naiwniak – i bez wątpienia najweselszy szpieg, jakiego kiedykolwiek znałem. Z perspektywy czasu można jeszcze dodać – najbardziej tajemniczy. Każda próba opisanania jego wyglądu zewnętrznego będzie graniczyć ze śmiesznością. Był to błyskotliwy *bon vivant* starego typu. Nigdy nie widziałem go ubranego inaczej niż w nienaganny trzyczęściowy garnitur. Chudy jak szczapa, sprawiał wrażenie, że unosi się pod pewnym kątem nad ziemią z zawadiackim, spokojnym uśmiechem na twarzy i odsuniętą w bok ręką, jeżeli trzymał w niej kieliszek martini albo papierosa. Kamizelki zaginały mu się ku brzuchowi, nie od brzucha. Wyglądał jak postać światowca z twórczości P.G. Wodehouse'a i przemawiał podobnym językiem, z tą różnicą, że to, co mówił, było bezpośrednio, przemyślane i zdradzało całkowite lekceważenie wszelkich autorytetów. O ile wiem, nigdy mu niczym nie podpadłem, ale nie bez powodu Tiny Rowland, jeden z najtwardszych ludzi londyńskiej finansjery, nazywał go „mordercą z City”.

Elliott robił wiele dziwnych rzeczy, chyba jednak najdziwniejszym i najbardziej bolesnym dla niego przeżyciem było siedzieć twarzą w twarz ze swym bliskim przyjacielem, kolegą i opiekunem Kimem Philbym i na własne uszy usłyszeć, jak się przyznaje, że przez wszystkie lata ich znajomości był sowieckim szpiegiem.

W czasach mojej pracy w MI6 znaliśmy się z Elliottem głównie z widzenia. Był członkiem komisji rekrutacyjnej podczas mojej pierwszej rozmowy o pracę.

Kiedy ja zostałem stażystą, on był już arystokratą z piątego piętra, jego szpiegowskie wyczyny stawiano nam za przykład tego, co może zdziałać w terenie pomysłowy agent. Czasem przyjeżdżał w glorii z Bliskiego Wschodu, wygłaszał jakiś wykład w kwaterze głównej, odbywał narady i wyjeżdżał z powrotem.

Wystąpiłem ze służby w roku 1964 w wieku trzydziestu trzech lat i nie zasłużyłem się niczym szczególnym. Elliott odszedł w roku 1969 w wieku pięćdziesięciu trzech lat i był podstawowym uczestnikiem każdej większej operacji przedsięwziętej przez naszą agencję od wybuchu drugiej wojny światowej. Od czasu do czasu mieliśmy jednak jakiś kontakt. Złościło go, że nasza była firma nie pozwalała nam ujawnić sekretów, które jego zdaniem dawno już straciły wszelkie znaczenie. Uważał, że ma nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek przekazać potomności to, co wie. Może dlatego wymyślił, że kiedyś mogę mu się przydać – jako ktoś, kto może nagłośnić jego niezwykle osiągnięcia.

W efekcie pewnego wieczoru w maju roku 1986, dwadzieścia trzy lata po wysłuchaniu częściowej spowiedzi Philby'ego, całkowicie otworzył się przede mną podczas pierwszego z całej serii spotkań w moim domu w Hampstead. On mówił, ja notowałem. Kiedy teraz, po trzydziestu latach, przeglądam te notatki – odręczne, na kartkach w bladą linię spiętych zardzewiałym spinaczem – zauważam z przyjemnością, że nie ma tam prawie żadnych skreśleń. Na pewnym etapie naszych rozmów usiłowałem namówić go do napisania sztuki na dwóch aktorów, Kima i Nicholasa, ale prawdziwy Elliott nawet nie chciał o tym słyszeć.

„Już nigdy nie rozmawiajmy o tej sztuce” – napisał do mnie w roku 1991. Teraz wiem dzięki Benowi Macintyre'owi, że dobrze się stało, bo to, co opowiadał mi Elliott, nie było prawdziwą historią, tylko szpiegowską legendą jego życia. Właściwe mu kostyczne poczucie humoru nie wystarczyło, by zagłuszyć bolesną świadomość, że człowiek, któremu powierzał bez wahania swoje najgłębsze osobiste i zawodowe tajemnice, od samego początku, od pierwszego dnia ich długiej przyjaźni zdradzał je sowieckiemu wrogowi.

Elliott o Philbym:

Uwielbiał czarować, ale i szokować. Znałem go doskonale, szczególnie jego rodzinę. Naprawdę bardzo ich lubiłem. Nie znam drugiego gościa, który by się tak upijał. Jak go przesłuchiwałem, cały czas pił whisky. Potem musiałem dosłownie wsadzić go do taksówki, żeby wrócił do domu, i dać kierowcy piątkę, by wytaszczył go na schody. Raz zabrałem go na przyjęcie. Oczarował wszystkich, po czym nagle zaczął gadać o cyckach

gospodyni, że są najlepsze w całej agencji. To było kompletnie nie na miejscu. Przecież nie można tak ni stąd, ni zowąd na przyjęciu gadać o cyckach gospodyni. Uwielbiał szokować. Jego ojca też znałem. Był u mnie na kolacji w Bejrucie tego dnia, kiedy umarł. Fascynujący gość. Opowiadał bez końca o swoich stosunkach z Ibn Saudem²⁵. Eleanor, trzecia żona Philby'ego, po prostu go uwielbiała. Stary najpierw cały wieczór dowalał się do czyjejś żony, potem poszedł. Parę godzin później już nie żył. Jego ostatnie słowa: „Boże, ale mnie to wszystko nudzi”.

Przesłuchiwałem go strasznie długo. W Bejrucie to było tylko zakończenie całej serii. Mieliśmy dwa źródła. Jednym z nich był bardzo cenny defektor. A drugim – matczyzna figura. Na nią naprowadził mnie nasz firmowy psychoterapeuta. Sam do mnie zadzwonił. Zajmował się Aileen, drugą żoną Philby'ego. Powiedział: „Zwolniła mnie z tajemnicy lekarskiej. Muszę z panem porozmawiać”. Poszedłem do niego, a on mi mówi, że Philby jest homoseksualistą. Nieważne, że taki z niego flirciarz, że Aileen – którą przecież bardzo dobrze znałem – zawsze mówiła, że Philby lubi seks i jest w tym bardzo dobry. Jest homoseksualistą, wszystko się zgadza, i wtedy ten psychiatra mówi – chociaż nie miał żadnych innych dowodów – że Philby zdradził, że pracuje dla Rosjan czy coś takiego. Więcej nie wiedział, ale tego był pewny. I kazał mi szukać figury matczynej. Mówi, że Philby musi mieć taką figurę matczyną. I rzeczywiście. Była taka baba, nazywała się Solomon²⁶. Żydówka. Pracowała w Marks & Spencer's w dziale mody. Razem komunizowali. Była na Philby'ego wściekła za sprawy żydowskie. Bo Philby pracował kiedyś u pułkownika Teague'a, szefa placówki w Jerozolimie, i ten Teague był antyżydowski, i ona o to była wściekła. No i trochę nam o Philbym opowiedziała. O jego starych komunistycznych kontaktach. Wtedy już Piątka [MI5] go rozpracowywała, więc im mówię: zabierzcie się za tę jego matczyną figurę, za tę Solomon. Nie posłuchali oczywiście, bo to banda biurokratów.

W ogóle ludzie mieli *f i o ł a* na punkcie Philby'ego. Sinclair i Menzies [dawni szefowie MI6] nie pozwalali powiedzieć na niego złego słowa.

Wreszcie przyszedł telegram, że mają dowody, więc odtelegrafowałem do White'a [sir Dick White, były dyrektor generalny MI5, obecnie szef MI6], że muszę pojechać, skonfrontować go z tym. Bo to trwało tak długo, że jestem winny jego rodzinie, by to z niego wyciągnąć. Jak się czułem? No, ja tam się łatwo nie wzruszam, ale lubiłem jego kobiety i dzieci i od

początku miałem wrażenie, że Philby chciałby zrzucić to z siebie, ustatkować się, chodzić na krykieta, bo uwielbiał krykiet. Znał średnią uderzeń każdego zawodnika na pamięć. Potrafił je recytować bez końca. Dick White mówi: zgoda, jedź. To poleciałem do Bejrutu, poszedłem do niego i mówię: jeśli jesteś tak inteligentny, jak mi się zdaje, to dla dobra rodziny mów, co wiesz, bo sprawa się ryła. W sądzie by z nami wygrał, po prostu by się nie przyznał. Między nami mówiąc, sprawa była prosta jak drut: ma się przyznać do wszystkiego – zresztą myślałem, że sam tego chce, i tu mnie wyrolował – wyśpiewać o wszystkim, co narobił. To było najważniejsze. Wiedzieć, jak konkretnie zaszkodził. No bo przecież KGB na pewno pytał go, kogo jeszcze podejść poza nim, kto jest w firmie, kto jeszcze mógłby dla nich pracować. Może sam kogoś zaproponował. Musieliśmy to wiedzieć. To, a poza tym wszystko, co im dał. Tu byliśmy stanowczy.

Moje notatki przybierają teraz formę dialogu:

Ja: – To jakie byłyby sankcje, gdyby nie współpracował?

Elliott: – Co takiego?

– No, czym mogliście mu zagrozić w ostateczności? Na przykład w razie czego dalibyście mu w łeb i przywieźli go do Londynu?

– Nikt nie chciał go w Londynie, stary.

– No to mieliście na niego jakiś bat? Przepraszam... No, kazalibyście go zabić, zlikwidować?

– Nie no, stary. Przecież on był jednym z nas.

– To czym mogliście mu zagrozić?

– Powiedziałem mu. Że alternatywa to kompletna izolacja. Od ambasady, konsulatu, poselstwa, całego Bliskiego Wschodu. To byłoby dla niego straszne. Nikt z branży nie chciałby mieć z nim nic wspólnego, karierę dziennikarską też byśmy mu złamali. Byłby jak trędowaty. Dla niego to byłby koniec. Do głowy mi nie przyszło, że wyjedzie do Moskwy. Coś tam nabroił w przeszłości, chce, żeby to się za nim nie ciągnęło, to musi się wypowiedzieć. I wtedy o wszystkim zapomnimy. Bo co będzie z rodziną, z Eleanor?

Przypominam, co spotkało innego brytyjskiego zdrajcę, który nie miał takich koneksji towarzyskich i zaszkodził znacznie mniej niż Philby. Poszedł do więzienia na długie lata.

– A, no tak, Vassall²⁷... No cóż, ale on nie był z pierwszej ligi, prawda?

Teraz znowu opowieść Elliotta:

Tak się skończyło nasze pierwsze spotkanie. Umówiliśmy się jeszcze raz na czwartą. Po południu przyszedł z gotowym zeznaniem, dużo tego było, osiem czy dziewięć kartek linijka w linijkę. Co zdradził, jakie szkody, wszystko. Kupę tego było. Potem mówi: a wiesz, mógłbyś mi wyświadczyć przysługę. Eleanor wie, że jesteś w mieście. Ona nic o mnie nie wie. Ale jak nie przyjdiesz nawet na drinka, zacznij coś podejrzewać. Więc mówię, dobrze, z uwagi na Eleanor przyjdę, napiję się z tobą. Ale najpierw muszę to wszystko zaszyfrować i wysłać do White'a. Tak też zrobiłem. A jak przyjechałem do nich do mieszkania, to był pijany w trupa. Dosłownie. Leżał na podłodze. Razem z Eleanor zanieśliśmy go do łóżka. Ona za głowę, ja za nogi. Powiedziałem jej. Mówię: „Wiesz, o co chodzi, nie?”. Ona na to: „Nie”. Więc jej mówię: „On jest, kurwa, ruski szpieg”. Powiedział mi, że go nie przejrzała, i mówił prawdę. Wróciłem do Londynu, śledztwo zostawiłem Peterowi Lunnowi²⁸. Dick White nieźle poprowadził całą sprawę, ale Amerykanom nie powiedział ani słowa. Sam musiałem do nich polecieć. Biedny Jim Angleton²⁹. Szalał na punkcie Philby'ego, kiedy Kim kierował naszą placówką w Waszyngtonie, a jak się dowiedział – to znaczy jak mu powiedziałem – to zaraz zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. A wiesz? Parę dni temu jadłem z nim kolację.

Mam taką teorię, że któregoś pięknego dnia KGB opublikuje drugą część autobiografii Philby'ego. Bo pierwsza jakoś tak urywa się na roku 1947. Ja tam myślę, że mają gdzieś schowany dalszy ciąg. Jednego ich Philby na pewno nauczył: żeby trochę podrasowali swoich zbirów, zaczęli się lepiej ubierać, mniej śmierdzieć. Trochę kultury. No i teraz są zupełnie inni. Odstawieni, uprzejmi, pierwsza klasa. To robota Philby'ego, nie ma co. Nie, nawet nie myśleliśmy, czy go zlikwidować. Ale zrobił mnie w konia. Byłem pewny, że jemu przede wszystkim zależy, by zostać tam, gdzie był.

A wiesz, tak z perspektywy czasu – chyba się ze mną zgodzisz – to wszystko, cośmy robili... no dobra, bawiliśmy się też świetnie, naprawdę nieźleśmy się bawili... to była jednak straszna amatorszczyzna. Te nasze przejścia przez Kaukaz, wprowadzanie i wyprowadzanie agentów, no jak amatorzy. A on zdradził Wołkowa, nie ma dwóch zdań, i zabili go³⁰. W każdym razie kiedy Philby napisał do mnie później, że spotka się ze mną w Berlinie albo w Helsinkach, tylko żebym nie mówił nic ani żonie,

ani White'owi, odpisałem mu, żeby zaniósł ode mnie kwiaty na grób Wołkowa. Uznałem, że to fajna odpowiedź.

Co on sobie wyobrażał, do cholery? Że rzeczywiście im nie powiem? Najpierw powiedziałem Elizabeth i natychmiast potem White'owi. Bo w ogóle to było tak, że byłem na kolacji z Gehlenem – ty przecież znasz Gehlena³¹? Wróciłem do domu późno, patrzę, na wycieraczkę leży koperta zaadresowana „Nick”. Ktoś przyszedł i podrzucił. „Jeśli możesz przyjechać do Helsinek, wyślij mi pocztówkę z kolumną Nelsona, a jeżeli do Berlina, kartkę z Horse Guards”, takie pierdoły. Co on sobie wyobrażał? Że to druga operacja albańska? No cóż, to też pewnie wydał. Przecież myśmy mieli dawniej w Rosji takie świetne źródła! Nie wiem nawet, co się z nimi stało. A teraz on mi pisze, że chce się spotkać, bo czuje się osamotniony. No pewnie, że osamotniony. Mógł nie uciekać. Zrobił mnie w konia. Wiesz, napisałem o nim. Dla Sherwood Press. Wszyscy wielcy wydawcy chcieli, żebym u nich wydał opis przesłuchania. Nie zgodziłem się. To raczej coś, co się opowiada kolegom na wspinaczce³². Albo we wspomnieniach. Nie można pisać o firmie. Przesłuchanie jest sztuką. Sam dobrze wiesz. To tak długo trwało. O czym to mówiłem?

Czasem Elliott robił dygresję, gdy przypominały mu się inne akcje, w których uczestniczył. Najważniejszą z nich była sprawa Olega Pieńkowskiego, pułkownika GRU, który dostarczył Zachodowi wielu ważnych informacji, użytecznych w czasie kubańskiego kryzysu rakietowego. Elliott nie posiadał się z oburzenia z powodu zimnowojennej propagandowej książki spreparowanej przez CIA, wydanej pod tytułem *Dokumenty Pieńkowskiego*.

Dalej już sam Elliott:

Okropna książka. Zrobili z niego jakiegoś świętego, bohatera. Bzdura. Pominięto go przy awansie, to się wkurwił. Amerykanie się na niego wypięli, ale Shergy³³ wiedział, że gość jest dobry. Shergy miał nosa. Byliśmy kompletnie różni, ale świetnie nam się razem pracowało. Les extrêmes se touchent. Ja kierowałem operacją, on był moim zastępcą. Świetny w terenie, świetna intuicja, prawie się nie mylił. Również co do Philby'ego. Od samego początku. No więc Shergold obejrzał sobie Pieńkowskiego i uznał, że warto, więc się nim zajęliśmy. Jak człowiek jest szpiegiem, to tak komuś zaufać – spora odwaga. Każdy głupi może wrócić do siebie za biurko i powiedzieć: „Ja mu tak do końca nie ufam. Bo z jednej strony to, ale z drugiej tamto”. Trzeba mieć dużo odwagi, żeby

zaryzykować i powiedzieć: „Wierzę mu”. Shergy uwierzył. A my jemu. Z tymi babami to był numer. Pieńkowski miał takie dziwki w Paryżu, myśmy mu je nagrali, ale narzekał, że mu nie wychodzi, może raz na wieczór, potem nic. No to wysłaliśmy do niego naszego lekarza do Paryża, musiał mu dać zastrzyk w dupę i dopiero wtedy mu stanął. Czasem się człowiek uśmieje w tej pracy, czasem tylko dla tego się żyło. Czasem się człowiek uśmieje. Ale jak oni mogli zrobić z Pieńkowskiego bohatera? Nie przeczę, do zdrady też trzeba mieć odwagę. Bo to trzeba Philby’emu przyznać. Miał odwagę. A Shergy raz złożył rezygnację. Przychodzę do pracy, na biurku leży kartka. „Z uwagi na fakt, iż Dick White (on oczywiście napisał CSS [Chief of the Secret Service, szef tajnych służb]) przekazuje bez mojej wiedzy informacje Amerykanom, przez co naraził na niebezpieczeństwo bardzo cenne źródło, składam rezygnację jako przykład dla innych pracowników naszej agencji”. Czy coś takiego. White przeprosił, Shergy rezygnację wycofał. Ale musiałem bardzo go namawiać. Nie było to łatwe. Miał straszny temperament. Ale w terenie był świetny. I doskonale wyczuł Pieńkowskiego. Artysta.

Opinia Elliotta na temat sir Claude’a Danseya występującego pod pseudonimem „Pułkownik Z”, zastępcy szefa MI6 podczas drugiej wojny światowej:

To był skurwysyn. Głupi jak but. Za to twardy i kawał chama. Pisał do wszystkich takie chamskie teksty. Podgryzał ludzi. Serio, straszny sukinsyn. Przejąłem po nim jego siatki, kiedy po wojnie zostałem szefem placówki w Bernie. No, trzeba przyznać, że miał kupę kontaktów w biznesie. Same grube ryby, pierwsza klasa. Jakoś umiał zmusić tych biznesmenów, żeby robili dla niego różne rzeczy. W tym był dobry.

O sir George’u Youngu, zastępcy sir Dicka White’a podczas zimnej wojny:

Miał swoje wady. Błyskotliwy, ale nedorobiony. Zawsze chciał wszystko robić sam. Jak odszedł ze służby, zatrudnił się w [banku] Hambros. Potem pytałem tam kiedyś: no, jak wam się pracowało z George’em? Wyszliście na plus czy na minus? Powiedzieli, że mniej więcej na zero. Załatwił im trochę pieniędzy szacha, ale równocześnie narobił takich głupot, że stracili na nich wszystko, co dzięki niemu zarobili.

O profesorze Hugh Trevorze-Roperze, historyku i członku SIS w czasie wojny:

Świetny uczony i tak dalej, ale słaby i bezużyteczny. Było w nim coś przewrotnego. Uśmiełem się do łez, kiedy rzucił się na te pamiątniki Hitlera. Wszyscy w firmie wiedzieli, że to fałszerstwo. Ale Hugh dał się nabrać. Niby jak miał je Hitler napisać? Trevora-Ropera nie chciałbym mieć przy sobie w czasie wojny. Kiedy szefowałem na Cyprze, powiedziałem mojemu wartownikowi, że jakby przyszedł kapitan Trevor-Roper, to ma mu wsadzić bagnet w dupę. Przyszedł. Wartownik powiedział mu, co powiedziałem. Hugh okropnie się zdziwił. Tak, czasem się człowiek uśmieje... To w firmie lubiłem najbardziej. Że się czasem człowiek uśmieł.

O sprowadzaniu prostytutek dla potencjalnego źródła SIS na Bliskim Wschodzie:

Hotel Saint Ermin. Ona nie pójdzie. Za blisko Izby Gmin. „Mój mąż jest w parlamencie”. Czwartego czerwca też nie mogła, bo musiała zabrać syna z Eton. Mówię: „To może weźmiemy kogoś innego?”. Ona na to bez wahania: „No dobra, ile dacie?”.

O Grahamie Greenie:

Poznałem go w czasie wojny w Sierra Leone. Czekał na mnie w porcie. Jak tylko znalazłem się w zasięgu głosu, krzyczy: „A prezerwatywy przywiozłeś?!”. On miał fioła na punkcie eunuchów. A kiedyś czytał książkę szyfrów i wykrył, że firma ma numer kodowy na eunucha. Pewnie z czasów, kiedy braliśmy na agentów eunuchów w haremach. I straszną miał ochotę nadać szyfrówkę, żeby było o eunuchu. W końcu mu się udało. Kierownictwo chciało go wysłać na jakąś naradę, chyba do Kapsztadu. A on miał już nagraną jakąś operację czy coś. Raczej „czy coś”, bo on przecież w życiu nie przygotował żadnej operacji. W każdym razie odpisał im wtedy: „Nie mogę. Jak eunuch”.

Wspomnienia z czasów wojny z Turcją, gdzie przebywał pod przykrywką dyplomatyczną:

Przyjęcie u ambasadora. Sam środek wojny. Na marmurowym stole bufet. Sięgam po nadziewanego pomidora, takiego dużego, niosę go na łyżce na talerz, ale obok mnie sięgał po coś jeden z lokajów, potrącił mnie niechcący, pomidor na marmur, plama z majonezu na pół stołu. Ambasadorowa w krzyk, że jak tak można. „Ale to pani lokaj mnie

potrącił!” „No bo kto tak przenosi pomidora, to już wyżej się nie dało? Rany boskie, kogo oni nam tu przysyłają!” Widzisz, takie miała problemy w środku wojny. A wiesz, że ten, co mnie potrącił, to był Cicero³⁴, ten sam, który sprzedał wszystkie nasze tajemnice Abwehrze? O D-Day i tak dalej? A szkopy mu nie uwierzyły. Typowe. Wiecznie ten brak zaufania.

Teraz ja opowiadam Elliottowi, jak za czasów mojej pracy w MI5 Graham Greene wydał *Naszego człowieka w Hawanie* i radca prawny firmy chciał wytoczyć mu proces o zdradę tajemnicy państwowej, bo tak dokładnie opisał stosunki szefa placówki z głównym agentem.

– Aha, i o mało rzeczywiście do tego nie doszło. Miały się z pyszna, sukinsyn.

A teraz chyba najważniejsze. Elliott wspomina fragment przesłuchania Philby’ego na temat jego studiów w Cambridge:

– *Im się zdaje, że trochę się tam skompromitowałeś – mówię.*

– *Niby jak?*

– *No wiesz, młodzieńcze pasje, członkostwo...*

– *W czym?*

– *A wiesz, że to była całkiem interesująca grupa? Przecież po to jest uniwersytet. Żeby lewacy mieli się gdzie spotykać. Oni się nazywali „Apostołowie”³⁵, prawda?*

W roku 1987, na dwa lata przed upadkiem muru berlińskiego, pojechałem do Moskwy. Na przyjęciu wydanym przez Związek Pisarzy Sowieckich zaprosił mnie do siebie do domu dziennikarz z KGB-owskimi koneksjami, Genrik Borowik. Chciał mi przedstawić swego starego przyjaciela, wielkiego wielbiciela mojej twórczości. Zapytałem, kto to taki. Okazało się, że Kim Philby. Teraz wiem z wiarygodnego źródła, że Philby zdawał sobie sprawę z nadchodzącej śmierci i miał nadzieję, że pomogę mu w pracy nad drugą częścią pamiętników – właśnie tej książki, której istnienia Elliott był pewien. W każdym razie odmówiłem. Elliott był ze mnie zadowolony. A przynajmniej tak mi się wydaje. Bo może w duszy miał nadzieję, że przywiózłbym mu jakieś wieści o starym kumplu.

Podsumowując: opowiedział mi ocenzurowaną przez siebie wersję swego ostatniego spotkania z Kimem Philbym i zwierzył się z podejrzeń, które jakoby

żywił względem niego przez kilka poprzednich lat. Ale prawda jest taka – i zawdzięczamy ją Benowi Macintyre’owi – że gdy tylko padł na Philby’ego cień podejrzenia, Elliott walczył jak lew, by chronić swego najbliższego przyjaciela i kolegę. Dopiero gdy zebrane dowody nie pozostawiały żadnych wątpliwości, zdecydował się przesłuchać starego kumpla – a i tak uzyskał od niego tylko część prawdy. Już nigdy nie dowiemy się na pewno, czy Elliott miał wtedy rozkaz umożliwić Philby’emu ucieczkę do Moskwy. Wszystko jedno – mnie w każdym razie udało mu się oszukać, podobnie jak oszukiwał sam siebie.

Quel Panama!

Tytaniczne próby Francji, by zbudować żeglowny kanał przez przesmyk Darién, zakończyły się katastrofą w roku 1885, co pociągnęło za sobą bankructwo wielkich i małych inwestorów. Powstało nawet francuskie powiedzenie na określenie beznadziejnej sytuacji: „*Quel Panama!*”. Nie jestem pewny, czy wciąż jest w użyciu, ale dość dobrze określa moje własne związki z tym pięknym krajem, rozpoczęte w roku 1947, gdy mój ojciec Ronnie wysłał mnie do Paryża, bym odebrał pięćset funtów od panamskiego ambasadora we Francji, hrabiego Maria da Bernaschiny, który zajmował prześliczny domek w jednej z eleganckich przecznic Pól Elizejskich, gdzie zawsze pachnie damskimi perfumami.

Był już wieczór, gdy zjawiłem się umówiony na progu ambasadorskiej posiadłości. Byłem ubrany w szary garnitur szkolny, uczesany z przedziałkiem. Miałem szesnaście lat. Ojciec zapewnił mnie, że ambasador to pierwszorzędny gość, który z przyjemnością spłaci dawny dług honorowy. Bardzo chciałem mu wierzyć. Wcześniej tego samego dnia byłem z podobną misją w hotelu George V. Misja się nie powiodła. Hotelowy odźwierny, niejaki Anatole, kolejny pierwszorzędny gość, pilnował kijów golfowych mojego ojca. Miałem podsunąć mu dziesięć funtów – na ówczesne czasy była to bająńska suma i prawie wszystko, co dostałem od ojca na podróż – w zamian za co Anatole miał oddać mi kije.

Tylko że Anatole schował do kieszeni dziesięć funtów, troskliwie wypytał mnie o zdrowie Ronniego i z ubolewaniem oświadczył, że choć z całej duszy pragnie mi wydać kije, otrzymał wyraźne polecenie od kierownictwa hotelu, by je zatrzymać, dopóki Ronnie wreszcie nie ureguluje rachunku. Zamówiona na koszt rozmówcy rozmowa telefoniczna z Londynem nie przyniosła rozwiązania.

– Synu, na miłość boską, czemu nie kazałeś zawołać kierownika? Czy oni myślą, że twój stary chce ich wycyckać?

Ależ skąd, ojcze.

Teraz drzwi frontowe eleganckiego domku otworzyła mi najatrakcyjniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem. Musiałem stać o stopień niżej niż ona, bo w mojej pamięci zapisała się jak radosny anioł odkupiciel uśmiechający się do

mnie z nieba. Miała obnażone ramiona, czarne włosy i zwiewną suknię z licznych warstw szyfonu, które jednak w żaden sposób nie zakrywały jej kształtów. Kiedy człowiek ma szesnaście lat, kobiety w dowolnym wieku mogą być atrakcyjne.

Z mojego obecnego punktu widzenia daję jej jakieś trzydzieści lat. W pełnym rozkwicie.

– S y n Ronniego? – zapytała z niedowierzaniem.

Odsunęła się o włos, bym mógł się obok niej precyzyjnie. Położywszy mi dłonie na ramionach, przyglądała mi się wesoło w świetle lampy w holu. Oględziny wypadły pomyślnie.

– I przyjechałeś do Maria? – spytała.

Jeśli może mnie przyjąć, odparłem.

Wciąż trzymała mi dłonie na ramionach i nie spuszczała ze mnie wzroku swych wielobarwnych oczu.

– I jesteś jeszcze dzieckiem – zauważyła, jakby chciała to sobie zapamiętać.

Hrabia stał w salonie zwrócony plecami do kominka, jak każdy ambasador w każdym filmie z tamtych czasów: był korpulentny, miał aksamitną marynarkę, założone za plecy ręce i jak oni wszyscy przepyszną szpakowatą fryzurę – ondulację, jak wtedy mówiono. Zamaszyście, po męsku uściśnął mi dłoń, choć byłem jeszcze dzieckiem.

Hrabina – bo w takiej roli ją wtedy obsadziłem – nie pyta mnie, czy piję alkohol, czy lubię daiquiri. Zresztą gdyby zapytała, i tak odpowiedziałbym twierdząco – i kłamliwie – na oba te pytania. Bez pytania więc wręcza mi oszroniony kieliszek z wisienką przebitą wykałaczką, wszyscy siadamy w miękkich fotelach i na początek ucinamy sobie niezobowiązującą ambasadorską pogawędkę. Czy miasto mi się podoba? Czy mam w Paryżu wielu znajomych? A może dziewczynę? (Tu psotne mrugnięcie). Na wszystkie te pytania daję bardzo przekonujące i pokrętne odpowiedzi, w których ani słowem nie wspominam o kijach golfowych i odźwiernych, dopóki krótka przerwa w konwersacji nie daje mi okazji, by przejść do celu wizyty. Zdążyłem już się nauczyć, że lepiej za wcześnie o tym nie wspominać.

– Aha! Proszę pana, ojciec wspominał, że mają panowie do załatwienia pewien interesik – zaczynam. Własny głos dobiega do mnie jak z oddali, to przez daiquiri.

Tutaj muszę wyjaśnić, na czym polegał ten interesik. W odróżnieniu od większości interesów Ronniego był dziecinnie prosty. Jako ambasador i wybitny dyplomata, synu – tu naśladowuję entuzjazm, z jakim ojciec instruował mnie przed wyjazdem – pan hrabia nie musi się przejmować takimi drobiazgami, jak podatki czy cło. Pan hrabia może importować, co chce, i eksportować, co chce. Gdyby ktoś zechciał na przykład, korzystając z poczty dyplomatycznej, wysłać panu

hrabiemu beczkę nieleżakowanej niemarkowej whisky i gdyby pan hrabia zapragnął porozlewać ją do butelek i wywieźć do Panamy czy gdzie indziej, ale też pocztą dyplomatyczną, byłby to tylko jego interes i niczyj inny.

Gdyby w dodatku pan hrabia uznał za stosowne eksportować tę samą nieleżakowaną niemarkową whisky w butelkach o odpowiednim kształcie – powiedzmy, w butelkach przypominających Dimple Haig, whisky popularną w tamtych czasach – to też ma do tego prawo, podobnie jak do wyboru nalepki i opisu zawartości butelki. Mnie interesuje tylko jedno – żeby pan hrabia zapłacił, ale gotówką, synu, żadnych tam małych sztuczek. Jak już zdobędę pieniądze, mam pójść sobie na zestaw mięs z grilla, na koszt ojca, oczywiście, tylko weź rachunek, potem złapać pierwszy prom i z pozostałą sumką wracać prosto do reprezentacyjnych biur ojca na londyńskim West Endzie.

– Pewien interesik? – powtarza teraz po mnie hrabia, ale już tonem jednego z moich nauczycieli. – O jaki interesik chodzi?

– O pięćset funtów, które jest pan mu winny.

Pamiętam dokładnie jego zdziwiony, wyrozumiwały uśmiech. Pamiętam przepych narzut na kanapach, jedwabne poduszki, stare lustra, blask pozłoty i moją hrabinę krzyżującą smukłe nogi pod wieloma warstwami szyfonu. Hrabia patrzy na mnie z mieszaniną niedowierzania i troski. Podobnie hrabina. Potem patrzą na siebie, jakby chcieli porównać, co wypatrzyli.

– No cóż, Davidzie, jestem nieco zawiedziony. Bo kiedy dowiedziałem się, że przyjeżdżasz, miałem nadzieję, że to ty przywozisz mi jakąś część znacznej sumy, którą zainwestowałem w przedsięwzięcia twojego kochanego ojca.

Wciąż nie pamiętam, jak zareagowałem na tę zdumiewającą odpowiedź i czy byłem tak zdumiony, jak powinienem. Pamiętam, że na chwilę straciłem wszelkie poczucie czasu i miejsca, zapewne częściowo znowu z powodu daiquiri, ale częściowo dlatego, że uświadomiłem sobie, iż nie mam nic do powiedzenia, nie mam też prawa siedzieć w tym prześlicznym salonie, a w ogóle najlepiej będzie, jeśli przeproszę i się ulotnię. Nagle się zorientowałem, że jestem zupełnie sam. Moi gospodarze wrócili dopiero po chwili. Uśmiech hrabiego był dobroduszny i odprężony, hrabina miała jeszcze bardziej zadowoloną minę.

– No cóż, Davidzie – odezwał się hrabia tonem sugerującym, że już wszystko zostało mi przebaczone. – To teraz chodźmy na kolację, porozmawiamy o przyjemniejszych sprawach.

Ich ulubiona rosyjska restauracja znajdowała się przy tej samej ulicy zaledwie pięćdziesiąt kroków dalej. W moich wspomnieniach to mała salka, w której jesteśmy tylko my troje, jeśli nie liczyć człowieka w białej bufiastej koszuli, brzdąkającego na bałajce. Podczas kolacji, gdy hrabia rozmawiał o przyjemniejszych sprawach, hrabina zsunęła pantofelek i palcem u nogi

w pończoszce pieściła moją łydkę. Na maleńkim parkiecie przyciskała się do mnie całą długością ciała i śpiewała mi do ucha *Oczy czarne*, co chwila podgryzając mnie w jego płatek i równocześnie flirtując z bałajkarzem. Hrabia przyglądał się temu wyrozumiale. Gdy wróciliśmy do stolika, uznał, że czas do łóżka. Hrabina poparła ten wniosek, ściskając mi dłoń.

Pamięć na szczęście oszczędziła mi wymówek, których wtedy użyłem, ale jakoś się wyrwałem. Z ulgą spędziłem noc na ławce w parku, pozostając dzieckiem, za które uznała mnie ambasadorowa. Wiele lat później, gdy znalazłem się sam w Paryżu, usiłowałem odnaleźć i ulicę, i domek, i restaurację. Może dobrze, że bez skutku, bo rzeczywistość na pewno nie dorównałaby wspomnieniom!

Nie będę udawał, że to właśnie magnetyzm hrabiego i hrabiny sprawił, iż pół wieku później znalazłem się w Panamie na czas dwóch powieści i jednego filmu. Na pewno jednak wspomnienie tej zmysłowej, niespełnionej nocy pozostało ze mną na zawsze, choćby pod postacią jednej ze straconych szans z młodości. W każdym razie już w kilka dni po przyjeździe do Panamy rozpytywałem o nazwisko hrabiego.

Bernaschina? Nikt nie słyszał. Hrabia? Z Panamy? Mało prawdopodobne. Może mi się to wszystko śniło? Nie, nie śniło się.

Przyjechałem do Panamy, bo pisałem powieść. Co u mnie nietypowe, powieść miała już tytuł: *Nocny recepcjonista*. Szukałem oszustów, cwaniaków i przekrętów, które pozwoliłyby mi uwiarygodnić postać niemoralnego handlarza bronią z Wielkiej Brytanii, którego nazwałem Richard Onslow Roper. Roper miał być bandziorem wysokich lotów – odwrotnie niż mój ojciec, który latał nisko i często się rozbijał. Ronnie próbował sprzedawać broń w Indonezji i poszedł za to do więzienia. Roper był zbyt wielki, by mu się nie powiodło, dopóki nie stanął twarzą w twarz ze swym przeznaczeniem: przybrało ono postać byłego żołnierza służb specjalnych, który został nocnym recepcjonistą hotelowym. Jego z kolei nazwałem Jonathan Pine.

Z tym niewidzialnym współnikiem u boku już wcześniej znalazłem dla niego i jego kochanki schronienie wśród wspaniałych ruin Luksoru, zbadałem luksusowe hotele Kairu i Zurychu, lasy i kopalnie złota na północy Quebecu. Potem wyprawa do Miami, żeby poradzić się amerykańskiej Drug Enforcement Administration, gdzie zapewniono mi, że nie ma lepszego miejsca na świecie, w którym Roper mógłby dokonywać swych transakcji typu „broń za narkotyki”, niż panamska strefa wolnościowa w Colón u zachodniego krańca Kanału. O tak,

w Colón Roper mógłby liczyć na całkowitą pobłażliwość ze strony czynników oficjalnych.

Wtedy zapytałem, co zrobić, gdyby Roper zechciał dokonać ostentacyjnej demonstracji swego towaru bez wzbudzania niepotrzebnego zainteresowania. Znowu najlepiej w Panamie. W górach w głębi kraju. Tam nikt nie zadaje żadnych pytań.

W ociekającym wilgocią lesie wśród panamskich wzgórz niedaleko granicy z Kostaryką amerykański doradca wojskowy – podkreśla z naciskiem, że już na emeryturze – oprowadza mnie po ponurym obozie, w którym instruktorzy z CIA szkolili siły specjalne kilku państw środkowoamerykańskich w czasach, gdy Stany Zjednoczone popierały każdego narkotymana w tej części świata w walce ze wszystkim, co uważano za komunizm. Wystarczy pociągnąć za drut, by z poszycia wychynęły podziurawione przez kule, jaskrawo pomalowane tarcze, a na nich ognista latynoska z nagim biustem i z kałasznikowem; krwawy pirat w trójrogu i z wzniesionym pałaszem; ruda dziewczynka z otwartą w krzyku buzią, jakby chciała zawołać: „Nie zabijaj mnie, jestem dzieckiem!”. Na skraju lasu stoją drewniane klatki na łapanie przez mieszkańców obozu dzikie zwierzęta: pumy, jaguarundi, jelonki, węże, małpy – wszystkie zostały zagłodzone na śmierć, a potem zgniły. W brudnej wolierze walają się jeszcze resztki papug, orłów, żurawi, kaniuków i kondorów.

Mój przewodnik wyjaśnia, że chodziło o to, żeby chłopcy byli twardzi. Żeby byli bez serca.

W Panama City uprzejmy Panamczyk imieniem Luis prowadzi mnie do Pałacu z Czapłami, gdzie spotkam się z urzędującym prezydentem Endarą. Po drodze raczy mnie opowieściami o najnowszych skandalach. Tradycyjne czaple, które zobaczę na dziedzińcu pałacu, to nie potomkowie ptaków, które zamieszkiwały tam od wielu pokoleń. To uzurpatorzy, mówi Luis z udawanym oburzeniem. Kiedy do ówczesnego prezydenta Panamy przyjechał w odwiedziny jego amerykański kolega Jimmy Carter, ochrona gościa spryskała cały pałac środkiem dezynfekującym. Rano przed pałacem leżało całe stado prezydenckich czapli. Nie przeżyły dezynfekcji. Na kilka minut przed przybyciem Cartera pojawiły się zastępcze ptaki, złapane w siatkę w Colón i przywiezione samolotem pasażerskim.

Endara ostatnio owdowiał i w kilka miesięcy po śmierci pierwszej żony ożenił się z kochanką, pytluje dalej Luis. Prezydent ma pięćdziesiąt cztery lata, jego nowa żona, studentka Uniwersytetu Panamskiego, dwadzieścia dwa. Prasa panamska szaleje z radości i nazywa Endarę *El Gordo Feliz*, „szczęśliwym grubaskiem”.

Przechodzimy przez dziedziniec, podziwiamy fałszywe czaple i wspinamy się po wspaniałych schodach w hiszpańskim stylu kolonialnym. Stare fotografie ukazują Endarę w pozach ulicznego twardziela, którym kiedyś był, ale Endara, który mnie przyjmuje, jest tak podobny do mojego hrabiego, że gdyby nie frak i czerwona szarfa przecinająca obszerną białą kamizelkę, chyba znowu poprosiłbym go o zwrot pięciuset funtów. U jego stóp porusza się na czworakach młoda kobieta o kształtnej pupie opiętej markowymi dżinsami, zmagająca się z klockami Lego, z których buduje pałac z dziećmi prezydenta.

– *Darling* – woła do niej Endara, na mój użytek po angielsku. – Patrz, kto przyjechał! Słyszałaś o... – itd., itp.

Pierwsza dama nie wstaje z kolan, tylko obrzuca mnie szybkim spojrzeniem od stóp do głów i powraca do swej budowy.

– Ależ *darling*, na pewno o nim słyszałaś! – nalega błagalnie prezydent. – Czytałaś jego wspaniałe książki! Oboje czytaliśmy!

Trochę ponieważ budzi się we mnie na nowo dawno uśpiony dyplomata.

– Pani prezydentowa wcale nie musiała o mnie słyszeć, ale zapewne słyszała o Seanie Connerym, tym aktorze, który ostatnio zagrał w jednym z moich filmów.

Długie milczenie.

– Pan jest przyjacielem pana Connery’ego?

– Tak jest – odpowiadam, choć prawie go nie znam.

– Serdecznie witamy w Panamie – mówi.

W klubie Union, gdzie przebywają najbogatsi i najślawniejsi Panamczycy, jeszcze raz rozpytuje o hrabiego Maria da Bernaschinę, ambasadora we Francji, domniemanego męża hrabiny, handlarza niemarkową whisky. Nikt go tu nie pamięta, a jeśli pamięta, to woli jednak nie pamiętać. Dopiero mój niezmordowany panamski znajomy imieniem Roberto przynosi informację – zdobytą po dłuższym śledztwie – że hrabia nie tylko istniał, ale też odegrał maleńką rolę w burzliwej historii swego kraju.

Tytuł hrabiowski „trafił do niego z Hiszpanii przez Szwajcarię”. Nie mam pojęcia, co to znaczy. Był przyjacielem Arnulfa Ariasa, prezydenta Panamy. Gdy

Ariasa obalił Torrijos, Bernaschina umknął do amerykańskiej Strefy Kanału Panamskiego, gdzie oznajmił, że był ministrem spraw zagranicznych Ariasa.

Nie był. Ale przez kilka lat żył sobie w wielkim stylu, aż któregoś wieczoru podczas kolacji – wyobrażam sobie, że wystawnej – w jednym z amerykańskich klubów porwała go tajna policja nowego prezydenta Torrijosa. Zamknięty w osławionym więzieniu La Modelo został oskarżony o spisek antypaństwowy, zdradę stanu i działalność wywrotową. Trzy miesiące później – nie wiadomo dlaczego – wyszedł na wolność. Choć potem szczycił się dwudziestopięcioletnim stażem dyplomatycznym, nigdy nawet nie pracował w panamskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a już na pewno nie był ambasadorem we Francji. O hrabinie, jeśli rzeczywiście nią była, na szczęście nie udało się niczego dowiedzieć - moje chłopięce fantazje pozostały nienaruszone.

Jeśli zaś chodzi o beczkę niemarkowej whisky i nierozwiązany problem o to, kto komu wisiał – jeśli w ogóle wisiał – te pięćset funtów, można być pewnym tylko jednego: kiedy oszust trafia na oszusta, obie strony mają powody do narzekań.

Kraje mogą być też postaciami literackimi. Panama statystowała w *Nocnym recepcjoniście*, teraz domaga się głównej roli w nowej powieści, którą obmyślam, choć minęło już pięć lat. Moim przyszłym bohaterem będzie tym razem niesłusznie niedoceniany mieszkaniec świata szpiegów, fabrykator, czyli ktoś, kto dla zysku, ze względów ideologicznych albo z powodu choroby umysłowej dostarcza wywiadowi fałszywych informacji. Wiem, Graham Greene już wykorzystał taką postać w *Naszym człowieku w Hawanie*. Tylko że fabrykacje biednego Wormolda nie wywołały wojny. U mnie farsa ma się zmienić w tragedię. W końcu Stanom Zjednoczonym udało się już raz najechać Panamę, choć przecież cały czas i tak okupowały ten kraj. Teraz niech go najadą ponownie, ale tym razem z powodu zmyślonych informacji mojego fabrykatora.

Tylko kto go zagra? Musi być kimś zwyczajnym, niegroźnym, sympatycznym, nie może to być wielki gracz na arenie światowej. Ale musi mieć swoje ambicje. Powinien być wierny temu, co kocha: żonie, dzieciom, swojemu zawodowi. Musi być fantastą, tajne służby zawsze wierzą fantantom. Niejedno z najsławniejszych dzieci tajnych służb – na przykład taki Allen Dulles – samo było fantastą. Musi pracować w branży usługowej, w której przez cały czas styka się z ludźmi wielkimi, dobrymi, wpływowymi i łatwowiernymi. A więc modny fryzjer, taki figaro? Handlarz antykami? Marszand?

A może krawiec?

Tylko o dwóch, może trzech moich książkach mogę powiedzieć z ręką na sercu: „Zaczęło się od tego i tego”. *Ze śmiertelnego zimna* zaczęło się na lotnisku w Londynie, kiedy na stołek barowy opadł obok mnie krępy mężczyzna po czterdziestce. Wsadził rękę do kieszeni płaszcza i wysypał z niej na ladę całą garść monet z różnych krajów. Grubymi łapskami boksera grzebał wśród bilonu, póki nie zebrał wystarczającej ilości waluty.

– Dużą szkocką – zamówił. – Tylko, kurwa, bez lodu.

Nigdy więcej nie usłyszałem jego głosu, ale miałem wrażenie, że pobrzmiewał w nim irlandzki akcent. Kiedy podano mu zamówienie, przytknął usta do szklanki wyćwiczonym gestem częstego konsumenta alkoholu i opróżnił ją dwoma łykami. Po czym odszedł ociężale, nie patrząc na nikogo. Zawsze uważałem, że to musiał być jakiś komiwojażer, któremu nie powodziło się najlepiej.

Zresztą wszystko jedno, bo u mnie został szpiegiem, Alekiem Leamasem w *Ze śmiertelnego zimna*.

Potem był Doug.

Przyjaciel z Ameryki przyjechał do Londynu. Zaproponował, byśmy wpadli razem do jego krawca Douga Haywarda, który prowadzi zakład przy Mount Street na West Endzie. Mamy połowę lat dziewięćdziesiątych. Mój przyjaciel jest z Hollywood. Twierdzi, że Doug Hayward ubiera mnóstwo gwiazd filmowych i aktorów. Zwykle nie wyobrażamy sobie, że krawiec może siedzieć, ale gdy docieramy na miejsce, Doug siedzi jak na tronie w rozłożystym fotelu i rozmawia przez telefon. Później wyznał mi, że to dlatego, że jest wysoki, a nie chce górować nad klientami.

Rozmawia z kobietą, przynajmniej tak się domyślam, bo w rozmowie przewija się sporo „kochanie”, „słonko” i odniesień do jej „starego”. Doug ma teatralny, nieznoszący sprzeciwu głos, z którego udało mu się co prawda pozbyć wyraźniejszych śladów cockneya, ale melodia pozostała. Za młodu Doug długo ćwiczył wymowę, żeby z przodu sklepu rozmawiać jak arystokrata. Potem przyszły lata sześćdziesiąte, arystokracja się przejadła, przyszła moda na regionalizmy, więc między innymi dzięki jednemu z klientów Douga, aktorowi Michaelowi Caine’owi, na całą dekadę zapanował cockney. Doug jednak nie po to się uczył mówić elegancko, żeby się teraz nawracać. Dalej mówił jak dzentelmen, podczas gdy arystokraci uciekli za róg i uczyli się mówić jak plebs.

– No słuchaj, kochanie – mówi do słuchawki Doug. – Bardzo mi przykro, że twój stary się lumpuje, bo lubię was oboje. Ale popatrz na to w ten sposób.

Kiedyście się poznali, ty byłaś z kimś na boku, a on miał swoją małżonkę. No to się jej pozbył i ożenił z tobą. – Pauza dla efektu, bo teraz zdaje sobie sprawę, że słuchamy. – No i etat się zwolnił, prawda?

– Krawiectwo to teatr – mówi nam przy obiedzie Doug. – Nikt do mnie nie przychodzi dlatego, że potrzebuje garnitur. Przychodzą na ploteczki. Albo żeby przywrócić im młodość, albo po prostu sobie pogadać. Czy wiedzą, czego chcą? Oczywiście, że nie. Każdy głupi potrafi ubrać Michaela Caine’a, ale Charlesa Laughtona? Garniturem ktoś musi r z ą d z i ć. Parę dni temu przyszedł jeden gość, pyta, czemu nie szyję garniturów takich jak Armani. „Słuchaj”, mówię mu, „Armani robi lepsze niż ja garnitury od Armaniego. Chcesz taki garnitur, jak on robi, idź na Bond Street, kup sobie, oszczędzisz sześćset funtów”.

Mojego krawca nazwałem Pendel, nie Hayward, a książkę zatytułowałem *Krawiec z Panamy*, co jest lekko zakamuflowanym ukłonem w stronę *Krawca z Gloucester*³⁶ Beatrix Potter. Zrobiłem go pół-Żydem, bo podobnie jak w środowisku amerykańskich filmowców, większość naszych ówczesnych dynastii krawieckich pochodziła z Europy Środkowej, skąd wyemigrowała na East End.

A Pendel dlatego, że to po niemiecku znaczy wahadło – bardzo mi się to spodobało, bo chciałem, żeby właśnie tak się kiwał między prawdą a fikcją. Teraz jeszcze musiałem znaleźć zdegenerowanego, dobrze urodzonego brytyjskiego drania, który zwerbuję mojego Pendela i wykorzysta go, żeby się nachapać. Ale jak ktoś kiedyś uczył się w Eton, jak ja, to ma kandydatów na pęczki.

W głębokiej konspiracji

Pozegnaliśmy go dopiero kilka lat temu, ale nie wolno mi powiedzieć gdzie i kiedy. Nie wolno mi powiedzieć, czy pochowaliśmy go czy spaliliśmy, czy na wsi czy w mieście, czy miał na imię Tom, Dick czy Harry³⁷, czy pogrzeb był chrześcijański czy inny.

Niech będzie – Harry.

Żona Harry’ego była na pogrzebie, stała wyprostowana, taka sama od pięćdziesięciu lat. Przez niego opluwano ją w spożywczym, szydzili z niej sąsiedzi, policja włamywała im się do domu, bo ktoś wymyślił, że dobrze byłoby napędzić stracha miejscowemu wariatowi z Partii Komunistycznej Wielkiej Brytanii. Było też ich dziecko – teraz już dorosłe – które musiało znosić podobne upokorzenia i w szkole, i później. Ale nie wolno mi powiedzieć, czy to był chłopak czy dziewczyna ani czy udało się mu – temu dziecku – znaleźć jakąś spokojną przystań w świecie, którego strzegł – lub wierzył, że strzeże – Harry. Żona, teraz wdowa, trzymała się dzielnie, jak zawsze, kiedy było jej ciężko, lecz dorosłe dziecko ugięło się pod brzemieniem żałoby – co matka przyjmowała z widoczną pogardą. Ciężkie życie nauczyło ją cenić hart ducha, którego wymagała od własnego potomstwa.

Poszedłem na pogrzeb, bo dawno temu prowadziłem Harry’ego. To zrodziło między nami jedyną w swoim rodzaju więź, a w przypadku Harry’ego trzeba było postępować bardzo subtelnie, bo od późnego dzieciństwa poświęcał całą swą energię na walkę z tymi, których uważał za wrogów swego kraju, stając się jednym z nich. Harry przesiąknął partyjnymi dogmatami, aż stały się jego drugą naturą. Manipulował własnym umysłem, aż w końcu sam nie wiedział, kim jest. Przy naszej pomocy nauczył się reagować instynktownie, z biodra, jak najwierniejszy z wiernych. Ale na cotygodniowe spotkania z oficerem prowadzącym jakoś zawsze umiał przychodzić z uśmiechem. Pytałem wtedy:

- I jak, Harry, w porządku?

– W porządeczku. Dziękuję. A jak tam u pana i małżonki?

Harry zawsze zgłaszał się do najgorszej partyjnej roboty wieczorami albo w weekendy, kiedy inni towarzysze woleli się zawsze wykręcić. Na rogach ulic sprzedawał – a raczej próbował sprzedawać – „Daily Workera”, wyrzucał do śmieci, czego nie sprzedał, potem rozliczał się z partią z pieniędzy, które od nas na to dostawał. Służył jako goniec i łowca talentów dla przyjezdnych sowieckich attaché kulturalnych i trzecich sekretarzy z KGB i przyjmował ich kretyńskie zlecenia na zdobywanie informacji na temat zakładów przemysłowych w najbliższej okolicy. A jak niczego nie zdobył, to sami mu je dostarczaliśmy – uprzednio upewniwszy się, że są bezwartościowe.

Stopniowo dzięki swej pilności i oddaniu sprawie został Harry cenionym towarzyszem. Powierzano mu różne półkonspiracyjne zadania, które – choć i on, i my badaliśmy je bardzo dokładnie – rzadko dawały konkretne i wartościowe dane wywiadowcze. Pocieszaliśmy Harry’ego, że to nie szkodzi, że i tak jest dla nas właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, że ma czuwać dalej. A jeżeli nic się nie dzieje, Harry – mówiliśmy mu – to dobrze, bo znaczy to tylko, że możemy spać w nocy trochę spokojniej. Na co Harry odpowiadał wesoło, że no cóż, wiadomo, John – czy jak tam się dla niego ochrzciłem – ktoś przecież musi wywozić gnój. A my na to, no musi, Harry, dziękujemy ci, że to robisz.

Od czasu do czasu – może po to, by podtrzymać go na duchu – braliśmy go na wycieczkę w wirtualny świat *stay-behind*. Jeżeli kiedyś czerwoni jednak wejdą, a ty, Harry, z dnia na dzień zostaniesz w swoim okręgu wielkim partyjnym kacykiem, to wtedy bardzo się przydasz ruchowi oporu, który zepchnie sukinsynów z powrotem do morza. Dla urealnienia tej fantazji wyciągaliśmy z ukrycia na strychu jego radiostację, odkurzaliśmy ją i sprawdzaliśmy, czy dobrze wysyła wyimaginowane meldunki do wyimaginowanej siedziby podziemia, wszystko w ramach przygotowania do mającej nastąpić sowieckiej okupacji Wielkiej Brytanii. Trochę nam było głupio, zresztą Harry’emu też, ale to był nasz obowiązek, więc tak się robiło.

Odkąd porzuciłem tajny świat, zastanawiam się, co takiego kierowało Harrym i jego żoną, i innymi Harrymi i ich żonami. Psychoanalitycy mieliby z Harrym używanie, ale Harry też by się dobrze bawił. „No to co mam robić? – zapytałby ich. – Pozwolić, żeby partia wykradła mi kraj tuż pod moim nosem?”

Harry nie lubił swojej dwulicowości. Traktował ją jako zło konieczne. Płaciliśmy mu skąpo, lecz byłby zażenowany, gdyby dostawał więcej. Poza tym pewnie nie miałby na co tego wydać. W końcu załatwiliśmy mu skromny prywatny dochód i niewielką rentę – nazwaliśmy to jego alimentami. Płaciliśmy okazywanym mu szacunkiem i przyjaźnią na tyle, na ile pozwalały względy bezpieczeństwa. Z czasem Harry wraz z żoną, która pozowała na wierną

towarzyszkę towarzysza, zwrócili się nieco w stronę religii. Duchowny obranego przez nich wyznania chyba nigdy nie zapytał, co się stało, że modlą się u niego tacy zażarci komuniści.

Gdy pogrzeb się skończył, gdy rozeszli się przyjaciele, rodzina i towarzysze partyjni, do mojego samochodu podszedł ubrany na czarno, sympatycznie wyglądający mężczyzna i uściśnął mi dłoń.

– Jestem z firmy – szepnął nieśmiało. – To już trzeci w tym miesiącu. Oni chyba umierają wszyscy naraz.

Harry był jednym z żołnierzy tej piechoty, szarej piechoty, złożonej z porządnych kobiet i mężczyzn, którzy uważali, że komuniści chcą zniszczyć im ukochaną ojczyznę, więc trzeba się temu jakoś przeciwstawić. Jego zdanie o czerwonych było takie, że na ogół są fajni, że to idealisci, tylko tacy trochę skrzywieni. W efekcie całym życiem świadczył o słuszności własnych przekonań i zmarł jako nieznany żołnierz zimnej wojny. Praktyka umieszczania szpiegów w organizacjach, które mogą okazać się niebezpieczne, jest stara jak świat. J. Edgar Hoover rzadko żartował, ale kiedy się dowiedział, że Kim Philby był sowieckim podwójnym agentem, zareagował świetnie:

– Powiedzcie Angolom, że Jezus miał tylko dwunastu ludzi, a i tak jeden z nich był wtyczką.

Dziś, gdy czytamy, jak tajni policjanci wkręcają się do organizacji pacyfistycznych i między obrońców przyrody, jak pod fałszywymi nazwiskami biorą kochanki czy kochanków i płodzą dzieci, odczuwamy wstręt, bo wiemy od razu, że ich cel nie uświęca ani samego oszustwa, ani ludzkich kosztów. Dzięki Bogu Harry nie działał w ten sposób, toteż mógł wierzyć święcie, że jego praca jest moralnie uzasadniona. Międzynarodowy komunizm był dla niego wrogiem ojczyzny, a jego brytyjska odmiana wrogiem wewnętrznym. Nie znam żadnego brytyjskiego komunisty, który by się z tym zgodził. Za to zgadzał się brytyjski establishment i to Harry'emu całkowicie wystarczało.

Polowanie na kacyków

Ta powieść miała wszystko, nawet tytuł: *Pieśń misji*. Miejsce akcji: Londyn i wschodnie Kongo. Główny bohater, Salvo, zdrobnienie od Salvador, syn grzesznego irlandzkiego misjonarza i córki kongijskiego naczelnika wioski. Salvo został w dzieciństwie poddany praniu mózgu przez gorliwych chrześcijańskich misjonarzy, a potem ukarany i odtrącony za domniemane grzechy ojca, więc bardzo łatwo mogłem się nim wzruszać i identyfikować z nim.

Miałem też trzech kongijskich kacyków, z których każdy reprezentował plemię lub grupę społeczną, która go wydała. Osobno wziąłem na żołąd mały oddziałek brytyjskich i południowoafrykańskich najemników i wymyśliłem na tyle elastyczny zarys akcji, by można ją dopasować do potrzeb i kaprysów postaci w miarę rozwoju sytuacji na papierze.

Miałem wreszcie piękną, młodą kongijską pielęgniarkę z Kiwu, pracującą w szpitalu we wschodniej części Londynu i marzącą tylko o tym, by wrócić między swoich. Chodziłem po korytarzach jej szpitala, wysiadywałem w poczekalniach, przyglądałem się przechodzącym lekarzom i pielęgniarkom. Dowiedziałem się, kiedy jest zmiana dyżurów, i z bezpiecznej odległości śledziłem zmęczone pielęgniarki powracające do przyszpitalnych hoteli i wynajętych pokojów. W Londynie i Ostendzie spędzałem długie godziny na rozmowach z ukrywającymi się emigrantami z Konga, wysłuchując ich opowieści o masowych gwałtach i prześladowaniach.

Był tylko jeden drobny problem. Nie wiedziałem niczego z pierwszej ręki o kraju, który chciałem opisać, i niewiele więcej o jego rdzennych mieszkańcach. Trójka kongijskich kacyków, których mój główny najemnik Maxie wciągnął do swej operacji, mającej na celu przejęcie władzy w Kiwu, nie była prawdziwymi ludźmi z krwi i kości; były to raczej jakby portrety pamięciowe sklecone z zasłyszanych opowieści i słabo umocowanej w faktach wyobraźni. Z kolei wielka kongijska prowincja Kiwu i jej stolica Bukavu były dla mnie całkowicie nierealne, bo stworzyłem je na podstawie starych przewodników i Internetu. Wszystko to wymyśliłem w takim momencie życia, kiedy ze względów rodzinnych nie mogłem podróżować. Dopiero teraz mogłem zrobić to, co

w bardziej sprzyjających okolicznościach zrobiłbym rok wcześniej – pojechać i zobaczyć wszystko na własne oczy.

Pokusa była silna. Bukavu, zbudowane na początku XX wieku przez brytyjskich kolonizatorów na południowym krańcu jeziora Kiwu, najwyżej położonego i najchłodniejszego z Wielkich Jezior Afrykańskich, sprawiało na papierze wrażenie raju na ziemi. Wyobrażałem sobie jakieś przymglone Szangri-la, wysadzone bugenwillą szerokie ulice i otoczone bujnymi ogrodami wille schodzące łagodnie nad brzeg jeziora. Niektóre przewodniki poinformowały mnie, że wulkaniczne gleby okolicznych wzgórz są tu tak żyzne, a klimat tak łagodny, że nie ma prawie owoców ani warzyw, które nie przynosiłyby obfitych plonów.

Z lektury wiedziałem też, że wschodnie Kongo to śmiertelna pułapka. Wielkie bogactwa tej krainy od wieków ściągają tam ludzkich drapieżców wszelkiej maści, od wędrownych milicji rwandyjskich po korporacyjnych awanturników z lśniących biur Londynu, Houston, Petersburga czy Pekinu. Od czasu masakry w Rwandzie Bukavu znalazło się na pierwszej linii kryzysu humanitarnego. Powstańcy z plemienia Hutu, uciekający z sąsiedniej Rwandy, używali miasta jako bazy, gdy chcieli wyrównać rachunki z rządem, który ich wypędził. W efekcie miasto zostało spustoszone podczas pierwszej wojny kongijskiej. Gdzieś nieopodal, w buszu, kryło się katolickie seminarium, mieszkał w nim irlandzki ksiądz o wielkim sercu i słabym charakterze, który uległ wdziękowi kobiety z miejscowego plemienia. Miło byłoby znaleźć również to seminarium.

Z wielkim uznaniem przeczytałem *In the Footsteps of Mr Kurtz Micheli Wrong*³⁸. Pani Wrong mieszkała jakiś czas w Kinszasie, stolicy Konga; na kontynencie afrykańskim spędziła łącznie dwanaście lat. Po rwandyjskiej masakrze była tamtejszą korespondentką dla agencji Reutera i BBC. Zaprosiłem ją na obiad. Czy mogłaby mi pomóc? Mogłaby. A może nawet pojechać ze mną do Bukavu? Dobrze, ale pod pewnym warunkiem: jeżeli pojedzie z nami też Jason Stearns.

Dwudziestodwuletni wówczas Jason Stearns, poliglota i afrykanista, był już wtedy czołowym analitykiem International Crisis Group. Ledwie mogłem uwierzyć, że zdążył też przez trzy lata mieszkać w Bukavu jako polityczny doradca ONZ. Mówił bezbłędnie po francusku, w suahili i nieznanym liczbie innych języków afrykańskich. Był jednym z najwybitniejszych zachodnich znawców Konga.

Równie niewiarygodne było to, że akurat i Jason, i Michela mieli pewne zawodowe obowiązki we wschodnim Kongu. W efekcie zgodzili się tak ułożyć

swe plany, by pojechać razem ze mną. Jakoś przebrnęli przez zenująco wczesną wersję powieści i natychmiast wytknęli mi mnóstwo błędów. Niemniej była to dla nich pewna wskazówka, z kim chciałbym się spotkać, dokąd pojechać, kiedy już znajdziemy się na miejscu. Na czele listy byli u mnie trzej kacykowie, potem katoliccy misjonarze, seminaria i szkoły z dzieciństwa mojego Salva.

Opinia Foreign Office była – choć raz – jednoznaczna: do wschodniego Konga lepiej nie jechać. Ale Jason przeprowadził własny wywiad i orzekł, że w Bukavu jest w miarę spokojnie – oczywiście jak na to, że w Demokratycznej Republice Konga ma zaraz dojść do pierwszych od czterdziestu jeden lat wielopartyjnych wyborów, więc na pewno będzie trochę nerwowo. Dla mojej dwójki towarzyszy czas był idealny – podobnie jak dla mnie i dla moich postaci, bo akcja powieści dzieje się w okresie poprzedzającym takie wybory. Był rok 2006, więc od rwandyjskiego ludobójstwa minęło dwanaście lat.

Z perspektywy czasu trochę mi wstyd, że się im wprosiłem na ten wyjazd. Gdyby coś się działo – w Kiwu to właściwie norma – mieliby na głowie niezbyt sprawnego, siwego siedemdziesięciolatka.

Rzeczywistość zaczęła wypierać stworzony przeze mnie świat przedstawiony jeszcze na długo przed tym, zanim nasz jeep opuścił stolicę Rwandy, Kigali, i dotarł na granicę kongijską. Już Hôtel des Mille Collines w Kigali, występujący jako Hotel Rwanda w filmie pod tym samym tytułem, silił się jak mógł na normalność. Na próżno szukałem zdjęcia aktora Dona Cheadle'a lub jego alter ego, Paula Rusesabaginy, prawdziwego kierownika hotelu, który w roku 1994 zmienił Mille Collines w tajne schronienie dla Tutsich, kryjących się przed terrorem maczety i karabinu.

Ale ta opowieść już nie istnieje w umysłach tych, którzy teraz są u władzy. Wystarczy pobyć w Rwandzie przez dziesięć minut i mieć oczy szeroko otwarte, by się przekonać, że kierowany przez Tutsich rząd trzyma wszystko w garści. Z okien samochodu, jadącego do Bukavu drogą wijącą się wśród wzgórz, widzieliśmy, jak działa rwandyjska sprawiedliwość. Na ślicznie wystrzyżonych łąkach, które byłyby całkiem na miejscu w jakiejś szwajcarskiej dolinie, siedzieli w kręgu wieśniacy jak dzieci na wakacyjnej kolonii. W środku kręgów zamiast nauczycieli znajdowali się mężczyźni w różowych więziennych kombinezonach. Żywo gestykulowali lub stali ze spuszczoneymi głowami. By poradzić sobie z nadmiarem podejrzanych o ludobójstwo, Kigali przywróciło tradycyjną instytucję sądów wiejskich. Każdy może być oskarżycielem, każdy obrońcą. Ale sędziów wyznacza nowy rząd.

Godzinę jazdy od granicy z Kongiem zjechaliśmy z głównej drogi i wspięliśmy się na jedno ze wzgórz, by obejrzeć tam przykładowe ofiary ludobójców. Nad pięknie utrzymanymi polami uprawnymi w dolinie wznosiła się dawna szkoła średnia. Kustosz muzeum, który sam cudem przeżył masakrę, prowadził nas od jednej klasy do drugiej. Umarli – całe setki, całe rodziny, podstępem zwabieni tu w zasadzkę i po kolei zabici przez oprawców, leżeli po czworo, po sześcioro na drewnianych paletach pokryci czymś, co wyglądało jak rozrobiona w wodzie mąka. Kobieta w maseczce na twarzy i z wiaderkiem tej substancji w ręce nakładała właśnie świeżą warstwę. Jak długo będzie to robić? Jak długo to się utrzyma? Wśród zwłok znaczną część stanowiły dzieci. W kraju, gdzie rolnicy sami szlachtują zwierzęta, technika mumifikacji nasuwała się sama – najpierw trzeba przeciąć ścięgna, potem można się nie śpieszyć. Dłonie, ramiona i stopy przechowywano w osobnych koszach. Spod dachu wielkiej auli szkolnej zwieszały się brązowe od krwi, podarte ubrania, głównie w rozmiarach dziecięcych.

– Kiedy ich pochowacie?

– Kiedy zrobią swoje.

Bo zadaniem tych ciał jest świadczyć, że to wszystko zdarzyło się naprawdę.

Ofiary nie miały nikogo, kto by je zidentyfikował i opłakiwał, tłumaczy nasz przewodnik. Żałobnicy też zginęli. Ciała zostawiliśmy tu, żeby uciszyć wątpiących i przeczących.

Przy szosie pojawiają się żołnierze rwandyjscy w zielonych mundurach w amerykańskim stylu. Budynek kongijskiej straży granicznej to rozwalająca się szopa po drugiej stronie żelaznego mostu nad rzeką Ruzizi, która tutaj wypływa z jeziora. Grupa urzędniczek marszczy brwi na widok naszych paszportów i świadectw szczepień, kręci głowami, naradza się. Im większy chaos w państwie, tym większa biurokracja.

Ale z nami jest Jason.

Wewnątrz szopy trzaskają drzwi, następuje wymiana radosnych okrzyków. Jason znika. Dostajemy paszporty z powrotem przy akompaniamencie gratulacyjnego śmiechu. Żegnamy się z doskonałym rwandyjskim asfaltem i już po pięciu minutach trzęsiemy się po olbrzymich dziurach w czerwonym błocie znad Kiwu, by dotrzeć do hotelu. Jason, jak mój Salvo, to mistrz afrykańskich dialektów. Gdy robi się gorąco, najpierw włącza się do kłótni, po czym powoli uspokaja rozmówców. To nie żadna taktyka, tylko coś, co mu przychodzi

instynktownie. Z łatwością mogę sobie wyobrazić, że Salvo – dziecko konfliktów, z natury rozjemca – robi dokładnie to samo.

W każdym zapalnym punkcie świata, w który – bardzo ostrożnie – się zapuszczałem, zawsze było miejsce, gdzie z jakiegoś tajemniczego powodu gromadzili się wszyscy dziennikarze, szpiedzy, pracownicy organizacji pomocowych i awanturnicy. W Sajgonie był hotel Continental, w Phnom Penh hotel Phnom, w Wientianie Constellation, w Bejrucie Commodore. A w Bukavu jest Orchid, niska kolonialna willa nad jeziorem otoczona dyskretnymi bungalowami. Właścicielem jest doświadczony belgijski *colon*, który pewnie dawno by zginął w jednej z tutejszych wojen, gdyby jego nieżyjący już brat nie wywoził go zawsze w bezpieczne miejsce. W kącie jadalni siedzi wiekowa niemiecka dama, która z rozrzewnieniem opowiada przyjezdnym o tych pięknych czasach, gdy w Bukavu mieszkali sami biali i swoją alfą romeo mogła jeździć stówką po bulwarze. Następnego dnia rano jedziemy tą samą trasą, ale z inną prędkością.

Bulwar rzeczywiście jest szeroki i prosty, lecz jak każda ulica w Bukavu ustawicznie niszczonej przez wody deszczowe spływające z okolicznych gór. Domy to przybrudzone secesyjne perełki o zaokrąglonych węglach, wysokich oknach i werandach przypominających stare kinowe organy. Miasto zbudowano na pięciu półwyspach „na kształt zanurzonej w jeziorze dłoni” według bardziej poetycko nastawionych przewodników. Największym i niegdyś najmodniejszym półwyspem jest La Botte, gdzie Mobutu, szalony król-cesarz Zairu, miał jedną ze swych licznych rezydencji. Według żołnierzy, którzy nas tam nie wpuścili, willę remontuje się dla nowego prezydenta Konga, Josepha Kabili, urodzonego w Kiwu syna marksistowsko-maoistycznego rewolucjonisty. W roku 1997 ojciec Kabili pozbawił Mobutu władzy, ale po czterech latach został zamordowany przez własną ochronę.

Nad jeziorem unoszą się mgliste tumany. Granica z Rwandą przecina jego wody wzdłuż na pół. Kraniec półwyspu La Botte skręca na wschód. Ryby są bardzo małe. Potwór z jeziora nazywa się *mamba mutu* i jest pół kobietą, pół krokodylem. Najbardziej lubi jeść ludzki mózg. Słucham przewodnika i wszystko notuję, wiedząc, że na nic mi się to nie przyda. Równie bezużyteczny jest aparat fotograficzny. Jeżeli coś zapiszę, to i tak pozostanie mi w pamięci. Gdy robię zdjęcie, aparat pozbawia mnie pracy.

Wchodzimy do katolickiego seminarium. Ojciec Salva był tu jednym z braci. Pozbawione okien ceglane mury są inne niż wszystko na tej ulicy. Za nimi leży

świat ogrodów, anten satelitarnych, pokojów gościnnych, sal konferencyjnych, komputerów, bibliotek i niemych służących. W stołówce stary biały ksiądz w dzinsach, powłócząc nogami, zmierza w stronę dużego termosu z kawą, rzuca nam długie spojrzenie nie z tego świata i odchodzi. Myślę sobie, że gdyby ojciec Salva dożył tych czasów, pewnie właśnie tak by wyglądał.

Kongijski ksiądz w brązowym habicie żali się, że jego afrykańskim braciom w kapłaństwie grozi niebezpieczeństwo ze strony niektórych penitentów, gdy zbyt żywiołowo spowiadają się ze swych etnicznych nienawiści. Mówi, że miejscowi kapłani tak się ekscytują gwałtowną retoryką, którą mają tłumić w swych wiernych, że czasem przeistaczają się w najgorszych ekstremistów. W końcu zdarzało się już w Rwandzie, że skądinąd dobrzy księża zwoływali wszystkich Tutsich ze swej parafii do kościoła, który potem, z błogosławieństwem tychże księży, podpalano lub rozwalano buldożerami.

Gdy opowiada, piszę w notesie. Ale nie jego złote myśli, jak się pewnie spodziewa, tylko opisuję, jak mówi: z powolną, gardłową elegancją wykształconego, mówiącego po francusku Afrykanina i ze smutkiem, gdy wspomina grzechy swych współbraci.

Thomas do tego stopnia różni się od mojej wersji, że znowu muszę przewartościować wszelkie swoje wyobrażenia. Jest wysoki, uprzejmy, nosi świetnie skrojony granatowy garnitur. Przyjmuje nas z pełną swobodą dyplomaty. Jego dom, strzeżony przez uzbrojonych w broń półautomatyczną ochroniarzy, jest przestronny i reprezentacyjny. Podczas naszej rozmowy na olbrzymim ekranie telewizyjnym toczy się bezgłośnie mecz piłki nożnej. W swojej ignorancji nie tak sobie wyobrażałem wojskowych watażków.

Thomas należy do plemienia Banyamulenge. Jego lud od dwudziestu lat toczy w Kongu bezustanne walki. To pasterze, którzy niegdyś przybyli z Rwandy, a od paruset lat zamieszkują wysokie płaskowyzę w górach Mulenge w Kiwu Południowym. Słynący z waleczności i skłonności do izolacji, nienawidzeni za domniemane prorwandyjskie sympatie, stają się pierwszymi podejrzanymi w niespokojnych czasach.

Pytam go, czy nadchodzące wielopartyjne wybory wpłyną pozytywnie na ich los. Jego odpowiedź nie jest zbyt optymistyczna. Przegrani zaraz powiedzą, że głosowanie sfałszowano, i będą mieli rację. Zwycięzca weźmie całą władzę, a wszystko skupi się na Banyamulenge. Nie na darmo nazywa się ich Żydami Afryki Zachodniej: niech tylko coś pójdzie nie tak, na pewno będzie to wina

Banyamulenge. Równie nikły entuzjazm przejawia Thomas względem starań Kinszaszy, by przekształcić kongijskie milicje w jedną narodową armię:

– Sporo naszych się zgłosiło, ale zaraz uciekli w góry. W wojsku zabijali ich, obrażali, a przecież tyle razy walczyliśmy za nich i wygrywaliśmy.

Przyznaje, że jest jeden promyk nadziei. Mai Mai, którzy postawili sobie za cel oczyszczenie Konga z wszystkich „cudzoziemców” – a szczególnie z Banyamulenge – zaczynają się orientować, jaką cenę płacą za wysługiwanie się Kinszasie. Dalej nie rozwija tej myśli.

– Może jak Mai Mai rozumieją, że Kinszasie nie można ufać, zbliżą się do nas.

Wkrótce się dowiemy. Jason umówił nas na spotkanie z pułkownikiem Mai Mai, największej i najbardziej osławionej zbrojnej milicji w Kongu – to drugi z moich kacyków.

Pułkownik, podobnie jak Thomas, jest bardzo elegancki, ale nie ma na sobie dobrze skrojonego granatowego garnituru, tylko odświętny mundur nieszczęsnej armii kongijskiej. Ktoś bardzo starannie odprasował w kant jego kinszaskie spodnie w kolorze oliwkowym; w południowym słońcu lśnią dystynkcje na ramionach. Na wszystkich palcach prawej dłoni nosi złote pierścienie. Na stoliku leżą przed nim dwa telefony komórkowe. Siedzimy w kawiarnianym ogródku. Po drugiej stronie ulicy, zza worków z piaskiem, przypatrują nam się sponad luf karabinów maszynowych pakistańscy żołnierze w błękitnych hełmach ONZ. Pułkownik mówi nam właśnie, że walka to całe jego życie. Kiedyś bywało, że dowodził żołnierzami, którzy mieli po osiem lat. Teraz ma samych dorosłych.

– W moim kraju są grupy etniczne, które nie mają prawa tu być. Walczymy z nimi, bo się boimy, że kiedyś zabiorą nam naszą świętą kongijską ziemię. Na rząd w Kinszasie nie ma co w tej kwestii liczyć, jesteśmy zdani na siebie. Kiedy Mobutu upadł, to my obroniliśmy kraj naszymi maczetami, łukami, strzałami. Mai Mai to siła, którą stworzyli nasi przodkowie. Naszą tarczą jest nasza *dawa*.

Mówiąc o *dawa*, ma na myśli magiczną moc Mai Mai, która zmienia tor lotu kul albo przemienia je w wodę: *Mai*.

– Kiedy ktoś znajdzie się oko w oko z AK-47, który strzela prosto w niego, ale bez skutku, od razu wiadomo, że *dawa* istnieje.

Pytam, jak umiem najdelikatniej, w jaki sposób w takim razie wyjaśnić, że wśród Mai Mai też zdarzają się zabici i ranni.

– Jeżeli pada jeden z naszych wojowników, to dlatego, że był złodziejem, gwałcicielem, nie przestrzegał naszych rytuałów albo miał złe zamiary względem

towarzyszy, gdy szedł do boju. Nasi zabici to nasi grzesznicy. Szamani chowają ich bez żadnych ceremonii.

A Banyamulenge? Co sądzi o nich pan pułkownik w obecnym politycznym klimacie?

– Jak znowu zaczną wojnę, będziemy ich zabijać.

Ale gdy daje upust swej nienawiści do Kinszasy, zaczyna podzielać poglądy naszego poprzedniego rozmówcy, Thomasa, w znacznie większym stopniu, niż mu się wydaje:

– Ci *salauds* z Kinszasy spychają nas, Mai Mai, na margines. Zapominają, że walczyliśmy i narażaliśmy się za nich. Nie płacą nam żołdu, nie chcą nas słuchać. Dopóki jesteśmy żołnierzami, nie chcą nam dać prawa głosu. Woleliby, żebyśmy wrócili do buszu. Ile kosztuje komputer?

Przyszedł czas, by pojechać na lotnisko w Bukavu na ostatnią scenę akcji pod koniec mojej powieści. Przez ten tydzień było trochę zamieszek i sporadyczne strzelaniny. Wciąż obowiązywał stan wyjątkowy. Droga na lotnisko należy do Mai Mai, ale Jason powiedział, że jest bezpieczna, więc uznałem, że pewnie załatwił nam przejazd u pułkownika.

Już mieliśmy wyruszyć, gdy dowiedzieliśmy się, że mimo stanu wyjątkowego centrum miasta zostało zablokowane przez demonstrantów i płonące opony. Okazało się, że ktoś zastawił dom za czterysta dolarów, bo jego żona potrzebowała operacji, lecz dowiedzieli się o tym nieopłacani żołnierze rządowi, napadli na dom, zabili właściciela i ukradli pieniądze. Rozgniewani sąsiedzi schwytali żołnierzy i gdzieś ich zamknęli, towarzysze jednak ruszyli im w sukurs. Przy okazji zastrzelono jakąś piętnastolatkę i stąd rozruchy.

Po karkołomnym rajdzie nierównymi bocznymi uliczkami dotarliśmy jakoś do drogi do Gomy i ruszyliśmy na północ wzdłuż zachodniego brzegu jeziora Kiwu. Lotnisko było niedawno miejscem zaciętych walk. Zajął je jedna z rwandyjskich milicji i trzeba było kilku miesięcy, żeby się jej pozbyć. Teraz lotnisko chronił oddział ONZ złożony z indyjskich i urugwajskich żołnierzy. Urugwajczycy przyjęli nas wystawnym obiadem i gorąco namawiali, byśmy przyjechali jeszcze raz, to wtedy wydadzą prawdziwe przyjęcie.

– A co zrobicie – zapytałem naszego urugwajskiego gospodarza – jeśli Rwandyjczycy wrócą?

– *Vamos* – odpowiedział bez wahania. Zmyjemy się.

Tak naprawdę chodziło mi o to, co by zrobił, gdyby na lotnisku wylądowała bez zapowiedzi banda ciężko uzbrojonych białych najemników, bo właśnie tak

jest w mojej powieści. Nie ośmieliłem się wyjaśnić mu tego do końca, ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że nawet gdyby wiedział, odpowiedź byłaby dokładnie taka sama.

Objechaliśmy lotnisko i ruszyliśmy do miasta. Przez drogę z czerwonej gliny znów przewalały się strumienie tropikalnej ulewy. Zjechawszy ze wzgórza, trafiliśmy nad szybko napełniające się jezioro, które jeszcze kilka godzin wcześniej było parkingiem. Na środku stał na dachu podtopionego samochodu człowiek w czarnym garniturze i ku uciesze szybko gromadzącego się tłumu gapiów wzywał pomocy, gestykulując zawzięcie. Dodatkową atrakcją stało się przybycie naszego jeepa wiozącego dwóch białych i jedną białą. Zanim się obejrzelśmy, grupa młodych ludzi zaczęła nami kołysać z boku na bok. W swym entuzjazmie pewnie w końcu wrzuciliby nas do wody, gdyby Jason nie wyskoczył i przemawiając w ich języku, nie uspokoił ich własnym śmiechem.

Dla Micheli było to tak zwyczajne zdarzenie, że nawet go nie zapamiętała. Ale ja – owszem.

Moje ostatnie i najbardziej przejmujące wspomnienie z Bukavu pochodzi z dyskoteki. W mojej powieści należy ona do wykształconego we Francji spadkobiercy kupieckiej fortuny, który potem ocali mojego Salva. On też jest swego rodzaju kacykiem, ale prawdziwe poparcie zawdzięcza młodej inteligencji i biznesmenom z Bukavu. Bo rzeczywiście ich tutaj spotkałem.

Obowiązuje godzina policyjna, miasto jest jak wymarłe. Pada deszcz. Nie pamiętam ani neonów, ani zwalistych wykidajłów, którzy mieliby nas obszukać przy wejściu, tylko cały rząd maleńkich tanich kin ciągnących się daleko w ciemność i poręcz ze sznura przy słabo oświetlonych, prowadzących w dół kamiennych schodach. Idziemy nimi po omacku. Dopada nas muzyka i stroboskopowe światła. Zewsząd odzywają się okrzyki „Jason!” i Jason niknie w gąszczu rozwartych na powitanie czarnych ramion.

Już wcześniej mi mówiono, że Kongijczycy potrafią się bawić znacznie lepiej niż ktokolwiek inny, i teraz to się sprawdza. Z dala od parkietu trwa partia bilardu, więc przyłączam się do kibiców.

Wokół stołu każdemu uderzeniu towarzyszy pełna napięcia cisza. Wreszcie wpada ostatnia bila. Kibice wśród okrzyków radości porywają zwycięzcę w ramiona i w triumfie obnoszą po sali. Przy barze siedzą i śmieją się piękne dziewczyny. Przy naszym stoliku słucham czyjegoś zdania o Wolterze – a może o Prouście? Michela grzecznie opędza się od podchmielonego zalotnika. Jason dołączył do mężczyzn na parkiecie. Zostawiam go tam po jego ostatnim zdaniu:

„Mimo wszystkich kongijskich kłopotów po ulicach Bukavu chodzi mniej ludzi w depresji niż w Nowym Jorku”.

Mam nadzieję, że to piękne zdanie wsadziłem gdzieś do powieści, lecz dawno jej nie czytałem³⁹. To była moja ostatnia wyprawa na pola śmierci. Czy powieść jakoś oddaje to doświadczenie? Na pewno nie. Ale czegoś się nauczyłem i to nie zaginie.

Richard Burton mnie potrzebuje

Za każdym razem, gdy niebacznie przypomnę sobie moje pierwsze spotkanie z Martinem Rittem, doświadczonym amerykańskim reżyserem *Ze śmiertelnego zimna*⁴⁰, to rumienię się na myśl, jak byłem wtedy idiotycznie ubrany.

Jest rok 1963. Powieść jeszcze się nie ukazała. Ritt kupił prawa do adaptacji, zobaczywszy tylko nielegalną kopię maszynopisu podsuniętą mu przez mojego agenta albo wydawcę, a może wręcz przez jakiegoś cwaniaka w pracowni ksero, który akurat miał kolegę w wytwórni filmowej – w tym wypadku w Paramount.

Ritt potem się chwalił, że prawa do książki właściwie ukradł, takie były tanie. Dopiero później zacząłem się z nim zgadzać. Bo z początku widziałem w nim człowieka niezmiernie hojności, który zadał sobie kłopot, by przylecieć aż z Los Angeles, przywieźć kilku znajomych o podobnych poglądach i zabrać mnie na obiad do tego ołtarza edwardiańskiego luksusu, jakim jest londyński hotel Connaught. I mówić takie miłe rzeczy o mojej książce.

A ja w dodatku przyleciałem na to spotkanie z Bonn, stolicy Niemiec Zachodnich, na koszt Jej Królewskiej Mości. Byłem trzydziestodwuletnim dyplomatą i nigdy przedtem nie miałem do czynienia z ludźmi filmu. W dzieciństwie, jak wszyscy moi rówieśnicy, kochałem się w Deannie Durbin i pękałem ze śmiechu na amerykańskich slapstickach. W kinach w czasie wojny zestrzeliwałem niemieckie samoloty pilotowane przez Erica Portmana i triumfowałem nad gestapo z Lesliem Howardem. (Mój ojciec był święcie przekonany, że Portman jest hitlerowcem, toteż uważał, że należałoby go internować). Ale potem – wcześnie zawarte małżeństwo, małe dzieci, mało pieniędzy – na kino brakowało i środków, i czasu. Miałem czarującego agenta literackiego, którego ambicją życiową – gdyby odważył się jej poświęcić – była gra na perkusji w jazzbandzie. Jego znajomość świata filmowego była na pewno lepsza niż moja, ale podejrzewam, że niewiele lepsza. W każdym razie to on załatwił umowę o ekranizację, a ja ochoczo ją podpisałem po suto zakrapianym lunchu.

Jak już pisałem powyżej, do moich obowiązków jako drugiego sekretarza ambasady brytyjskiej w Bonn należało towarzyszenie niemieckim dygnitarzom

podczas ich odwiedzin u członków rządu i opozycji parlamentarnej w Londynie i właśnie w tym charakterze mogłem pojawić się w stolicy. Dlatego też – wymknąwszy się oficjalnym obowiązkom, by zjeść obiad z Martinem Rittem w hotelu Connaught – miałem na sobie dopasowaną czarną marynarkę, czarną kamizelkę, srebrny krawat i czarne spodnie w szare prążki; Niemcy nazywają taki strój *stresemann* na cześć pruskiego męża stanu, który miał nieszczęście rządzić Republiką Weimarską. I właśnie dlatego Ritt zapytał mnie na cały głos – gdy już wylewnie uścisnęliśmy sobie dłonie – po jaką cholere przebrałem się za kierownika sali.

A jak sam był ubrany, skoro uznał za właściwe zadać mi takie bezczelne pytanie? W głównej restauracji hotelu Connaught panowała wtedy ścisła etykieta, ale w grillu, choć niechętnie, zdążyli się już nauczyć – był w końcu rok 1963 – że można trochę odpuścić. Martin Ritt, starszy ode mnie o siedemnaście lat i kilka wieków, siedział więc zgarbiony w kącie sali w otoczeniu czterech sędziwych VIP-ów z przemysłu filmowego, miał na sobie czarną koszulę rewolucjonisty zapiętą pod szyją na ostatni guzik i luźne, postrzępione u kostek spodnie na elastycznym pasku. Dla mnie najbardziej zadziwiającym elementem jego garderoby był jednak kaszkiet odwrócony tyłem do przodu. Szczególnie że miał go na głowie w restauracji, co w mojej dyplomatycznej Anglii tamtych czasów równało się zjadaniu zielonego groszku z ostrza noża. A na dodatek strój ten zdobił człowieka o budowie misiowatego starego futbolisty, który się roztył, o szerokiej, opalanej środkowoeuropejskiej twarzy naznaczonej odwiecznym cierpieniem, okolonej gęstymi siwiejącymi włosami zaczesanymi do tyłu, i głęboko osadzonych oczach patrzących czujnie przez okulary w czarnych oprawkach.

– Nie mówiłem, że jest młody? – zapytał z dumą swych VIP-ów, gdy usiłowałem się wytłumaczyć, po jaką cholere przebrałem się za kierownika sali. Wszyscy czterej potwierdzili, mówiłeś, Marty, bo reżyserzy filmowi zawsze mają rację. Zdążyłem się o tym przekonać.

Zresztą Marty Ritt miał częściej rację niż inni reżyserzy. Był wybitnym reżyserem o wielkim sercu. Wiele przeszedł. W czasie drugiej wojny światowej służył w armii amerykańskiej. Jeżeli nie był członkiem partii komunistycznej, to na pewno jednym z jej najbardziej oddanych sympatyków. Nieskrywany podziw, jaki żywił dla idei Karola Marksa, sprawił, że znalazł się na czarnej liście w telewizji, gdzie dotąd występował i reżyserował z wielkim powodzeniem. Reżyserował też w teatrach, często lewicowych, i zrobił nawet jedno przedstawienie w Madison

Square Garden na rzecz ofiar wojny w Rosji. Potem zdążył jeszcze nakręcić jeden po drugim dziesięć filmów fabularnych, między innymi – na rok przed naszym pierwszym spotkaniem – *Huda, syna farmera* z Paulem Newmanem. I od chwili naszego pierwszego spotkania nawet nie próbował ukrywać, że traktuje moją powieść jako punkt przejścia od swych wcześniejszych przekonań w stan, który charakteryzowało bezsilne obrzydzenie maccartyzmem, tchórzostwem zbyt wielu swoich rówieśników i towarzyszy, gdy znaleźli się na miejscu dla świadków, upadkiem komunizmu i przerażającym bezsensu zimnej wojny.

Poza tym Ritt – co przyznawał od razu – był Żydem z krwi i kości. Nawet jeżeli jego rodzina nie ucierpiała w Holokauście, choć zdaje się, że nie wyszła bez szwanku, on wciąż cierpiał za swój cały naród. Ani na chwilę nie zapominał o swej żydowskiej tożsamości, którą wyrażał mądrze i żywiłowo. Stało się to dla mnie oczywiste natychmiast, gdy tylko zaczęliśmy omawiać film, na który chciał przerobić moją powieść. W *Ze śmiertelnego zimna* chodzi o to, że dwoje ideowych komunistów – niewinna londyńska bibliotekarka i agent wywiadu wschodnioniemieckiego – zostaje rzuconych na pożarcie dla dobra zachodniej (kapitalistycznej) sprawy. Oboje są Żydami.

Dla Marty'ego Ritta miał to być bardzo osobisty film.

A dla mnie? Co ja mogłem mu zaoferować w zamian? Mojego *stresemanna*? Wykształcenie – przerwane – w brytyjskiej szkole prywatnej? Powieść skleconą ze strzępów cudzych przeżyć? Czy żenujący fakt – którego, dzięki Bogu, nie wolno mi było ujawnić – że znaczną część dotychczasowego życia poświęciłem pracy w przyjemnej winnicy wywiadu brytyjskiego, zwalczając wszystko to, o co Ritt walczył i do czego się przyznawał? Była to dla mnie zresztą cenna nauka – i nawet nie chodzi o to, że i ja zaczynałem kwestionować własną łatwą młodzieńczą wiarę. Praca w filmie to ciągle i nieuniknione godzenie ze sobą całkowitych przeciwieństw. Stało się to jeszcze bardziej oczywiste, gdy w głównej roli Aleca Leamasa obsadzono Richarda Burtona.

Nie pamiętam, kiedy się dowiedziałem, że rolę dostał Burton. Podczas obiadu w grillu hotelu Connaught Marty Ritt zapytał mnie, kogo w niej widzę. Zaproponowałem Trevora Howarda albo Petera Fincha, ale tylko pod warunkiem, że Finch będzie grał po angielsku, nie po australijsku, bo jednego byłem pewny: to bardzo brytyjska historia o obyczajach brytyjskiego tajnego świata. Ritt był wdzięcznym słuchaczem. Powiedział, że rozumie, że lubi obu, lecz obawia się, że nie są to wystarczająco głośne nazwiska. Kilka tygodni później, gdy znów

przyleciałem do Londynu – tym razem na koszt Paramount – powiedział, że zaproponował rolę Burtowi Lancasterowi.

Marty, on ma grać A n g l i k a?

Zagra Kanadyjczyka. Burt to wielki aktor. Davidzie, Burt zrobi z niego Kanadyjczyka.

Na to nie było już sensownej odpowiedzi. Wiadomo, Lancaster to wielki aktor, ale Leamas nie był wielkim Kanadyjczykiem. Po czym nastąpiła Długa Niewytłumaczalna Cisza.

Zawsze gdy powstawał – lub właśnie nie powstawał – film nakręcony na podstawie którejś z moich powieści, najpierw był Wielki Zapał, a po nim zaraz Długa Niewytłumaczalna Cisza. Taka cisza czasem trwa parę miesięcy, czasem kilka lat, czasem wiecznie. Czy przedsięwzięcie padło? A może sprawa toczy się z pełnym impetem, tylko mi nikt nie powiedział? W sposób niewidoczny dla maluczkich przechodzą z rąk do rąk bająćskie sumy, ktoś zamawia scenariusz, ktoś go pisze, ktoś inny odrzuca, agenci uwijają się jak w ukropie i łżą jak najęci. W zamkniętych na głucho pomieszczeniach gołowąsy w krawatach prześcigają się jeden przez drugiego w młodzieńczej kreatywności. Ale poza murami hollywoodzkiej fortecy trudno się czegokolwiek dowiedzieć – zapewne dlatego, że zgodnie z nieśmiertelnym powiedzeniem Williama Goldmana po prostu nikt nic nie wie.

I Richard Burton też po prostu się pojawił – tyle mogę teraz powiedzieć. Jego przyjscia nie poprzedził tusz tysięcy skrzypiec, tylko przedziwna wieść: „Davidzie, mam dla ciebie nowinę. Richard Burton podpisał umowę na rolę Leamasa”. W dodatku przekazał mi ją przez telefon nie Marty Ritt, tylko mój amerykański wydawca Jack Geoghegan, który popadł w iście religijną ekstazę. „A w dodatku zaraz go poznasz, Davidzie!” Geoghegan był starym wydawniczym wygą. Zaczynał jako wędrowny sprzedawca skóry na buty, dochrapał się stanowiska szefa sprzedaży w Doubleday. Tuż przed emeryturą kupił małe wydawnictwo Coward McCann. Niespodziewane powodzenie mojej powieści – a teraz jeszcze ten Burton! – to było dla niego spełnienie najskrytszych marzeń.

Musiał być koniec roku 1964, bo wtedy już porzuciłem państwową posadę i osiadłszy w Grecji, a potem w Wiedniu, poświęciłem się całkowicie pracy pisarskiej. I właśnie szykowałem się do pierwszego w życiu wyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Tak się złożyło, że Burton grał wtedy na Broadwayu Hamleta; przedstawienie współreżyserował John Gielgud, który również użył głosu partii Ducha. Przedstawienie było w formie próby generalnej, ale miało być zarejestrowane i wyświetlane w kinach. Geoghegan zabierze mnie na premierę, a potem przedstawi Burtonowi w jego garderobie. Nie byłby chyba bardziej podekscytowany, gdybyśmy mieli zostać przyjęci przez papieża.

Burton grał jak natchniony. Mieliśmy najlepsze miejsca. A w garderobie był bardzo czarujący i powiedział, że moja książka to najlepsza rzecz, jaką czytał od nie wiadomo jak dawna. Ja powiedziałem, że jego Hamlet jest lepszy niż Laurence'a Oliviera – nawet niż Gielguda, choć może się trochę zagalopowałem, Gielgud mógł to usłyszeć – lepszy od wszystkich innych Hamletów. Tylko że w tej powodzi wzajemnych komplementów zadawałem sobie w duchu pytanie, w jaki sposób ten piękny, donośny baryton, walijski akcent i supermęski talent mają się pomieścić w postaci bynajmniej nie charyzmatycznej, nie charakteryzującej się nienaganną wymową i nie obdarzonej urodą lekko ospowatego greckiego boga. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że Ritta dręczyła ta sama myśl, bo jedna z pierwszych bitew, jaką stoczyli w długiej, mającej dopiero nadejść wojnie, rozegrała się o to, jak upchnąć Burtona w Leamasowe pudełko – na co Burton nie miał najmniejszej ochoty.

A tymczasem nadszedł rok 1965 i dowiedziałem się przypadkiem – wciąż jeszcze nie dorobiłem się wtedy agenta filmowego, więc musiał mi o tym donieść jakiś szpieg – że w najnowszej wersji scenariusza mój Alec Leamas, postać, którą miał zagrać Burton, nie idzie do więzienia za pobicie sklepikarza, tylko trafia do szpitala psychiatrycznego, skąd ucieka przez okno na pierwszym piętrze. Leamas z powieści nie dałby się zamknąć w szpitalu psychiatrycznym, choćby grozono mu śmiercią, więc co robi w psychiatryku? Zdaje się, że w Hollywood dom wariatów jest ponętniejszy niż więzienie.

Kilka tygodni później doszły mnie słuchy, że zachorował autor scenariusza – który jak Ritt też znalazł się kiedyś na czarnej liście – i że ma go zastąpić Paul Dehn. Żał mi było pierwszego scenarzysty, ale odczułem coś w rodzaju ulgi: Dehn był przynajmniej Brytyjczykiem. Miał już na koncie jeden własny scenariusz, *Rozkaz: zabić*; film bardzo mi się podobał. A w dodatku był z rodziny – w czasie wojny uczył agentów alianckich, jak zabijać bez hałasu, i brał udział w tajnych misjach we Francji i w Norwegii.

Z Dehnem spotkaliśmy się w Londynie. Nie pałał sympatią do szpitali psychiatrycznych i nie miał nic przeciwko biciu sklepikarzy. Z przyjemnością wsadził Leamasa z powrotem do więzienia, na ile było trzeba. I właśnie wersja Dehna trafiła do mnie parę miesięcy później. W dołączonym miłym liściku Ritt prosił o uwagi.

Wtedy mieszkałem już w Wiedniu i zgodnie z najlepszymi tradycjami pisarzy, których spotkało niespodziewane powodzenie, zmagąłem się z powieścią, która mi się nie podobała, z pieniędzmi, o jakich przedtem mi się nie śniło,

i z kłopotami małżeńskimi, których sam sobie napytałem. Przeczytałem scenariusz – spodobał mi się. Napisałem Rittowi, że mi się podoba, po czym znów zająłem się powieścią i kłopotami osobistymi. Kilka dni później wieczorem zadzwonił telefon. Dzwonił Ritt z Ardmore Studios w Irlandii, gdzie mieli zacząć zdjęcia. Mówił zduszonym głosem jak człowiek wzięty na zakładnika, który wie, że to jego ostatnie słowo.

Davidzie, Richard cię potrzebuje. Tak bardzo cię potrzebuje, że nie chce wypowiedzieć ani jednej kwestii, póki mu ich nie przepiszesz na nowo.

Marty, ale co mu się nie podoba? Mnie się całkiem podobały. Nie o to chodzi, Davidzie. Richard cię potrzebuje i nie daje nam pracować, dopóki nie przyjedziesz. Zapłacimy ci za bilet pierwszej klasy, dostaniesz własny apartament. Czego mógłbyś chcieć więcej? Prawdziwa odpowiedź na to pytanie – jeżeli rzeczywiście Burton wstrzymywał zdjęcia – powinna brzmieć: choćby gwiazdkę z nieba. Nie przypominam sobie, bym o coś poprosił. To było pół wieku temu, może księgowość Paramount ma inne zdanie, ale wątpię. Zapewne tak bardzo zależało mi na filmie, że było mi wszystko jedno. Albo głupio mi było się targować. Albo szukałem byle pretekstu, by wyrwać się z bałaganu, którego narobiłem w Wiedniu.

A może po prostu byłem jeszcze tak zielony, że nie zdawałem sobie sprawy, że oto trafia mi się taka okazja, dla jakiej każdy agent filmowy sprzedałby własną matkę: film już jest w produkcji, cała ekipa Paramount Pictures – samych elektryków było chyba ze sześćdziesięciu – nie ma nic do roboty, więc tylko siedzi i obżera się darmowymi hamburgerami, podczas gdy jeden z największych gwiazdorów kina odmawia pojawienia się na planie, dopóki nie znajdzie się przy nim i nie pocieszy go najbardziej pogardzane stworzenie w całej filmowej menażerii, mianowicie autor literackiego pierwowzoru, kurwa jego mać!

Wiem jedno: odłożyłem słuchawkę i następnego ranka leciałem już do Dublina, bo R i c h a r d m n i e p o t r z e b o w a ł.

Czy naprawdę on?

Czy może raczej Marty?

W teorii byłem w Dublinie po to, by przepisać na nowo kwestie Burtona – czyli przerobić jego sceny, by mógł je zagrać tak, jak chciał. Ale Burton niekoniecznie chciał tego co Ritt. W efekcie na ten krótki czas zostałem pośrednikiem między nimi. Siadałem więc z Ritem, przerabiałem jakąś scenę, potem szedłem do Burtona, znowu przerabiałem – i biegłem z powrotem do Ritta. Nie pamiętam, żebym chociaż raz siedział z nimi oboma razem. W każdym razie

trwało to tylko kilka dni, po czym Ritt oświadczył, że jest zadowolony z poprawek, a Burton przestał robić wstręty – przynajmniej w mojej obecności. Ale kiedy powiedziałem Rittowi, że wracam do Wiednia, zrobił obrażoną minę. Nikt się tak świetnie nie obrażał jak on.

Ktoś musi zająć się Richardem. Richard za dużo pije. Richardowi potrzebny jest przyjaciel.

Richardowi potrzebny jest przyjaciel? Przecież dopiero co ożenił się z Elizabeth Taylor, to po co mu przyjaciel?! Przecież ona też tu jest. Za każdym razem, gdy zjawiała się na planie w białym rolls-roysie i w otoczeniu s w o i c h przyjaciół, różnych Brynnerów i Zeffirellich, różnych odwiedzających ją agentów i adwokatów, oczywiście zrywano zdjęcia. Przecież cała Burtonowska świta liczyła sobie podobno siedemnaście osób; ci ludzie zajmowali całe piętro najekskluzywniejszego hotelu w Dublinie. Zdaje się, że wozili ze sobą dzieci ze swych różnych związków, tychże dzieci guwernerów i guwernantki, fryzjerów, sekretarki i – jak twierdził niegrzecznie jeden z członków ekipy filmowej – faceta do przycinania pazurów ich papugi. Czyli mają tu cały ten tłum, a Richard potrzebuje jeszcze m n i e?

No oczywiście. Przecież jest Alekiem Leamasem.

I właśnie jako Alec Leamas zmieniał się w moich oczach w ponurego samotnika, który się stacza, któremu nie idzie w pracy zawodowej i który może rozmawiać już tylko z kompletnymi nieznanymi, takimi jak ja. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że po raz pierwszy jestem świadkiem, jak aktor szpera w najmroczniejszych zakamarkach własnej egzystencji w poszukiwaniu czegoś, co może mu się przydać do roli, którą wkrótce zagra. A jeżeli ktoś gra staczającego się Aleca Leamasa, to musi stać się samotnikiem. Krótko mówiąc, chodziło o to, że dopóki Burton był Leamasem, cały jego dwór był jego najgorszym wrogiem. Jeżeli Leamas był sam, to Burton też musi być sam. Jeżeli Leamas trzymał w kieszeni trenca pół butelki Johnniego Walkera, to Burton też. I też musiał zdrowo sobie pociągać za każdym razem, gdy samotność zaczynała za bardzo doskwierać nawet jemu – szkoda tylko, że szybko się okazało, iż Burton nie ma równie mocnej jak Leamas głowy.

Nie mam pojęcia, w jaki sposób odbijało się to na jego życiu rodzinnym – poza tym, że od czasu do czasu zwierzał mi się przy szkockiej, jak to mężczyzna mężczyźnie: dusi się w tym świecie, Elizabeth narzeka na wszystko. Nie bardzo mu wierzyłem. Jak wielu innych aktorów, Burton nie zaznał spokoju, nim nie zrobił z siebie najlepszego kumpla każdego, z kim się zetknął. Doskonale widziałem, jak czarował wszystkich, od szefa ekipy technicznej po panienkę od herbaty – ku widocznej irytacji naszego reżysera.

Z drugiej strony Taylorzyca miała może dobre powody do narzekań. Przed rozpoczęciem zdjęć Burton naciskał na Ritta, żeby to ją obsadzić w głównej roli kobiecej, ale Ritt uparł się przy Claire Bloom, z którą – jeśli wierzyć plotkom – Burton kiedyś flirtował. I choć pani Bloom poza zdjęciami nie ruszała się ani na krok ze swej przyczepy, odrzuconej Elizabeth nie musiało być przyjemnie na widok tych dwojga flirtujących ze sobą – tym razem na planie.

A teraz wyobraźmy sobie rześcicie oświetlony jupiterami plac w Dublinie. Plac przecina mur berliński tak podobny do oryginału, że aż strach: dołem pustaki, górą drut kolczasty. Puby właśnie się zamykają, więc cały Dublin wyległ, by się przyglądać, i nic w tym dziwnego. Akurat jak na złość nie pada, więc w pogotowiu czeka drużyna dublińskich strażaków. Oswald Morris, nasz operator, lubi, jak ulice są mokre. Wzdłuż muru kręcą się jeszcze scenografowie i technicy. W jednym miejscu z muru sterczą żelazne klamry tworzące prymitywną, ledwo widoczną drabinkę. Oswald Morris i Ritt przypatrują się jej uważnie.

Już za chwilę Leamas wdrapie się na drabinkę, rozepchnie drut kolczasty i położywszy się na płask na murze, z przerażeniem spojrzy w dół na leżące po drugiej stronie martwe ciało tej biedaczki, którą kazano mu zdradzić. W powieści dziewczyna nazywa się Liz, ale z oczywistych powodów w filmie przechrzczono ją na Nan.

Już za chwilę asystent reżysera albo jakiś inny funkcjonariusz pojawi się na schodkach za oknem ponurej suteryny, w której od paru godzin siedzimy we dwóch z Burtonem. To stąd ma się wyłonić Alec Leamas w znoszonym trenczu, zając pozycję przy murze i na rozkaz Ritta rozpocząć tragiczną próbę ucieczki.

Ale nic z tego. Pół butelki Johnniego Walkera to już od dawna pusta butelka. I choć ja wypilem lwią część jej zawartości, choć Leamas pewnie poradziłyby sobie ze wspinaczką, Burton na pewno nie da rady.

A tymczasem, ku dzikiej radości gapiów, pojawia się biały rolls-royce z szoferem Francuzem; hałas sprawia, że Burton nagle przytomnieje, ryczy gardłowo: „Chryste Panie! Elizabeth, ty idiotko!” i pędzi po schodkach na górę. Na cały regulator rozpuszcza swój baryton – Ritt hamuje go jak może – i na czym świat stoi lży kierowcę swą kulawą francuszczyzną – choć szofer mówi bardzo dobrze po angielsku – za to, że wydał Elizabeth na pastwę dublińskiego motłochu. Większego niebezpieczeństwa nie ma, bo wraz z gapiami przyszła się pogapić również cała dublińska policja.

Ale któż przeciwstawi się operowej wściekłości Burtona? Elizabeth z niesmakiem spogląda przez opuszczoną szybę, szofer wrzuca wsteczny bieg i jak niepyszny wraca do bazy. Pod murem zostaje tylko Marty Ritt w swym odwróconym kaszkiecie. Marty wygląda teraz jak najbardziej samotny i najbardziej rozwścieczony człowiek na kuli ziemskiej.

I wtedy, i często później, gdy przypatrywałem się, jak aktorzy i reżyserzy pracują razem przy innych filmach, zastanawiałem się, skąd się brała narastająca wrogość między Burtonem i Rittem, i doszedłem do wniosku, że była nieunikniona. To prawda, że Ritt nie zgodził się obsadzić Taylor w roli Nan i że wybrał Bloom. Ale prawdziwe przyczyny sięgały głębiej, do dni, gdy Ritt był radykałem z czarnej listy, urażonym i wściekłym. Poczucie sprawiedliwości społecznej nie było u niego tylko pozą; on wyssał je z mlekiem matki.

W jednej z nielicznych naprawdę poważnych rozmów, które odbyłem z Burtonem w czasie naszych popijaw, aktor niemalże się przechwalał, jak bardzo pogardza sobą jako showmanem; jak bardzo chciałby „być jak Paul Scofield”, czyli unikać wielkich produkcji i wielkich pieniędzy, a przyjmować wyłącznie role o prawdziwej wartości artystycznej. Tu Ritt zgodziłby się z nim w stu procentach.

Tylko że to Rittowi nie wystarczało. W jego oczach – oczach purytańskiego, zaangażowanego, ceniącego życie rodzinne lewicowca i aktywisty – Burton uosabiał właściwie wszystko, czym gardził Ritt. Wystarczy sprawdzić jego ulubione powiedzenia; szczególnie jedno mówi właściwie wszystko: „Nie mam szczególnego respektu dla talentu. Talent ma się w genach. Liczy się to, co się z nim robi”. Przedkładać zysk nad sztukę, seks nad rodzinę, chwalić się własnym bogactwem, własną kobietą, ostentacyjnie oddawać się pijaństwu, kroczyć dumnie jak bóg, gdy masy jęczą o sprawiedliwość – źle. Ale marnować własny talent – to już grzech przeciw prawom i ludzkim, i boskim. Im większy talent, tym według Ritta większy grzech, a talent miał Burton ogromny, niezwykły.

Ritt trafił na czarną listę w roku 1952. Właśnie wtedy dwudziestosześcioletni Burton, złotousty geniusz z Walii, rozpoczynał w Hollywood swą oszałamiającą karierę. To nie przypadek, że czarną listę mieli też w życiorysie inni członkowie obsady *Ze śmiertelnego zimna* – choćby Claire Bloom i Sam Wanamaker. Wystarczyło wspomnieć jakiegokolwiek nazwisko z tamtych czasów i Ritt zaraz pytał: „A gdzie on był, kiedy go potrzebowałem?”. Chodziło mu o to, czy ten ktoś wstawiał się za nami, zdradził nas, milczał jak tchórz? Wcale bym się nie zdziwił,

gdyby w sposób mniej lub bardziej świadomy to samo pytanie nie determinowało jego stosunków z Burtonem.

Jesteśmy w miotanym porywami wiatru domku na plaży w Scheveningen na holenderskim wybrzeżu. To już ostatni dzień zdjęć *Ze śmiertelnego zimna*. Na planie ciasno. Leamas właśnie podpisuje na siebie wyrok, godząc się przekraść do NRD i zdradzić bezcenne tajemnice wrogom swej ojczyzny. Trzymam się z dala od Oswalda Morrisa i Martina Ritta, starając się im nie wchodzić w paradę. Napięcie między Burtonem a Ritem ujawnia się w pełni. Komendy reżysera są zwięzłe, niemal jednosylabowe, Burton ledwie sili się na reakcję. Jak zwykle w tak kameralnych scenach aktorzy filmowi mówią spokojnie i tak swobodnie, jakby to była próba, a nie gra. Dlatego jestem zdziwiony, gdy Ritt mówi: „Koniec” i już jest po scenie.

Tylko że to wcale nie koniec. Zapada pełne wyczekiwania milczenie, jakby wszyscy – poza mną – wiedzieli, co się zaraz stanie. Wreszcie Ritt – sam w końcu niezły aktor z doskonałym wyczuciem czasu – wygłasza kwestię, którą chyba zachował sobie na ten moment:

– *Richard, właśnie zajeżdżiłem na śmierć starą kurwę. Przed lustrem.*

Czy to prawda? Czy to sprawiedliwe?

Ani nie prawda, zupełnie nie, ani nie sprawiedliwe. Richard Burton był wykształconym poważnym artystą, wszechstronnym erudytą samoukiem, choć niewolnym od wad i żądz, które w ten czy inny sposób dzieli z nim każdy z nas. Jeżeli był niewolnikiem własnych słabości, to walijski purytyzm czynił go całkiem podobnym do Ritta. Zachowywał się lekceważąco, bywał złośliwy, dobroduszny, choć lubił manipulować ludźmi. Manipulacja przychodzi wraz ze sławą. Nie miałem okazji być z nim w spokojniejszych chwilach i bardzo tego żałuję. Był świetnym Alekiem Leamasem; w innych czasach rola ta mogła mu przynieść Oscara, który wymykał się mu przez całe życie. Ale film był mroczny i czarno-biały – nie to było hitem w roku 1965.

Gdyby trafiło na mniej utalentowanego reżysera i aktora, film pewnie też nie byłby taki dobry. Myślę, że wtedy trzymałem bardziej stronę grubego, dzielnego, zgorzkniałego Ritta niż ostentacyjnego i nieprzewidywalnego Burtona. Reżyser dźwiga na barkach cały ciężar filmu, a ciężarem tym są też gwiazdorskie idiosynkrazje. Czasem miałem wrażenie, że Burton z całych sił starał się umniejszać zasługi Ritta, ale w sumie wydaje mi się, że byli sobie wari. Zresztą ostatnie słowo należało bez wątpienia do Ritta. Był błyskotliwym, pełnym pasji reżyserem, niepohamowanym w słusznym gniewie.

Alec Guinness

Alec Guinness zmarł tak, jak żył – dyskretnie. Na tydzień przed śmiercią napisał do mnie list, w którym przejmował się chorobą swojej żony Meruli. O własnych niedomaganiach prawie nie wspomniał – cały Alec.

Oczywiście Alecowi nie dało się powiedzieć, jaki jest wspaniały. Gdy ktoś był na tyle niemądry, by tego spróbować, dostawał w podzięcie bardzo groźne spojrzenie. Mimo to w roku 1994, gdy obchodził swe osiemdziesiąte urodziny, wydawca Christopher Sinclair-Stevenson przeprowadził udaną tajną operację, w wyniku której jubilatowi wręczono pięknie oprawny tomik pod tytułem *Alec*. Tomik zawierał wspomnienia, wiersze, zwykłe wyrazy uznania i podziękowania, głównie autorstwa starych znajomych. Nie byłem świadkiem wręczenia prezentu – Alec na pewno zrzędził. Musiało mu jednak też być przyjemnie, choćby dlatego, że przyjaźń cenił równie wysoko, jak bardzo nie cierpiał pochlebstwa – a tutaj ktoś wręcza mu całą kolekcję przyjaciół we wspólnej oprawie.

W porównaniu z większością współautorów tego festschriftu ja zjawiłem się dość późno w życiu Aleca, lecz przez jakieś pięć lat pracowaliśmy ze sobą dość często i potem już, na szczęście, nasze drogi się nie rozeszły. Zawsze byłem z tego dumny, ale w największą dumę wbiło mnie to, że na przedmowę do ostatniego tomu swych wspomnień wybrał właśnie mój tekst z jubileuszowego zbioru.

Alec stanowczo się sprzeciwiał urządzaniu po jego śmierci wieczornic ku czci, spotkań jego przyjaciół – sprzeciwiał się w ogóle wszelkiemu publicznemu wyrażaniu uczuć. Mnie musi usprawiedliwić pewność, że ten zazdrośnie strzegący swej prywatności człowiek podzielił się z innymi stworzonym przeze mnie portrecikiem.

Poniższy tekst pochodzi częściowo z mojej przedmowy do jego autobiografii uzupełnionej nowymi przemyśleniami.

Alec Guinness to niewygodny temat. Nie może być inaczej – czujne dziecko zamknięte w ciele osiemdziesięciolatka to nie jest ktoś, kogo można łatwo opisać, kto udzieli łatwych odpowiedzi. Niedostatki i poniżenia, jakich doświadczał trzy czwarte wieku temu, nie odeszły do lamusa. Można mieć wrażenie, że wciąż stara się obłaskawić otaczający go świat dorosłych, wycisnąć z niego choć odrobinę miłości, ubłagać o uśmiech, pohamować lub okiełznać jego potworności.

Ale równocześnie nie cierpi płynących z niego pochlebstw, nie ufa pochwałom. Jest nieufny tak, jak nieufne potrafią być dzieci. Zaufaniem obdarza powoli i z największą ostrożnością. I w każdej chwili może je cofnąć. Jeżeli ktoś, tak jak ja, szczerze go lubi, musi zachować to dla siebie.

Formy są dla niego rozpaczliwie ważne. Jako ktoś, kto aż za dobrze poznał chaos, ceni sobie dobre maniery i porządek. Z wdzięcznością traktuje ludzi przystojnych, lecz kocha też klaunów, mały i ulicznych dziwaków – jakby widział w nich wszystkich swych naturalnych sprzymierzeńców.

Dzień i noc bada i zapamiętuje charakterystyczne cechy dorosłego wroga, układa twarz, głos i ciało w niezliczone wersje nas samych i równocześnie obserwuje możliwości własnej natury – wolisz mnie takim? Czy takim? Czy takim? I tak *ad infinitum*. Budując postać, bezwstydnie okrada tych, którzy go otaczają.

Kiedy przyjmuje jakąś inną tożsamość, można mieć wrażenie, że wyrusza z misją na terytorium wroga. Czy takie przebranie będzie dobre dla niego? (Dla niego, czyli dla jego nowej postaci). Czy te okulary są dobre? Nie, może lepsze będą te? Teraz buty: czy nie za dobre, nie za nowe, czy go nie zdradzą? Teraz: jak chodzić? Ten ruch kolana, to spojrzenie, ta poza – nie za dużo? Jak uważam? A jeżeli już wygląda jak swój, to czy będzie mówił jak swój – czy mówi z właściwym akcentem?

Gdy kończy się przedstawienie, gdy koniec zdjęć na dziś, a on na nowo staje się Alekiem – ruchliwa twarz lśni od szminki, w grubej dłoni tkwi małe cygaro – trudno się oprzeć wrażeniu, jaki nudny musi być ten świat, do którego właśnie powrócił po tylu przebytych przygodach.

Choć jest samotnikiem, ten były oficer marynarki wojennej uwielbia też być jednym z grupy. Niczego bardziej nie pragnie niż tego, by ktoś nim dobrze pokierował. Umie szanować treść poleceń i talent współtowarzyszy. Gdy z nimi gra, zna ich kwestie równie dobrze jak własne. Nie myśli o sobie – najwyżej ceni sobie zbiorową iluzję Sztuki, pięknego innego świata, w którym życie ma sens, kształt i rozwiązanie, a wydarzenia następują po sobie zgodnie z jasno określonymi zasadami.

Można się wiele nauczyć, pracując z nim nad scenariuszem. Jedna scena może mieć kilkanaście wersji, nim wreszcie któraś go przekona. Przy innej, nie

wiedzieć dlaczego, w ogóle nie dyskutuje. Wszystko staje się jasne dopiero potem, gdy widać, co postanowił z nimi zrobić.

Narzuca sobie bardzo surową dyscyplinę i tego samego wymaga od innych. Byłem raz obecny, gdy pewien aktor – teraz jest abstynentem – pojawił się na planie pijany. Całkiem możliwe, że przede wszystkim dlatego, iż bał się występu u boku Guinnessa. W oczach Aleca była to absolutna zbrodnia – jakby biedak zasnął w wojsku na warcie. Tylko że dziesięć minut później złość Aleca zmieniła się w niemal rozpaczliwą łagodność. Następnego dnia zdjęcia poszły jak po maśle.

Jeśli się go zaprosi na kolację, Alec zjawi się na progu wymuskany i nieskazitelny, zanim zegar skończy wybijając wyznaczoną godzinę – choćby na zewnątrz szalała zamieć, a Londyn pogrążył się w chaosie komunikacyjnym. Jeżeli on jest gospodarzem – co znacznie bardziej prawdopodobne, bo to człowiek gościnny do bólu – to następnego dnia po telefonicznych zaprosinach nadejdzie jeszcze pocztówka skreślona pięknym odręcznym pismem lekko opadającym ku prawemu dolnemu rogowi.

Wtedy lepiej zjawić się punktualnie. On bardzo ceni takie gesty. Stanowią dla niego konieczny element scenariusza życia, bo oddzielają nas od ponizeń i chaosu jego trudnych młodych lat.

Niech mnie jednak Bóg pokarze, jeżeli odmalowałem go jako człowieka surowego.

Bo bulgoczący śmiech Aleca i jego jowialność – kiedy się objawiają – są tym bardziej niespodziewane, że często poprzedza je chmurność i niepewność. Nagłe rozpromienienie się, anegdoty opowiadane z doskonałym wyczuciem, mistrzowski dar fizycznej i językowej imitacji, psotny delfini uśmiech, który pojawia się i znika – wszystko to mam przed oczami, pisząc te słowa. Kiedy obserwuje się go w towarzystwie aktorów i aktorek w różnym wieku i różnego pochodzenia, widać, że czuje się wśród nich jak ktoś, kto właśnie znalazł swe ulubione miejsce przy kominku. Nowość go nie szokuje. Cieszy się, gdy odkrywa nowy talent i może mu pomóc w trudnych początkach tej samej drogi, którą sam kiedyś przebył.

A poza tym – on czyta.

Są aktorzy, którzy otrzymawszy scenariusz, zawsze najpierw liczą, ile wierszy mają ich kwestie, by się przekonać, czy to odpowiednio ważna rola. Trudno wyobrazić sobie większe ich przeciwieństwo niż Alec. Nie znam reżysera, producenta czy scenarzysty, który miałby lepsze wyczucie struktury i dialogu, i tego c z e g o ś, czego zawsze poszukuje: takiego magofina – czegoś, co sprawia, że dzieło wyrasta ponad przeciętność.

Kariera Aleca obfituje w genialne i niespodziewane role. Jego talent do ich wyboru jest równie natchniony jak talent, z którym je odtwarza. Słyszałem też – a może to jedna z najlepiej skrywanych tajemnic Aleca? – że na jego wybory ma wielki wpływ jego żona Merula. To mądra, cicha kobieta, spokojna artystka, do tego dalekowzroczna.

Co zatem łączy tych z nas, którym dane było dzielić z Alekiem jakiś odcinek jego długiego życia? Podejrzewam, że chodzi o ciągłą niepewność, kim dla niego być. Każdy chce okazać mu miłość, a równocześnie nie naruszać jego swobody. Jego talent tkwi tak blisko pod skórą, że człowiek instynktownie próbuje chronić go przed codziennymi wstrząsami. Sam jednak świetnie daje sobie radę.

I wtedy po prostu stajemy w szeregu jego całej wielkiej widowni: chcemy mu coś ofiarować, lecz nie mamy co; nie umiemy wyrazić mu swojej wdzięczności i musimy zadowolić się czerpaniem garściami z jego geniuszu, którego istnieniu sam konsekwentnie zaprzecza.

Przerwa obiadowa na górnym piętrze budynku BBC, letni dzień roku 1979. Obsada, technicy, producenci, reżyser i autor *Druciarza, krawca, żołnierza, szpiega* zbrali się wystrojeni w najelegantsze stroje na lampkę białego wina – ale tylko jedną na osobę – nim wszyscy przejdziemy do jadalni, gdzie czeka na nas uroczysta uczta, czyli kurczak na zimno.

Mamy jednak opóźnienie. Już zabrzmiał gong, już defilują baronowie BBC. Autor, producenci i reżyser zjawili się na czas i odpowiednio ubrani. Obsada aktorska też zjawiała się punktualnie, Alec oczywiście był pierwszy. Ale gdzież, ach, gdzież jest Bernard Hepton, nasz główny aktor drugoplanowy, nasz Toby Esterhase? Wino grzeje się w szkle, wszystkie oczy zwracają się ku podwójnym drzwiom. Zachorował? Zapomniał? Obraził się? Bo podobno między nim i Alekiem były ostatnio jakieś tarcia...

Drzwi się w końcu otwierają. Siłąc się na beztroskę, pojawia się w nich Bernard ubrany nie w ponure szarości i granaty, jak cała reszta, tylko w trzyczęściowy garnitur w krzykliwą zieloną kratę, z którą gryzą się straszliwie pomarańczowe lakierki.

I gdy z uśmiechem sunie na środek sali, wita go wzruszony głos George'a Smileya:

– Bernardzie, przebrałeś się za żabę.

Zaginione arcydzieła

Wierzę, że pewnego dnia wszyscy zrozumieją, że najlepsze adaptacje moich książek to te, które nigdy nie powstały.

W roku 1965 – roku premiery ekranizacji *Ze śmiertelnego zimna* – dałem się przekonać mojemu brytyjskiemu wydawcy i pojechałem na Międzynarodowe Targi Książki do Frankfurtu – o czym myślałem z przerażeniem – by promować książkę, po której nie spodziewałem się zbyt wiele, przymilać się do krytyków i wabić środki masowego przekazu. Kiedy już chciało mi się rzygać na dźwięk własnego głosu – i kiedy miałem dość, że zagraniczni dziennikarze podają mnie sobie z rąk do rąk jak worek z towarem – uciekałem do mojego apartamentu we Frankfurter Hof, żeby poużalać się nad sobą.

I właśnie tym się zajmowałem, gdy pewnego późnego popołudnia zadzwonił telefon i kobiecy głos mówiący chrapliwą, z cudzoziemską akcentowaną angielszczyzną poinformował mnie, że w holu hotelowym znajduje się pan Fritz Lang i pragnie się ze mną zobaczyć, więc czy zejdę na dół? Nie zrobiło to na mnie większego wrażenia, bo Langów jest w Niemczech na pęczki, nie mówiąc już o Fritzach. Czy to ten sam pisarz plotkarz, od którego musiałem się opędnąć przez cały dzień? Byłem pewny, że tak, a tę babę wziął na przynętę. Zapytałem więc, o co chodzi panu Langowi.

– To pan Fritz Lang, reżyser filmowy – oświeciła mnie z wyrzutem. – Chce przedstawić panu pewną propozycję.

Równie dobrze mogła powiedzieć, że w holu czeka na mnie Goethe – moja reakcja byłaby mniej więcej taka sama. Kiedy pod koniec lat czterdziestych studiowałem germanistykę w Bernie, wraz z innymi studentami toczyłem długie nocne rozmowy na temat geniuszu Fritza Langa, wielkiego reżysera czasów weimarskich.

Trochę znaleźmy jego biografię. Urodzony w Austrii, wychowany po katolicku Żyd, trzykrotnie ranny za Austrię w czasie pierwszej wojny światowej, a potem jedno po drugim: aktor, scenarzysta i ekspresjonistyczny reżyser najlepszych lat Ufy, sławnego berlińskiego studia filmowego lat dwudziestych. Zażarcie dyskutowaliśmy o takich klasykach ekspresjonizmu jak *Metropolis*,

wysiadywaliśmy pięć godzin na *Nibelungach* i cztery na *Doktorze Mabusem*. Ponieważ zawsze chętnie myślałem o złoczyńcach jako o bohaterach, szczególnie lubiłem jego film *M – Morderca*, w którym Peter Lorre gra mordercę dzieci poszukiwanego przez cały świat przestępcy.

Ale co było potem, po roku 1933? Co się działo z Langiem przez następne trzydzieści lat? Gdzieś kiedyś czytałem, że pojechał robić filmy w Hollywood, lecz nie przypominam sobie, bym jakkolwiek oglądał. Dla mnie Lang był człowiekiem Republiki Weimarskiej, i tyle. Szczerze mówiąc, nie byłem pewny, czy jeszcze żyje. I czy ten telefon to nie jakiś kawał.

– Chce mi pani powiedzieć, że na dole czeka na mnie doktor Mabuse? – pytam ten czarujący damski głos i mam nadzieję, że mój brzmi dumnie i sceptycznie.

– To pan Fritz Lang, reżyser filmowy, chciałby z panem poważnie porozmawiać – powtarza nieustępliwie.

Jeżeli to prawdziwy Lang, to będzie miał opaskę na oku, mówię sobie, wkładając czystą koszulę i wybierając krawat.

Miał opaskę. Ale i okulary, co mnie zdziwiło – po co mu dwie soczewki na jedno oko? Był przyciężkawym, groźnie wyglądającym mężczyzną o mocno zarysowanej, mięsistej twarzy. Wysunięta szczeka boksera, niezbyt przyjemny uśmiech. Wysoki kapelusz, którego rondo rzuca cień na zdrowe oko. Siedząc sztywno wyprostowany w hotelowym fotelu, wygląda jak stary pirat. Głowa odchylona do tyłu, jakby słuchał czegoś i nie był pewny, czy mu się to podoba. Silne dłonie zaciśnięte na rączce laski trzymanej między kolanami. Człowiek, który – jeśli wierzyć legendzie – przy kręceniu *M - Mordercy* wpadł w taką twórczą pasję, że zrzucił Petera Lorre'a ze schodów.

Moja rozmówczyni o chrapliwym głosie siedzi obok niego. Już nigdy się nie dowiem, czy to jego kochanka, nowa młoda żona czy agentka. Wiekowo bliżej jej do mnie niż do niego i jest zdecydowana zrobić wszystko, by nasza rozmowa była owocna. Zamawia angielski podwieczorek i pyta mnie, czy dobrze się bawię na targach. Kłamię, że świetnie. Lang wciąż tylko się uśmiecha, patrząc w dal. Kiedy skończyły nam się banały, przez chwilę milczał, po czym nagle:

– Chcę zrobić film z tej pana książeczki *Morderstwo doskonałe* – zadeklamował niemiecką angielszczyznę, kładąc mi na ramieniu ciężką dłoń. – Pan przyjedzie do Kalifornii, napiszemy scenariusz, zrobimy film. Chce pan?

Kiedy już ochłonąłem z wrażenia, zgodziłem się w duchu, że „książeczka” to właściwe słowo. Napisałem ją w ciągu kilku pierwszych tygodni pracy

w brytyjskiej ambasadzie w Bonn. To opowieść o odchodzącym na emeryturę nauczycielu z prywatnej szkoły, który morduje własnego ucznia, by ukryć wcześniejszą zbrodnię. Na pomoc przybywa George Smiley i demaskuje sprawcę. Kiedy teraz o tym myślę, zaczynam rozumieć, dlaczego mimo licznych niedociągnięć „książeczka” mogła zainteresować reżysera *M.* Jedynym problemem był właśnie George Smiley. Zgodnie z umową filmową, której nie powinienem był podpisać, kontrakt na niego należał do pewnej wielkiej wytwórni. Langa to nie zniechęciło.

– Człowieku, ja ich wszystkich znam. To moi koledzy. Może sfinansują nam ten film. Dla nich to dobry interes. Mają prawa do pańskiego bohatera, to dostaną o nim film. Dobry biznes. Pan lubi Kalifornię?

Bardzo lubię Kalifornię.

– To pan przyjedzie do Kalifornii. Popracujemy, zrobimy scenariusz, zrobimy film. Czarno-biały, jak ten o tym z i m n i e. Ma pan coś przeciwko czarno-białemu?

Absolutnie nic.

– Ma pan agenta filmowego?

Mówię, kto nim jest.

– Słuchaj pan, przecież ja go wychowałem. Pan pomówi z agentem, dogadamy się, po świętach siadamy w Kalifornii, piszemy scenariusz. Może być po świętach? – Wciąż się uśmiecha, patrząc przed siebie, wciąż trzyma mi dłoń na ramieniu.

Może być po świętach.

Teraz orientuję się wreszcie, że siedząca przy nim kobieta lekko prowadzi jego dłoń, gdy Lang sięga po filiżankę. Upija łyk herbaty. Kobieta znów pomaga mu odstawić filiżankę. Dłoń wraca na rączkę laski. Znów sięga po filiżankę, ona znowu prowadzi mu do niej rękę.

Potem już nie miałem z nim żadnego kontaktu. Mój agent powiedział, że nie ma na co liczyć. Nie wspomniał ani słowem o nadchodzącej ślepotcie, ale jego zdanie zabrzmiało równie ostatecznie jak wyrok śmierci: Fritz Lang już się nie liczy.

W roku 1968 moją powieścią *Małe miasteczko w Niemczech* zainteresował się na chwilę Sydney Pollack. Nasza współpraca, dodatkowo skomplikowana przez to, że Sydney odkrył piękno szwajcarskich stoków narciarskich, nie przyniosła spodziewanych owoców; wytwórnia, która kupiła prawa do ekranizacji, zbankrutowała, przez co cała sprawa zagubiła się gdzieś w labiryncie prawnych

komplikacji. Jeżeli czegokolwiek nauczyłem się o przemyśle filmowym, to tego, by już nigdy nie dać się porwać wspaniałym, lecz krótkotrwałym wybuchom Sydneyowego entuzjazmu.

Nic więc dziwnego, że gdy dwadzieścia lat później zatelefonował do mnie w środku nocy i oznajmił mi na cały swój melodyjny głos, że z mojej nowej powieści *Nocny recepcjonista* zrobi najbardziej natchniony film w swej karierze, natychmiast rzuciłem wszystko i wskoczyłem do pierwszego samolotu do Nowego Jorku. Od razu powiedzieliśmy sobie z Sydneyem, że jesteśmy już starsi i mądrzejsi – żadnych więc tym razem szwajcarskich wiosek, kuszących opadów śniegu, Martinów Eppów, północnych ścian Eigeru. Tym razem scenariusz napisze sam Robert Towne, największa w tamtych czasach gwiazda na scenopisarskim nieboskłonie – i na pewno najdroższa. Paramount już chce kupić prawa.

Zamelinowaliśmy się w Santa Monica, bo wiedzieliśmy, że nikt nam nie będzie tam przeszkadzał. Sydney, Bob Towne i ja po kolei chodziliśmy po pokoju i popisywaliśmy się przed sobą, dopóki naszym deliberacjom nie położył nagle kresu potężny wybuch. Towne był przeświadczony, że to terroryści, więc rzucił się na podłogę. Sydney, niepowstrzymany człowiek czynu, zadzwonił na gorącą linię policji w Los Angeles, dostępną tylko dla najważniejszych reżyserów hollywoodzkich. Ja jak zwykle zachowałem zimną krew – czyli stałem i gapiłem się tępo.

Policja zareagowała uspokajająco – to tylko małe trzęsienie ziemi, Sydney, nie ma się czego bać, i słuchaj no, Sydney, a co to za film wy tam piszecie? Jeszcze trochę się popopisywaliśmy i rozeszliśmy się nieco przed czasem. Uzgodniliśmy, że Towne zrobi pierwszą przymiarke do scenariusza. Potem włączy się Sydney.

– Jakbyś chciał coś przedyskutować, Bob, to zadzwoń – powiedziałem wspaniałomyślnie i podałem mu mój numer w Kornwalii.

Z Towne'em nie rozmawiałem już nigdy. Gdy mój samolot wzbijał się w powietrze z lotniska w Los Angeles, przez głośniki nadawano ostrzeżenie przed poważnym trzęsieniem ziemi. Sydney obiecał przyjechać do mnie do Kornwalii, gdy tylko dostaniemy ową „pierwszą przymiarke”. Wtedy byłem jeszcze właścicielem małego domku dla gości niedaleko naszej wiejskiej siedziby. Wszystko było gotowe na przyjazd wielkiego reżysera. Dał znać, że właśnie montuje thriller według Johna Grishama z Tomem Cruise'em w roli głównej, ale potem zabiera się za mnie. Bob pracuje jak szatan. Jest zachwycony twoim

dziełem, Davidzie. I tym, że to takie wielkie wyzwanie. Bob szaleje. Jeszcze tylko najpierw skończy parę scenariuszy. Potem kolejne tego typu komunikaty, ale coraz rzadziej, coraz rzadziej. Towne ma kłopoty z zakończeniem. O Jezu, Cornwell, czy ty musisz pisać takie skomplikowane książki?

Wreszcie – w samym środku kornwalijskiej nocy – tak cierpliwie oczekiwany przeze mnie telefon: widzimy się w piątek w Wenecji. Ten film z Cruise'em chyba pobije wszelkie rekordy, próbne pokazy poszły fantastycznie. Wytwórnia nie posiada się z radości. No świetnie, super, mówię, ale co u Boba? Widzimy się w piątek. Moi ludzie załatwią ci apartament w hotelu. Rzucam wszystko, lecę do Wenecji. Sydney lubi jeść, ale je strasznie szybko, szczególnie jeśli mu się przeszkadza. U Boba w porządku, odpowiada niejasno, jakbym pytał o zdrowie naszego scenarzysty. Ma trochę problemów ze środkiem. Zaraz się znowu do tego zabierze. Jak to ze środkiem, Sydney? Myślałem, że z zakończeniem. Jedno z drugim się łączy, mówi Sydney. A przez cały ten czas przybiegają zadyszani ludzie z wieściami: genialne recenzje, Sydney, no patrz, pięć gwiazdek, oba kciuki w górę! Jezusie, Maryjo, przejdziemy do historii kina! Sydney wpada na pomysł: może poleciałbym z nim jutro do Deauville? Tam też pokazują ten film. Pogadamy w samolocie, nikt nam nie będzie przerywał.

Następnego dnia rano lecimy do Deauville learjetem Sydneya. Jest nas czterech: Sydney i jego drugi pilot, obaj ze słuchawkami na uszach, siedzą za sterami, z tyłu zapasowy pilot i ja. John Calley, przyjaciel Sydneya, ówczesny szef Sony Columbia, i Stanley Kubrick, drugi zwolennik bezpiecznego latania, ostrzegali mnie, żeby nigdy nie latać z Sydneyem. David, wiesz, jakie to ryzyko ubezpieczeniowe, lecieć prywatnym odrzutowcem z takim pilotem? Nie rób tego. Po nieprawdopodobnie krótkim locie lądujemy w Deauville, gdzie Sydney natychmiast znika w tłumie szefów wytwórni, agentów filmowych i ludzi od reklamy, i już siedzi w jednej limuzynie, podczas gdy mnie prowadzą do drugiej. W luksusowym hotelu czeka na mnie kolejny olbrzymi apartament, wewnątrz kwiaty, szampan od dyrekcji i powitalny liścik adresowany do monsieur Davida Carra. Dzwonię na recepcję, dostaję rozkład połączeń promowych. Strzelam kilka baniek, udaje mi się dodzwonić do apartamentu Sydneya. Sydney, wszystko pięknie, ale ty jesteś teraz taki zajęty, chyba nie masz czasu skupić się na naszej sprawie. To może ja wrócę sobie do domu, pogadamy, jak Bob przyśle scenariusz? Sydney wpada w panikę, jak ja niby dostanę się z Deauville do Anglii? Co, kurwa, promem? Czyś ty nie lał, Cornwell? Jak to, czy nie lałem? Kurwa, bierz learjeta, Chryste Panie! Sydney, serio, mogę promem, naprawdę, jest ich cała kupa. Kurwa, lecę learjetem. Tym razem jest nas tylko trzech: z przodu dwaj piloci Sydneya, ja sam z tyłu. Lotnisko w Newquay, olbrzymie, ale częściowo należące do RAF-u, nie chce nas przyjąć. W końcu decydujemy się na

Exeter. W efekcie z walizką w ręce znajduję się sam jak palec na pustym pasie startowym lotniska w Exeter, a learjet jest już w połowie drogi powrotnej do Deauville. Rozglądam się za kontrolą paszportową, za celnikami, ale wokół nikogo, tylko jeden samotny robotnik w odblaskowej pomarańczowej kamizelce grzebie motyką na krawędzi pasa. Przepraszam pana, właśnie przyleciałem prywatnym samolotem, czy może mi pan powiedzieć, gdzie znajdę cło i kontrolę paszportową? No a skąd pan przyleciał? – pyta groźnie, opierając się na motyce. Z Francji? Panie, przecież to wspólny rynek! Z politowaniem kiwa głową nad moją głupotą i powraca do obowiązków służbowych. Przełazę przez nędzne ogrodzenie z siatki na parking, na którym czeka żona, by zawieźć mnie do domu.

Dopiero rok później, gdy Towne pojawił się na festiwalu filmowym w Edynburgu i według moich szpiegów mówił mnóstwo mądrych rzeczy o niemożności przełożenia mojego dzieła na język filmu, zrozumiałem, że nic z tego nie będzie. Jezu, Cornwell, Bob nie dał rady temu zakończeniu.

Kiedy zadzwonił do mnie Francis Ford Coppola, prosząc, bym przyjechał do jego winnicy w Napa Valley i popracował z nim nad ekranizacją mojej powieści *Nasza gra*, natychmiast wiedziałem, że tym razem się uda. Poleciałem do San Francisco. Coppola przysłał samochód. Tak jak się spodziewałem, pracowało się z nim fantastycznie: był bystry, dociekliwy, twórczy, pomocny. Zapewnił mnie, że wystarczy pięć dni takiej pracy, żeby stworzyć pierwszą wersję scenariusza. I tak też się stało, bo przecież spotkało się dwóch geniuszy. Mieszkałem we własnym domku w jego posiadłości, wstawaliśmy skoro świt, pisaliśmy fantastyczne rzeczy do południa. Potem rodzinny lunch w elegijnym nastroju, przy długim stole, przygotowany przez Coppolę. Następnie spacer nad jeziorkiem, nawet można popływać, po czym geniusze wracają do pracy na resztę popołudnia.

Po pięciu dniach byliśmy gotowi. Coppola oświadczył, że Harrison będzie zachwycony. Harrison Ford, oczywiście – w Hollywood nazwiska są dla cieniasów. Była co prawda jedna mniej przyjemna chwilka, gdy Coppola dał scenariusz swemu nadwornemu redaktorowi i scenariusz wrócił cały pokreślony i z dopiskami na marginesie w stylu: „DO DUPY! NIE OPOWIADAJ! POKAZUJ!”, ale Coppola zbył śmiechem te sympatyczne uwagi. Ten redaktor tak ma. Nic dziwnego, że mówią o nim „morderca maszynopisów”. Scenariusz pójdzie do Harrisona w poniedziałek, ja mogę sobie wracać do Anglii i czekać na rozwój wypadków.

Więc wracam i czekam. Mija tydzień za tygodniem. W końcu dzwonię do Coppoli, ale mogę rozmawiać tylko z asystentką, bo Francis jest teraz okropnie

zajęty, Davidzie, czy ja mogę w czymś pomóc? Nie, Davidzie, Harrison jeszcze nie odpowiedział. Z tego, co wiem, nie odpowiedział do dziś. Nigdzie nie potrafią tak zagrać milczenia jak w Hollywood.

O tym, że Stanley Kubrick był zainteresowany kinową adaptacją mojej powieści *Szpieg doskonały*, dowiedziałem się, dopiero gdy zadzwonił do mnie, żebym się wytłumaczył, dlaczego nie przyjąłem jego propozycji kupienia praw do filmu. Ja spuściłem po brzytwie Stanleya Kubricka? Byłem zdumiony i przerażony. Przecież my jesteśmy kumple, na miłość boską! Może nie bardzo bliscy kumple, ale jednak. Dlaczego nie zadzwonił, że jest zainteresowany? I najważniejsze pytanie: co strzeliło do głowy mojemu agentowi filmowemu, że najpierw nie mówi mi o propozycji Kubricka, a potem podpisuje umowę z telewizją BBC? Stanley, mówię mu, zaraz to sprawdzę i oddzwonię. Nie pamiętasz, kiedy rozmawiałeś z moim agentem? No przecież jak tylko przeczytałem książkę, Davidzie, na co miałem czekać? Mój agent był równie zadziwiony jak ja. Poza BBC była jeszcze tylko jedna oferta, ale tak niepoważna, że nawet mi o niej nie mówił. Jakiś doktor Feldman – tak chyba się nazywał – z Genewy chciał kupić prawa do powieści na potrzeby zajęć z filmowych adaptacji literatury. Wymyślił sobie taki konkurs: nagrodą dla studenta, który stworzy najlepszy scenariusz, będzie realizacja jedno- lub dwuminutowego filmiku na jego podstawie. Za dwuletnią opcję na prawa filmowe do *Szpiega doskonałego* doktor Feldman i jego uczelnia gotowi byli zaoferować honorarium w wysokości pięciu tysięcy dolarów.

Już miałem oddzwonić do Kubricka i zapewnić go, że jego oferta w ogóle do mnie nie dotarła, ale coś mnie powstrzymało i zamiast tego zatelefonowałem do wielkiej szychy w wytwórni, z którą czasem współpracował Kubrick, do mojego przyjaciela Johna Calleya. Calley zachichotał wesoło. O tak, ten Feldman to na pewno nasz kochany Stanley. Wiecznie się boi, że samo jego nazwisko podbije cenę za prawa.

Dopiero wtedy zadzwoniłem do Kubricka i powiedziałem mu z głupia frant, że gdybym wiedział, że doktor Feldman działał w jego imieniu, dobrze bym się zastanowił nad sprzedażą opcji BBC. Kubrick się nie przejął, powiedział, że z przyjemnością zająłby się reżyserią serialu BBC. Zatelefonowałem do Jonathana Powella, producenta z BBC. To dzięki niemu powstały telewizyjne ekranizacje *Druciarza*, *krawca*, *żołnierza*, *szpiega* i *Ludzi Smiley*, a teraz zmagają się właśnie ze *Szpiegiem doskonałym*. Zapytałem, co myśli o tym, żeby mu to wyreżyserował Stanley Kubrick.

Nastała chwila ciszy. Powell, człowiek zwykle nieskłony do głośnego wyrażania uczuć, tym razem potrzebował tej chwili, by się uspokoić.

– Aha, czyli chcesz przekroczyć budżet o parę milionów funtów? – zapytał. – I żeby serial był gotowy z kilkuletnim opóźnieniem? Wiesz co, lepiej już nic nie zmieniamy.

Zaraz potem Kubrick wpadł na kolejny pomysł: żeby napisał mu scenariusz do szpiegowskiego filmu o czasach drugiej wojny światowej, który działałby się we Francji i opisywał rywalizację między MI6 i SOE. Powiedziałem, że pomyślę, pomyślałem, pomysł mi się nie spodobał, więc odmówiłem. No dobra, to może adaptacyjka erotycznej noweli austriackiego pisarza Arthura Schnitzlera⁴¹? Powiedział, że prawa już ma, a ja nawet nie zapytałem, czy kupił mu je doktor Feldman z Genewy w celach edukacyjnych. Powiedziałem, że znam twórczość Schnitzlera i że jestem zainteresowany. Ledwo odłożyłem słuchawkę, przed moim domem stanął czerwony mercedes, z którego wyskoczył włoski szofer Kubricka objuczony powielaczową kopią angielskiego przekładu *Jak we śnie*, którego nie potrzebowałem, i całym naręczem różnych pism krytycznych.

Kilka dni później ten sam mercedes zawiózł mnie do wielkiej wiejskiej posiadłości Kubricka pod St Albans. Byłem tam wcześniej już kilka razy, ale nic nie przygotowało mnie na widok, jaki ujrzałem w holu: dwie olbrzymie metalowe klatki, jedna z kotami, druga z psami. Obie klatki były połączone metalowymi przejściami, więc każdy kot czy pies, który chciał zaznajomić się z przedstawicielami drugiego gatunku, mógł to uczynić bez przeszkód. Kubrick powiedział, że jedne się zaznajamiają, inne nie, ale nie ma się co śpieszyć, bo psy i koty mają kupę zadawnionych spraw.

Gonieni przez psy – ale nie przez koty – spacerujemy z Kubrickiem po jego włościach. Gospodarz zmusza mnie, żebym się wymądrzał na temat możliwości adaptacji nowelki Schnitzlera. Podsuwam mu myśl, że erotyka utworu eksponowana jest przez ukazanie zahamowań i snobizmów klasowych. Bo choć Wiedeń lat dwudziestych był matecznikiem swobody seksualnej, był równocześnie matecznikiem społeczno-religijnej bigoterii, chronicznego antysemityzmu i wszelkich uprzedzeń. Kto obracał się w wiedeńskich kręgach towarzyskich – na przykład nasz bohater, młody lekarz z obsesją na punkcie seksu – musiał wiedzieć, że konwencje społeczne odrzuca się na własne ryzyko. Jego erotyczna wędrówka, rozpoczynająca się, gdy nie może kochać się ze swą piękną młodą żoną, a zakończona nieudaną próbą uczestnictwa w orgii w domu

austriackiego arystokraty, obfituje w takie właśnie społeczne, ale i fizyczne niebezpieczeństwa.

W ogóle cały pomysł podobał mi się coraz bardziej. Patrolując posiadłość z Kubrickiem i jego sforą, powiedziałem mu, że musimy jakoś oddać tę ciężką atmosferę i skonstrastować ją z poszukiwaniem tożsamości seksualnej przez naszego bohatera.

– Ale jak? – zapytał Kubrick dokładnie w chwili, gdy zacząłem podejrzewać, że interesuje się już tylko psami.

No więc myślałem o tym, Stanley, i uważam, że najlepiej będzie umieścić wszystko w średniowiecznym, otoczonym murami mieście albo przynajmniej w prowincjonalnym miasteczku, które tworzy wrażenie zamkniętej przestrzeni.

Zero reakcji.

Na przykład taki Awinion. Avignon. Albo Wells w hrabstwie Somerset. Wysokie mury, baszty, wąskie uliczki, mroczne bramy.

Zero reakcji.

Albo jakieś miasto pełne kościołów, Stanley, może katolickie, jak Wiedeń Schnitzlera? Żeby był pałac biskupi, klasztor i seminarium duchowne. Przystojni młodzieńcy w kleryckich strojach zawadiacko mijają młode zakonnice, które nie do końca odwracają od nich wzrok. Dzwonią kościelne dzwony. Prawie czuć kadzidło, Stanley.

Czy on mnie w ogóle słucha? Zamilkł z zachwytu? Czy z nudów?

A miejscowe wielkie damy, Stanley, niby takie pobożne, ale tak umieją się maskować, że siedząc na obiedzie u biskupa, człowiek nie ma pojęcia, czy poprzedniej nocy rznął się z sąsiadką po prawej, czy też ona siedziała w domu i odmawiała paciorek z dziećmi.

Dośpiewałem arię do końca i całkiem z siebie zadowolony kroczę u boku Stanleya w milczeniu. Wydaje mi się, że nawet psy podziwiają moją elokwencję. Wreszcie Stanley mówi:

– To osadzimy akcję w Nowym Jorku.

I ruszamy z powrotem w stronę domu.

Krawat Bernarda Pivota

Wywiady rzadko są przyjemne. Wszystkie za to są stresujące, większość – nudna, a niektóre po prostu okropne, szczególnie jeżeli przeprowadza je rodak: stary, zakompleksiony pismak, który się nie przygotował, nie przeczytał książki, myśli, że robi mi wielką łaskę, bo się fatygował, i jeszcze chętnie by się napił; albo początkujący powieściopisarz, który uważa mnie za grafomana, ale bardzo chce, żebym przeczytał jego niedokończony maszynopis; albo feministka przekonana, że tylko dlatego odniosłem sukces, że jestem dość dobrym przykładem białego mieszczańskiego samca sukinsyna, przez co zaraz zaczynam podejrzewać, że ona ma rację.

W moim prostym słowniczku zagraniczni dziennikarze stanowią całkowite tego przeciwieństwo. Są rozsądni, pilni, książkę przeczytali od deski do deski, wszystkie inne znają lepiej niż ja sam. Oczywiście zdarzają się wyjątki i odmieńcy, tacy jak pewien młody Francuz z „L'Événement du jeudi”, który niezrażony odmową udzielenia wywiadu, ostentacyjnie włóczył się na piechotę w okolicy mojego domu w Kornwalii, latał nad nim samolocikiem na niskim pułapie, a potem jeszcze prowadził rekonesans z morza, z małej łódki – wszystko po to, by później opisać całą eskapadę w sposób, który przynosił zaszczyt jego wyobraźni.

Albo jak ten fotograf – też z Francji, też młody, ale wysłany przez inne czasopismo – który się uparł, że zanim mnie zdejmie, muszę oglądnąć próbki jego pracy. Otworzył więc zabrudzony kieszonkowy album i pokazał zdjęcia takich luminarzy, jak Saul Bellow, Margaret Atwood czy Philip Roth, a gdy w poczuciu obowiązku pozachwyciałem się każdym zdjęciem – bardzo wylewnie, bo tak mam w zwyczaju – odwrócił kartkę i pokazał mi następny element kolekcji: widoczek kota od tyłu czmychającego ze wzniesionym ogonem.

– Podoba się kocia dupa? – zapytał, bystro obserwując moją reakcję.

– Świetne ujęcie. Dobre oświetlenie. Piękne – odpowiedziałem, z całych sił próbując zachować zimną krew.

Jego oczy zwęziły się w szparczki, a na absurdalnie młodej twarzy pojawił się chytry uśmiech.

– Ta kocia dupa to test – wyjaśnił z dumą. – Jeżeli model się obraża, to wiem, że nie jest wyrafinowany.

– To ja jestem wyrafinowany? – zapytałem.

Portret chciał koniecznie zrobić w drzwiach. Wejściowych. Wszystko jedno jakich, jakiego koloru, byle w małej wnęce, żeby był cień. Muszę dodać, że był bardzo drobnego wzrostu, wyglądał prawie jak elf – do tego stopnia, że miałem ochotę zaofiarować mu się do noszenia za nim wielkiej torby ze sprzętem.

– Tylko nie chcę wyjść na zdjęciu jak szpieg – powiedziałem z całkiem u mnie niespotykaną stanowczością.

Puścił to mimo uszu. Drzwi nie oznaczają szpiega, tylko g ł ę b i ę. Po jakimś czasie udało nam się znaleźć takie, które spełniały jego ostre kryteria. Stałem z drzwiami w tle i patrzyłem się prosto w obiektyw, jak mi kazał. Nigdy takiego nie widziałem: był półkolisty i miał chyba z dwadzieścia centymetrów średnicy. Fotograf opadł na jedno kolano z okiem przyklejonym do wizjera - w tej samej chwili zatrzymali się za nim dwaj bardzo rośli mężczyźni o arabskich rysach i zwrócili się do mnie ponad plecami fotografa.

– Bardzo pana przepraszam – odezwał się jeden. – Czy byłby pan tak miły i wskazał nam drogę do stacji metra Hampstead?

Już miałem wskazać mu drogę przez Flask Walk, gdy mój fotograf, wściekły, że ktoś go rozprasza, obrócił się jak fryga i wciąż klęcząc na jednym kolanie, rzucił im przenikliwie: „Spierdalać!”. Bardzo się zdziwiłem, że go posłuchali.

Ale poza takimi incydentami muszę stwierdzić jeszcze raz, że moi francuscy rozmówcy wykazywali się na ogół wyczuciem, którego powinni im zazdrościć ich brytyjscy koledzy. I właśnie dlatego, albo właśnie w taki sposób, doszło do tego, że w roku 1987 oddałem się w ręce Bernarda Pivota, najjaśniejszej gwiazdy francuskiej telewizji kulturalnej, założyciela, twórcy i prowadzącego *Apostrophes*, cotygodniowy literacki talk-show, który wtedy już od trzynastu lat co piątek wieczór gromadził przed telewizorami *la France entière*, całą Francję.

Byłem na Capri, żeby odebrać nagrodę. Pivot też, tylko moja nagroda była za powieści, jego za dziennikarstwo. Wyobraźmy więc sobie cudowny wieczór na Capri. Na bankiecie pod rozgwieżdżonym niebem dwustu gości, wszyscy równie piękni. Boskie jedzenie, wino jak nektar. Stół honorowy dla nagrodzonych, wymieniamy z Pivotem kilka wesołych uwag. Jest w sile wieku – tuż po pięćdziesiątce, żywy, energiczny, naturalny. Zauważa, że tylko on w całym towarzystwie przyszedł w krawacie, więc rzuca żart pod swoim adresem, zwija krawat i wpycha do kieszeni. Ten krawat jeszcze będzie ważny.

W trakcie przyjęcia karci mnie, że kiedyś odmówiłem wzięcia udziału w jego programie. Udaję zażenowanie, tłumaczę, że pewnie trafił na taki okres, kiedy odmawiałem wszystkim – to akurat prawda – i jakoś udaje mi się pozostawić całą sprawę bez konsekwencji. Następnego dnia w południe stawiamy się w ratuszu na Capri na oficjalne wręczenie nagród. Dawne dyplomatyczne przyzwyczajenia kazały mi ubrać się w garnitur i założyć krawat. Pivot ubrał się mniej odświętnie i zauważa, że o ile poprzedniego dnia niepotrzebnie założył krawat, o tyle dziś jest jedynym panem bez krawata. Odbierając nagrodę, uzala się nad własnym nieobyciem i wskazuje mnie jako człowieka, który zawsze wie, jak się zachować, choć nie chce wziąć udziału w jego programie literackim.

Wzruszony tą świetnie zaplanowaną ofensywą wdzięku zrywam się na równe nogi, zdieram z siebie krawat, wręczam mu go i na oczach stłoczonych entuzjastycznych widzów – chyba tylko dla dramatycznego efektu – oświadczam, że teraz ten krawat należy do niego i że od tej chwili wystarczy, by mi go okazał, a zaraz zgodzę się pojawić w jego programie. Następnego dnia zastanawiam się w samolocie do Londynu, czy obietnice składane na Capri mają moc prawną. Mija parę dni i już wiem, że mają.

Inaczej mówiąc: zgodziłem się udzielić na żywo po francusku wywiadu, który potrwa siedemdziesiąt pięć minut i zostanie przeprowadzony przez Bernarda Pivota oraz troje czołowych francuskich dziennikarzy. Nie będzie żadnych wcześniejszych dyskusji, żadnych z góry uzgodnionych pytań. Ale trzeba się przygotować – to informacja od mojego francuskiego wydawcy – na bardzo szeroką dyskusję na każdy temat, między innymi o polityce, kulturze, literaturze, seksie i w ogóle o wszystkim, co tylko może przyjsć do rozpalonej głowy Bernardowi Pivotowi.

A ja ostatni raz używałem francuszczyzny, kiedy uczyłem jej w szkole jakieś trzydzieści lat wcześniej.

Alliance Française zajmuje śliczny narożny dom na Dorset Square. Wziąłem głęboki wdech i wszedłem do środka. Za biurkiem w recepcji siedziała młoda kobieta o krótkich włosach i wielkich piwnych oczach.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Chciałbym się dowiedzieć, czy mógłbym sobie u państwa odświeżyć znajomość francuskiego.

Spojrzała na mnie surowo i ze zdziwieniem.

– *Quoi?* – zapytała i zaczęło się.

Najpierw resztkami francuszczyzny rozmawiałem z Ritą, potem z Rolandem i wreszcie z Jacqueline – chyba właśnie w tej kolejności. Zelektryzowała ich moja

wzmianka o *Apostrophes*. Rita i Jacqueline będą mnie uczyć na zmianę, bo kurs musi być intensywny. Rita – a może Jacqueline? – skoncentruje się na języku mówionym, żebym umiał poradzić sobie z przewidywanymi pytaniami. Jacqueline we współpracy z Rolandem zaplanuje całą kampanię. A ponieważ na wojnie zwykle przeprowadza się rozpoznanie, dokonają analizy psychologicznej Pivota, sporządzą dokumentację jego warsztatu i ulubionych tematów dyskusji i będą pilnie śledzić wszelkie wiadomości prasowe, bo producentom *Apostrophes* bardzo zależy na aktualności.

W tym celu Roland przygotował archiwum dawnych odcinków *Apostrophes*. Tempo i inteligencja rozmów uczestników wprawiły mnie w panikę. Bez porozumienia z moimi korepetytorami ukradkiem wysłałem zapytanie, czy nie powinienem domagać się tłumacza. Odpowiedź Pivota przysłała natychmiast: na podstawie naszych rozmów na Capri jest przekonany, że damy sobie radę. Oprócz niego przesłuchiwać mnie będą Edward Behr, dziennikarz poliglota i sławny korespondent zagraniczny, Philippe Labro, znany pisarz, dziennikarz i reżyser filmowy, i Catherine David, szanowana krytyczka literacka.

Proszę mi wierzyć: moja niechęć do wywiadów nie jest żadną pozą, choć od czasu do czasu dają się skusić albo ulegam naciskom wydawców. Taka zabawa w celebrytę nie ma nic wspólnego z pisarstwem i odbywa się na zupełnie innej płaszczyźnie. Zawsze byłem o tym przekonany. Chodzi o przedstawienie – jak w teatrze. I na pewno o tworzenie własnego image'u. Z punktu widzenia wydawcy jest to reklama najlepsza z możliwych, bo darmowa. Tylko że promując w ten sposób własny talent, można go w sobie zabić. Znam co najmniej jeden przypadek pisarza, który twierdzi, że po roku bezustannego promowania się na całym świecie doszczętnie wyzbył się wszelkich sił twórczych – szczerze mówiąc, obawiam się, że ma rację.

W moim przypadku od samego początku pisania istniały dwa tematy tabu: skandaliczna kariera mojego ojca – gdyby komuś chciało się w tym grzebać, to wszystkie szczegóły są publicznie dostępne w aktach; oraz moje związki z wywiadem, o których nie mogłem mówić z powodów prawnych i z własnego przekonania. Właśnie dlatego przeświadczenie, że w wywiadach chodzi również o to, czego się nie powie, było we mnie zakorzenione znacznie wcześniej, niż wstąpiłem na drogę pisarskiej kariery.

To wszystko mówię nawiasem, bo już zajmuję miejsce na podwyższeniu pękającego w szwach studia w Paryżu i znajduję się w krainie spokojnej nierealności, która leży tuż za progiem tremy. Pivot wyciąga mój krawat

i entuzjastycznie opowiada, jak wszedł w jego posiadanie. Widownia jest zachwycona. Rozmawiamy o murze berlińskim i zimnej wojnie. Chwilę ulgi przynosi projekcja urywka *Ze śmiertelnego zimna*. Oraz długie wywody trojga pozostałych uczestników, które brzmią raczej jak starannie przygotowane oświadczenia niż pytania. Rozmawiamy o Kimie Philbym, Olegu Pieńkowskim, pieriestrojce, głośności. Czy moi doradcy z Alliance Française przerobili ze mną to wszystko podczas naszych wojennych narad? Chyba tak, bo sprawiam wrażenie, jakbym odpowiedzi nauczył się na pamięć. Podziwiamy Josepha Conrada, Maughama, Greene'a i Balzaca. Pochylamy się nad Margaret Thatcher. Czy to Jacqueline uczyła mnie właściwego rytmu francuskiej retoryki: wygłosić tezę, omówić ją pod każdym kątem, dokonać podsumowania? Wszystko jedno kto, Jacqueline, Rita czy Roland. Wylewnie dziękuję całej trójce, widownia znów wybucha aplauzem.

Gdy się patrzy, jak Pivot prowadzi swój program na żywo przed widownią, która nie może się oprzeć jego czarowi, nietrudno zrozumieć, w jaki sposób udało mu się coś, do czego inne postacie telewizyjne nawet się nie zbliżyły. To nie tylko charyzma. To nie tylko energia, wdzięk, zręczność, erudycja. Pivot posiadał tę najbardziej ze wszystkich ulotną cechę, coś, za co producenci filmowi i szefowie castingu daliby sobie rękę uciąć – naturalną dobroduszość, coś, co chyba najlepiej określić słowem *s e r c e*. W kraju, który słynie z tego, że szyderstwo doprowadził do rangi sztuki, Pivot przekonuje swych gości, że wszystko będzie dobrze, jeszcze zanim rozsiądą się w fotelu na scenie. Jego widownia czuje to samo. Goście stanowią jego rodzinę. Żaden inny prowadzący, żaden z tych nielicznych dziennikarzy, którzy zapadli mi w pamięć, nie zrobił na mnie podobnego wrażenia.

Program dobiega końca. Mogę wyjść ze studia. Pivot musi zostać na scenie, by odczytać ogłoszenia parafialne na następny tydzień. Robert Laffont, mój wydawca, szybko wyprowadza mnie na ulicę. A tam – pusto. Ani samochodu, ani przechodnia, ani policjanta. Piękny letni wieczór, a Paryż jakby śpi.

– Gdzie oni się podziali? – pytam Roberta.

– Jak to gdzie? Jeszcze oglądają Pivota – odpowiada z zadowoleniem.

Dlaczego o tym opowiadam? Może dlatego, by sobie przypomnieć, że mimo całego telewizyjnego blichtru był to dla mnie naprawdę pamiętny wieczór. Udzieliłem wielu wywiadów i wielu żałuję – ale tego jednego się nie wyprę.

Na lunchu z więźniami

W pierwszych letnich dniach nowego tysiąclecia siedzieliśmy w szóstkę przy lunchu w Paryżu. Gospodarzem był francuski wydawca, a świętowaliśmy sukces mojego przyjaciela François Bizota, który właśnie opublikował wielokrotnie nagradzany pamiętnik⁴². Bizot, badacz buddyzmu, mówiący biegle po khmersku, jest jedynym człowiekiem z Zachodu, któremu udało się przeżyć niewolę u Czerwonych Khmerów Pol Pota. Schwyłali go w październiku, gdy pracował w Centrum Konserwacji Angkoru, trzymali w barbarzyńskich warunkach. Przez trzy miesiące przesłuchiwał go osławiony Douch, usiłując wymusić przyznanie się do współpracy z CIA.

Ale w trakcie tych przesłuchań między przesłuchującym a przesłuchiwanym zrodziła się dziwna więź, co było częściowo efektem głębokiej wiedzy Bizota o starej kulturze buddyjskiej, a częściowo – jak się domyślam – jego silnej osobowości. Wreszcie – co zapewne wymagało równie wielkiej odwagi – Douch sporządził raport dla kierownictwa Czerwonych Khmerów, w którym całkowicie oczyścił Bizota z zarzutów szpiegostwa. Co jeszcze dziwniejsze, Bizot został uwolniony – zaś Douch został komendantem jednego z największych polpotowskich ośrodków tortur i egzekucji. W mojej powieści *Tajny pielgrzym* znalazła się historia o „Hansenie z dżungli”, w której w dość zawołowany sposób – i chyba niezbyt skutecznie – usiłowałem oddać sprawiedliwość przeżyciom Bizota.

Teraz, trzydzieści lat po jego strasznych przejściach, siedzieliśmy razem przy stole, ale za to wciąż ważył się los Doucha, bo jego proces co rusz przerywały polityczne intrygi i bierność sądu. Siedząc przy stole, słuchaliśmy, jak Bizot staje w jego obronie. Z wielkim zaangażowaniem – jak zawsze – argumentuje, że niejeden oskarżyciel Doucha w obecnym rządzie khmerskim też ma krew na rękach, dlatego chce obarczyć Doucha odpowiedzialnością za własne grzechy.

I stąd właśnie bierze się jednoosobowa kampania Bizota – nie tyle chodzi mu o obronę samego Doucha, ile o wykazanie, że jego samozwańczy sędziowie nie są ani mniej, ani więcej winni.

W czasie gdy Bizot opowiadał, wszyscy słuchaliśmy uważnie – poza jednym z gości, który z jakiegoś powodu wydawał się niewiele tym wszystkim wzruszony. Siedział dokładnie naprzeciw mnie – mały, niespokojny człowieczek o szerokim czole i mrocznym, czujnym spojrzeniu, które wciąż napotykało mój wzrok. Przedstawiono mi go jako pisarza Jeana-Paula Kauffmanna, którego ostatnią książkę, *The Dark Room at Longwood*, przeczytałem z wielką przyjemnością⁴³. Longwood to dom na Świętej Helenie, w którym Napoleon spędził ostatnie ponizające lata swego życia. Kauffmann odbył podróż morską aż na wyspę i z zadziwiającą empatią opisał samotność, klaustrofobię i systematyczny upadek najślawniejszego, najbardziej podziwianego i najbardziej znienawidzonego więźnia świata.

A ponieważ nie wiedziałem wcześniej, że przyjdzie mi osobiście poznać autora, tym spontaniczniej wyraziłem mu swoje zadowolenie. Tylko dlaczego obrzuca mnie teraz tak nieprzychylnym spojrzeniem? Może źle się wysłowiłem? A może dowiedział się o mnie czegoś nieprzyjemnego – zawsze tak może być. Albo poznaliśmy się już wcześniej, a ja zapomniałem – nawet tak dawno temu nieraz mi się to zdarzało... W każdym razie bądź to w końcu go zapytałem, bądź to sam domyślił się z mojej mowy ciała. I nagle to ja zacząłem wpatrywać się w niego jak ciele w malowane wrota.

W maju roku 1985 w Bejrucie francuski korespondent zagraniczny Jean-Paul Kauffmann został wzięty na zakładnika przez Hezbollah; więziono go w nieznanymi miejscach przez trzy lata. Za każdym razem, gdy porywacze musieli zmienić siedzibę, kneblowali go, wiązali od stóp do głów i zawijali w perski dywan, w którym za każdym razem o mało się nie udusił. A teraz dlatego tak mi się przypatrywał, że w jednej z kryjówek, w której go przetrzymywano, znalazł sfatygowany egzemplarz jednej z moich powieści i łąpczywie czytał ją w kółko od deski do deski, doczytując się – jestem tego pewny – znacznie głębszych interpretacji, niż na to zasługiwała. Wy tłumaczył mi to wszystko obojętnym tonem, który zdążyłem już poznać u innych ofiar tortur - dla nich nieuleczalne wspomnienia stały się częścią codziennego życia.

Brakło mi słów, by mu odpowiedzieć. Bo co miałem mówić? „To miło, że mnie pan czytał”? „Przepraszam, że moje przemyślenia w tej książce nie były dość głębokie”? Jakoś może udało mi się wyrazić pokorę, a po powrocie na nowo przeczytałem *The Dark Room at Longwood* i dopiero tym razem zrozumiałem to, co powinienem był zrozumieć od początku: że to opowieść jednego

prześladowanego przez własne wspomnienia więźnia o drugim – o być może największym więźniu wszech czasów.

I choć lunch ten odbył się na samym początku nowego wieku, pamiętam go doskonale, mimo że od tego czasu ani się nie spotkałem, ani nie korespondowałem z Kauffmannem. Dopiero pisząc niniejszą książkę, zacząłem szukać go w Internecie, ustaliłem, że żyje, i popytawszy tu i tam, dostałem jego adres e-mailowy, acz z zastrzeżeniem, że nie wiadomo, czy odpisze.

Przy okazji dowiedziałem się – muszę przyznać, z niejakim zdziwieniem – że książką, która szczęśliwym trafem uratowała go od rozpacz i obłędu, była *Wojna i pokój* Lwa Tołstoja; najwyraźniej podobnie jak moją pochłonął ją w całości i na pewno czerpał z niej znacznie więcej duchowej i intelektualnej stawy niż to, co mogłem dać mu ja. Czy w takim razie znalazł szczęśliwym trafem dwie książki, nie jedną? A może któremuś z nas splątała figla pamięć? Napisałem do niego o tym, jak mogłem najdelikatniej, i po kilku tygodniach otrzymałem taką miłą odpowiedź:

W niewoli strasznie brakowało mi książek. Porywacze czasem mi je przynosili. Pojawienie się każdej dawało mi poczucie nieopisanego szczęścia. Czytałem każdą nie raz, nie dwa i nie czterdzieści razy, tylko również zaczynając od końca albo od środka. Miałem nadzieję, że takiej zabawy wystarczy mi z każdą książką na jakieś dwa miesiące. Przez te trzy lata cierpienia doznałem też wielu chwil wielkiej radości.

Jedną z takich chwil zawdzięczam Ze śmiertelnego zimna. Zobaczyłem w tym palec losu, bo strażnicy znosili byle co – tanie powieści, drugi tom Wojny i pokoju, jakieś niezrozumiałe traktaty. A tu książka podziwianego przeze mnie autora... Już wcześniej przeczytałem wszystkie Pana powieści, w tym również Ze śmiertelnego zimna, ale w tych nowych okolicznościach była to zupełnie inna książka. Nie miała nic wspólnego z tym, co pamiętałem z poprzedniej lektury. Wszystko się zmieniło. Każdy wiersz przynosił jakieś znaczenie. W mojej sytuacji czytanie stało się czynnością poważną, wręcz niebezpieczną, bo najmniejszy fakt łączył się z tą ciągłą grą o wszystko, która stanowi istotę egzystencji zakładnika. Każde otwarcie drzwi celi, oznajmiające przybycie kogoś ważnego z Hezbollahu, mogło oznaczać wolność lub śmierć. Każdy znak, każda aluzja stawały się wróżbą, symbolem, przypowieścią. A takich jest wiele w Pana powieści.

Dzięki tej książce rozumiałem doskonale cały klimat skrytości i manipulacji – to, co szybici nazywają takija. Nasi porywacze nie mieli profesjonalizmu ludzi z KGB czy z CIA, ale podobnie jak oni byli

zarozumiałymi głupcami, brutalnymi cynikami wykorzystującymi religię i łatwowierność młodych bojowników dla zaspokojenia własnej żądzy władzy.

Podobnie jak Pana postacie, moi porywacze byli specjalistami od paranoi: patologiczna nieufność, dziki obłąd, zły osąd, urojenia, systematyczna agresja, neurotyczny apetyt na kłamstwa. Jałowy, absurdalny świat Leamasa, w którym istoty ludzkie są tylko pionkami, to był właśnie nasz świat. Ileż razy czułem, że o mnie zapomniano, że mnie pozostawiono na łaskę losu! A przede wszystkim czułem znużenie. Ten dwulicowy świat nauczył mnie zastanawiać się nad moim zawodem dziennikarza. Na końcu zawsze się okazuje, że jesteśmy podwójnymi agentami. Albo nawet potrójnymi. Bo musimy współodczuwać z innymi, by nas zrozumiano i zaakceptowano – a potem ich zdradzamy.

Pana wizja ludzkości jest pesymistyczna. Jesteśmy żałosnymi stworzeniami, indywidualnie nie liczymy się wcale. Na szczęście nie wszystkich to dotyczy (por. postać Liz).

Książka Pana dała mi powody, by mieć nadzieję. Najważniejszym z nich był głos, obecność. Pańska obecność. Radość pisarza, który opisuje okrutny, bezbarwny świat i zachwyca się, że maluje go w barwach tak szarych, tak beznadziejnych. To było niemal namacalne. Ktoś do mnie mówił, nie byłem już sam. Nie byłem już opuszczony w niewoli przez wszystkich. Do mojej celi wszedł ktoś, przynosząc swoje słowa i swoją wizję świata. Ktoś udzielił mi swej mocy. Wytrwam...⁴⁴

No i proszę, taka to jest ta ludzka pamięć – Kauffmanna, moja, nasza wspólna. Bo ja mógłbym przysiąc, że wtedy, na lunchu, rozmawialiśmy nie o *Ze śmiertelnego zimna*, lecz o *Ludziach Smileya*; mojej żonie też tak się wydaje.

Syn ojca autora

Trochę trwało, nim byłem w stanie pisać o Ronniem – oszuście, mitomanie, niekiedy bywalcu więzień i aresztów. O moim ojcu.

Od dnia, w którym poczyniłem pierwsze niezgrabne próby pisania powieści, przede wszystkim z nim właśnie chciałem się zmierzyć, ale od tego dzieliły mnie jeszcze całe lata świetlne. Moje najwcześniejsze wprawki do tego, co potem przeobraziło się w *Szpiega doskonałego*, wprost ociekały uzalaniem się nad sobą: spojrzysz, proszę, kochany czytelniku, na tego emocjonalnie okaleczonego chłopczykę, rozgniecionego na miazgę stopą ojca tyrana. Dopiero gdy wreszcie umarł, a ja na nowo zabrałem się do pisania tej książki, zrobiłem to, co powinienem był zrobić od początku, czyli ukazałem, że grzechy syna są znacznie bardziej odrażające niż grzechy ojca.

Wtedy dopiero mogłem uczynić zadość temu, co pozostało po jego burzliwym życiu: zestaw postaci, którego mógłby mi pozazdrościć najbardziej nawet zblazowany pisarz – od wybitnych umysłów prawniczych swej epoki przez gwiazdy sportu i ekranu po najlepsze, co miał do zaoferowania przestępczy półświatek Londynu, i piękne istoty, które za Ronniem ciągnęły sznurem. Wszędzie, gdzie się pokazał, pojawiała się nieprzewidywalne: czy jesteśmy na wozie, czy pod wozem? Czy uda nam się ten wóz napełnić za frajer na najbliższej stacji? Czy Ronnie ucieka z kraju, czy wieczorem z fasonem zajedzie bentleyem na podjazd? A może ukrywa się w ogródku za domem, gasi wszystkie światła, sprawdza okna i drzwi, szepcze do telefonu, jeżeli jeszcze mu go nie wyłączyli? A może bezpiecznie i wygodnie wypoczywa u jednej ze swych równoczesnych żon? Bardzo żałuję, że tak mało wiem o związkach Ronniego z przestępczością zorganizowaną. Owszem, ocierał się o osławionych bliźniaków Kray, ale może tylko dlatego, że byli celebrytami. Owszem, robił interesy z najgorszym w historii londyńskim kamienicznikiem Peterem Rachmanem – gdybym miał zgadywać, to kiedy zbiry Rachmana przepędzały lokatorów na prośbę Ronniego, on sprzedawał dom i odpalał coś Rachmanowi.

Ale żeby był czynnym współnikiem – to mi do Ronniego nie pasuje. Oszuści to esteci. Noszą ładne garnitury, mają czyste paznokcie, mówią miłe rzeczy. Dla

Ronniego policjanci byli zawsze kapitalnymi gośćmi, z którymi prędzej czy później można się jakoś dogadać. Tego samego nie można było powiedzieć o „chłopakach”, jak ich nazywał. Z „chłopakami” nie było żartów.

Napięcie? Całe życie Ronniego było stąpaniem po najcieńszej, najbardziej śliskiej tafli lodu, jaką można sobie wyobrazić. On nie widział paradoksu w tym, że będąc poszukiwany listem gończym za oszustwo, paraduje w szarym cylindrze w sektorze właścicieli koni na gonitwie w Ascot. Przyjęcie w Claridge’s, na którym świętował swe drugie małżeństwo, zostało przerwane na chwilę, by mógł przekonać dwóch detektywów ze Scotland Yardu, że powinni go aresztować dopiero po imprezie – a teraz proszę wejść, proszę się zabawić. Z zaproszenia natychmiast skorzystali.

Ronnie jednak chyba nie potrafiłby żyć inaczej. Chyba nawet by nie chciał. Miał nałogowy pociąg do sytuacji kryzysowych i do aktorstwa. Był bezwstydnym kaznodzieją. Uwielbiał, gdy wszyscy skupiali się tylko na nim. Był żyjącym w świecie iluzji czarusem i czarodziejem, który uważał się za wybrańca bogów. I złamał życie wielu ludziom.

Graham Greene uczy nas, że przeżycia z dzieciństwa to główny walor pisarza. Pod tym względem urodziłem się milionerem.

Przez ostatnią jedną trzecią życia Ronniego – zmarł nagle w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat – albo zrywaliśmy wszelkie kontakty, albo darliśmy koty. Jakby za obopólnym przyzwoleniem dochodziło do obowiązkowych przerażających scen, a gdy zakopywaliśmy topór wojenny, zawsze wiedzieliśmy dokładnie, gdzie leży. Czy teraz traktuję go łagodniej niż wtedy? Czasem obchodzę go dookoła, jakby był górą, na którą kiedyś będę musiał się wspiąć. Tak czy inaczej, jest i zawsze był, czego nie mogę powiedzieć o mojej matce, bo do dziś nie wiem, jaka była. Niewiele dowiedziałem się od ludzi, którzy byli z nią blisko, którzy ją kochali. Może nie chciałem się dowiedzieć. Kiedy w wieku dwudziestu jeden lat udało mi się ją wreszcie dopaść, zawsze starałem się zaspokajać jej potrzeby – nie zawsze w miły sposób. Ale od dnia ponownego spotkania do jej śmierci zamrożone we mnie dziecko nigdy nie dawało żadnych oznak, że topnieje. Czy kochała zwierzęta? Krajobrazy? Morze, nad którym mieszkała? Muzykę? Malarstwo? Mnie? Czy czytała książki? Wiem, że o moich nie miała dobrego zdania, ale kogo w takim razie lubiła?

W domu opieki, w którym spędziła ostatnie lata życia, na zmianę narzekała lub naśmiewała się z niecnym postępków ojca. W miarę kolejnych odwiedzin

orientowałem się powoli, że stworzyła sobie – i mnie – świat sielankowych matczyno-synowskich stosunków od moich narodzin aż do teraz.

Tylko że ja nie przypominam sobie w ogóle żadnej czułości w dzieciństwie poza tą, której doznałem od starszego brata – przez jakiś czas to on był moim jedynym rodzicem. Pamiętam stan ciągłego napięcia wewnętrznego, którego nie pozbyłem się nawet na starość. Niewiele pamiętam z bardzo wczesnej młodości. Pamiętam dorastanie w ciągłym udawaniu, pamiętam próby stworzenia sobie jakiejś tożsamości, którą kleciłem z obyczajów i stylu życia rówieśników oraz tych, którym się lepiej powodziło – do tego stopnia, że stworzyłem kłamliwy obraz spokojnego życia rodzinnego: rodzice, własny kucyk... Kiedy sam siebie dziś słucham, kiedy – jeśli muszę – oglądam siebie, wciąż rozpoznaję ślady utraconych oryginałów, wśród których najważniejszym jest oczywiście mój ojciec.

Równie oczywiste jest to, że z tego samego powodu byłem idealnym rekrutem pod tajne sztandary. Ale nie na długo: nie przetrwał nauczyciel w Eton, człowiek z MI5, człowiek z MI6. Przeżył we mnie tylko pisarz. Z dzisiejszej perspektywy widzę, że moje życie jest ciągiem zobowiązań i uciezek – na szczęście pisarstwo pozwoliło mi zachować jaką taką uczciwość i w miarę zdrowy umysł. To, że mój ojciec nie potrafił zaakceptować najprostszycch prawd na własny temat, wytyczyło mi drogę ciągłych poszukiwań, z których nigdy nie udało mi się powrócić. Z braku matki czy sióstr uczyłem się późno albo wcale, za co wszyscy zapłaciliśmy słono.

W dzieciństwie każdy wokół mnie chciał mi sprzedać chrześcijańskiego Boga w tej czy innej formie. Religijność prostaczą dostawałem od ciotek, wujów i dziadków, religijność elitarną – w szkołach. Gdy przyprowadzono mnie przed oblicze biskupa na bierzmowanie, z całych sił chciałem być pobożny, ale na próżno. Przed następnę dziesięć lat walczyłem o jakieś religijne przekonania, w końcu jednak i to rzuciłem. Dziś nie mam innego boga przed krajobrazem, a po śmierci spodziewam się tylko kresu. Nie przestaję radować się rodziną oraz tymi, którzy mnie kochają i których miłość odwzajemniam. Gdy spaceruję po kornwalijskich klifach, odczuwam wciąż wzbierającą wdzięczność za to, że żyję.

Tak, widziałem dom, w którym przyszedłem na świat. Sto razy pokazywały mi go dobrotliwe ciotki, gdy go mijaliśmy. Ale mój ulubiony dom własnych narodzin jest inny, zbudowany w mojej wyobraźni. Z czerwonej cegły, zdewastowany, przeznaczony do rozbiórki. Ma wybite szyby, wywieszkę „Na sprzedaż”, w ogrodzie króluje stara wanna. Dom stoi na działce wśród chwastów

i pozostałości po placu budowy, w drzwiach frontowych widać resztki spękanego witraża – dom świetny na kryjówkę dla dzieci, ale nie żeby się w nim rodziły. Tylko że ja właśnie w nim się urodziłem – a przynajmniej tak uparcie przekonuje mnie własna wyobraźnia. Co więcej, urodziłem się na strychu, wśród stojących jedno na drugim brązowych pudeł, które ojciec zabierał ze sobą zawsze, gdy przed kimś uciekał.

Kiedy po raz pierwszy dokonałem tajnego przeszukania tych pudeł mniej więcej wtedy, gdy miała wybuchnąć druga wojna światowa – w wieku lat ośmiu byłem już dobrze wyszkolonym szpiegiem – znalazłem w środku tylko rzeczy osobiste: masoński strój, adwokacką togę i perukę, którymi ojciec zamierzał zadziwić świat, gdy tylko znajdzie chwilę czasu, żeby studiować prawo, i najróżniejsze tajne plany, na przykład sprzedaży sterowców dla Agi Chana. Ale gdy wojna wreszcie wybuchła, w pudłach znajdowałem znacznie konkretniejsze dobra: czarnorynkowe marsy, inhalatory do amfetaminy, a po lądowaniu w Normandii również nylonowe pończochy i długopisy.

Ronnie w ogóle miał słabość do dziwacznych towarów, jeżeli tylko były na kartki lub deficytowe. Dwadzieścia lat później, gdy Niemcy były jeszcze podzielone, a ja mieszkalem jako brytyjski dyplomata nad brzegami Renu w Bonn, pojawił się u mnie bez zapowiedzi wciśnięty – był gruby – w stalową łajbę na kółkach. Powiedział, że to amfibia pasażerska, absolutny prototyp, na który wziął brytyjski patent od berlińskiego producenta, i że zbijemy na tym majątek. Pojazdem tym właśnie przejechał z Berlina przez korytarz pod okiem wschodnioniemieckich pograniczników i zamierzał – przy mojej pomocy – wjechać nim do Renu, który był akurat bardzo wezbrany i bardzo bystry.

Mimo entuzjazmu moich dzieci udało mi się go odwieść od tego zamiaru. Zgodził się za to zostać na obiad. Wypocząwszy, ruszył w wielkim podekscytowaniu do Anglii przez Ostendę. Nie wiem, jak daleko ujechał, bo potem nie wspominał już o swej amfibii. Domyślam się, że w trakcie podróży dopadli go wierzyciele, którzy pojazd skonfiskowali.

To jednak nie powstrzymało go przed tym, by dwa lata później znów pojawić się w Berlinie, gdzie przedstawił się jako mój „doradca zawodowy”. To wystarczyło, by został potraktowany jak VIP i oprowadzony po największej w Berlinie Zachodnim wytwórni filmowej, która na pewno odpowiednio go ugościła i może nawet uraczyła paroma gwiazdeczkami, a nie tylko wyczerpującymi wiadomościami o zniżkach podatkowych i subsydiach dla zagranicznych filmowców – na przykład dla kogoś, kto chciałby zekranizować moją powieść *Ze śmiertelnego zimna*.

Nie muszę chyba tłumaczyć, że ani ja, ani Paramount Pictures – które już podpisało umowę z Ardmore Studios w Irlandii – nie mieliśmy pojęcia o jego

działaniach.

W domu moich narodzin nie ma prądu, nie ma ogrzewania. Światło pochodzi tylko z gazowych latarni na Constitution Hill, napełniając strych kremową poświatą. Matka leży na łóżku polowym i stara się jak może – choć nie wiem, co może, bo gdy po raz pierwszy wyobrażałem sobie tę scenę, nie miałem żadnego pojęcia o porodach. Ronnie rządzi nią od progu, ubrany w elegancki dwurzędowy garnitur dżentelmena i brązowo-białe trzewiki, w których dopiero co grał w golfa. Bystro wygląda na ulicę i tubalnym głosem namawia moją matkę do większego wysiłku:

– Na miłość boską, laleczko, raz byś się pośpieszyła! No jak tak można! Biedny Humphries tkwi tam w aucie, marznie na kość, a ty się tu pieprzysz.

Moja matka oczywiście miała imię – Olive – ale ojciec zawsze mówił do niej „laleczko”. Potem, gdy przynajmniej według metryki byłem już dorosły, sam też nadawałem kobietom głupie przezwiska, żeby się ich mniej bać.

Kiedy byłem mały, Ronnie mówił wciąż jeszcze z akcentem rodem z Dorset: te mocne „r”, te długie „a”... Ale proces przemian trwał, bo gdy wkroczyłem w wiek dojrzewania, ojciec mówił prawie – ale tylko prawie – jak ktoś dobrze wykształcony. Powiada się, że Anglikom wypala się na języku znamię na całe życie – w tamtych czasach inteligentki akcent mógł pomóc w uzyskaniu stopnia oficerskiego, kredytu w banku, szacunku ze strony policjantów albo pracy w londyńskim City. Jedną z licznych ironii w awanturniczym życiu Ronniego było to, że gdy zrealizował swoje ambicje, posyłając i brata, i mnie do ekskluzywnych szkół, tym samym umieścił się względem nas na straconej pozycji w świetle ówczesnych okrutnych standardów społecznych. Obaj z Tonym bez najmniejszego wysiłku przebiliśmy klasową barierę dźwięku, podczas gdy biedny Ronnie nie miał na to żadnych szans.

Co wcale nie znaczy, że sfinansował naszą edukację – z tego, co wiem, nie zawsze za nią płacił, ale jakoś nam ją załatwił. Kiedy jedna ze szkół, mądra po szkodzie, zażądała zapłaty z góry, otrzymywała ją w takiej formie, jaka w danej chwili najbardziej Ronniemu odpowiadała: na przykład pod postacią czarnorynkowych suszonych owoców – fig, bananów, śliwek – i skrzynki dzinu dla grona pedagogicznego, wówczas artykułu luksusowego i całkowicie niedostępnego.

Jego geniusz polegał jednak przede wszystkim na tym, że mimo wszystko zawsze sprawiał niezwykle szacowne wrażenie. Na tym mu właśnie najbardziej zależało – nie na pieniądzach, tylko na tym, by codziennie kogoś zauroczyć.

Oceniał ludzi wyłącznie na podstawie tego, jak bardzo go szanowali. Na społecznych nizinach takich Ronniech spotyka się na co drugiej londyńskiej ulicy, w każdej stolicy hrabstwa. Są jowialni, twardzi, gwałtowni, trochę łobuzy, przymilni, wydają przyjęcia z szampanem dla ludzi nieprzyzwyczajonych, by częstowano ich szampanem, udostępniają własny ogród miejscowym baptystom na parafialny kiermasz, choć nigdy nie wstąpili w progi świątyni, honorowo prezesują szkolnym drużynom piłkarskim i seniorskim zespołom krykieta i wręczają im srebrne puchary.

Aż nadchodzi dzień, gdy wychodzi na jaw, że od roku nie płacono mleczarzowi, mechanikowi samochodowemu, kioskarce, winiarzowi i sklepowi ze srebrnymi pucharami za osiągnięcia sportowe. Wtedy albo bankructwo, albo więzienie, małżonka zabiera dzieci i przenosi się do mamy, po czym wreszcie następuje rozwód, bo żona nagle się orientuje – mama wiedziała od dawna – że mąż nie przepuścił żadnej dziewczynie w okolicy i ma inne latorośle, o których nic nie wiedziała. A kiedy taki niegrzeczny chłopak wyjdzie z pudła lub na chwilę się poprawi, żyje dyskretnie, udziela się w dobroczynności i poświęca prostym przyjemnościom – aż do chwili, gdy znów wzbierze w nim krew i powróci do dawnych igraszek.

Taki właśnie był mój ojciec – dokładnie taki, nie ma dwóch zdań. Ale to dopiero początek. Wśród innych ludzi tego typu wyróżniał się skalą swych poczynań, biskupią wręcz godnością, ekumenicznym głosem, miną urażonej świętości, gdy ktoś nie dowierzał jego słowom, i niesłychaną skłonnością do okłamywania samego siebie.

Bo gdy zwykły łobuz ostatnie pieniądze, za które miał kupić jedzenie dla dzieci, wydaje na outsidera na wyścigach konnych w Newmarket, Ronnie relaksuje się beztrudnie przy głównym stole w Monte Carlo, popijając darmowy koniak z piwem imbirowym. U jego jednego boku siedzę ja, lat siedemnaście, ale muszę udawać, że mam więcej, u drugiego giermek króla Faruka, lat co najmniej pięćdziesiąt. Giermek jest bardzo mile widziany przy stole, bo zostawił już przy nim ogromne pieniądze. Giermek cały wprost łśni, jest siwy, nieszkodliwy i bardzo zmęczony. Pod ręką ma biały telefon – gorącą linię do swego egipskiego władcy, który czeka w otoczeniu astrologów. Biały telefon dzwoni, giermek odejmuje dłoń od brody, podnosi słuchawkę, słucha, opuszczając długie rzęsy, i posłusznie przenosi kolejny kawałek egipskiego skarbcza narodowego na czerwone albo na czarne, albo na liczbę uznaną za pomyślną przez zodiakalnych czarodziejów z Aleksandrii czy Kairu.

Ronnie już od dłuższego czasu obserwuje ten proces i na jego twarzy pojawia się zadziorny uśmiezek, jakby mówił do siebie: „No dobra, stary, jak tak, to tak”. I zaczyna obstawiać coraz wyżej. Dobrze wie, co robi. Przedtem stawiał dziesięć, teraz dwadzieścia. Potem pięćdziesiąt. I gdy wreszcie wyzbywa się wszystkich żetonów i woła o nowe, orientuję się, że wcale nie gra na intuicję, przeciwko kasynu, przeciwko liczbom. On gra przeciwko królowi Farukowi. Gdy Faruk wybiera czarne, Ronnie obstawia czerwone. Gdy Faruk mówi, że nieparzyste, Ronnie woli parzyste. Teraz gra toczy się o całe setki (to tak jak teraz o tysiące). Bo Ronnie chce wykazać Jego Egipskiej Mości – podczas gdy krupier zgarnia równowartość całych semestrów, potem całych lat moich szkolnych opłat – że Ronnie ma lepsze chody u Najwyższego niż jakiś zapapraną magnat naftowy.

W delikatnym błękitnym świetle montecarlowego przedświtów ojciec i syn kroczą promenadą do całodobowego sklepu jubilerskiego, by zastawić ojcowską platynową papierośnicę, złote pióro i zegarek. Bucherer? Boucheron? Ciepło.

– Jutro odegramy się z nawiązką, nie, stary? – mówi, gdy idziemy spać w Hôtel de Paris, gdzie na szczęście opłacił rachunek z góry. – Punktualnie o dziesiątej – dodaje ostro, na wypadek gdyby przyszło mi do głowy się spóźnić.

Urodziłem się zatem. Z matki imieniem Olive. Posłusznie, z pośpiechem, którego wymagał od niej Ronnie. Parła z całych sił, by powstrzymać wierzycieli i uratować pana Humphriesa od śmierci z zimna za kierownicą jego lanchestera. Bo pan Humphries to nie jakiś tam taksówkarz, tylko ceniony współpracownik, ale też pełnoprawny członek egzotycznego dworu, jakim otacza się Ronnie, i wybitny magik amator wykonujący sztuczki z kawałkami sznurka, który łączy w szubieniczne pętle. W lepszych czasach zastępuje go pan Nutbeam z bentleyem, lecz gdy coś się posypie, pan Humphries i jego lanchester są zawsze do dyspozycji.

Urodziłem się zatem i zostaję natychmiast spakowany wraz z nielicznymi parafernaliami mojej matki, bo dopiero co nawiedził nas komornik, więc został nam tylko bagaż podręczny. Trafiam do bagażnika taksówki pana Humphriesa, zupełnie jak parę lat wcześniej czarnorynkowe szynki Ronniego. Potem jeszcze wrzucają na mnie brązowe pudła ojca i zamykają bagażnik od zewnątrz. W ciemności szukam śladów starszego brata Tony’ego, ale nie widzę ani jego, ani Olive zwanej laleczką. Nic nie szkodzi. Urodziłem się i jak świeżo narodzone źrebę już umiem biegać. I uciekać. I uciekam po dziś dzień.

Mam jeszcze jedno wspomnienie z dzieciństwa, sklecone z kilku wydarzeń i według mojego ojca – tu pewnie akurat można mu wierzyć – całkowicie nieprawdziwe. Minęły cztery lata, jestem w mieście Exeter, idę przez jakiś nieużytek. Trzymam się ręki mojej matki, Olive zwanej lalczką. Oboje jesteśmy w rękawiczkach, więc nie ma między nami cielesnego kontaktu – zresztą o ile sobie przypominam, nigdy nie było go za wiele. Uściski były domeną Ronniego. Olive była matką bez zapachu; za to Ronnie woniał dobrymi cygarami i brylantyną od Taylora z Old Bond Street, nadwornego fryzjera JKM, a gdy przyłożyło się nos do garniturów, szytych na miarę przez pana Bermana, miało się wrażenie, że czuje się też wszystkie kobiety ojca. Kiedy w wieku dwudziestu jeden lat szedłem ku Olive peronem pierwszym stacji kolejowej w Ipswich w chwili naszego pierwszego od szesnastu lat spotkania, nie miałem pojęcia, jak ją objąć. Była wysoka, tak jak pamiętałem, ale kanciasta i pozbawiona obejmowalnych kształtów. Szła, jakby w każdej chwili miała się przewrócić, miała pociągłą, bezbronną twarz i wyglądała jak mój brat Tony w adwokackiej peruce Ronniego.

A więc znów jestem w Exeter uczepony urękawiczonej dłoni Olive. Przy drugim końcu nieużytku biegnie droga, za którą widzę wysoki ceglany mur zwieńczony kolcami i potłuczonym szkłem. Za murem ponury, o jednolitej fasadzie budynek o zakratowanych oknach, w których nie pali się żadne światło. Za to w jednym z okien stoi widoczny od ramion w górę mój ojciec – zupełnie jak na planszy do Monopoly ten typ w więzieniu, do którego idzie się prosto bez przechodzenia przez „start” i pobierania renty – i jak więzień z Monopoly trzyma się oburącz kraty. Kobiety zawsze mówiły mu, że ma takie piękne dłonie, więc bez przerwy dbał o paznokcie trzymaną w kieszeni marynarki obcinaczką. Szerokie białe czoło przyciska do krat. Nigdy nie miał zbyt dużo włosów, zaczesywał je od ciemienia do tyłu, tak że spływały mu z czubka głowy gładką, czarną, słodkawo pachnącą rzeką, która tak świetnie podkreślała jego nobliwy wygląd. Gdy się postarzał, rzeka stała się siwa i wreszcie całkiem wyschła, ale w zamian nie pojawiły się nigdy zmarszczki, choć sobie na nie zasłużył długoletnim rozpasaniem. Aż do końca życia zbawiała go i uwznioślała goethowska „wieczna kobiecość”⁴⁵.

Według Olive był ze swej głowy dumny tak jak z dłoni i wkrótce po ślubie zastawił ją (głowę) za pięćdziesiąt funtów medycynie – pod warunkiem otrzymania zapłaty gotówką z góry i dostarczenia towaru po śmierci. Nie wiem, kiedy mi to wyjawiała, ale wiem, że odkąd się o tym dowiedziałem, przyglądałem się Ronniemu z obojętnością kata. A miał szeroki, krótki kark, który bez ostrzeżenia przechodził w tułów. Zastanawiałem się, gdzie powinienem celować toporem, gdybym ja otrzymał zadanie oddzielenia głowy. Bardzo wcześnie

zaczęła mnie prześladować myśl o zabiciu go i nie przestawała mnie nachodzić od czasu do czasu nawet po jego śmierci. Był to zapewne tylko efekt mojej złości, że nigdy tak naprawdę nie przyłapałem go na gorącym uczynku.

Wciąż trzymając się rękawiczki Olive, macham w górę do Ronniego, on zaś odwzajemnia się swym zwykłym gestem: odchyła się w tył i z nieruchomym tułowiem unosi prorocze ramię ku niebiosom.

– Tata, tata! – krzyczę.

Głos mam jak wielka żaba. Prowadzony przez Olive maszeruję z powrotem do samochodu i jestem z siebie bardzo zadowolony. Bo przecież nie każdy chłopczyk ma mamę tylko dla siebie i trzyma tatę w klatce.

Tylko że według ojca nic takiego nigdy się nie wydarzyło. Był głęboko urażony pomysłem, że mogłem widzieć go w którymkolwiek z więzień, w których bywał.

– Czysty wymysł od początku do końca, synu.

Owszem, przyznawał, chwilę siedział w Exeter, głównie jednak w Winchester i w Scrubs. Nie popełnił żadnej zbrodni, to wszystko można było załatwić inaczej, gdyby trafił się ktoś rozsądny. Znalazł się w sytuacji gońca biurowego, który pożyczył sobie parę funciaków z pracowniczej skarbonki i został na tym przyłapany, zanim zdążył oddać. Zresztą nie o to chodzi. Najważniejsze, jak wyznał mojej przyrodniej siostrze Charlotte, swej córce z innego małżeństwa, gdy użalał się przed nią na mój brak szacunku – na przykład że nie chciałem mu odpalać procenciku od moich honorariów autorskich albo wyłożyć kilkuset tysięcy funtów na zabudowanie ślicznych terenów zielonych, które wycygał od jakiejś łatwowiernej rady dzielnicy – najważniejsze jest to, że każdy, kto choć raz był w exeterskim więzieniu, wie doskonale, że z tamtejszych cel wcale nie widać drogi.

I ja mu wierzę. Wciąż mu wierzę. Ja się myślę, to on ma rację. Nigdy nie stał w tym oknie, nigdy do niego nie machałem. Ale jaka jest prawda? Czym jest pamięć? Trzeba by znaleźć inne słowo na określenie tego, jak widzimy zdarzenia z przeszłości, które wiecznie żyją w nas. Ja go widziałem w tamtym oknie. I nadal go widzę, jak zaciska dłonie na kratkach, i jego wielkie bary opięte więziennym drelichem, takim pasiastym, jak w najlepszych komiksach. Zdarzało się, że gdy go sobie potem wyobrażałem, to właśnie tylko w takim stroju. Wiem też, że miałem wtedy cztery lata, bo w rok później wyszedł na wolność, a kilka tygodni czy miesięcy po tym matka wymknęła się nocą i zniknęła na całe szesnaście lat, odnalazłem ją w końcu w Suffolk, gdzie zdążyła urodzić dwoje

dzieci, które dorastały w całkowitej nieświadomości istnienia dwóch przyrodniczych braci. Zabrała ze sobą jedyną porządną walizkę, taką z białej skóry, od Harrodsa - znalazłem ją w jej domku później, gdy umarła. Było to jedyne świadectwo jej pierwszego małżeństwa. Wciąż mam tę walizkę.

I widzę ojca, jak klęczy w celi przy swojej pryczy, opierając na dłoniach głowę zastawioną medycynie – on, dumny młody człowiek, który nigdy nie głodował, nie prał sam własnych skarpet i nie ścielił łóżka – i rozmyśla o swych trzech pobożnych, opiekuńczych siostrach i obojgu uwielbiających go rodzicach, o matce, do końca życia załamanej i załamującej ręce, i pytającej Boga: „Czemu? Czemu?” swym irlandzkim akcentem, i o ojcu, byłym burmistrzu i radnym nadmorskiego miasta Poole, masonie. W myśli oboje odbywali z nim wyrok. Czekając na jego powrót, przedwcześnie osiwieli.

Jak Ronnie mógł to wszystko znieść, gdy wpatrywał się w ścianę? Jak radził sobie w zamknięciu on, człowiek tak dumny, tak pełen energii i wigoru? Ja też tak samo nie umiem usiedzieć na miejscu. Nie usiedzę nawet godziny. Nie potrafię czytać dłużej niż godzinę – chyba że po niemiecku, bo to mnie jakoś przykuwa do fotela. Nawet na dobrej sztuce w teatrze wiercę się i nie mogę doczekać się przerwy. Kiedy piszę, co chwila zrywam się z krzesła i łażę po ogrodzie albo po ulicy. Wystarczy, że choć przez trzy sekundy nie mogę wyjść z toalety – bo klucz wypadł i nie mogę włożyć go z powrotem do zamka – a już zlewam się potem, już chce mi się krzyknąć. A Ronnie w kwiecie wieku odsiedział całkiem sporo – trzy czy cztery lata. Odbywał jeden wyrok, gdy przedstawiono mu dodatkowe zarzuty i dodano drugi, tym razem ciężkie roboty, czyli jak to się dziś mówi, „wzmocnione” więzienie. Odsiadki, które odbył później – w Hongkongu, Singapurze, Dżakarcie, Zurychu – były krótkie, o ile wiem. Gdy przygotowywałem się w Hongkongu do napisania *Jego uczniowskiej mości*, w namiocie konglomeratu Jardine Matheson na wyścigach końskich w Happy Valley zetknąłem się z jednym z jego byłych strażników.

– Proszę pana, pan Cornwell, pański ojciec, był jednym z najwspanialszych ludzi, jakich w życiu poznałem. To zaszczyt, że mogłem go pilnować. Niedługo idę na emeryturę i kiedy przeniosę się do Londynu, pana ojciec obiecał pomóc mi w interesach.

Ronnie nawet w więzieniu szukał nowych naiwnych.

Jestem w Chicago, gdzie uczestniczę w mało atrakcyjnej kampanii promocyjnej brytyjskich wyrobów przemysłowych. Brytyjski konsul generalny, u którego się zatrzymałem, wręcza mi telegram. Nasz ambasador w Dżakarcie donosi, że

Ronnie siedzi tam w więzieniu, czy zapłacę kaucję? Jestem gotowy zapłacić, ile trzeba. Ku mojemu przerażeniu chodzi o marne kilkaset funtów. Ronniemu chyba już nie idzie tak dobrze jak kiedyś.

Z *bezirksgefängnis* w Zurychu, gdzie uwięziono go za oszustwa hotelowe, Ronnie telefonuje do mnie na mój koszt.

– Synu, tu twój stary.

– Czym mogę służyć, ojczy?

– Możesz wyciągnąć mnie z tego cholernego kicia, synu? To jedno wielkie nieporozumienie. Chłopcy nie chcą uwierzyć w coś oczywistego.

– Ile?

Cisza. Tylko teatralne przełknięcie śliny i dopiero potem puenta:

– Synu, ja dłużej nie wytrzymam w więzieniu.

I szloch, który zwykle przeszywa mnie na wylot jak powoli zatapiany w ciele nóż.

Wypytywałem dwie pozostałe przy życiu ciotki. Mówiły tym samym językiem co Ronnie za młodu: z lekkim, nieświadomym akcentem z Dorset, który bardzo lubię. Jak Ronnie przeżył pierwszy wyrok? Jak to na niego wpłynęło? Kim był, zanim poszedł do więzienia? I kim był, gdy wyszedł? Ale ciotki to nie historyczki, tylko siostry. Kochają Ronniego i wolą nie myśleć o niczym, co nie jest tą miłością. Najlepiej zapamiętały scenę, gdy Ronnie golił się rano przed ogłoszeniem wyroku w sądzie w Winchester. Poprzedniego dnia na procesie sam się bronił i był przekonany, że wieczorem znajdzie się w domu jako człowiek wolny. Wtedy pierwszy raz pozwolił, by ciotki widziały, jak się goli. Ale potrafiły mi udzielić tylko jednej odpowiedzi – wzrokiem i słowami:

– To było straszne. Po prostu straszne.

Mówią o tej hańbie, jakby spotkała je wczoraj, a nie siedemdziesiąt lat temu.

Jakieś sześćdziesiąt lat wcześniej zadałem to samo pytanie matce. W odróżnieniu od ciotek, które wolą zachować te wspomnienia dla siebie, Olive była jak niedający się zakręcić kurek. Od chwili ponownego spotkania na dworcu w Ipswich bez przerwy mówiła o Ronniem. O jego życiu seksualnym opowiadała mi znacznie wcześniej, niż uporządkowałem swoje, a dla lepszego zrozumienia podarowała mi zaczytany egzemplarz w twardej oprawie *Psychopathii Sexualis* Krafft-Ebinga, który traktowała jako przewodnik po męzowskich zachciankach przed więzieniem i po nim.

– Czy w więzieniu się zmienił, kochanie? Ależ skąd! Nic a nic się nie zmieniłeś. Oczywiście traciłeś na wadze, ale to nic takiego, przecież więzienne jedzenie nie ma nikogo tuczyć. – Po czym następował obraz, którego nigdy nie potrafiłem się pozbyć, może przede wszystkim dlatego, że ona jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, co mówi: – I miałeś potem taki głupi zwyczaj, że stawałeś przed drzwiami na baczność i czekałeś ze spuszczoną głową, póki ci nie otworzyłam. Przecież to były całkiem zwykłe drzwi, niezamknięte na klucz ani nic, tylko że ty myślałeś, że muszę je przed tobą otwierać.

Dlaczego mówiła w drugiej osobie, jak do Ronniego? Dlaczego nie w trzeciej? Bo podświadomie widziała we mnie jego surogat, którym rzeczywiście zostałem aż do jej śmierci. Jest jedno nagranie zrobione przez Olive dla mojego brata Tony’ego, opowiada w nim o swym życiu z Ronniem. Wciąż nie mogę się zmusić, by tego wysłuchać w całości; słyszałem tylko urwane fragmenty. Opisuje na taśmie, jak Ronnie ją bił, i właśnie to podaje jako główny powód odejścia od niego. Skłonność Ronniego do przemocy nie była dla mnie niczym nowym, bo regularnie lał także drugą żonę. Robił to tak często, z taką premedytacją, o tak różnych porach – ale głównie w nocy – że kierowany rycerskim impulsem postanowiłem, idiota, służyć jej obroną, więc sypiałem na materacu przed wejściem do jej sypialni, ściskając w dłoni kij golfowy, by Ronnie musiał najpierw mieć do czynienia ze mną, nim dobierze się do niej.

Czy rzeczywiście uderzylibym go w tę jego zastawioną głowę? Czy potrafiłbym go zabić i trafić jego wzorem do więzienia? A może tylko bym go uściskał i życzył mu dobrej nocy? Teraz już się nie dowiemy, lecz tak często rozważałem w pamięci różne możliwości, że wszystkie są teraz prawdziwe.

Mnie Ronnie na pewno też bijał, ale tylko parę razy i bez większego przekonania. Najbardziej przerażający był wstęp: opuszczenie i napięcie ramion, zmiana kształtu szczęki. Poza tym, kiedy już dorosłem, Ronnie próbował wytoczyć mi proces – co zapewne też było jakąś namiastką bicia. Oglądnął jakiś film dokumentalny na mój temat i uznał, że zawiera oszczerstwo w domyśle, bo nie wspomina o tym, że wszystko zawdzięczam właśnie jemu.

Jak się poznali Olive i Ronnie? Zadałem jej to pytanie w czasach Kraffta-Ebinga, niedługo po tym pamiętnym uścisku na dworcu w Ipswich.

– Przez wujka Aleca, kochanie – odpowiedziała. Był to jej dawno niewidziany brat, starszy od niej o ćwierć wieku. Ich rodzice dawno umarli, więc wuj Alec, wielka szycha w Poole, parlamentarzysta i sławny miejscowy kaznodzieja, z początku zastępował jej ojca. Podobnie jak Olive był chudy,

kościasty i bardzo wysoki, ale oprócz tego cechowały go próżność, zamiłowanie do elegancji i silne poczucie własnej pozycji społecznej. Wyznaczony do wręczenia pucharu miejscowej drużynie piłkarskiej, wuj Alec zabrał ze sobą Olive jak ktoś, kto przygotowuje przyszlą księżniczkę do czekających ją obowiązków państwowych.

A w drużynie Ronnie grał na pozycji środkowego napastnika – bo jakiej by innej? Gdy wuj Alec kroczył wzdłuż szeregu, ściskając po kolei dłonie piłkarzy, Olive dreptała za nim, ozdabiając każdą dumnie wypiętą pierś okolicznościową odznaką. Gdy przypięła ją Ronniemu, on teatralnie upadł na kolana, jęknął, że przeszła mu serce, za które trzymał się obiema rękoma. Wuj Alec, według wszelkich danych pompatyczny baran, górnolotnie przebaczył mu ten wybryk, więc Ronnie zapytał z robiącą wrażenie pokorą, czy w niedzielę po południu mógłby złożyć wizytę – nie Olive, bo to byłyby dla niego zbyt wysokie progi, tylko irlandzkiej służącej, którą już był poznał. Wuj Alec łaskawie się zgodził, więc Ronnie, udając, że zaleca się do pokojówki, uwiódł Olive.

– Ja byłam taka samotna, kochanie. A ty byłeś jak ogień. – Tym ogniem był Ronnie, oczywiście, nie ja.

Wuj Alec był moim pierwszym kontaktem operacyjnym. Wsypałem go aż miło. Bo właśnie do niego napisałem w tajemnicy w moje dwudzieste pierwsze urodziny – „Alec Glassey, MP, z listami Izby Gmin, do rąk własnych” – by zapytać, czy jego siostra, a moja matka żyje, a jeśli tak, to gdzie ją mogę znaleźć. Glassey już dawno odszedł z parlamentu, ale jakimś cudem biuro Izby Gmin przekazało mu mój list. Kiedy byłem młodszy, pytałem o to samo Ronniego, lecz on tylko marszczył brwi i kręcił głową, więc po kilku próbach dałem spokój. Dwie linijki napisane odręcznie przez wuja Aleca poinformowały mnie, że adres Olive znajdę na załączonej kartce. Udziela mi tej informacji pod warunkiem, że nie zdradzę jej „osobie zainteresowanej”. Warunek ten podziałał na mnie w ten sposób, że wygadałem się Olive w ciągu kilku pierwszych chwil naszego spotkania.

– Więc powinniśmy być mu wdzięczni, kochanie – powiedziała i na tym się skończyło.

A właściwie pewnie by się skończyło, tylko że czterdzieści lat później w Nowym Meksyku, kilka lat po śmierci matki, mój brat Tony poinformował mnie, że gdy sam skończył dwadzieścia jeden lat – dwa lata przede mną – on też napisał do Aleca, pojechał pociągiem do Olive, uściskał ją na peronie pierwszym, a że jest ode mnie wyższy, pewnie mógł to zrobić z mniejszym wysiłkiem. I że dokładnie ją przesłuchał.

Tylko dlaczego ani Tony mi o tym nie powiedział, ani ja jemu o moim spotkaniu? Dlaczego Olive nie powiedziała tego ani jedemu, ani drugiemu?

Dlaczego Alec próbował nas rozdzielić? Chodziło o strach przed Ronniem, bo wszyscy baliśmy się go jak śmierci. Miał długie ręce, mógł z nami zrobić wszystko – pod każdym względem, psychicznym i fizycznym – i paraliżował nas swym wdziękiem. Był istną bazą danych najróżniejszych kontaktów. Gdy okazało się, że jedna z jego kobiet pociesza się z kochankiem, Ronnie natychmiast przystąpił do akcji jak jednoosobowe centrum dowodzenia. Nie minęła godzina, a już miał dojście do pracodawcy owego nieszczęśnika, kierownika jego banku, gospodarza i teścia. Każda z tych osób została wciągnięta do zniszczenia delikwenta.

A skoro Ronnie mógł tak postąpić z bezbronnym mężem, który zbłądził, nam mógł zrobić to samo, tylko dziesięć razy dotkliwiej. Ronnie był stwórcą, ale i niszczycielem. Za każdym razem, gdy zaczynam go podziwiać, przypominam sobie o jego ofiarach: o jego świeżo owdowiałej matce, jedynej wykonawczyni testamentu jego ojca; o matce jego drugiej żony, też owdowiałej, też oszołomionej rozmiarami odziedziczonej po mężu fortuny. Ronnie okradł je obie, pozbawił wszelkich oszczędności po mężach. Dla prawowitych spadkobierców nie zostało nic. Ludzi tych były dziesiątki, może setki. W swej szlachetności Ronnie zajął się każdym – ten dzielny rycerz i zbawca wszystkich ich oszukał, obrabował, oszwabił. Jak to sobie tłumaczył, jeżeli w ogóle tłumaczył się sam przed sobą? Te wszystkie konie wyścigowe, przyjęcia, kobiety i bentleye wypełniające jego drugie życie, gdy doił pieniądze z ludzi, którzy w swej miłości do niego stawiali się tak bezbronni, że niczego nie potrafili mu odmówić? Czy Ronnie kiedykolwiek podliczył, ile innych kosztowało to, że był wybrańcem bogów?

Zostało mi parę listów. Od Ronniego do mnie były tak straszne, że niszczyłem je, nim przeczytałem do końca: błagania o wsparcie wysyłane z Ameryki, Indii, Singapuru i Indonezji; ojcowskie napomnienia, wybaczące mi wszystkie winy i proszące o synowską miłość, modlitwę i o jak najlepsze wykorzystanie tych wszystkich łask, które spłynęły na mnie za jego pośrednictwem – i żebym mu zaraz przysłał pieniądze; pogróżki, że mam natychmiast zwrócić mu wydatki poniesione na moje wykształcenie; i złowróżbne zapowiedzi jego nadchodzącej śmierci. Nie żałuję, że je wyrzuciłem; czasem chciałbym tak samo pozbyć się też wspomnień o nich. Od czasu do czasu, mimo największych moich wysiłków, dopada mnie i dręczy jakiś skrawek jego natrętnie narzucającej się przeszłości: któraś strona z jego listów, pisanych na maszynie na cienkim papierze poczty lotniczej, kiedy na przykład namawia mnie na jakiś wariacki plan, który mam „polecić Uwadze moich Doradców w Celu dokonania Inwestycji na

Preferencyjnych Warunkach”. Albo pisze do mnie jakiś jego dawny rywal w interesach, który zawsze wspomina go czule, zawsze wyraża radość, że miał okazję poznać Ronniego, choć słono za tę znajomość zapłacił.

Kilka lat temu, gdy już powoli zaczynałem myśleć o autobiografii i denerwowałem się, że tak mało mam na ten temat informacji, wynająłem dwóch detektywów – jeden był chudy, drugi gruby, ale obaj mieli świetny apetyt – poleconych mi przez starego prawniczego wygę z Londynu. Idźcie w świat, rzekłem im beztrąsko, i róbcie, co chcecie, tylko znajdźcie mi żywych świadków i autentyczne dokumenty, które opowiedzą mi prawdę o mnie, mojej rodzinie i ojcu, a ja was wynagrodzę. I żeby jeszcze lepiej mnie zrozumieli, dodałem, że ja jestem łgarz, na łgarza się wychowałem, uprawiałem łgarstwo w branży przemysłu, która żyje z łgarstwa, bo powieściopisarstwo to jedno wielkie łgarstwo. Sam tworząc fikcję, tworzę kolejne wersje siebie, ale nigdy prawdziwe – jeśli takie w ogóle istnieją.

Powiedziałem im, że zrobimy tak: ja po lewej stronie spiszę to wszystko, co stworzyła moja pełna wyobraźni pamięć, a oni zapełnią prawą stronę nieupiększonymi i nieprzeinaczonymi faktami. W ten sposób moi czytelnicy przekonają się na własne oczy, do jakiego stopnia pamięć starego pisarza stała się niewolnicą jego wyobraźni. Powiedziałem, że wszyscy piszemy na nowo własną przeszłość, ale pisarze są w tym procederze klasą dla siebie. Bo nawet kiedy znają prawdę, im ona nie wystarcza. Przedstawiłem im wszystkie daty, nazwiska i miejsca związane z Ronniem, zasugerowałem, by zaczęli od archiwów sądowych. Wyobrażałem sobie, że rzucą się szukać źródeł, póki istnieją – jakichś byłych sekretarek, strażników więziennych, policjantów. Kazałem im zrobić to samo z moimi latami szkolnymi, wojskowymi, a ponieważ kilka razy w swoim życiu podlegałem dokładnemu sprawdzeniu przez różne służby bezpieczeństwa, chciałem, by dotarli też do tych ocen, dokonanych przez służby, które kiedyś uważano za tajne. Prosiłem, by poszukując mnie, nie cofnęli się przed niczym. Opowiedziałem o szelmostwach mojego ojca, krajowych i zagranicznych, wszystko, co pamiętałem: jak usiłował naciągnąć premierów Singapuru i Malezji na podejrzone systemy totalizatora piłkarskiego i niewiele brakowało, by mu się udało. Tylko że w jego wypadku zawsze było jakieś „niewiele”, które go gubiło.

Opowiedziałem im o jego różnych „dodatkowych rodzinkach”, o matkujących mu kochankach, strażniczkach domowego ogniska, które zawsze były gotowe ugotować mu kiełbasę, gdy je odwiedzał. Podałem im kilka nazwisk, które znałem, parę adresów, imiona dzieci – łatwo się domyślić czyich.

Przedstawiłem im też przebieg służby wojskowej Ronniego, czyli wszystkie możliwe sztuczki, by się od niej wykręcić – między innymi kandydowanie w uzupełniających wyborach parlamentarnych pod tak górnolotnymi hasłami jak „Niezależność i Postęp”, przez co wojsko musiało się go wyrzec, by mógł skorzystać z biernego prawa wyborczego. I że nawet podczas szkolenia wojskowego otaczał się armią własnych dworzan i sekretarek rozlokowanych po okolicznych hotelach, by bez przeszkód wykonywać swój wyuczony zawód wojennego spekulanta i handlarza towarami deficytowymi. Jestem przekonany, że zaraz po wojnie Ronnie wykorzystał swe wojskowe sukcesy, przybierając pseudonim pułkownika Cornhilla, pod którym to nazwiskiem był dobrze znany w co bardziej podejrzanych zakątkach londyńskiego West Endu. Gdy moja przyrodnia siostra Charlotte grała w filmie o osławionym kryminalnym klanie ze wschodniego Londynu pod tytułem *The Krays*, poprosiła Charliego, najstarszego brata z tej sympatycznej rodziny, o jakieś materiały. Charlie Kray zaprosił ją na herbatkę, wyciągnął rodzinny album, a tam znalazło się zdjęcie, na którym Ronnie obejmuje jego dwóch młodszych braci.

Opowiedziałem im o pewnym wieczorze, gdy zameldowałem się w kopenhaskim hotelu Royal, gdzie natychmiast odwiedził mnie kierownik. Myślałem, że zawdzięczam to własnej sławie. Otóż nie. To Ronnie był tu sławny – poszukiwała go duńska policja. Zaraz potem pojawili się dwaj policjanci, którzy wyprostowani jak skazani za jakieś przewinienie uczniowie, siedzieli sztywno i bez ruchu na dwóch ustawionych naprzeciw siebie krzesłach. Okazało się, że Ronnie zjawił się w Kopenhadze nielegalnie, przyleciawszy ze Stanów Zjednoczonych dzięki pomocy dwóch skandynawskich pilotów, których ograł do cna w pokera w jakiejś nowojorskiej melinie. Zaproponował spłatę tego długu honorowego w trybie bezgotówkowym, czyli w formie darmowego lotu do Danii. Lotnicy skwapliwie skorzystali z tej propozycji i po wylądowaniu przemycili go przez cło i kontrolę paszportową. Teraz duńscy policjanci chcieli mnie zapytać, czy wiem może, gdzie mogliby go znaleźć. Powiedziałem, że nie wiem, bo dzięki Bogu naprawdę nie wiedziałem. Ostatnie wiadomości o Ronniem miałem sprzed roku, gdy na paluszkach wymknął się z Wielkiej Brytanii, uciekając przed wierzycielem, aresztowaniem, mafią – a może przed tym wszystkim naraz.

Taka też była kolejna wskazówka dla moich prywatnych detektywów: dowiedzmy się, przed czym Ronnie uciekał z Anglii i dlaczego musiał wybrać tak kłopotliwy sposób opuszczenia Ameryki. Opowiedziałem im o koniach wyścigowych, które utrzymywał również jako zdeklarowany bankrut, bo koniki miał w Newmarket, w Irlandii i w podparyskim Maisons-Laffitte. Podałem nazwiska trenerów i dżokejów; opowiedziałem, jak w jego barwach jeździł Lester

Piggott, zanim został tak sławnym dżokejem, i że w sprawach kupna koni doradzał ojcu równie sławny Gordon Richards. I że kiedyś natknąłem się na młodego Lestera w przyczepie służącej do przewozu koni – leżał na słomie w liberii Ronniego i czytał sobie komiks przed wyścigiem. Ronnie nazywał koniki na cześć swych ukochanych dzieci: był więc Dato – niestety – od Davida i Tony’ego albo Brzusio Tunmers, połączenie jego ukochanego narządu, żołądka, z nazwą domu, w którym mieszkał. Księżę Rupert – tylko ten koń był naprawdę coś wart – zawdzięczał swe miano mojemu przyrodniemu bratu Rupertowi, a wreszcie Rose Sang to wymyślna aluzja do rudych włosów Charlotte. I że jako prawie już dorosły nastolatek jeździłem na wyścigi w zastępstwie Ronniego, gdy jemu zakazano wstępu, bo nie płacił długów hazardowych. I jak Księżę Rupert zaszokował wszystkich, bo w którejś gonitwie przybiegł zaraz za zwycięzcą – to był chyba „Cesarzewicz” – a ja wracałem do Londynu tym samym pociągiem co nieopłacani przez Ronniego bukmacherzy, taszcząc walizę pełną banknotów z zakładów, które kazał mi obstawić chyba u nich wszystkich.

Moim detektywom opowiedziałem też o dworze Ronniego, bo tak nazywałem zbieraninę dystyngowanych recydywistów tworzących rdzeń jego zawodowej rodziny – byłych nauczycieli, byłych prawników i innych „byłych”. I o tym, że jeden z nich, imieniem Reg, wziął mnie na stronę po śmierci Ronniego i ze łzami w oczach dokonał, jak to określił, „ostatecznego rozrachunku”. Powiedział mi więc, że poszedł siedzieć zamiast Ronniego. I że nie on jeden tak się zasłużył, bo i George-Percival – inny dworzanin – i Eric, i Arthur szli siedzieć za Ronniego w różnych okresach, byle tylko dwór nie utracił swego genialnego przywódcy. Ale nie o to Regowi chodziło. Chodziło mu o to, Davidzie – tu łzy płynęły już bystrym strumieniem – że byli wszyscy bandą ostatnich kretynów, którzy za każdym razem dawali się Ronniemu oszwabić. I że nic się nie zmieniło, bo gdyby Ronnie powstał dziś z grobu i poprosił Rega, żeby odsiedział za niego jakiś wyroczek, to Reg by się zgodził, podobnie jak George-Percival, Eric i Arthur. Bo jak chodziło o Ronniego – i Reg mówił mi to z przyjemnością – to oni wszyscy mieli trochę nasrane w głowach.

– Synu, myśmy byli bandziory – zakończył Reg swe piękne epitafium dla przyjaciela – ale twój tata był bandzior nad bandziory.

Opowiedziałem detektywom, jak Ronnie kandydował z Partii Liberalnej z okręgu Yarmouth w wyborach powszechnych roku 1950. Cały dwór mu pomagał, bo to przecież byli sami liberałowie. I jak przedstawiciel kandydata konserwatystów umówił się z Ronniem na spotkanie w jakimś zacisznym miejscu i w obawie, że Ronnie doprowadzi do podziału głosów, z czego skorzystają labourzyści, zagroził, że torysi ujawnią jego więzienną karierę i kilka innych szczegółów, jeżeli nie zrezygnuje. Po konsultacjach ze swą dworską radą, której

byłem członkiem z urzędu, Ronnie odmówił. Czy to wuj Alec był źródłem informacji dla torysów? Czy do nich też wysłał poufny list, prosząc o nieujawnianie nadawcy? Zawsze go o to podejrzewałem. Tak czy inaczej torysi spełnili swe pogroźki co do joty. Ujawnili wyroki Ronniego, Ronnie doprowadził do podziału głosów, wybory wygrała Partia Pracy.

Nie wiem, czy chciałem detektywów ostrzec, czy po prostu się pochwalić, ale przedstawiłem im cały zakres najróżniejszych powiązań Ronniego i jego zupełnie niespodziewanych znajomości. Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych – to był jego złoty wiek – Ronnie w swym domu w Chalfont St Peter wydawał przyjęcia, na których bywali dyrektorzy piłkarskiego klubu Arsenal, wieczni podsekretarze stanu, wybitni dżokeje, gwiazdy filmu i radia, mistrzowie snookera, byli burmistrzowie Londynu, wszyscy komicy z Crazy Gangu, którzy występowali wtedy w Victoria Palace, nie wspominając już o starannie dobranych ślicznotkach i zawodnikach australijskich lub zachodnioindyjskich drużyn krykieta, jeśli akurat byli w Anglii. Przychodził Don Bradman i w ogóle większość wielkich i dobrych graczy pierwszych lat po wojnie. Listę gości zamykała cała plejada najważniejszych sędziów i adwokatów oraz wysocy oficerowie Scotland Yardu w cywilnych marynarkach – tych z emblematem na piersi.

Ronnie tak wcześnie szkolił się w sposobach działania policji, że tolerancyjnego gliniarza potrafił wyczuć na kilometr. Na pierwszy rzut oka wiedział, co je, co pije, co go uszczęśliwia, jak bardzo może przymknąć oko, a kiedy jednak nie wytrzyma. Jedną z największych przyjemności Ronniego było dzielenie się znajomościami w policji z przyjaciółmi, więc gdy na przykład czyjś syn, pijany w trupa, wpadł rileyem rodziców do rowu, zrozpaczona matka dziecka dzwoniła najpierw do Ronniego, on zaś machał tylko czarodziejską różdżką, pobrana do badania krew jakoś ginęła w policyjnym laboratorium, prokurator wylewnie przeproszał wysoki sąd za marnowanie mu czasu – a Ronnie mógł znów zapisać sobie kolejne wpływy na koncie w banku przysług, w którym trzymał swe jedyne prawdziwe walory.

Oczywiście robiąc ten mój briefing dla detektywów, męczyłem się na próżno. Tego, czego chciałem, nie byłby w stanie znaleźć żaden detektyw na ziemi – to, że miałem ich dwóch, niewiele tu zmieniało. Dziesięć tysięcy funtów i kilka świetnych obiadków później mieli dla mnie tylko stertę wycinków z prasy o różnych bankructwach i wyborach w Yarmouth oraz mnóstwo bezużytecznej dokumentacji handlowej. Żadnych dokumentów procesowych, strażników więziennych na emeryturze, świadków czy przekonujących dowodów. Ani słowa o procesie w Winchester, gdzie według własnych opowieści Ronnie miał błyskotliwie bronić się przed młodym prawnikiem Normanem Birkettem, który

potem został sir Normanem, jeszcze później lordem Normanem, a w końcu był przedstawicielem brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości w procesach norymberskich.

Z więzienia – ale to wiedziałem już od ojca – Ronnie napisał do Birketta i zgodnie z bliskim im obu sportowym duchem pogratulował wielkiemu adwersarzowi. Birkett poczuł się mile połączony takim listem od biednego więźnia spłacającego dług społeczeństwu, więc odpisał. Dało to początek długiej korespondencji, w której Ronnie wyznał, że jego życiową ambicją jest zostać prawnikiem. Gdy tylko wyszedł z więzienia, zapisał się na studia w Gray's Inn. Właśnie przy okazji tego heroicznego czynu nabył prawniczą togę i perukę, którą brał ze sobą w tekturowym pudle w każdą podróż, gdy przemierzał świat, poszukując swego eldorado.

Olive, moja matka, wykradła się z naszego życia, gdy miałem pięć lat, a Tony siedem i obaj smacznie spaliśmy. W kulawym języku tajnego świata, w którym się potem znalazłem, można powiedzieć, że jej odejście było świetnie przygotowaną operacją ekshumacyjną przeprowadzoną zgodnie z wszelkimi zasadami tajności. Jej uczestnicy wybrali wieczór, w którym Ronnie miał wrócić do domu z Londynu późno albo wcale. Ronnie dopiero co wyszedł z więzienia, więc założył firmę na West Endzie i pilnie nadrabiał stracony czas. Możemy się tylko domyślać profilu firmy, ale jej rozwój na pewno był burzliwy.

Ledwie Ronnie zaczerpnął pierwszego tchu powietrza na wolności, a już zgromadził wokół siebie swój rozproszony dwór. Równie prędko opuściliśmy skromny ceglany domek w St Albans, do którego zaraz po zwolnieniu Ronniego zawiózł nas dziadek, groźnie marszcząc brwi i kiwając palcem ku przestrodze, i osiedliśmy na pełnym szkółek jeździeckich i limuzyn przedmieściu Rickmansworth, oddalonym o niecałą godzinę jazdy od najdroższych lokali Londynu. Zimowaliśmy w otoczeniu całego dworu w przepychu hotelu Kulm w St Moritz. Szafki w naszej sypialni w Rickmansworth zostały napełnione nowymi zabawkami z istic wschodnim rozmachem. Weekendy były jedną długą zabawą dla dorosłych, my tymczasem wraz z Tonym namawialiśmy różnych rozhukanych wujków, żeby zagrali z nami w piłkę, a potem wpatrywaliśmy się w pozbawione książek ściany naszego dzieciennego pokoju, słuchając dobiegającej z dołu muzyki. Do najmniej prawdopodobnych gości należał wtedy Learie Constantine, potem sir Learie i wreszcie lord Constantine, zapewne największy zachodnioindyjski krykiecista wszech czasów. Jednym z paradoksów natury Ronniego było to, że mój ojciec lubił pokazywać się z ludźmi o innym

kolorze skóry, co w tamtych czasach zdarzało się rzadko. Learie Constantine rzucał nam czasem piłki na kije krykietowe, kochaliśmy go bardzo. Mam wspomnienie jakiejś sympatycznej domowej ceremonii, w trakcie której bez udziału księdza Learie został ojcem chrzestnym albo moim, albo brata, lecz obaj do końca nie wiemy czym.

– Ale skąd się brały pieniądze na to wszystko? – zapytałem matkę podczas jednego z licznych przesłuchań, którym poddałem ją na naszym spotkaniu po latach.

Nie miała pojęcia. Takie sprawy były dla niej zbyt przyziemne lub zbyt niezrozumiałe. Im robiło się goręcej, tym bardziej się usuwała. Mówiła, że Ronnie był oszustem, ale przecież w biznesie wszyscy oszukują.

Dom, z którego eksfiltrowała się Olive, to neorenesansowy dworek zwany „Willą pod Leszczyną”. W ciemności długi, opadający w dół ogród i romby szybek w oknach nadawały mu wygląd leśnego domku myśliwskiego. W wyobraźni widzę cienki rogalik księżycy – w nowiu lub w ostatniej kwadrze. I że niekończący się dzień ucieczki przebiega Olive na ukradkowych przygotowaniach. Napełnia białą skórzaną walizkę od Harrodsa materiałami operacyjnymi – ciepły sweterek, bo we wschodniej Anglii będzie mróz; Boże, gdzie ja posiałam prawo jazdy? – i nerwowo zerka na złoty zegarek z St Moritz, a równocześnie usiłuje nie zdradzić się przed dziećmi, kucharką, sprzątaczką, ogrodnikiem i niemiecką nianią Annaliese.

Bo Olive nie ufa już nikomu z nas. Jej synowie to całkowicie należące do Ronniego filie jego firmy. Annaliese prawdopodobnie w ogóle sypia z wrogiem. Niedaleko stąd, w apartamencie z widokiem na klub golfowy Moor Park, mieszka z rodzicami bliska przyjaciółka Olive, Mabel, ale i ona wie o planie ucieczki nie więcej niż Annaliese. W ciągu ostatnich trzech lat Mabel przeszła dwie aborcje, lecz nie chce powiedzieć, z kim zaszła w ciążę, więc Olive zaczyna coś podejrzewać. W zdobnym w atrapy sufitowych bali salonie, przez który przekrada się na paluszkach z białą walizką, stoi jeden z najwcześniejszych przedwojennych telewizorów – ustawiona na sztorc trumna z maleńkim ekranem, po którym przebiegają szybko jakieś niewyraźne plamki, i tylko od czasu do czasu ukazuje się za nimi zamglony obraz mężczyzny we fraku. Olive wyłącza telewizor, opuszcza wieko. Już nigdy nie będzie go oglądać.

– Dlaczego nas ze sobą nie zabrałaś? – zapytałem ją podczas jednego z przesłuchań.

– Bobyś zaczął nas szukać – odpowiedziała Olive, jak zwykle mając na myśli nie mnie, lecz Ronniego. – Nie spocząłbyś, póki byś nie znalazł swoich kochanych chłopaczków.

A poza tym, mówi, musieliście przecież zdobyć porządne wykształcenie. Ronnie miał takie ambicje względem synów, że wszystko jedno jak, musiał ich dać do wypasionych szkół. Olive przecież by nie dała rady, prawda, kochanie?

Nie potrafię dobrze jej opisać. Nie znałem jej, gdy byłem dzieckiem, nie rozumiałem, gdy dorosłem. Nie wiem o niej nic, nie znam jej cech charakteru. Czy miała dobre serce, ale słaby charakter? Czy odejście od dwójki najstarszych dzieci było dla niej tragedią, czy też była kobietą wyzuta z silnych uczuć, powodowaną w życiu decyzjami innych? Czy miała jakieś zdolności, które z całych sił pragnęły się ujawnić, ale na próżno? Sam chętnie wybrałbym jedną z tych możliwości, lecz nie mam żadnych danych po temu, by zdecydować się na którąkolwiek z nich.

Walizka z białej skóry tkwi więc do dziś w moim londyńskim domu i jest dla mnie ciągłym źródłem spekulacji. Jak w każdym wielkim dziele sztuki, daje się wyczuć w jej nieruchomości jakieś napięcie. Czy kiedyś nagle znów ruszy z miejsca, nie pozostawiając adresu? Na pierwszy rzut oka jest to zabrana na miesiąc miodowy firmowa walizka zamożnej panny młodej. Dwaj portierzy w liberii, którzy w moich wspomnieniach stoją na wiecznej warcie przed szklanymi drzwiami hotelu Kulm w St Moritz i dramatycznym gestem otrzepują buty gości ze śniegu, natychmiast dopatrzyliby się w jej właścicielce przynależności do klasy napiwkodawców. Za to gdy jestem zmęczony, a pamięć buszuje bez mojego udziału, wewnątrz walizki wręcz ocieka seksem.

W pewnym stopniu odpowiada za to podarta różowa podszewka, bo wygląda jak kusa halczka czekająca tylko, by ktoś ją zerwał. Ale po głowie kołacze mi się też mgliste wspomnienie cielesnej natury – jakiejś sypialnianej scenki, na którą natknąłem się w bardzo wczesnej młodości, kojarzącej mi się na różowo. Czy było to wtedy, gdy natknąłem się na Ronniego z Annaliese? Czy na Ronniego z Olive? Czy na Olive z Annaliese? A może na całą trójkę? A może tylko mi się to przyśniło? I czy to pseudowspomnienie symbolizuje jakiś dziecięcy erotyczny raj, z którego zostałem wygnany, gdy Olive spakowała się i odeszła? Jako eksponat walizka ta jest bezcenna. To jedyny przedmiot, na którym widnieją inicjały matki z jej życia z Ronniem: O.M.C., czyli Olive Moore Cornwell, wypisane drukowanymi literami pod przepoconą skórzaną rączką. Czyj to pot? Czy Olive? A może to pot współkonspiratora i zbawcy, jakiegoś rudego, porywczego zarządcy cudzym majątkiem odpowiedzialnego też za środek ucieczki – samochód? Tak sobie myślę, że jej zbawca, podobnie jak sama Olive, też pozostawał w innym związku małżeńskim i też miał własne dzieci. Jeśli to prawda, to czy one wtedy również smacznie spały? Obcując na co dzień z ziemianami, jej zbawca pewnie miał klasę, której w pojęciu Olive brakowało

Ronniemu. Olive nigdy nie wybaczyła Ronniemu, że wzenił się w znacznie lepszą rodzinę.

Przez całe późniejsze życie wałkowała ten temat i wreszcie do mnie dotarło, że niskie pochodzenie społeczne Ronniego było figowym listkiem godności, który przyciskała do swego łona, nie przestając przy tym być od niego bezwolnie zależna przez wszystkie lata ich domniemanej separacji. Pozwalała zabierać się na obiady na West Endzie, wysłuchiwała fantazji Ronniego na temat jego bogactwa, choć jakoś nic albo prawie nic z tego bogactwa na nią nie spływało, a po kawie i koniaku – tak przynajmniej sobie wyobrażam – oddawała mu się w jakiejś melinie, po czym on pędził zarobić kolejny wyimaginowany milion. Wciąż na nowo rozdrapując rany, jakie zadało jej niskie urodzenie Ronniego, pogardzając w duchu jego parweniuszowskim akcentem i brakiem ogłady, mogła w ten sposób winić za wszystko jego, siebie za nic – może tylko za swą głupią uległość.

Ale Olive wcale nie była głupia. Miała cięty, ostry, dobrze ukształtowany język. Jej długie, poprawnie zbudowane zdania nie wymagałyby w druku najmniejszej korekty, jej listy były treściwe, rytmiczne i zabawne. W mojej obecności wysławiała się angielszczyzną poprawną aż do bólu, jak pani Thatcher, kiedy już wzięła lekcje wymowy. Za to wśród innych – jak dowiedziałem się niedawno od kogoś, kto znał ją lepiej niż ja – była jak ptak przedrzeźniacz, bez przerwy dostosowując się do efektów wokalnych pozostałych obecnych, nawet jeżeli zaniżała tym samym własną pozycję społeczną. Tak, tak, ja też mam do tego dobre ucho. Może to właśnie mam po niej, bo Ronnie nie posiadał tej umiejętności za grosz. Jak ja lubię naśladować te głosy, przelewać je na karty powieści! Nie wiem za to, czy Olive cokolwiek czytała – o jej lekturach wiem tyle co o szczegółach jej materiału genetycznego, który mam w sobie. Gdy o tym wspominam, patrząc na jej inne dzieci, wiem, że była matką, której można się było nauczyć. Ja się jednak nie nauczyłem. Może po prostu nie chciałem.

Zawsze mi się wydawało, że każdy serwis randkowy natychmiast spiknąłby Ronniego z Olive. Ale podczas gdy Olive pozwalała się określać każdemu, kto twierdził, że ją kocha, Ronnie był wybitnym cwaniakiem obdarzonym nieszczęsnym talentem wzbudzania miłości tak w kobietach, jak w mężczyznach. Pretensje Olive o pochodzenie społeczne mojego ojca nie ograniczały się do głównego winowajcy. Ojciec Ronniego – mój święty dziadek Frank, były burmistrz miasta Poole, mason, abstynent, kaznodzieja, chodzący wzór rodzinnych cnót – był według Olive takim samym oszustem jak Ronnie. To Frank namówił Ronniego do pierwszego przekrętu, sfinansował go i kierował nim z daleka, po czym udawał niewiniątko, podczas gdy Ronnie został kozłem ofiarnym. Złe rzeczy potrafiła mówić nawet o dziadku męża, zapisanym w mojej

pamięci jako sobowtór D.H. Lawrence'a, który w wieku dziewięćdziesięciu lat jeździł na trzykołowym rowerku. Nie powiedziała mi nigdy, jakie jest moje miejsce wśród szeregu winowajców całej męskiej linii. No, ale przecież ja chodziłem do dobrych szkół, prawda, kochanie? Mnie przynajmniej porządni ludzie wbili do głowy właściwe wysławianie się i odpowiednie maniery.

Jest o Ronniem pewna rodzinna anegdota, której nigdy nie udało mi się potwierdzić, ale chciałbym w nią wierzyć, bo ukazuje, że Ronnie miał dobre serce – co bardzo często okazywało się bolesne i niełatwe do przełknięcia dla tych, którzy go oskarżali.

Ronnie już się ukrywa, ale jeszcze nie uciekł z Anglii. Oskarżenia o oszustwo stały się tak poważne, że policja brytyjska poszukuje go listem gończym. Tymczasem umiera stary wspólnik Ronniego w interesach, trzeba go pochować. Policja obstawia pogrzeb w nadziei, że Ronnie się pojawi. Tajniacy wmieszali się w tłum żałobników, ale Ronniego nie ma. Następnego dnia członek pogrążonej w smutku rodziny idzie zająć się nowym grobem. Nad grobem stoi Ronnie.

A teraz przenosimy się w lata osiemdziesiąte. To już nie żadna opowieść rodzinna – to coś, co wydarzyło się w biały dzień w obecności mojej żony, mojego brytyjskiego wydawcy i agenta literackiego.

Jestem na tournée na południu Australii. Obiad w plenerze pod wielką markizą. Siedzę przy stole na kozłach, obok mnie żona i wydawca, agent literacki przygląda się z boku. Podpisuję najnowszą powieść, *Szpiega doskonałego*, zawierającą niezbyt zawoalowany portret Ronniego, o którego biografii napomknąłem w wygłoszonym po obiedzie przemówieniu. Nagle przed kolejną przepycha się energicznie starsza pani na wózku inwalidzkim i podniesionym głosem oświadcza, że to kompletna bzdura, co mówiłem, że Ronnie był w więzieniu w Hongkongu. Bo ona żyła z nim przez cały czas jego pobytu w kolonii, więc jak mógł być w więzieniu, przecież by zauważyła, no nie? Jeszcze nie zdążyłem zastanowić się nad odpowiedzią – na przykład że dopiero co odbyłem przyjacielską pogawędkę ze strażnikiem Ronniego z więzienia w Hongkongu – gdy pojawia się druga dama w podobnym wieku.

– Bujda na resorach! – piorunuje. – To ze mną żył wtedy w Bangkoku, do Hongkongu tylko dojeżdżał!

Zapewniam je, że prawdopodobnie obie mają rację.

I dlatego pewnie się nie zdziwicie, gdy przeczytacie, że w chwilach gorszego humoru, jak wielu synów wielu ojców, zapytuję sam siebie, jaka część mnie należy wciąż do Ronniego, a jaka jest moja, własna. Bo czy to naprawdę taka wielka różnica, że jeden gość siedzi za biurkiem i wymyśla różne przekręty nad kartką papieru (ja), a drugi co rano wkłada czystą koszulę i bez grosza przy duszy, za to z bujną wyobraźnią wyrusza w świat szukać pierwszego naiwnego (Ronnie)? Oszust Ronnie potrafił stworzyć dowolną historyjkę z niczego, naszkicować kogoś, kto nigdy nie istniał, odmalować złote góry, których nie było. Potrafił zamydlić oczy zmyślonymi szczegółami i z przyjemnością wyjaśniał nieistniejące komplikacje, jeżeli ktoś nie był dość bystry, by od razu zrozumieć wszystkie zawiłości przekrętu. I najpierw nie zdradzał wielkiej tajemnicy, zasłaniając się ostrożnością, a potem szeptał ją do ucha, bo właśnie postanowił zaufać rozmówcy.

Chyba trudno o lepszy opis zawodu pisarza.

Nieszczęście Ronniego polegało po prostu na tym, że w czasach, w których żył, był już anachronizmem. Kiedy zajął się interesami w latach dwudziestych, pozbawiony skrupułów handlarz mógł zbankrutować w jednym mieście, a następnego dnia otrzymać kredyt sto kilometrów dalej. Ale czasy się zmieniały, rozwój technik łączności zaczął doganiać Ronniego, tak jak kiedyś dogonił Butcha Cassidy'ego i Sundance Kida. Jestem pewny, że ojciec był głęboko wzburzony, gdy policja w Singapurze przedstawiła mu jego brytyjskie dossier. To samo czekało go wkrótce w Indonezji, dokąd został deportowany, gdy trafił za kratki za przestępstwa walutowe i przemyt broni. Wzburzył się jeszcze bardziej, kiedy kilka lat później policja szwajcarska wyciągnęła go z hotelu Dolder Grand w Zurychu i zamknęła w okręgowym więzieniu. Czytając ostatnio, jak panów z FIFA wyrwano z łóżek w zuryskim Baur au Lac i rozwieszono po wybranych w całym mieście aresztanckich celach, widzę Ronniego, którego czterdzieści lat temu spotkał o tej samej porze taki sam afront z rąk tej samej szwajcarskiej policji.

Luksusowe hotele są dla oszusta jak waleriana dla kota. Nim nadszedł ów nieprzyjemny poranek w Zurychu, Ronnie mieszkał w wielu takich przybytkach, stosując bezbłędny system: wynając najdroższy apartament w całym hotelu, urządzać wykwintne przyjęcia, zaskarbiać sobie sympatię portierów, kierowników restauracji i przede wszystkim recepcjonistów – czyli wręczać im sute i częste napiwki. Rozmawiać przez telefon z całym światem i gdy hotel przedstawi

pierwszy rachunek, powiedzieć, że już poszedł do pracowników do zapłacenia. A jeżeli gra ma potrwać dłużej, najpierw trochę zwlekać, i w końcu zapłacić. Ale potem już ani pensa.

Gdy tylko pojawią się oznaki, że gość nie jest już mile widziany, spakować małą walizkę, podsunąć recepcjoniście banknot dwudziesto- czy może nawet pięćdziesięciofuntowy i powiedzieć mu, że interesy nagle wzywają poza miasto i może się zdarzyć, że zejdzie do jutra. A jeżeli recepcjonista jest człowiekiem zaufanym, jeszcze lepiej mrugnąć do niego i powiedzieć, że chodzi o obowiązki względem pewnej pani – aha, i czy z łaski swojej mógłby dopilnować, czy apartament jest dobrze zamknięty, bo zostało tam tyle cennych przedmiotów osobistych? Tylko że wszystkie cenne przedmioty są już w walizeczce. W ostateczności można zawsze uspokoić recepcjonistę, zostawiając u niego zestaw kijów golfowych – choć to rzeczywiście ostateczność, bo przecież golf to ukochany sport.

Ale poranny nalot policji w Dolderze przekonał Ronniego, że nadszedł koniec zabawy. A w naszych czasach? Nie ma mowy. Mają wszystkie dane karty kredytowej. Wiedzą nawet, do której szkoły posyła się dzieci.

Czy Ronnie i jego wypróbowany w ogniu talent do dezinformacji mogłyby przydać się w wywiadzie? Co prawda oszukując innych, oszukiwał też siebie, lecz to jeszcze wcale go nie dyskwalifikuje. Sęk w tym, że gdy tylko posiadał jakąś tajemnicę – wszystko jedno, własną czy cudzą – to dosłownie cierpiał, póki się nią z kimś nie podzielił. A to już gorzej.

A może show-business? W końcu bardzo przekonująco zwiedzał poważną wytwórnię filmową w Berlinie, udając, że reprezentuje i mnie, i Paramount Pictures – po co się ograniczać? Wiemy przecież, że Hollywood zawsze miało piękny zwyczaj przyciskania oszustów do własnej piersi.

Albo aktorstwo? Własne odbicie w lustrze? Przecież przez całe życie udawał, że jest kimś, kim nie był.

Tylko że Ronnie wcale nie chciał być gwiazdorem. On chciał być Ronniem, jednoosobowym kosmosem.

Za to na pewno nie podejrzewam go, by kiedyś kusiło go pisanie powieści. On wcale mi nie zazdrościł literackiej sławy. On był jej właścicielem.

Jest rok 1963. Właśnie przyjechałem do Nowego Jorku. To mój pierwszy pobyt w Stanach Zjednoczonych. *Ze śmiertelnego zimna* trzyma się pierwszych miejsc

list bestsellerów. Mój amerykański wydawca bierze mnie do „21 Club” na wspaniałą kolację. Kierownik sali prowadzi nas do stołu. W kącie sali siedzi Ronnie. Nie kontaktowaliśmy się od wielu lat, nie miałem pojęcia, że jest w Ameryce, ale w tej chwili dzieli mnie od niego kilka kroków. Przy łokciu ma koniak z piwem imbirowym. Skąd on się tu wziął? Proste. Zatelefonował do mojego łatwowiernego amerykańskiego wydawcy i zagrał mu na uczuciach. Najpewniej kartą irlandzką, bo jeden rzut oka na nazwisko wydawcy wskazuje na jego irlandzkie pochodzenie.

Zapraszamy Ronniego do stołu. Z pokorą przyjmuje zaproszenie, przynosi swojego drinka – ale tylko na jednego drinka, potem zostawi nas w spokoju. Jest przemiły, dumny z syna, klepie mnie po ramieniu, ze łzami w oczach powtarza, że chyba nie był takim złym ojcem, co, synu, dobrze nam się razem żyło, co? Tak, tak, bardzo dobrze, tato, świetnie, zgadzam się.

Wtedy Jack, mój wydawca, który jest nie tylko Irlandczykiem, ale i dumnym ojcem, mówi, że najlepiej będzie, jeżeli Ronnie dopije to, co pije, i zamówimy butelkę szampana. Więc Ronnie unosi szklanekę i wygłasza toast na cześć naszej książki. Warto zwrócić uwagę na zaimbek dzierzawczy „naszej”. Potem Jack znowu: no nie, Ronnie, zostańże, zjedz z nami! Ronnie daje się uprosić i zamawia sobie przyjemny zestaw mięs z grilla.

Później na chodniku musi dojść do obowiązkowego niedźwiadka między ojcem a synem. Ojciec szłocha, co często mu się zdarza – szloch wstrząsa całym jego ciałem. Ja też szlocham, pytam, czy ma pieniądze, i nie posiadam się ze zdziwienia, gdy mówi, że ma. Na koniec udziela mi rady na całe życie, na wypadek gdyby sukces mojej książki miał mi przewrócić w głowie:

– Może i jesteś znanym pisarzem, synu – mówi, wciąż szlochając. – Ale żaden z ciebie celebryta.

I zostawiwszy mnie samego z tym niezrozumiałym ostrzeżeniem, odchodzi w noc, nie mówiąc, dokąd idzie, co pewnie oznacza, że kręci z jakąś panią, bo zawsze z jakąś kręci.

Po kilku miesiącach udaje mi się prześledzić ciąg wypadków prowadzący do naszego spotkania. Ronnie znowu się ukrywał, nie miał centa przy duszy ani mieszkania. Tylko że w tamtych czasach nowojorscy agenci nieruchomości oferowali bezpłatny pierwszy miesiąc za mieszkanie w nowych budynkach. Ronnie skakał więc jak pchełka z mieszkania do mieszkania – jeden miesiąc tu, drugi tam, jeszcze go nie złapali, ale niech go Bozia ma w swojej opiece, jeśli złapią. Chyba tylko duma sprawiła, że nie przyjął ode mnie pieniędzy, bo był

w naprawdę oplakany położeniu i dopiero co wycygał od mojego starszego brata znaczną część oszczędności tegoż.

W dniu kolacji w „21 Club” zatelefonował do działu sprzedaży w moim amerykańskim wydawnictwie, przedstawił się jako mój ojciec – i oczywiście jako bliski przyjaciel mojego wydawcy – zamówił sto egzemplarzy n a s z e j książki na koszt autora i podpisał je własnym nazwiskiem, by mogły mu służyć za karty wizytowe.

Do dziś wróciło do mnie całkiem sporo tych egzemplarzy – właściciele domagali się, bym do podpisu Ronniego dołożył własny. Najczęściej jego dedykacja głosi: „Podpisane przez Ojca Autora”. „O” w „Ojca” jest szczególnie wielkie. Wobec tego ja podpisuję się pod spodem: „Podpisane przez Syna Ojca Autora”. Tym razem największe jest „S” w „Syna”.

Ale spróbujmy przez chwilę być Ronniem. Ja robiłem to aż za często. Wyobraźmy sobie, że stoimy na ulicy Nowego Jorku bez centa przy duszy. Kogo się dało oskubać, już się oskubało, wszelkie kontakty spalone. Po Anglii krąży list gończy, drugi jest tu, na miejscu, w Nowym Jorku. Czyli: strach pokazać paszport, więc umowy najmu za kolejne mieszkanie, za które nie ma czym płacić, trzeba podpisywać zmyślnym nazwiskiem, od ostatecznej zguby chroni tylko zwierzęca intuicja i dwurzędowy garnitur w prążki od Bermana z Savile Row, który co wieczór trzeba własnoręcznie odprasować. Dokładnie takie same sytuacje wymyślają na kursach dla szpiegów: „No to teraz zobaczymy, jak sobie poradzisz”. Może czasem coś mu nie wychodziło, ale ten test Ronnie zdałby na piątkę z plusem.

Wielki sukces, o którym zawsze marzył Ronnie, nadszedł wkrótce po jego śmierci, a jego sceną była jedna z tych sennych dickensowskich sal sądowych, w których skomplikowane procesy o pieniądze toczą się nie wiedzieć jak długo. Na wszelki wypadek zatają nazwę londyńskiego przedmieścia, które padło ofiarą tej konkretnej sprawy, bo całkiem możliwe, że sprawa jeszcze wciąż się toczy – tak jak najpierw toczyła się przez ostatnie dwadzieścia kilka lat życia Ronniego, a potem, już bez niego, przez kolejne dwa.

Prosta była jak drut. Ronnie zaprzyjaźnił się z całą radą naszego anonimowego przedmieścia, lecz szczególnie blisko był z komisją planowania przestrzennego. Nietrudno sobie wyobrazić, jak do tego doszło. Poznał jej członków w kościele baptystów albo w loży masońskiej, albo przy krykiecie, albo przy snookerze. A może byli żonatymi mężczyznami w średnim wieku, którzy przed poznaniem Ronniego nie pokosztowali jeszcze przyjemności życia nocnego

na West Endzie? I pewnie skusili się na kawałek tortu, który obiecał im Ronnie, bo miał to być bardzo duży tort.

Wszystko jedno. W każdym razie bez najmniejszych wątpliwości prawnych i jakichkolwiek innych rada przyznała jednej z osiemdziesięciu trzech firm założonych przez Ronniego – i niedysponujących żadnymi aktywami – prawo wzniesienia na terenach zielonych przedmieścia stu atrakcyjnych domów. I jeszcze nie wysechł atrament na umowie, gdy Ronnie – który kupił te działki za bezcen, bo nie były przeznaczone pod budowę – sprzedał cały pakiet wielkiej firmie budowlanej za ogromne pieniądze. Szampan polał się strumieniami, dwór szalał, Ronnie właśnie zrobił interes życia. Ani mój brat Tony, ani ja już nigdy nie zaznamy biedy.

I Ronniemu – jak to już wielokrotnie bywało – prawie się udało. Tylko że mieszkańcy przedmieścia, zaniepokojeni artykułem w lokalnej gazecie, jednym głosem oświadczyli, że budowa domów czy czegokolwiek innego na ich ulubionych terenach zielonych – na ich boiskach, kortach, placach zabaw, miejscach piknikowych – może dojść do skutku tylko po ich trupach. Tak się uwzięli, że zaraz załatwili orzeczenie sądu, w efekcie którego Ronnie miał co prawda umowę z przedsiębiorstwem budowlanym, nie dostał jednak ani pensa.

Ronnie był równie oburzony jak mieszkańcy. Tak jak oni w życiu jeszcze nie doświadczył takiego świństwa. Twierdził z uporem, że nie chodziło o pieniądze, tylko o zasadę. Zebrał zespół prawników, samych najlepszych. Adwokaci uznali, że sprawa jest do wygrania, więc zgodzili się go reprezentować. Ale żeby dostać zapłatę, musieli wygrać. Sprawa gruntów na inkryminowanym przedmieściu stała się probierzem naszej wiary w Ronniego. Przez dwadzieścia czy więcej lat każda chwilowa trudność była niczym, bo kiedyś miał nadejść dzień sprawiedliwości. Ronnie pisał do mnie z Dublina, z Hongkongu, z Penangu, z Timbuktu, wечно powtarzając swą mantrę, w której zawsze te same słowa pisane były wielką literą: „Pewnego dnia, Synu, może i Gdy już Będę na Sądzie Ostatecznym, Brytyjska Sprawiedliwość Zatrzymuje”.

I tak też było. Sprawiedliwości rzeczywiście stało się zadość w kilka miesięcy po jego śmierci. Nie poszedłem na odczytanie wyroku, bo mój adwokat doradził mi, by pod żadnym pozorem nie zdradzać zainteresowania spadkiem po Ronniem, jeżeli nie chcę odziedziczyć jego astronomicznych długów. Według moich informatorów sala sądowa pękała w szwach – szczególnie tłoczno było w ławach dla adwokatów. Posiedzeniu przewodniczyli trzej sędziowie, lecz jeden mówił za wszystkich. Mówił rzeczy tak zawiłe, że przez chwilę nikt z niespecjalistów nie mógł go zrozumieć.

Wreszcie stopniowo wszystko stało się jasne. Sąd przyznał rację powodowi – Ronniemu. Po prostu. Ronnie zgarnął całą pulę. Żadnych ale, żadnych „z jednej

strony to, z drugiej tamto”. Ronnie – z za grobu – odniósł swoje wielkie ostateczne zwycięstwo, którego zawsze był pewny: zwycięstwo ludu nad głupkami i naiwniakami, czyli w jego języku ateuszami i inteligentami. Było to pośmiertne zwieńczenie pracy całego życia.

Nagle zapada cisza. Urzędnik sądowy przywołuje wiwatującą publiczność do porządku. Uściski dłoni i wzajemne klepanie się po plecach ustępują zbiorowemu niepokojowi. Jakiś adwokat, który dotąd nie zabierał głosu, prosi Wysoki Sąd o uwagę. Całkiem bezzasadnie wyobraziłem go sobie jako obrzękniętego, pompatycznego, pryszczatego człowieczka w za małej peruce. Oświadcza Wysokiemu Sądowi, że reprezentuje Koronę. A konkretnie – Urząd Skarbowy Jej Królewskiej Mości będący, jak twierdzi, „wierzycielem uprzywilejowanym” w sprawie, którą właśnie rozsądził Wysoki Sąd. A konkretnie i by nie marnować czasu Wysokiego Sądu, to chciałby z całym szacunkiem wnieść o zajęcie pełnej sumy włączonej do masy spadkowej po powodzie w celu zabezpieczenia choćby częściowej spłaty znacznie większych zobowiązań powoda, narosłych w ciągu bardzo wielu lat, względem skarbu Jej Królewskiej Mości.

Ronnie nie żyje, ja odbywam sentymentalną podróż do Wiednia, by napawać się atmosferą tej metropolii podczas pisania częściowo autobiograficznej powieści, o której wreszcie mogę pomyśleć. Byle nie znowu do Sachera – ogarnia mnie strach na myśl, że kelnerzy mogli zapamiętać, jak Ronnie zwalił się na stół, a ja musiałem niemal dotaszczyć go do wyjścia. Samolot na Schwechat mi się spóźnił, w recepcji hoteliku, który wybrałem na chybił trafił, czuwa stary nocny portier. W milczeniu patrzy, gdy wypełniam formularz meldunkowy. I nagle odzywa się cichą, spokojną wiedeńską niemczyzną:

– Pański ojciec był wielkim człowiekiem – mówi. – Paskudnie go pan potraktował.

Z podziękowaniem dla Reggiego

Pewnie trzeba być raczej w moim wieku, by pamiętać Reginalda Bosanqueta, figlarnego, imprezowego, trunkowego spikera telewizyjnego, który skradł serca wszystkich Brytyjczyków i umarł o wiele za wcześnie – tak naprawdę nigdy nie dowiedziałem się na co. Reggie był moim rówieśnikiem w Oksfordzie i miał wszystko, czego nie miałem ja: prywatny dochód, samochód sportowy, piękne kobiety i związaną z tym wszystkim przedwcześnie osiągniętą dorosłość.

Lubiliśmy się, ale ileż czasu można spędzać z człowiekiem, który ma takie życie, o jakim się marzy, i którego na to stać? Poza tym w tamtych czasach byłem trochę dziwny, okropnie poważny i lekko nawiedzony. Odwrotnie niż Reggie. W dodatku nie tylko byłem biedny, ale w połowie drugiego roku wręcz niewypłacalny, bo mój ojciec właśnie dokonał jednego ze swych spektakularnych bankructw, a czek, który miał pokryć chesne, okazał się bez pokrycia. I choć mój college wykazywał godną naśladowania cierpliwość, nie widziałem żadnej możliwości, by udało mi się pozostać w Oksfordzie do końca roku akademickiego.

Ale w swoich rozważaniach nie wziąłem pod uwagę Reggiego, który – chyba na kacu – pewnego dnia wtoczył się do mojego pokoju, wepchnął mi w dłoń kopertę i wytoczył się z powrotem. W środku był czek na moje nazwisko obciążający konto jego funduszu powierniczego, opiewający na wystarczającą sumę, by spłacić moje długi i zatrzymać mnie na uczelni przez następne sześć miesięcy. W kopercie było też pismo przewodnie, również od funduszu. List informował mnie, że Reggie opowiedział im o moich kłopotach, że pieniądze pochodzą z jego osobistego majątku i mogą je oddać, kiedy mi będzie wygodnie i wyłącznie pod warunkiem, że będzie mnie na to stać. I że jest życzeniem Reggiego, by we wszelkich kwestiach dotyczących niniejszej pożyczki kontaktować się bezpośrednio z funduszem, bo Reggie nie lubi mieszać spraw finansowych z przyjaźnią.

Minęło dobrych kilka lat, nim mogłem spłacić ostatnią ratę, którą powiększyłem o procent, jaki według mnie narósłby przez ten czas od kapitału. Fundusz odpisał z uprzejmym podziękowaniem i zwrócił procenty

z wyjaśnieniem, że w tej sytuacji Reggie nie uważa za stosowne pobierać procentu⁴⁶.

Bardzo poszukiwany człowiek

Wcześniej rano tajemniczy telefon od Karela Reisa, urodzonego w Czechosłowacji reżysera filmowego, w tamtych czasach znanego przede wszystkim dzięki *Z soboty na niedzielę*. Jest rok 1967, a ja staram się mieszkać samotnie w brzydkim penthausie w Maida Vale. Kiedyś współpracowaliśmy z Reiszem – jak się okazało, bez skutku – nad scenariuszem na podstawie mojej powieści zatytułowanej *Naiwny i sentymentalny kochanek* – powiedzmy sobie szczerze, książka ta nie każdemu się podobała. Ale Reisz nie dzwoni w sprawie scenariusza. Wyczuwam to po jego głosie, bo jest gromki, lecz konspiratorski.

– David, jesteś sam?

Tak, Karel, i to bardzo.

– A nie wpadłbyś tu jak najszybciej? Dobrze by było...

Państwo Reiszowie mieszkali całkiem niedaleko w wiktoriańskim domu z czerwonej cegły w Belsize Park. Pewnie poszedłem na piechotę. Człowiek chodzi na piechotę, jak ma kłopoty małżeńskie. Reisz otworzył drzwi tak szybko, że na pewno mnie wypatrywał. Zamknął za mną drzwi na zamek i poprowadził mnie do wielkiej kuchni, w której zawsze koncentrowało się życie jego domu: siedziało się wokół sporego, okrągłego sosnowego stołu, na obrotowej tacy były herbatniki z cukrem, dzbanki z kawą, herbatą i sokiem owocowym. Obok wiecznie zajęty telefon na długim kablu i – w tamtych czasach – całe mnóstwo popielniczek, a to wszystko głównie z myślą o najnieprawdopodobniejszych bywalcach, takich jak Vanessa Redgrave, Simone Signoret czy Albert Finney, którzy wpadali na chwilę, częstowali się, pogadali trochę i wychodzili. Zawsze wyobrażałem sobie, że w taki sposób żyli rodzice Reisa, zanim zostali zamordowani w Oświęcimiu.

Siadam. Wpatruje się we mnie pięć twarzy: aktorki Betsy Blair, czyli żony Reisa, która chyba pierwszy raz nie gadała przy mnie przez telefon; reżysera filmowego Lindsaya Andersona, sławnego ze swego *Sportowego życia*, którego Reisz był producentem. A między dwoma reżyserami siedzi uśmiechnięty, nerwowy, charyzmatyczny, młodszy od nich mężczyzna o klasycznie słowiańskich rysach, którego nigdy dotąd nie widziałem.

– Davidzie, to Vladimir – mówi uroczyście Reisz, na co młody człowiek zrywa się na równe nogi i energicznie, wręcz rozpaczliwie ściska mi dłoń przez stół.

A tuż za tym wylewnym młodzieńcem siedzi młoda kobieta, która jeśli sędzić po tym, że wpatruje się w niego z ostrożną troską, sprawia wrażenie bardziej opiekunki niż kochanki lub – w tym towarzystwie – agentki teatralnej albo specjalistki od castingu. Bo młody człowiek już na pierwszy rzut oka ma uderzającą prezencję.

– Vladimir jest czeskim aktorem – oświadcza Reisz.

Świetnie.

– I chce zostać w Wielkiej Brytanii.

– Ach tak. Rozumiem – mówię. Czy coś takiego.

Teraz kolej na Andersona:

– Pomyśleliśmy sobie, że z twoją przeszłością może znasz ludzi, którzy się zajmują takimi sprawami.

Wokół stołu robi się cicho. Wszyscy czekają, żebym coś powiedział.

– Aha, o to chodzi – stwierdzam bez przekonania. – Vladimir chce wybrać wolność.

– Jeśli tak to chcesz nazwać – mówi ironicznie Anderson i znowu robi się cicho.

Zaczynam się orientować, że Anderson ma już względem Vladimira jakieś plany, a Reisz, choć rodak młodego aktora, choć mówi jego językiem, jest tu raczej tylko pośrednikiem. Andersona spotkałem dotąd najwyżej trzykrotnie i za każdym razem było mało przyjemnie – może jakoś od razu nastąpiliśmy sobie nawzajem na odciski i tak już zostało? Anderson urodził się w wojskowej rodzinie w Indiach, a uczył się najpierw w szkole prywatnej (w Cheltenham, na której potem zemścił się w *Jeżeli...*), następnie w Oksfordzie. W czasie wolnym służył w wywiadzie wojskowym w Delhi i chyba to właśnie z góry go do mnie uprzedziło. Jako zagorzały socjalista walczący z establishmentem, który go zrodził, widział we mnie jakiegoś tajnego aparatczyka w walce klas – i nic nie mogłem na to poradzić.

– Vladimir ma na nazwisko Pucholt – słyszę znowu głos Reisza.

A ponieważ nie reaguję w odpowiedni sposób, czyli nie wydaję z siebie zachwyconego westchnienia ani okrzyku: „Ach, ten sławny Vladimir Pucholt”, Reisz śpieszy z wyjaśnieniem szybko uzupełnionym przez resztę obecnych. Dowiaduję się więc ze wstydem, że Vladimir Pucholt to wschodząca gwiazda czeskiej sceny i filmu i że jest znany przede wszystkim z roli głównej w *Miłości blondynki* Miloša Formana, filmie, który odniósł światowy sukces. Forman

obsadzał go też w swych wcześniejszych filmach i zawsze mówi, że Vladimir to jego ulubiony aktor.

– Krótko mówiąc, chodzi o to – odzywa się znów Anderson i znowu agresywnie, jakbym właśnie zakwestionował wartość Pucholta i trzeba było mnie napomnieć – że każdy kraj, który go przyjmie, zrobi świetny, kurwa, interes. Mam nadzieję, że wyjaśnisz to swoim ludziom.

Tylko że ja nie mam żadnych s w o i c h ludzi. Jedyni oficjalni lub półoficjalni „ludzie”, jakich „mam”, to dawni koledzy ze szpiegowskiego świata. Niech mnie ręka boska broni, żebym spróbował zadzwonić do któregoś z nich i powiedzieć, że mam tu jednego Czecha, który może chciałby wybrać wolność. Już słyszę te sympatyczne pytania, na które musiałby odpowiadać: „Czy jest pan wtyczką czeskiego wywiadu, a jeśli tak, to czy chciałby pan zostać podwójnym agentem?”. Albo: „Proszę wymienić innych czeskich dysydentów, którzy byliby zainteresowani współpracą z nami. A jeżeli pan sam za bardzo nie chwalił się swoimi zamiarami, to może chciałby pan wrócić jednak do Czechosłowacji i zrobić dla nas to i owo?”. Mam jednak wrażenie, że Pucholt nie zwracałby sobie tym głowy. Nie po to chce wybrać wolność – a przynajmniej tak mi się zdaje. Do Anglii przyjechał legalnie, z błogosławieństwem władz czeskich. Przed wyjazdem dyskretnie pozatławił wszystkie sprawy, wywiązał się ze wszystkich filmowych i teatralnych umów i rozmyślnie nie podpisał nowych. Ale że już wcześniej bywał w Wielkiej Brytanii, władze czeskie nie miały powodu przypuszczać, że tym razem nie wróci.

Wygląda na to, że po przyjeździe zaczął się ukrywać. Wtedy właśnie jakoś dowiedział się o nim Lindsay Anderson i zaofiarował mu pomoc; obaj znali się już z Pragi i z Londynu. Anderson z kolei zwrócił się do swego przyjaciela Reisz i w trójkę zaczęli robić plany. Pucholt na samym początku oświadczył, że pod żadnym pozorem nie zamierza ubiegać się o azyl polityczny. Bo gdyby to zrobił, ściągnąłby gniew czeskich władz na tych, których tam zostawił – na przyjaciół, rodzinę, nauczycieli, kolegów po fachu. Zapewne miał na myśli przykład sowieckiego baletmistrza Rudolfa Nuriejewa, którego ucieczka na Zachód została przyjęta tu triumfalnie, za to los jego pozostawionych w Rosji przyjaciół i rodziny był nie do pozazdroszczenia.

Reisz, Anderson i Pucholt przystąpili więc do realizacji swych planów, opierając się na takim właśnie założeniu. Nie będzie żadnych fanfar, żadnych wyjątków. Pucholt będzie się zachowywał jak każdy rozczarowany życiem w socjalizmie wschodni Europejczyk, który liczy na przychylność brytyjskich władz. Pucholt z Andersonem poszli do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i stanęli w kolejce ludzi chcących przedłużyć sobie wizę na pobyt

w Zjednoczonym Królestwie. Gdy dotarli wreszcie do okienka, Pucholt wsunął w nie swój czeski paszport.

– Na jak długo? – zapytał urzędnik, wznosząc pieczętkę do góry.

Na to Anderson, który nie przebiera w słowach, szczególnie gdy rozmawia ze służusem pogardzanego przez siebie systemu klasowego:

– Na zawsze!

Całkiem dobrze potrafię sobie wyobrazić obowiązkowe długie rozmowy Pucholta z wyższym urzędnikiem Home Office, któremu przydzielono tę sprawę. W jednym narożniku siedzi nieco zdezorientowany urzędnik państwowy, który bardzo chce pomóc petentowi, ale równocześnie musi stosować się do przepisów. Zależy mu tylko na jednym – aby Pucholt powiedział mu wprost, że narazi się na prześladowania, jeśli wróci do kraju. Bo wtedy można będzie z czystym sumieniem zakreślić odpowiedni kwadracik i już wiadomo: „Witamy w Wielkiej Brytanii, mister Pucholt!”.

Ale w przeciwległym narożniku mamy szlachetny upór Pucholta, który za żadne skarby nie chce powiedzieć tego, czego się od niego wymaga, bo gdyby to powiedział, poprosiłby tym samym o azyl polityczny, narażając z kolei na niebezpieczeństwo ludzi, których poprzysiągł sobie nie narażać. A więc nie, proszę pana, nie byłbym prześladowany, bardzo dziękuję. Jestem popularnym czeskim aktorem, przyjmą mnie z powrotem z otwartymi ramionami. Może trochę mnie skarżą, może wyciągną jakieś udawane konsekwencje. Ale nie będę prześladowany i dziękuję, nie ubiegam się o azyl polityczny.

Był w tym wszystkim jakiś element czarnego humoru, bo u siebie, w Czechosłowacji, Pucholt już raz podpadł decydującym, którzy ukarali go dwuletnim zakazem gry w filmie. Poproszono go bowiem – czy raczej nakazano mu – by zagrał rolę czeskiego chłopca z poprawczaka, który natchniony przez swych wychowawców szlachetnymi zasadami marksizmu-leninizmu, po wyjściu z zakładu nie potrafi sobie poradzić w mniej uświadomionym, bo wciąż jeszcze burżuazyjnie nastawionym społeczeństwie. Pucholtowi nie bardzo spodobał się scenariusz, więc uparł się, że musi zamknąć się na parę dni w poprawczaku. Wtedy się przekonał, że scenariusz rzeczywiście jest do niczego i – ku zdumieniu swych przełożonych – odmówił przyjęcia roli. Zrobiła się straszna awantura, zmuszano go do podpisania umowy, ale on się nie złamał. I stąd dwuletni zakaz, który przecież sam w sobie by wystarczył, żeby zostać uznanym za osobę prześladowaną.

Minął tydzień, nim Pucholta ponownie zaproszono do Home Office. Tym razem rozdarty wewnętrznie urzędnik poinformował go zgodnie z najlepszymi tradycjami brytyjskiego kompromisu, że nie zostanie przymusowo repatriowany do Czechosłowacji, ale musi opuścić Wielką Brytanię w ciągu dziesięciu dni.

I właśnie dlatego siedzimy teraz wokół stołu u Reisha, milczymy i martwimy się. Dziesięć dni właśnie minęło albo zaraz minie, jak myślisz, co robić, Davidzie? Najprostsza odpowiedź na to pytanie jest taka, że David nie ma pojęcia, co robić. Tym bardziej że w trakcie naszej mało konkretnej dyskusji okazuje się, że Pucholt wcale nie przyjechał do Wielkiej Brytanii, by rozwijać swą gwiazdorską karierę, tylko dlatego – jak z rozbijającą szczerością wyznał mi z drugiej strony stołu – że „ja, Davidzie, chcę zostać lekarzem”.

Zdaje sobie sprawę, że zostanie lekarzem trochę potrwa. Obliczył, że jakieś siedem lat. W Czechach już zdobył jakieś podstawowe kwalifikacje, ale wątpi, by mu się przydały w Zjednoczonym Królestwie.

Dobrze słyszę, co mówi. Rozpoznaję w jego głosie zapał, widzę gorliwość w jego wyrazistej słowiańskiej twarzy. Staram się jak mogę, by wyglądać na mędrca i z uśmiechem aprobaty przyjmuję tę wizję samopoświęcenia.

Tylko że ja znam aktorów. I wiem – podobnie jak wszyscy zgromadzeni wokół stołu – do jakiego stopnia aktorzy potrafią się uchwycić hipotetycznej osobowości i przyswoić ją sobie. Potem jednak przedstawienie się kończy i każdy aktor rusza na poszukiwanie kolejnej osoby, którą chciałby zostać.

– No cóż, Vladimirze, świetnie, świetnie – entuzjazmuję się, byle tylko zyskać na czasie. – Ale pewnie chciałbyś też dalej trochę grać, kiedy będziesz studiował medycynę, prawda? Przyda się poćwiczyć w angielskim, trochę wystąpić w teatrze, może w filmie też, jak się da? – Tu rzucam spojrzenie w stronę naszych dwóch reżyserów filmowych, lecz nie chcą mnie wesprzeć.

Ależ nie, Davidzie, odpowiada. Aktorem jest od dzieciństwa. Żył tylko od roli do roli – a były wśród nich i takie, których nie cenił wcale, na przykład „chłopiec z poprawczaka” – i teraz chce zostać lekarzem, i właśnie dlatego pragnie zamieszkać w Wielkiej Brytanii. Rozglądam się wokół stołu. Nikt jakoś się nie dziwi. Chyba tylko ja się dziwię, że Vladimir Pucholt, czeski amant, chce zostać lekarzem. Czy zadają sobie pytanie – jak ja – czy to aktorska fantazja, czy prawdziwa życiowa ambicja? Ja nie mam pojęcia.

Nie ma to jednak większego znaczenia, bo tymczasem zgodziłem się zostać tym, kim oni myślą, że jestem. Pogadam z „moimi ludźmi”, słyszę własny głos, choć nie mam żadnych ludzi. Znajdę sposób, żeby wszystko skończyło się dobrze

i szybko, bo tak wszystko załatwiamy my, tajni aparatczycy. Teraz idę do domu, lecz będę w kontakcie. Wychodzę na lewo z wysoko uniesioną głową.

Przez pół wieku, które upłynęło od tamtego spotkania, zastanawiałem się od czasu do czasu, dlaczego obiecałem się tym zająć, skoro Anderson i Reisz, światowej klasy reżyserzy, mieli znacznie więcej niż ja kontaktów wśród możliwych tego świata – nie mówiąc o wszystkich cwanych prawnikach, których znali. Wiedziałem przecież dobrze, że Reisz był blisko z lordem Goodmanem, szarą eminencją i doradcą prawnym premiera Harolda Wilsona. Anderson, choć taki socjalista, miał ustaloną pozycję w najwyższych sferach i podobnie zresztą jak Reisz, doskonale koneksje w rządzącej Partii Pracy.

Być może chodzi o to, że w moim własnym życiu prywatnym panował wtedy taki zamęt, że z ulgą zająłem się urządzaniem życia komuś innemu. Jako młody żołnierz w Austrii przepytywałem przecież dziesiątki uciekinierów z Europy Wschodniej, bo któryś z nich mógł być szpiegiem. Z tego, co wiem, żaden nie był, ale Czechów znalazło się całkiem sporo. Tym razem miałem okazję wreszcie jednemu z nich choć trochę pomóc.

Nie jestem pewien, gdzie Vladimir spędził kilka następnych nocy – u Reisza, u swej towarzyszki, u Lindsaya Andersona czy nawet u mnie. Ale pamiętam, że za dnia długie godziny przesiadywał w moim brzydkim mieszkaniu na dachu. Chodził w kółko albo stał i patrzył w wielkie okno.

A ja tymczasem pociągam za wszystkie sznurki, jakie mi zostały w Home Office, żeby doprowadzić do zmiany decyzji. Dzwonię do mojego dobrotliwego brytyjskiego wydawcy. Sugeruje, bym skontaktował się z ministerialnym korespondentem „Guardiana”. Kontaktuję się. Korespondent ministerialny nie ma bezpośrednich chodów u ministra, którym jest wtedy Roy Jenkins, ale tak się składa, że zna panią Jenkins. To znaczy jego żona ją zna. Pogada z żoną i oddzwoni.

Zaczynam mieć nadzieję. Roy Jenkins to liberał co się zowie. Korespondent z „Guardiana” oddzwania. Trzeba zrobić tak. Napiszesz do ministra, ale całkiem urzędowo, bez wazeliny, bez mydlenia oczu. Po prostu: „Szanowny Panie Ministrze” i tak dalej. Sam to wystukaj na maszynie, przedstaw fakty, podpisz się. Jeśli ten twój gość chce być lekarzem, to też napisz i przypadkiem nie udawaj, że będzie z niego dar z niebios dla Teatru Narodowego. Ważne: kopertę zaadresuj nie do Sz.P. Roya Jenkinsa, tylko do jego żony, do pani Jenkins. Dzięki temu będziemy mieli pewność, że jutro rano przy śniadaniu minister znajdzie list oparty o jajko na miękko. I masz sam zanieść ten list, tu masz adres.

Nie umiem pisać na maszynie. Nigdy nie pisałem na maszynie. W mieszkaniu mam jedną, nawet elektryczną, ale nie ma komu na niej pisać. Dzwonię do Jane. W tamtych dniach zaczynaliśmy już przypatrywać się sobie. Dziś jest moją żoną. Pucholt gapi się na londyński krajobraz, ja piszę list zaczynający się od słów: „Szanowny Panie Ministrze”, Jane przepisuje go na maszynie. Adresuję kopertę do pani Jenkins, zalepiam ją i wszyscy razem jedziemy do Notting Hill czy gdzie tam wtedy mieszkali państwo Jenkinsowie.

Czterdzieści osiem godzin później Vladimir Pucholt dostaje pozwolenie na pobyt przez czas nieokreślony w Wielkiej Brytanii. Żadna wieczorna gazeta nie ryczy, że sławny czeski aktor przeszedł na stronę Zachodu. Pucholt może spokojnie i w każdej chwili rozpocząć studia medyczne. Dowiaduję się o tym podczas obiadu z moim agentem literackim. Wracam do mieszkania, gdzie zastaję Vladimira. Już nie gapi się przez okno, tylko stoi na balkonie w dżinsach i tenisówkach. Jest ciepłe słoneczne popołudnie. Znalazł na moim biurku kartkę papieru A4 i zrobił z niej samolot. Tak bardzo wychyla się przez poręcz, że robi mi się niedobrze, czeka na sprzyjający wiatr, wreszcie rzuca swój szybowiec i przygląda się jego lotowi nad dachami Londynu. Do tej pory – wyjaśnił mi potem – nie umiał latać. Ale teraz, skoro może zostać w Anglii, wszystko będzie w porządku.

Nie zrobi się z tego opowieść o mojej bezgranicznej życzliwości. Tylko o tym, jak Vladimir został jednym z najbardziej kochanych i oddanych pediatrów w Toronto.

Jakoś tak się stało – do dziś nie wiem jak – że uczyniono mnie osobą odpowiedzialną za opłacanie jego medycznych studiów w Wielkiej Brytanii. Nawet wtedy wydawało mi się to naturalne. Ja byłem u zenitu swoich zdolności zarobkowych, Vladimir – blisko nadiru. Udzielona mu pomoc niczego mnie nie pozbawiła, nie sprawiła najmniejszego kłopotu ani mnie, ani mojej rodzinie, ani wtedy, ani nigdy. Finansowe potrzeby Vladimira były zresztą – upierał się przy tym – przerażająco skromne. Równie straszliwa była determinacja, by jak najszybciej spłacić mnie do pensa. Żeby zaoszczędzić nam obu niewygodnych sytuacji, decyzję co do poszczególnych sum zostawiłem w rękach księgowego – tyle na życie, tyle na studia, tyle na transport, na czynsz i tak dalej. Negocjacje odbywały się jakby *à rebours*, bo ja chciałem dać więcej, a Vladimir wziąć mniej.

Pierwszą pracę dostał w laboratorium w Londynie, gdzie był asystentem. Potem trafił do szpitala uniwersyteckiego w Sheffield. W listach, pisanych starannie liryczną i znacznie już lepszą angielszczyzną, zachwycał się cudami medycyny, chirurgii i leczenia innych, i ludzkim ciałem jako dziełem stworzenia.

Specjalizuje się w pediatrii i intensywnej terapii noworodków. Do dziś pisze z tym samym entuzjazmem o tysiącach dzieci i noworodków, którymi się opiekował.

Zawsze było mi trochę wstyd i trochę głupio, że odegrałem rolę anioła poświęcenia, tak mało się poświęcając, a tak wiele robiąc dla dobra innych. Jest mi tym bardziej głupio, że prawie do dnia ukończenia przez niego studiów nie wierzyłem do końca, że mu się uda.

Teraz jest rok 2007. Minęło całe czterdzieści lat od chwili, gdy Vladimir wypuścił swój papierowy szybowiec z balkonu mieszkania, którego dawno się już pozbyłem. Teraz mieszkam częściowo w Kornwalii, częściowo w Hamburgu, bo piszę tam powieść pod tytułem *Bardzo poszukiwany człowiek* o młodym azyłancie, co prawda nie z Czechosłowacji, lecz z Czeczenii. Jest Słowianinem tylko w połowie, bo w drugiej jest Czeczenem. Na imię mu Issa, czyli Jezus, ale jest muzułmaninem, nie chrześcijaninem. Ma jedną ambicję: zostać wielkim lekarzem i leczyć cierpiących ludzi w swej ojczyźnie, przede wszystkim dzieci.

Uwięziony na strychu hamburskiego magazynu, podczas gdy szpiedzy walczą ze sobą o jego przyszłość, robi samoloty z niewykorzystanej tapety i puszcza je przed siebie – na wolność.

Znacznie szybciej, niż byłem skłonny uwierzyć, Vladimir oddał mi wszystko, co ode mnie pożyczył – co do pensa. Jednego tylko nie wiedział, podobnie jak ja nie wiedziałem, dopóki nie wziąłem się za *Bardzo poszukiwanego człowieka* – że otrzymałem od niego całkowicie niewypłacalny dług: fikcyjnego bohatera.

Karta kredytowa Stephena Spendera

Chyba w roku 1991 zaproszono mnie na prywatną kolację w Hampstead, na której miałem poznać Stephena Spendera, eseistę, dramaturga, powieściopisarza, rozczarowanego komunistę, posiadacza tytułu szlacheckiego, byłego amerykańskiego poetę laureata – czy mam wymieniać dalej? Przy stole było nas sześcioro, ale przemawiał głównie Spender. W wieku osiemdziesięciu dwóch lat wciąż robił świetne wrażenie: siwa lwia grzywa, pełen życia, dowcipny.

Mówił o przemijalności sławy – przede wszystkim chyba swojej, ale nie mogłem opędzić się od myśli, że było to też zawołane ostrzeżenie pod moim adresem – i o potrzebie przyjęcia z wdziękiem własnego powrotu do anonimowości. By zilustrować nam, o co mu chodzi, opowiedział następującą historyjkę.

Właśnie wrócił z samochodowej podróży przez całe Stany Zjednoczone. Gdy jechał przez pustynie Nevady, zauważył samotną stację benzynową, więc uznał, że bezpieczniej będzie napełnić bak do pełna. Zapisana odręcznie kartka papieru informowała, że właściciel stacji przyjmuje zapłatę tylko kartami kredytowymi – zapewne chodziło o zniechęcanie złodziei.

Spender okazał kartę kredytową. Właściciel stacji w milczeniu się jej przyglądał. Wreszcie podzielił się swymi wątpliwościami:

– Ja tam słyszałem tylko o jednym Stephenie Spenderze, tym poecie. Ale on już dawno nie żyje.

Rada dla początkującego powieściopisarza

„Każdego dnia, zanim skończę pisać, upewniam się, że mam w zanadrzu coś na jutro. Sen czyni cuda”.

Źródło: Graham Greene do mnie, Wiedeń, 1965

Ostatnia tajemnica służbowa

Gdy byłem młodym, beztroskim szpiegiem, wierzyłem – to całkowicie naturalne – że najbardziej pasjonujące tajemnice państwowe skrywa sfatygowany zielony sejf wyprodukowany przez firmę Chubb, tkwiący w samym środku labiryntu obskurnych korytarzy na górnym piętrze domu przy Broadway 54, naprzeciw stacji metra St James's Park, w prywatnym gabinecie zajmowanym przez szefa Secret Service.

Broadway – bo tak nazywaliśmy cały budynek od ulicy, przy której stał – był wiekowy, brudny i zgodnie ze starą filozofią tajnych służb, niewygodny. Z trzech skrzypiących wind jedna była wyłączną własnością szefa. Dowoziła go, bardzo nieśpiesznie, na Olimp, czyli na najwyższe piętro; klucz do niej mieli tylko nieliczni wybrani. Zwykli śmiertelnicy musieli się tam dostawać wąskimi drewnianymi schodami strzeżonymi przez wypukłe lustro; na samej górze czekał ponadto portier o kamiennej twarzy siedzący na krześle kuchennym.

Chyba my, najmłodszy pracownicy, najbardziej kochaliśmy ten budynek: za wieczny półmrok, za woń wojen, w których nie walczyliśmy, i intryg, o których mogliśmy tylko marzyć; za podły bar ze wstępem tylko dla zaproszonych gości, gdzie starsi koledzy milkli, gdy się ich mijало; i za ciemną, zakurzoną bibliotekę literatury szpiegowskiej - królował w niej stary bibliotekarz o długiej siwej czuprynie, który za młodu biegał z bolszewickimi rewolucjonistami po ulicach Piotrogradu, a potem telegrafował swe tajne raporty z piwnicy nieopodal Pałacu Zimowego. I ekranizacja *Ze śmiertelnego zimna*, i serial BBC *Druciarz, krawiec, żołnierz, szpieg* nieźle oddają tę atmosferę, ale nie potrafią oddać do końca magii starego sejfu firmy Chubb.

Prywatny gabinet szefa mieścił się na strychu. Okna miał zasłonięte brudną siatką i w ogóle sprawiał niepokojące wrażenie, że znajduje się w podziemiu. Gdy szef przyjmował petenta oficjalnie, nie wstawał zza pustego biurka ozdobionego tylko portretami rodziny oraz – za moich czasów – Allena Dullesa i szacha Persji. Luźniejszej atmosferze służyły fotele obite popękana skórą. Ale niezależnie, gdzie się siedziało, zielony sejf był zawsze w polu widzenia i – nieprzenikniony – jakby wpatrywał się w gościa.

Co tam mogło być w środku? Kiedyś słyszałem, że jakieś dokumenty, których tylko szef dotyka, i to rzadko. I że jeżeli chce je pokazać komuś, ten ktoś musi najpierw zakląć się na wszystkie świętości, że dochowa tajemnicę, a potem czytać w obecności szefa i oddać mu je do rąk własnych.

Lecz oto zbliża się smutny dzień, gdy w Broadwayu po raz ostatni zapadnie kurtyna, a Secret Service i cały jej majątek ruchomy przeniosą się do nowej siedziby w Lambeth. Czy los ten ominie sejf szefa? Czy dźwigi, łomy i milkliwi ludzie przeniosą go w następny etap jego długiej ziemskiej podróży? Po wielu dyskusjach na najwyższym szczeblu zostaje niechętnie podjęta decyzja, że sejf, choć zasłużony, nie spełnia już swej funkcji we współczesnym świecie. Zostanie otwarty. Całą zawartość zlustrować zaprzysiężeni oficerowie wywiadu, wszystko zostanie spisane i opatrzone odpowiednio wysoką klauzulą tajności.

Cholera, ale kto ma klucz? Wygląda na to, że nie urzędujący szef. On od początku sobie postanowił, że nigdy do sejfu nie zajrzy, że nigdy bez potrzeby nie zaznajomi się ze skrywanymi w nim sekretami. Czego się nie wie, tego się nie ujawni. Natychmiast o to samo zapytano tych z jego poprzedników, którzy jeszcze żyli. Okazuje się, że oni z tych samych powodów nigdy nie dotykali zakazanego owocu. I oni też nie wiedzą, gdzie się podział ten cholerny klucz. Nie wiedzą w kancelarii, nie wiedzą w sekretariacie, nie wiedzą w ochronie, nie wie tego nawet portier o kamiennej twarzy, ten z kuchennego krzesła. Klucza nikt nie widział, nikt nie dotykał, nikt nie wie, gdzie jest ani kto go miał ostatni. Wiadomo tylko to, że sam sejf został sprowadzony przez uwielbianego i patologicznie nieufnego sir Stewarta Menziesa, który szefował tajnym służbom w latach 1939–1952.

Czy zatem Menzies zabrał klucz? Czy kazał się z nim pochować? Czy te wszystkie tajemnice dosłownie zabrał ze sobą do grobu? Miał ku temu dobre powody, w końcu był jednym z ojców założycieli Bletchley Parku. Odbył z tysiąc osobistych rozmów z Winstonem Churchillem. Negocjował z przedstawicielami antyhitlerowskiego ruchu oporu w Niemczech i z admirałem Canarisem, wewnątrz skonfliktowanym szefem niemieckiego wywiadu, Abwehry. Chyba tylko Pan Bóg wie, czego nie ma w tym zielonym sejfie.

Sejf występuje w mojej powieści *Szpieg doskonały* pod postacią starej szafki na dokumenty, która towarzyszy Rickowi – alter ego Ronniego – na całej drodze życia. Szafka zawiera podobno spis jego wszystkich długów względem społeczeństwa, ale jej też nikt nigdy nie otwiera.

A tu czas ucieka. W każdej chwili nowy lokator budynku może upomnieć się o swe prawa. Ktoś musi podjąć decyzję. Doskonale, w końcu nasze służby otwały potajemnie niejednen zamek, a teraz trzeba otworzyć jeszcze jeden, więc czas wezwać któregoś z naszych włamywaczy.

Służbowy włamywacz zna się na rzeczy. Zamek ustępuje niepokojąco szybko. Włamywacz rozchyła skrzypiące żelazne drzwi. Jak poszukiwacze skarbów Tutenchamona, Carter i Mace, nad otwartym grobem faraona, widzowie wyciągają szyje, by uchwycić spojrzeniem skrywane dotąd cuda. Cudów jednak nie ma. Sejf jest pusty, próżny i nie skrywa żadnej najzwyczajniejszej nawet tajemnicy.

Ale zaraz! Mamy tu do czynienia z wyrafinowanymi konspiratorami. Ich niełatwo oszukać. A może ten sejf jest tylko na wabia, może to tylko atrapa, fałszywy grób, pierwszy system zabezpieczeń broniący wstępu do wewnętrznego *sanctum*? Posyłają po łom. Ostrożnie odsuwają sejf od ściany. Najstarszy rangą oficer zagląda, wydaje z siebie stłumiony okrzyk, sięga ręką między ścianę a sejf i wyjmuję bardzo zakurzoną, bardzo grubą parę szarych spodni z karteczką przypiętą agrafką. Karteczka pokryta jest pismem maszynowym i głosi, że to spodnie, które miał na sobie Rudolf Hess, zastępca Adolfa Hitlera, gdy przyleciał do Szkocji negocjować separatystyczny pokój z księciem Hamilton w mylnym przekonaniu, że książę podziela jego faszystowskie poglądy. Pod tekstem maszynowym odręczny dopisek tradycyjnym zielonym atramentem szefa służby: *Przekazać do analizy. Może pomóc ocenić stan niemieckiego przemysłu odzieżowego.*

Źródła

Wydawca pragnie wyrazić wdzięczność poniższym źródłom. Niektóre z tekstów zostały wzięte w całości, inne tylko częściowo.

Rozdział 10: Praca w terenie

Wierna muza została opublikowana po raz pierwszy w „New Yorkerze” w USA w 2000 r. i w „Observerze” w Wielkiej Brytanii w 2001 r.

Rozdział 24: Stróż brata swego

Ukazał się w innej formie jako posłowie do *A Spy Among Friends* Bena Macintyre’a, książki wydanej w USA przez Crown Publishing Group i w Wielkiej Brytanii przez Bloomsbury w 2014 r.

Rozdział 25: Quel Panama!

Opublikowany po raz pierwszy w USA w „The New York Timesie” i zamieszczony tutaj za pozwoleniem redakcji gazety. Pierwszy raz w Wielkiej Brytanii ukazał się w „Daily Telegraphie” w 1996 r.

Rozdział 26: W głębokiej konspiracji

Tekst został opublikowany po raz pierwszy w USA w „The New York Timesie” i zamieszczony tutaj za pozwoleniem redakcji gazety. Pierwszy raz w Wielkiej Brytanii ukazał się w „Guardianie” w 1999 r.

Rozdział 27: Polowanie na kacyków

Podróż do Konga ukazała się po raz pierwszy w USA w „Nation” i w Wielkiej Brytanii w „Sunday Telegraphie” w 2006 r.

Rozdział 28: Richard Burton mnie potrzebuje

Szpieg, który mnie lubił ukazał się po raz pierwszy w „New Yorkerze” w 2013 r.

Rozdział 29: Alec Guinness

Misja na terytorium wroga ukazała się po raz pierwszy w „Daily Telegraphie” w 1994 r. i przedrukowana w formie przedmowy w książce *My Name Escapes Me: The Diary of a Retiring Actor* Aleca Guinnessa, wydanej przez Hamish Hamilton w 1996 r.

Rozdział 33: Syn ojca autora

Tekst *Na dworze Ronniego* ukazał się po raz pierwszy w USA w „New Yorkerze” w 2002 r. i w Wielkiej Brytanii w „Observerze” w 2003 r.

-
- 1 Ponieważ Johna le Carrégo tłumaczyło na polski do tej pory prawie dwadzieścia osób (w tym jeden minister spraw wewnętrznych RP i jeden konfident SB), polskie tytuły przekładów – tam, gdzie jest ich więcej do wyboru – podaję według własnego widzimisię: albo tak, jak sam je kiedyś przetłumaczyłem; albo tak, jak je przetłumaczyli moi znajomi; albo tak, jak brzmi tytuł najbardziej przeze mnie cenionego przekładu danej książki. Pozostałych tłumaczy gorąco przeproszam; na pocieszenie dodaję, że i jeden z moich tytułów został zmieniony bez mojej wiedzy i zgody przez pewien ceniony dom wydawniczy – mieli prawo, było w umowie, niestety – i to tak głupio, że ze wstydu nie wiedziałem, gdzie oczy podziąć (przyp. tłum.).
 - 2 David Cornwell mieszka dwa kroki od Hampstead Heath, wielkiego dzikiego parku na obrzeżach Londynu. „Heath” oznacza co prawda wrzosowisko, ale nigdy nie widziałem tam ani jednego wrzosu (przyp. tłum.).
 - 3 Za: Christopher Andrew, *Secret Service*, William Heinemann, 1985.
 - 4 Korespondencja taka zaczynała się zwykle od trzyliterowego kodu placówki MI6, po której następował numer pracownika.
 - 5 Zapewne chodzi o to, że w 1937 r. – akurat za czasów stalinowskich czystek – Denis Winston Healey, późniejszy baron Healey, wstąpił do Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii; trzeba jednak przyznać, że wypisał się już dwa lata później, podobno na wieść o podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow (przyp. tłum.).
 - 6 W takich sytuacjach nieszczęsny tłumacz może albo całkiem zmienić i prawdziwe, i zniekształcone nazwisko dla zachowania gry słów zrozumiałej dla czytelnika przekładu, albo tchórzliwie objaśnić ją w przypisie. Co niniejszym czynię: „Bullying Manner” to – przy zachowaniu inicjałów i nazwiska, i przezwiska – mniej więcej „brutalne maniery” (przyp. tłum.).
 - 7 Oczywiście nie może chodzić o Iwana Sierowa (1905–1990), oficera NKWD współodpowiedzialnego za mord w Katyniu, który potem tłumił powstanie węgierskie, bo ten na początku lat sześćdziesiątych kierował sowieckim wywiadem wojskowym, więc do Bonn nikt by go ani nie wpuścił, ani stamtąd nie wypuścił (przyp. tłum.).
 - 8 Gdy piszę te słowa, doktor Hanning, prowadzący teraz własną praktykę prawniczą, stanął w krzyżowym ogniu pytań przed niemiecką komisją parlamentarną badającą działalność w Niemczech obcych służb wywiadowczych, którym miały podobno pomagać – lub przynajmniej nie przeszkadzać – rodzime tajne służby. Jak wszystkie śledztwa prowadzone za zamkniętymi drzwiami, cała sprawa jest mocno upubliczniona. Oskarżeń, aluzji i niepotwierdzonych wiadomości medialnych jest w bród. Najbardziej sensacyjna z nich wydaje się na pierwszy rzut oka całkowicie nieprawdopodobna: że BND i jej sekcja wywiadu radiowego miały jakoby – czy to przez urzędnicze zaniedbanie, czy celowo – pomagać od roku 2002 amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w szpiegowaniu własnych obywateli i instytucji.
 - 9 Książka *Guantanamo. Pięć lat z mojego życia* ukazała się w polskim przekładzie Agnieszki Gadzały nakładem Wydawnictwa W.A.B. w 2008 r. (przyp. tłum.).
 - 10 *La Femme Aux Mille Enfants*, Robert Laffont, Paris 1992. Polskiego przekładu na razie nie ma (przyp. tłum.).
 - 11 Polski tłumacz (*moi*) był tego tak pewny, że kieliszek wsadził Jerry’emu w dłoń: „Przy stole w kącie sali (...) siedział Jerry Westerby z bardzo dużym różowym dżinem w dłoni”. Z kolei ś.p. Ewa Życieńska nie wręcza mu kieliszka, tylko każe pić różowy dżin w szklance – ja tam wolę w kieliszku (przyp. tłum.).

- 12 Nieprawda: i u mnie, i u Ewy Życieńskiej to Smiley zamawia Krwawą Mary (*Smiley ordered a Bloody Mary*), zakładamy, że dla siebie (przyp. tłum.).
- 13 Polski tłumacz czuwał, powtórzenie usunął. Teraz widać, że niewiernie, ale pięknie (przyp. tłum.).
- 14 Uszlachcenie Jerry'ego w *Druciarzu...* musiało być w domyśle, bo w treści książki nie ma nic na ten temat. Za to w polskim tytule następnej powieści Jerry jest już za sprawą Roberta Sudola panem pełną gębą, bo „jego uczniowską mością” (przyp. tłum.).
- 15 „Super!” – wymawiane (wykrzykiwane) po angielsku ze staroświeckim arystokratycznym akcentem (przyp. tłum.).
- 16 Tytuł pochodzi ze starotestamentowej Księgi Micheasza, 7, 8. Sęk w tym, że każdy polski przekład Biblii, zgodnie z kontekstem, mówi o „nieprzyjaciółce”, a nie o „nieprzyjacielu”, który bardziej pasuje do sytuacji Barnea-Tamari. Ale to zmartwienie ewentualnego polskiego tłumacza dzieła izraelskiego publicysty (przyp. tłum.).
- 17 Na polski przekład raczej nie ma co liczyć. Gdyby kiedyś powstał, zapewne nosiłby tytuł *Wykuwane w gniewie* (przyp. tłum.).
- 18 Czytelnik, który używa Wikipedii, może sobie sprawdzić, że Mutt i Jeff to para pacańców z amerykańskich komiksów. Ten, który nie używa, pewnie się domyśli, że musi chodzić o coś takiego. Niniejszy przyp. tłum. robiony jest więc chyba wyłącznie na użytek naszych rodzimych Muttskich i Jeffskich.
- 19 Już po pobycie pisarza miastu przywrócono historyczną nazwę Siergijew Posad (przyp. tłum.).
- 20 Tę klasyczną i wielokrotnie powtarzaną kwestię Katii Orłowej z *Russia House* podaję w wersji, którą zgodnie wybrały ś.p. Ewa Życieńska (1991) i p. Monika Wiśniewska (2013). Jest to przekład rosyjskiej angielszczyzny Katii („not convenient”), świetnie podpatrzona przez le Carrégo kalka z rosyjskiego „неудобно” (przyp. tłum.).
- 21 Teatr Rozmaitości, spektakl *Szpieg* w reż. ś.p. Jerzego Matałowskiego. Premiera 18.10.1991 (przyp. tłum.).
- 22 Tekst ten jednak ostatnio się odnalazł w wydanych tylko po rosyjsku wspomnieniach Jewgienija Primakowa *Wstriechi na pieriekrestkach* (Spotkania na rozstajach) (<https://www.litres.ru/evgeniy-primakov/vstrechi-na-perekrestkah-2/chitat-onlayn/>). Primakow pisze tak: „Gdy w marcu 1997 roku pojechałem do Londynu jako minister spraw zagranicznych, w stolicy Wielkiej Brytanii czekała mnie jeszcze jedna niespodzianka. Spotkałem się tam bowiem z Johnem le Carré, jednym z najlepszych – przynajmniej moim zdaniem – autorów thrillerów politycznych. Ówczesny ambasador Adamiszyn zaprosił go wraz z żoną na kolację – na moją prośbę. Spotkanie odbyło się w przyjacielskiej atmosferze. Oboje z małżonką byliśmy bardzo zadowoleni ze spotkania z tym interesującym człowiekiem. Jesteśmy od lat wielbicielami twórczości Davida Cornwella, byłego szpiega, który pod pseudonimem le Carré zdobył światową sławę, więc tym bardziej ucieszyliśmy się, że otrzymaliśmy od niego jedną z niedawno wydanych powieści wraz z dedykacją: «Jewgienijowi Maksimowiczowi Primakowowi ze szczerymi życzeniami i nadzieją, że będziemy odtąd żyć w lepszym, niż tu opisano, świecie»”.
- 23 Sprawdziłem i okazało się, że w szerokim składzie jej rządu była jedna kobieta, baronowa Young, ale nie należała do ministrów tworzących najbliższą grupę współpracowników Margaret Thatcher.
- 24 *A Spy Among Friends* (Szpieg wśród przyjaciół), Bloomsbury 2014.
- 25 Twórca i pierwszy monarcha Arabii Saudyjskiej.
- 26 Flora Solomon. W roku 1939 poznała Philby'ego z Aileen.

- ²⁷ John William Vassall, syn pastora anglikańskiego, homoseksualista, urzędnik ataszatu do spraw marynarki wojennej w ambasadzie brytyjskiej w Moskwie, otrzymał wyrok osiemnastu lat więzienia za szpiegostwo na rzecz KGB.
- ²⁸ Peter Lunn, szef placówki MI6 w Bejrucie i pierwszy z moich dwóch przełożonych w Bonn.
- ²⁹ James Jesus Angleton, nałogowy alkoholik, szef kontrwywiadu CIA, który wmówił sobie, że komunistyczna siatka wywiadowcza KGB działa w każdym zakątku świata zachodniego. Kiedy Philby pracował w Waszyngtonie, uczył Angletona sztuki prowadzenia podwójnych agentów podczas suto zakrapianych partii szachów.
- ³⁰ W roku 1945 Konstantin Wołkow, zawodowy oficer wywiadu z konsulatu sowieckiego w Stambule, twierdził, że wie o trzech sowieckich agentach w brytyjskim Foreign Office i że jeden z nich działa w kontrwywiadzie. Philby zajął się tym i w efekcie szczerze zabandażowanego Wołkova wyprawiono sowieckim samolotem transportowym do Moskwy. Wykorzystałem ten epizod w jednym z odcinków serialu *Druciarz, krawiec, żołnierz, szpieg*.
- ³¹ Reinhard Gehlen, ówczesny dyrektor BND, zachodnioniemieckiej tajnej służby. Patrz rozdział 8 tej książki.
- ³² Podobnie jak jego ojciec, Nicholas Elliott był zapalonym alpinistą.
- ³³ Harold (Shergy) Shergold nadzorował operacje MI6 w bloku sowieckim.
- ³⁴ Cicero był tajnym agentem niemieckim. Naprawdę nazywał się Elyesa Bazna i był lokajem sir Hughe Knatchbull-Hugessena, brytyjskiego ambasadora w Ankarze. Obecnie uważa się, że przez cały czas był agentem brytyjskim, który miał za zadanie przekazywać Niemcom fałszywe wiadomości. Może Elliott robił to samo mnie.
- ³⁵ *The Cambridge Apostles*, znani również jako *Conversazione Society*, to powstały w roku 1820 tajny klub dyskusyjny dla wybranych studentów. Praktykowali – jak to nazywali – „homoerotyzm” i „miłość platoniczną”. W latach 30. XX w. klub był wykorzystywany przez sowieckich łowców talentów, by werbować dobrze zapowiadających się studentów do służby komunizmowi. Na liście członków nie ma jednak Kima Philby’ego.
- ³⁶ Trudno, tak tutaj musi być. Polski przekład Stefanii Wortman nosi tytuł *Krawiec i jego kot* i w ogóle jest bardzo dowolny (przyp. tłum.).
- ³⁷ Kiedy angielska żona wymawia mężowi, że sprasza do domu byle kogo, to używa tych właśnie trzech imion (przyp. tłum.).
- ³⁸ Czyli: „Śladami pana Kurtza”. Polskiego przekładu brak. Ale jeżeli ktoś chce pogłębić swą znajomość tej conradowskiej postaci i jej polskich powiązań, może przeczytać mój tekst na ten temat, *Conrad i Sienkiewicz: polska zmiana warty na Czarnym Łądzie*, w: T. Bujnicki, J. Axer (red.), *Wokół „W pustyni i w puszczy”*. W stulecie pierwodruku powieści, Universitas, Kraków 2012, s. 107–125 (przyp. tłum.).
- ³⁹ Niestety nie. A szkoda, bo bardzo pasowałoby do końcowego fragmentu, w którym trzeci z kacyków, Haj, opisuje blaski i cienie życia w Bukavu (przyp. tłum.).
- ⁴⁰ W Polsce film ukazał się pod tytułem *Szpieg, który przyszedł z zimnej strefy*, ale brzmi to tak strasznie, że lepiej chyba trzymać się (jednej z) wersji tytułu powieści (przyp. tłum.).
- ⁴¹ Kubrick sfilmował ją potem pod tytułem *Oczy szeroko zamknięte* z Tomem Cruise’em i Nicole Kidman w rolach głównych.
- ⁴² Książkę *Brama*, wydaną przez Noir sur Blanc w roku 2006, przełożył Robert Sudół, ten sam, który tłumaczył *Jego uczniowską mość* – jaki ten świat mały! (przyp. tłum.).
- ⁴³ *La Chambre noire de Longwood* (Ciemny pokój w Longwood) Kauffmanna nie była dotąd tłumaczona na polski (przyp. tłum.).
- ⁴⁴ © Jean-Paul Kauffmann, 2015. Na podstawie angielskiego przekładu Isabel Wall, 2015.
- ⁴⁵ Przekład Emila Zegadłowicza (przyp. tłum.).

⁴⁶ Napisane dla Victim Support, 1998.